

Czas niepokoju

Jagna Rolska

DZIECI FORTUNY



Prószyński i Skaźka

Jagna Rolska

DZIECI FORTUNY

Prószyński i S-ka

Copyright © Jagna Rolska 2022

Projekt okładki:

Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce:

© Natasza Fiedotjew | [Trevillion Images](#)

Redaktor prowadzący:

Michał Nalewski

Redakcja:

Rafał Dębski

Korekta:

Maciej Korbański

ISBN 978-83-8295-755-6

Warszawa 2022

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

*Ani Szumacher, mojej duchowej siostrze,
z podziękowaniem za nieustające wsparcie*

ROZDZIAŁ 1

1938

Poldek Malinowski cierpiał na bezsenność. Trwała od ponad roku, a z nastaniem lata problem się pogłębił, bowiem krótkie noce dodatkowo wybijały go z niespokojnego snu. Zerknąwszy na budzik, z trudem odczytał, że jest zaledwie wpół do czwartej. Wstał bezszelestnie z małżeńskiego łóża i podszedł do okna. Z piątego piętra kamienicy rozciągał się widok na praski brzeg Wisły, lecz zabudowania o brzasku były ledwie widoczne.

Chłopak zamyślił się głęboko, co ostatnio zdarzało mu się często. Od ślubu z Pauliną dokuczała mu melancholia i choć dziewczyna robiła wszystko, żeby mu się przypodobać, to im bardziej starała się być przykładną żoną, tym bardziej on się odsuwał. Jakże naiwne było jego myślenie, że małżeństwo pozwoli mu zapomnieć o Helenie! Równie absurdalna wydawała się umowa, jaką zawarli z Pauliną przed tym zaaranżowanym przez rodziców ślubem. Na jej mocy mieli jedynie udawać, że łączy ich związek, i w tym czasie żyć na własną rękę. Obydwoje liczyli, że gdy ich rodziny dopną swego, dadzą im wreszcie święty spokój i zapewnią dostęp do jakichkolwiek pieniędzy, żeby obydwój mogli zaznać nieco swobody.

Tak się nie stało. Rodziny ustaliły, że na prawdziwe usamodzielnienie się jeszcze przyjdzie czas, a kamienica, którą młodzi mieli dostać od Melnera, na razie zostanie pod wspólnym zarządem teścia i ojca. Poldek powinien najpierw mocniej przyłożyć się do nauki zawodu, a Paulina pod okiem doświadczonej ciotki Marii wprawić się w prace gospodarskie.

Teraz Poldek już doskonale wiedział, że obydwój byli skończonymi głupcami. Co gorsza, Paulina po ślubie zmieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wcześniej zarzekała się, że nie interesuje jej zakładanie rodziny, a swoją najbliższą przyszłość widzi w sporcie. Deklarowała też wyłącznie platoniczny związek, śmiejąc się do rozpuku z przysięgi małżeńskiej. O tym także zapomniiała.

– Nienawidzę swojego życia – wyszeptał z goryczą i pstryknął niedopałkiem. Ten wirował chwilę w powietrzu, po czym zgasł, nim

sięgnął bruku przed rodzinną pracownią rękawiczniczą.

Poldek nie cierpiał łzawych melodramatów. Od dawna pasjonował się filmem, lecz ponad wszystko cenił sobie komedie z inteligentnym humorem. Oczywiście ze szczęśliwym zakończeniem. I tego oczekiwał od własnego życia: wesołych scenerii, namiętnego romansu, paru piosenek, a potem miłości i tablicy z napisem „koniec”, która w istocie oznacza początek wspólnego szczęśliwego życia.

– Zimno! – mruknęła w półśnie Paulina, okrywając się szczelniej kołdrą.

To była kolejna rzecz, której nie rozumiał w tej kobiecie. Choćby z nieba lał się żar, jej zawsze było zbyt chłodno.

– Już, już – odparł, odsuwając się od okna. Zamknął je szczelnie i wrócił do łóżka. Położył się na wznak, założył dłonie za kark i zapatrzył się w sufit. On jeden, oprócz widoku za oknem, przypominał mu poprzedni wystrój kawalerskiego pokoju. Po ślubie ojciec oddał młodym ostatnie piętro swojej kamienicy, a sam zatrzymał niższą kondygnację, zupełnie nie zaprzatając sobie głowy, że przez to dzieli z nowożeńcami łazienkę, jadalnię i kuchnię, nie zapewniając im nawet minimum prywatności.

Paulina westchnęła i objęła ramieniem poduszkę. Zarzuciła nogę na kołdrę, jednocześnie eksponując zgrabne, wysportowane pośladki.

Poldek wbrew sobie poczuł pożądanie. To była kolejna sprawa, która zaskoczyła go w tym niechcianym i udawanym małżeństwie. Jeszcze w trakcie przysięgi podchodził do tego trzeźwo, ale potem Paulina, która przecież mówiła wyraźnie, że nie czuje do niego żadnej namiętności, pocałowała go. A on po prostu poczuł, że żywiej bije mu serce i z wrażenia uginają się pod nim nogi. Szybko zrozumiał, że miłość i potrzeby fizjologiczne nie są tożsame, a cielesna bliskość może być zadowalająca, nawet gdy nie ma uczucia. Mógł jedynie podejrzewać, że z kobietą, którą się kocha, doznania są gorętsze i prowokują do żarliwych wyznań.

Tymczasem bliskość z Pauliną, która była nieunikniona już podczas poślubnej nocy, gdy spoczęli obok siebie, sprawiała, że obydwójce byli usatysfakcjonowani i spełnieni. Poldek nawet

próbował sobie wmawiać, że tak wygląda miłość i niczego więcej mu już do szczęścia nie potrzeba. Tyle tylko, że bardzo szybko zrozumiał, że to nieprawda. Za każdym razem, gdy niepotrzebnie włączał myślenie i docierało do niego, że tkwi w tej pułapce do kresu swoich dni, przychodził napad paniki. Przypuszczał, że owa bezsenność także ma związek z jego nieszczęśliwym małżeństwem.

Jakby na przekór tym przemyśleniom usnął głęboko. Obudził się kompletnie skołowany dwie godziny później, czując, że ktoś szarpie go za ramię.

– No wstańże wreszcie! – niecierpliwiła się Paulina. – Za trzy godziny odchodzi nasz pociąg, więc nie ma czasu na leżenie. – Stała przy łóżku ubrana w sukienkę. Jasne proste włosy, niegdyś ścięte na pazia, obecnie nosiła modnie pofalowane i lekko uniesione, a do tego zaczęła się malować. Jej krwistoczerwone usta wygięły się nieco, gdy poirytowana zerwała z męża kołdrę. – Zbyt długo czekaliśmy na ten wyjazd, żeby teraz się spóźnić! Zejdź zaraz na śniadanie – oświadczyła, po czym pospiesznie wyszła z sypialni.

Poldek wstał z ociąganiem, lecz serce zabiło mu żywiej, gdy zaspana głowa przypomniała sobie w końcu, że dzisiaj wyjeżdżają z Pauliną z Warszawy na prawdziwe wakacje. W jego przypadku na pierwsze w życiu, nie licząc odwiedzin u rodziny matki w Świdrze. Apoloniusz Malinowski uważał podróże dla przyjemności za bezsensowne trwonienie pieniędzy. Nigdy nie wyjeżdżał z synami ani nie wysyłał ich na obozy szkolne. Jego zdaniem człowiek powinien siedzieć w miejscu, jakie przeznaczyło mu życie, i pilnować tego, co wyszarpał od losu. Na argument Poldka, że przecież podróże kształcą i sprawiają przyjemność, stary rękawicznik nieustająco odpowiadał, że dokładnie to samo powinna mu dawać praca w rodzinnym zakładzie.

Apoloniusz Malinowski był uparty i nieugięty właściwie w każdej sprawie. Rodzinę trzymał krótko, żeby żaden z jej członków nie stoczył się na manowce. Tyle że żona i córka odumały go ponad dwa lata temu, młodszy syn Janek uciekł z domu i wyjechał do Poznania, a w kamienicy na Solcu został jedynie Poldek. Jeśli chłopak sądził, że utrata rodziny wpłynie choć trochę łagodząco na charakter ojca, szybko zrozumiał, że jest wręcz przeciwnie.

Zgorzknienie spowodowało obsesję kontroli nad najstarszym synem i choć Apoloniusz obiecywał, że po ślubie z Pauliną Poldek zostanie pełnoprawnym partnerem w firmie, w istocie nie zmieniło się nic. Chłopak nadal nie dostawał sensownego wynagrodzenia, wciąż mieszkał pod jednym dachem z ojcem, a na dokładkę musiał znosić obecność niekochanej żony, która irytowała go na każdym kroku.

Tym bardziej dziwiło, że Malinowski sam z siebie wykupił młodym pobyt nad morzem. Wykosztował się na miesięczne wczasy w Juracie. Gest tym mocniej zaskakujący, że miejscowość uchodziła za jeden z najmodniejszych adresów na wakacyjnej mapie Polski, bywali tam politycy z pierwszych stron gazet i gwiazdy filmowe.

Poldek porzucił rozważania i ubrawszy się najszybciej, jak umiał, zszedł piętro niżej do jadalni. Ojciec siedział na swoim zwykłym miejscu, częściowo przysłonięty płachtą gazety porannej. Pauliny chłopak nie zauważył. Pewnie znów zajmowała się kuchnią, w czasie gdy ciotka Maria siedziała rozparta na fotelu po prawicy Apoloniusza. Dziwne zmiany zaszły ostatnimi laty w kamienicy Malinowskich na Solcu. Siostra zmarłej matki Poldka najpierw zajmowała się domem, później zaczęła doradzać Apoloniuszowi w wielu sprawach, namówiła go, żeby wysłał Janka do seminarium, a potem zaczęła szwagrowi wygrzewać łóżko, o czym wiedzieli wszyscy, lecz nikt nie śmiał zauważyć. O pewnych sprawach po prostu lepiej było nie wspominać.

Tak czy inaczej, pozycja ciotki znacznie się wzmocniła, a ona czuła się panią na włościach. Gdy po ślubie w jej ręce wpadła młoda, uprzejma i raczej zagubiona Paulina, Maria wykorzystwała to bez skrępowania, całkowicie dominując dziewczynę, wysługując się nią przy każdej okazji i zatruwając jej mózg swoją dewocją.

– Niemców powinno się tępić jak robactwo – oświadczył zniecierpliwiona Apoloniusz, rzucając z irytacją gazetę na stół.

– Może zaparzę ziółek? – zatroskała się ciotka, lecz nie przesunęła się nawet o milimetr na krześle. Zamiast tego bezwiednie rzuciła spojrzenie w stronę drzwi kuchennych, za którymi uwijała się w towarzystwie kucharki ubrana na podróż Paulina.

– Nie trzeba, moja droga. – Apoloniusz poklepał ją po dłoni. – Ale dziękuję za troskę.

– Co ojca tak zirytowało? – zaciekawiał się Poldek, upijając ostrożnie łyk gorącej herbaty.

– Wystawa rzemiosła w Berlinie – warknął stary.

– Może nie wystaliśmy rękawiczników, ale polska ekspozycja pojechała przecież w dość liczny składzie. Z samej branży skórzanej pokazało się kilku rzemieślników. Więc w czym rzecz? – zdziwił się Poldek. Zwykle nie dyskutował z ojcem, lecz zmiana kursu go zaintrygowała. Malinowski ponad wszystko nienawidził ruskich, przez co znacznie łagodniej patrzył na poczynania Hitlera, a Mussoliniego ogromnie szanował. Za co, tego Poldek nie wiedział.

– Wystawa się udała, ale chodzi o doniesienia prasowe. Jakiś hitlerowski łajdak napisał artykuł, który u nas przedrukowano. Według niego polska wystawa okazała się kompletnym fiaskiem, a zgromadzone w części historycznej eksponaty wywodzą się w prostej linii od potomków Rzeszy, jak choćby ołtarz Wita Stwosza w kościele Mariackim!

– Przecież Wit Stwosz był Niemcem – odparł Poldek, ponieważ gryząc się w język. Dyskusja kompletnie mijała się z celem. Obopólna wrogość eskalowała każdego dnia, a absurdalne wzajemne pretensje publikowane z pełną powagą na łamach gazet powinny doprowadzić do śmiechu średnio rozgarniętego ucznia szkoły powszechnej. Tyle że nie doprowadzały. Prości ludzie, zajęci zdobywaniem środków niezbędnych do życia, zwyczajnie nie nadążali za polityką.

– Lepiej chwytaj walizki, bo masz wkrótce pociąg. Może w końcu zmajstrujesz syna – odparował Apoloniusz i ponownie zatopił się w gazecie.

Poldek zacisnął zęby i nic nie odpowiedział. Gdy taksówka zmierzała z Solca w stronę Dworca Głównego, w Alejach Jerozolimskich dotarło do niego, że ojciec mógł zaaranżować wyjazd w nadziei na szybsze pojawienie się wnuka. Jeśli Apoloniusz czegoś chciał, zdobywał to bez oglądania się na koszty.

Warszawa w trakcie wakacji nieco opustoszała. Kto mógł, wyjeżdżał na letniska lub wysyłał dzieci na kolonie. Te z zamożniejszych domów odpoczywały nad morzem, a uboższe pod Warszawą, w państwowych ośrodkach. Wokół Dworca Głównego

kręciło się już sporo podróżnych. Niektórzy wbiegali po schodkach do środka drewnianego budynku przez otwarte na oścież podwójne drzwi.

Tuż obok pięł się w górę czteropiętrowy nowoczesny gmach docelowego dworca, lecz końca budowy wciąż nie było widać. Już teraz jednak warszawiacy mogli podziwiać jego modernistyczną bryłę.

– Mogliby wreszcie skończyć. Ile lat można budować? – skomentowała Paulina, podążając za spojrzeniem męża. – Wstyd na całą Europę, żeby witać gości w tym drewnianym baraku – utyskiwała.

– Chodźmy już do środka – odparł Poldek wymijająco.

Jemu drewniany dworzec tymczasowy się podobał, a w każdym razie nie przeszkadzał. Gdy był młodszy, wielokrotnie tu przychodził, żeby poczuć gorączkową atmosferę i obserwować pośpiech podróżnych. Nauczony doświadczeniem, że żona i tak puści mimo uszu jego słowa, a w najlepszym przypadku tylko uda zainteresowanie, zachował przemyślenia dla siebie.

– Pilnuj torebki – powiedział zamiast tego, patrząc znacząco na dwie umundurowane policjantki aresztujące jakiegoś wyrostka. Za funkcjonariuszkami oglądało się mnóstwo ludzi. Choć do warszawskiej policji przyjmowano kobiety już od kilkunastu lat, nadal stanowiły obiekt zainteresowania, a nierzadko zgorszenia, głównie wśród starszych obywateli miasta, co było ogromnie krzywdzące, ponieważ świetnie sprawdzały się w swojej pracy.

– Współczuję im. – Paulina obrzuciła funkcjonariuszki przelotnym spojrzeniem.

– Ja też – zgodził się Poldek. – Są bardzo niedoceniane.

– Chodziło mi o to, że wstępując na służbę, nie mogą przez dziesięć lat wyjść za mąż. Z własnej głupoty wpędzają się w staropanieństwo – prychnęła kobieta.

– Chodźmy znaleźć nasz wagon – uciał.

Gdy już siedzieli w przedziale, Poldek pomyślał, że zupełnie nie poznaje swojej żony i że ta w niczym nie przypomina wesołej dziewczyny z okresu narzeczeńskiego. Kiedyś uwielbiała sport, do życia podchodziła z entuzjazmem i chciała coś w nim osiągnąć, a już

z całą pewnością nie marzyła o małżeństwie. Jak to możliwe, żeby w tak krótkim czasie diametralnie się zmieniła? A może zawsze dążyła do złapania męża i widząc jego niechęć, wzięła go sposobem? Uznał, że to niewykluczone, lecz uczciwość kazała mu przyznać, że nikt pod karabinem go nie prowadził do ołtarza. Tak samo jak ona odpowiadał za sytuację, w jakiej się znaleźli.

Poldek zdawał sobie sprawę, że powinien polubić swoją żonę, i nieraz miewał wyrzuty sumienia, że nawet się nie stara. Postanowił wspiąć się na wyżyny romantyzmu i przełamać niechęć do Pauliny. Nadmorska sceneria zdecydowanie powinna to ułatwić.

– No to jedziemy – oświadczyła Paulina, gdy pociąg wolno wytoczył się z dworca.

– Ciekawe, czy rzeczywiście ta „Strzała Bałtycka” pędzi tak, jak zachwalają w „Kurjerze Warszawskim”. – Poldek się uśmiechnął.

– Za tyle pieniędzy spróbowałyby nie – odparła rzeczowo i zatopiła nos w książce.

Tuż za rogatkami miejskimi pociąg zagwizdał donośnie i znacząco przyspieszył, jakby chciał potwierdzić doniesienia prasowe, że jest w stanie dotrzeć do Helu w niespełna siedem godzin. Za oknem migwały zielone połacie łąk, koła stukały miarowo, a Paulina oparła głowę o zagłówek i usnęła w wygodnym fotelu pierwszej klasy. Poldek wysunął ostrożnie książkę z jej dłoni i zamknawszy delikatnie, odłożył na stolik. Dopiero teraz, uwolniony od wiecznie oceniającego go spojrzenia żony, odetchnął głęboko i rozejrzał się po zajętych do ostatniego miejsca przedziale przytomniejszym wzrokiem. Siedząca obok Pauliny matrona w staroświeckiej sukni uśmiechnęła się, napotkawszy jego ukradkowe spojrzenie.

– Nowożeńcy? – zapytała domyślnie.

– Tak, proszę szanownej pani – odparł grzecznie Poldek, nie wdając się w szczegóły. Nie miał specjalnej ochoty na rozmowę, a wyjaśnienia, że są już rok po ślubie, tylko sprowokowałyby kolejne pytania.

– Zapowiada się pogoda nad morzem, spędzą państwo niezapomniany urlop. – Oczy pasażerki aż zalśniły, a ona sama wyglądała, jakby zatopiła się w miłych wspomnieniach.

– Z pewnością będzie udany, czego i pani życzę. Czy mogę mieć prośbę? – Nagle zmienił temat. – Czy zechciałaby szanowna pani mieć baczenie na małżonkę? Z chęcią rozejrzałbym się po pociągu. W końcu tyle godzin jazdy przed nami.

– Nie tak znów wiele. W końcu to strzała – zażartowała kobieta. – Niechże pan idzie. Ja póki co się stąd nie ruszam.

Poldek skłonił się, czemu nie sprzyjała ciasnota przedziału, więc wypadło to dość groteskowo. Odetchnął z ulgą, gdy wreszcie wydostał się na korytarz. Zwiedzania nie było wiele. Pociąg ekspresowy do Helu przez Gdynię składał się zaledwie z kilku wagonów pasażerskich i restauracyjnego. Nieco zawiedziony, młody mężczyzna poszedł na zimne piwo.

Wagon gastronomiczny wyglądał zachęcająco. Pod oknami rozstawiono stoliki z białymi obrusami i wyściełane skórą krzesła. Dopiero wyruszyli, więc Poldkowi udało się znaleźć wolne miejsce. Ubrany w biały fartuch kelner postawił przed nim kufel i skłonił się uprzejmie. W tej samej chwili przy stoliku w głębi wagonu rozległy się piski i śmiechy. Trzy modnie ubrane kobiety, z pewnością należące do wyższej sfery, jedna przez drugą wyglądały przez okno. Towarzyszący im mężczyzna w eleganckim jasnym garniturze przytrzymał firankę.

– Stało się tam coś, panie starszy? – zapytał zdumiony Poldek.

– Szanowny pan też łaskawie rzuci okiem, jakie wyniki osiąga nasza strzała – odparł kelner, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Co za niewiarygodna prędkość! – Poldkowi aż zakręciło się w głowie od umykających za oknem widoków.

– Sto kilometrów na godzinę! – objaśnił triumfalnie kelner z taką dumą, jakby sam osobiście wprowadził maszynę w ten szalony pęd.

– Niewiarygodne, jaki postęp się dokonał.

Poldek upił łyk zimnego piwa i odruchowo poklepał się po piersi, sprawdzając, czy portfel spoczywa bezpiecznie w wewnętrznej kieszeni marynarki. Po raz pierwszy w życiu miał przy sobie ogromną z jego punktu widzenia sumę pięciuset złotych, więc bał się, żeby ktoś go nie okradł. Bardzo zdziwiła go hojność ojca, bo kwotę tę podarował młodym na dowolne wydatki. Pobyt

w pensjonacie został wcześniej opłacony za pośrednictwem biura Orbisu.

Gdy Poldek wrócił do przedziału, Paulina wciąż spała. Głowa opadła jej na ramię matrony, lecz ta nie wyglądała na niezadowoloną. Spojrzała na niego z poczuciem dobrze spełnionej misji.

– Dziękuję uprzejmie szanownej pani. – Tym razem skłonił się, zanim wszedł do przedziału, żeby nie wykonywać dziwacznych wygibasów między pasażerami. Ci rozmawiali z ożywieniem, więc tym bardziej zdumiewało, że Paulina smacznie śpi w tym gwarze.

– Mówię szanownej pani, że w samym Helu jest co obejrzeć, a i plaże szerokie jak nigdzie – zachwalał starszy tęgi mężczyzna, żarliwie gestykulując. – Ta cała Jurata nijak się nie może równać z autentyzmem rybackiej wioski założonej na końcu cypla już wieki temu.

– Jednak raczy pan zauważyć, że takich atrakcji jak w Juracie w Helu pan nie uświadczysz – odparł siedzący naprzeciw niego elegancki mężczyzna w średnim wieku, ubrany w jasny prążkowany garnitur. Miał zaczesane na brylantynę włosy i duży złoty sygnet na palcu. Z daleka pachniał dużymi pieniędzmi. – Lato spędza w Juracie sam prezydent Mościcki.

– Właściwie to spędzał raz, wraz z tłumem propagandowych fotografów – wtrącił się Poldek. Od razu umilkł, zły na siebie, że zwrócił na siebie uwagę. – Przepraszam, nie przedstawiłem się dotąd – zreflektował się. – Państwo wybaczą, moje nazwisko Apoloniusz Malinowski.

W tej samej chwili dotarło do niego, że po raz pierwszy z własnej woli przedstawił się pełnym imieniem, przeciwko któremu zawsze się buntował. Tak daleko od rodzinnego domu, wśród elegancko ubranych ludzi, nagle zapragnął uchodzić za światowca, a przynajmniej dorosłego, obytego człowieka. Co nie przychodziło mu z łatwością. Od początku tej podróży wszystko było dla niego tak nowe, niepodobne do codzienności na warszawskim Solcu, że wciąż obawiał się popełnienia gafy. Spięty, podenerwowany, nawet nie bardzo się cieszył podróżą luksusowym ekspresem. Elitarne otoczenie sprawiało, że czuł się tu nie na miejscu. Pozazdrościł

Paulinie, że ta spała snem sprawiedliwego. Odruchowo najeżył się, oczekując połajanki, gdy współpasażer wyciągnął w jego kierunku palec.

– Ma pan krytyczny umysł, panie Apoloniuszu – pochwalił go niespodziewanie mężczyzna z sygnetem. – A to nieczęste u tak młodych ludzi. Nazywam się Tytus Bogucki, do usług szanownego pana.

– Bardzo mi miło – powtarzał grzecznie Poldek, gdy nowo poznany mężczyzna przedstawiał mu resztę pasażerów.

– Zatem, panie Apoloniuszu, co pan miał właściwie na myśli, mówiąc o propagandzie? – zapytał uprzejmie Bogucki.

– Nie mam nic do rządu i prezydenta, jeśli o to szanowny pan zapytuje. Za mało się na tym znam, żeby mądrze mówić na taki temat. Ale przyznaję, że nagłówki w prasie aż kipią od entuzjazmu na temat tego naszego polskiego „Palm Beach”, które ma przyćmić sławą Sopotz z tą całą niemiecką zabudową. Dlatego właśnie Juratę powinien opromieniać sam prezydent, a fotografie pojawiać w prasie. Właściwie tylko tyle miałem na myśli. – Poldek wzruszył ramionami.

– Słusznie pan zauważył. A był pan kiedy w Juracie?

– Pierwszy raz jedziemy – wyjaśnił Poldek, zachowując dla siebie informację, że w ogóle po raz pierwszy w życiu zobaczy morze.

– A więc i pan do Juraty – ucieszył się nie wiedzieć dlaczego Bogucki. – Zatem nie będę pana zanudzał opowieściami. Sam pan na własne oczy zobaczy, to się pan przekona.

– Ja tam nadal twierdzę, że Hel ciekawszy – włączył się do rozmowy tęgi pasażer. – I zdecydowanie tańszy – dodał, zerkając z ukosa na śpiącą Paulinę.

Poldek w pierwszej chwili pomyślał, że miała to być aluzja do tego, że kobiety trwonią mężowskie pieniądze, ale chodziło raczej o niedrogą, zwyczajną sukienkę Pauliny. Trochę zrobiło mu się głupio, że nie pomyślał o strojach na wyjazd dla żony, lecz przecież te, które zabrali, miały modny fason. Może nie przyleciały z Paryża ani nie kupiono ich w magazynie Hersego, lecz niczego im nie brakowało. Poldek nie zamierzał się wstydzić faktu, że jest rzemieślnikiem, ani pozować na człowieka z socjety. Tym niemniej

zrodziła się w nim chęć, żeby pomachać facetowi przed nosem plikiem posiadanych pieniędzy.

– Skoro już o Sopocie mowa – przerwała niezręczną ciszę starsza pani siedząca obok Pauliny – to czy kontrola celna w Gdańsku będzie bardzo drobiazgowa?

Nie wiedzieć czemu wszyscy spojrzeli pytająco na Boguckiego. Ten zaśmiał się cicho.

– Dziękuję za zaufanie, moi państwo, jednakże zwykle przemierzam tę trasę samochodem. Tym razem chciałem się na własnej skórze przekonać, o co tyle hałasu z tą naszą „Strzałą Bałtycką”. Niestety nie wiem, ile zajmie kontrola.

– Wcale nie zajmie – rozległ się zaspany głos Pauliny. – Prasa donosiła, że pociąg przejeżdża przez Wolne Miasto, nawet się w nim nie zatrzymując. Zatem nie ma kontroli celnej.

– To brzmi rozsądnie – zgodził się Bogucki. – Inaczej nigdy nie dostalibyśmy się na Półwysep Helski w tak krótkim czasie.

Rozmowa potoczyła się wkrótce na inne tematy, a Poldek zabrał żonę do wagonu restauracyjnego na obiad. Paulina, zwykle małomówna, rozgadała się jak nigdy. Ewidentnie była w dobrym humorze, lecz jakby nieco onieśmielona. Poldek doskonale ją rozumiał.

– Tu musi być potwornie drogo – zauważyła cicho, gdy kelner postawił przed nimi zakąski.

– Nie przejmuj się, stać nas – odparł krótko. – Wszystkie dania tutaj są pierwszorzędne – dodał, podsuwając jej talerzyk z wędlinami. – Choć pewnie nie tak smaczne jak kiełbasy, które wyrabia twój ojciec. – Poldek uśmiechnął się serdecznie, lecz zaraz uśmiech spłynął mu z twarzy, gdy zobaczył, że oczy żony zwięzają się w szparki.

– Może ciszej? – syknęła ze złością. – Nie każdy musi wiedzieć, że mam ojca masarza.

Poldek zamilkł. Nawet niespecjalnie zdziwiło go zachowanie Pauliny. Wiedział, że kocha ojca, jest dumna z jego zaradności, a już z pewnością go się nie wstydzi. Reakcja musiała wynikać z faktu, że czuła się bardzo niepewnie i nie na miejscu. Czyli dokładnie tak jak

on. Paradoksalnie ta myśl go pokrzepiła. Nie tkwił w tym sam. Kto wie? Może podróż rzeczywiście zbliży ich do siebie?

Po sutym obiedzie wrócili do przedziału. Rozluźniona kieliszkiem miętowego likieru Paulina żartowała, oczy jej błyszcząły i uśmiechała się szeroko do męża.

– Zwolniliśmy – poinformowała ich z przejęciem starsza pani. – Jak nic już wjeżdżamy do Gdańska.

Zgodnie z tym, co mówiła wcześniej Paulina, pociąg nie zatrzymał się na dworcu, a podróżni mogli jedynie przez okno obejrzeć reprezentacyjny budynek z czerwonej cegły i wysoką wieżę zegarową.

– Pięknie – pochwaliła starsza pani. – Ale jakoś tak obco.

– Nie zauważyliście państwo? – zaśmiał się cicho Bogucki. – Brak tu polskich flag. Trudno przeoczyć, kiedy u nas wieszają je wszędzie bez umiaru.

Rzeczywiście, na budynku powiewały czerwone flagi z dwoma białymi krzyżami i złotą koroną.

– Panu polskie flagi przeszkadzają? – zdziwił się korpulentny pasażer.

– W żadnym razie, szanowny panie! Jedynie to, że u nas żaden budynek się bez nich nie może obyć – odparł kpiarsko Tytus Bogucki.

Poldek pomyślał, że jest w tym trochę racji, ale i przesady. Wiedział jednak, co miał na myśli Bogucki. Im bardziej stawała się napięta sytuacja międzynarodowa, tym bardziej na każdym kroku rząd podkreślał znaczenie polskości i patriotyzmu. Było w tym działaniu coś histerycznego, każącego myśleć, że władze znacznie bardziej boją się wojny, niż byłyby skłonne to przyznać. On sam niepokoił się nieco wizją wybuchu konfliktu z Niemcami, lecz prasa od tak dawna nim straszyla, że ów niepokój spowszedniał, stając się niemal niezauważalną częścią życia. Mimo to prawie odetchnął z ulgą, gdy zobaczył biało-czerwone flagi na dworcu w Gdyni-Orłowie.

– Teraz to już z górki – powiedziała z uśmiechem starsza pani.

Wczesnym popołudniem pociąg wtoczył się na Półwysep Helski, a uwieszony okna Poldek po raz pierwszy w życiu zobaczył za

sosnami niebieskie wody otwartego morza.

– Zbliżamy się do Juraty – oświadczył tonem znawcy Bogucki, gdy znaczna część pasażerów opuściła pociąg w Jastarni. – Też bardzo ciekawe miejsce. Warto urządzić wycieczkę – dodał, zwracając się do Poldeka.

Stacja w Juracie przywodziła na myśl sielski budynek, z tą tylko różnicą, że stał pośród piasku. Jak się wkrótce okazało, piach był nieodłącznym elementem całej miejscowości. Ciągnął się wzdłuż torów, wcinał w sosnowy las, a nawet przesypywał na wydeptane ścieżki. W promieniach słońca miał odcień oślepiającej bieli.

– Ależ tu pięknie pachnie! – Paulina zaciągnęła się głęboko żywicznym powietrzem.

– Nic dziwnego. Z każdej strony otacza nas las. I oczywiście wydmy. W połączeniu z bałtycką bryzą klimat nadzwyczajnie wpływa na zdrowie – odparł Bogucki. – To właśnie cały urok Juraty. Spółka akcyjna odpowiedzialna za wybudowanie tu kurortu doskonale wiedziała, co robi. A do tego mieli niebywałe szczęście, że mogli rozpocząć na wolnym od starych zabudowań terenie. Dzięki temu wytyczone uliczki mają przemyślaną siatkę, a powstające budynki jeden w drugi są urokliwe – zachwalał.

Poldek jednym uchem słuchał towarzysza, a drugim łowił morski szum. Brzmiał kojąco, a on nie mógł się już doczekać, kiedy zobaczy Bałtyk na własne oczy. Chwycił walizki i udał się wraz z żoną w stronę wyjścia ze stacji.

– O! – ucieszył się Bogucki na widok eleganckiego czarnego mercedesa stojącego nieopodal. – Jest i mój kierowca.

– Są tu takie eleganckie dorożki samochodowe? – zdziwił się Poldek.

– Skądże – roześmiał się tamten. – Samochód należy do mnie. Kierowca wyjechał wczoraj z Warszawy z bagażami. Może podrzucić? Gdzie się państwo zatrzymają?

– W pensjonacie „Mrozik” – odparła Paulina.

– Zatem nici ze wspólnej przejażdżki, choć ogromnie żałuję – powiedział Bogucki. – Ów pensjonat znajduje się tuż obok stacji. – Wskazał kierunek dłonią. Rzeczywiście, dom znajdował się dosłownie kilka kroków dalej.

– Dziękujemy za wyjaśnienia – odparł Poldek. – Zatem gdzie pan się zatrzymał? – zapytał bardziej kurtuazyjnie niż z rzeczywistej ciekawości.

– Mam tu swoją willę – wyjaśnił z nonszalancją. – Też blisko. W Juracie nie ma dużych odległości. W końcu z dwóch stron ogranicza nas woda, a z pozostałych las. W każdym razie zmierzam na koniec miejscowości i dalej na wydmę. Życzę miłego pobytu. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. – Bogucki uchylił kapelusza, skłonił się lekko przed Pauliną, po czym odszedł w stronę samochodu.

– Przynajmniej wyjaśniło się, dlaczego podróżował bez bagażu – zachichotała Paulina.

Słońce świeciło, wiał lekki wiatr, nastroje obojgu dopisywały, a w kieszeni leżała bezpiecznie spora gotówka. Urlop zapowiadał się więcej niż pomyślnie. Pogwizdując wesoło, Poldek ujął mocniej rączki walizek i uśmiechnął się szeroko do żony.

ROZDZIAŁ 2

1938

Konrad Werner spoglądał na szachownicę pól i łąk rozciągającą się w dole. Samolot w wyraźny dla oka sposób obniżył już pułap. Niedługo wylądują w Warszawie. Aktora nie ekscytował powrót do kraju. Spędził tydzień w Paryżu, gdzie cieszył się pełną anonimowością, a to było dla niego coś zupełnie nowego. W Polsce, a szczególnie w Warszawie, praktycznie wszędzie ktoś go zaczepiał czy prosił o autograf. Ścisnął niezliczone dłonie mężczyzn, odwzajemniał uśmiechy kobiet i odpowiadał na te same do znudzenia pytania. Szczególnie na to, kiedy stanie na ślubnym kobiercu z Idą Wolińską. Rzecz w tym, że Konrad nie miał takiego zamiaru, jego partnerka filmowa tym bardziej. Ich rzekomy, nigdy niepotwierdzony romans natomiast doskonale sprzedawał się w prasie.

Owszem, przyjaźnili się, lecz to wszystko. Ona była w dyskretnym związku z pewnym żonatym pułkownikiem z pierwszych stron gazet, a on zakochał się w Michale Gutmanie, lekarzu ze Szpitala Starozakonnych na Czystem. Właśnie z nim spędził upojne chwile w Paryżu, gdzie ludzi znacznie mniej bulwersowały takie sprawy. Oczywiście, nadal należało zachowywać dyskrecję, lecz w wielkim, kipiącym energią, pełnym artystów mieście znacznie łatwiej było się trzymać z boku i nie rzucać w oczy.

Sielanka właśnie dobiegała końca. W Warszawie ich związek stanowił spore wyzwanie logistyczne. Obydwaj intensywnie pracowali, więc nie mieli dla siebie zbyt wiele czasu. Michał wciąż mieszkał z rodzicami i dziadkiem, a Konrad z młodszym bratem, dla którego był jedyną rodziną. Spotkania w hotelu ze względu na rozpoznawalność stanowiły ryzyko. Z kolei wynajęcie garsoniery na uboczu także prędzej czy później ściągnęłoby na nich ciekawskie spojrzenia. Skandal, jaki z pewnością by się rozpełtał, gdyby ich zdemaskowano, złamałby karierę lekarską Michała, a Konrad zapewne mógłby się pożegnać z wizerunkiem jednego z największych amantów Drugiej Rzeczypospolitej.

Zabierający na pokład aż dziesięciu pasażerów Lockheed L-10-A Electra podszedł do lądowania. Konrad uśmiechnął się pokrzepiająco do siedzącego pod sąsiednim oknem Michała. Ten przewrócił oczami i lekko wzruszył ramionami. Już wcześniej wyznał niechętnie, że boi się latania, lecz starał się robić dobrą minę do złej gry. Pokusa przekonania się na własnej skórze, co czuje człowiek, gdy oderwie się od ziemi, a ponad wszystko możliwość spędzenia wspólnych chwil w Paryżu, wygrywała z każdym strachem.

– Dziękuję za miłe towarzystwo – zwrócił się do niego Konrad. Jego głos brzmiał uprzejmie, lecz raczej obojętnie. Nikt z pasażerów nie domyślał się, że są dla siebie kimś więcej niż przypadkowo spotkanymi towarzyszami podróży.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł szarmancko Michał.

Przez ostatni rok stworzyli cały kod wyrażień, które inni odbierali jako zdawkową wymianę zdań, a dla nich stanowiły prywatny język kochanków. Ot choćby „kłaniam się” znaczyło tyle co „kocham”. Konrad był w kilku związkach, lecz nigdy sprawy nie toczyły się tak szybko i tak intensywnie. Najchętniej spędzałby z Michałem każdą chwilę, a ukrywanie uczuć przychodziło mu z ogromnym trudem. Nigdy wcześniej tak o tym nie myślał, ale od czasu, gdy wyznali sobie miłość, Konrad czuł się pokrzywdzonym obywatelem drugiej kategorii. Wiedział, że nie jest im pisane spacerowanie pod rękę czy rzucenie się sobie w ramiona na powitanie. Słowem, wszystko to, co zwykle spontanicznie robią zakochani ludzie.

Gdy wreszcie samolot stuknął kołami o pas lotniska i stanął, mężczyźni zaczęli się zbierać do wyjścia, zupełnie nie zwracając na siebie uwagi. Dopiero gdy wszyscy pasażerowie wyszli przed budynek dworca lotniczego, Michał odwrócił się w stronę Konrada.

– Kłaniam się! – powiedział, uchylając kapelusza i patrząc kochankowi prosto w oczy. Odwrócił się na pięcie i powędrował do taksówki, która miała go zawieźć w stronę Śródmieścia nowo otwartą aleją Żwirki i Wigury, nazwaną tak na cześć słynnych lotników.

– Ja ciebie też – powiedział cicho Konrad. Ścisnął z całych sił rączkę walizki i pomaszerował do swojej taksówki.

On jechał znacznie bliżej, do swojego mokotowskiego apartamentu w kolonii Szare Domy, który dzielił z przyrodnim bratem Ignacym. Na myśl o sprawiającym kłopoty wyrostku z piersi Konrada wyrwało się mimowolne westchnienie. Zdawał sobie sprawę, że ten prawie osiemnastoletni chłopak kompletnie wyrwał się spod jego władzy. Chadzał własnymi ścieżkami, zadawał się z obrzydliwymi typami spod ciemnej gwiazdy, których poglądy na wiele spraw niczym nie różniły się od tego, co głosił Hitler.

Konrada zawsze zastanawiało, jak chłoptasie ze zdelegalizowanego ONR-u łączą bez zgrzytu w mózgach poglądy rodem z nauk przywódcy Rzeszy z faktem, że ów przywódca w sposób oczywisty pogardza Polakami.

Pytać nie zamierzał. Z Ignacym nie rozmawiał także na inne tematy. Gdyby odważył się głębiej nad tym zastanowić, uznałby, że zwyczajnie bał się tego, co mógłby usłyszeć. Jego młodszy brat zawsze sprawiał kłopoty, lecz po śmierci obojga rodziców w dalekiej Abisynii kompletnie nie dało się dojść z nim do ładu. Rodzice skojarzyli się Konradowi od razu z dworkiem w Mokotowie, spuścizną jego i Ignasia. Już dawno powinien coś zrobić z rzeczami tragicznie zmarłych, a nieruchomości korzystnie sprzedać, zwłaszcza że ceny domów w dzielnicy ostatnio bardzo wzrosły. Nie miał jednak na to ani czasu, ani ochoty. Poza tym dworek służył jemu i Michałowi jako miejsce schadzek. Otoczony ogrodem z wysokimi drzewami, umożliwiał dyskretne spotkania.

– Niech się pan tu zatrzyma – polecił kierowcy, gdy dojechali do zbiegu Rakowieckiej i Wołoskiej.

Choć miał ciężką walizkę, postanowił zażyć krótkiego spaceru. Przechodząc obok okazałego budynku kolegium jezuitów, gdzie zaledwie dwa tygodnie wcześniej umieszczono w kaplicy relikwie Świętego Andrzeja Boboli, pomyślał, czy wciąż jeszcze wierzy w Boga. W dzieciństwie, a nawet we wczesnej młodości nie zadawał sobie takich pytań. Ot, wychował się w rodzinie głęboko religijnych arystokratów, więc stanowiło to dla niego rzecz oczywistą. Dopiero później zaczął sobie zadawać pytania, czy to możliwe, że miłosierny Bóg chciałby go, podobnie jak księża, skazać na ognie piekielne za

grzech sodomii. I wreszcie czy jest możliwe, żeby miłujący Bóg potępił ludzi za to, że się kochają?

Kryzys wiary pogłębił w Konradzie zeszłoroczny konflikt wawelski pomiędzy Kościołem a rządem, gdy arcybiskup Sapieha postanowił przenieść trumnę marszałka Piłsudskiego z krypty Świętego Leonarda. To wybitnie nie spodobało się władzom. W konsekwencji rozpętała się awantura, będąca w istocie próbą sił. Obydwie instytucje straciły wówczas w oczach Konrada bardzo wiele. A już wcześniej zaczął krytycznie myśleć o jednych i drugich, gdy rozpalali ogień świętego gniewu w umysłach młodych ludzi, w sposób ewidentny zagrzewając ich do boju w nieuchronnej wojnie z Niemcami. Najdobitniejszym przykładem udanego sączenia propagandy był właśnie Ignacy, któremu Bóg, honor i ojczyzna niemal nie schodziły z ust.

Konrad skręcił w Narbutta, z podziwem kiwając głową na widok budynków Politechniki, jakie wyrosły tu ostatnio. Warszawa piękniała i rozwijała się z każdym dniem. A to była akurat niewątpliwa zasługa obecnej władzy. Z filozoficznym przemyśleniem, że nic nigdy nie jest do końca dobre ani złe, aktor wszedł przez bramę na obrośnięte zielenią podwórze i wkrótce otworzył drzwi swojego trzypokojowego mieszkania na pierwszym piętrze.

W środku nikogo nie było. Dochodząca gosposia miała wolne, więc wyjechała na lato do rodziny na wieś, a Ignacy spędzał wakacje na obozie harcerskim. Odetchnąwszy z ulgą, mężczyzna porzucił walizkę w przedpokoju i rozrzucając po drodze ubrania, poszedł wprost do łazienki, gdzie oddał się długiej kąpieli.

Helena Małecka otarła pot z czoła. Opierała się o ścianę szpitalnego korytarza, myśląc, że już chyba nigdy nie odklei od pleców biało-różowego uniformu. Uczyła się pielęgniarstwa od roku i właśnie dzisiaj zaczynała się jej przerwa letnia. Nie mogła doczekać się spokojnego miesiąca z ojcem w ich antykwariacie, a później wspólnego wyjazdu do rodziny w Sopocie. Ojciec nieco się niepokoił nastrojami panującymi w Wolnym Mieście, ale i tak za nic nie odpuściłby wizyty w swoim ulubionym uzdrowisku,

pełnym malowniczych niemieckich pensjonatów i uroczych, spokojnych uliczek.

Do antykwariatu na Zgodzie dotarła godzinę później i z ulgą ściągnęła z siebie uniform. Lato dawało się mieszkańcom Warszawy we znaki, więc z tym większym rozmarzeniem pomyślała o sierpniowym wyjeździe. Lipiec przyjdzie jej spędzić w mieście, lecz przecież może się wybrać na którąś z nadwiślańskich plaż. Gdy tylko o tym pomyślała, wróciły niechciane wspomnienia pamiętnego lata, które spędzała z przyjaciółmi właśnie nad Wisłą.

Któż by się spodziewał, że te chwile staną się tak ulotne? Jej romans z Poldkiem miał przecież trwać do grobowej deski, a tymczasem on od ponad roku był mężem innej i dokładnie tyle czasu Helena nie widziała go na oczy. Wielokrotnie kusilo ją, żeby przejść się na Solec i ukradkiem rozejrzeć się w okolicach rodzinnej kamienicy Poldka i Janka. Nigdy jednak nie zebrała się na odwagę, a zamiast tego zatraciła się w szpitalnej pracy.

Janek i Basia. Jakże Helenie brakowało ich towarzystwa! Szczególnie przyjaciółki, której szeptała do ucha największe tajemnice, gdy jeszcze nie tak dawno dzieliły pokój w mieszkanku za antykwariatem. Dobrze, że chociaż im dwojgu się poszczęściło. Choć czy akurat można tu mówić o szczęściu, Hela nie miała całkowitej pewności. Byli razem, to prawda. Ale jakim kosztem? Musieli wyjechać do obcego Poznania, wyrzec się wszystkiego, co znali i kochali w rodzinnym mieście. Janek zerwał kontakty z rodziną. Poza tym finansowo chyba nie wiodło im się najlepiej.

Helena wyjęła z szuflady biurka złożony na czworo list od Basi, który przyszedł ledwie tydzień temu, położyła się na łóżku i zaczęła go ponownie czytać.

Najdroższa Heleno!

Nawet nie wiesz, jak za Tobą tęsknię. Każdego dnia! Jesteśmy szczęśliwi z Jankiem, lecz oboje chcielibyśmy wrócić do Warszawy. Nieraz namawiałam go, żeby przełknął dumę i napisał do ojca, ale on nawet nie chce o tym słyszeć. Ojca nienawidzi, a o Poldku wyraża się z pogardą, mówiąc, że jest Judaszem, co sprzedał się za garść ojcowych srebrników, dla których wyrzekł się wszystkich, których kochał.

Ja mu do rozumu nie przemówię. Zaciął się i już. Inna rzecz, że rozumiem go świetnie i do dziś zachodzę w głowę, jak to możliwe, że Poldek wybrał taką drogę. Przecież gdybyście uciekli tak jak my, stary Malinowski w życiu by was nie znalazł, a tym samym nie doniósłby na Ciebie policji. Ale pewnie teraz już nie ma sensu tego roztrząsać. Zamiast płakać nad rozlanym mlekiem, lepiej zastanówmy się, czy zechciałabyś przyjechać do nas z wizytą? Lato się zaczęło, więc pewnie będziesz teraz miała więcej czasu.

U nas warunki bardzo skromne, ale zawsze jesteś tu mile widziana. Wynajmujemy pokój u jednej staruszki. Polecili ją Jankowi koledzy z fabryki. Stareńka jest już bardzo, niewiele kojarzy, ale zawsze miło się uśmiecha. No a przede wszystkim nie interesują jej nasze dokumenty i nie węszy, czy jesteśmy po ślubie. Jeszcze tylko rok i Janek będzie pełnoletni! A wtedy bez przeszkód będziemy mogli dać na zapowiedzi w tutejszej parafii. Mnie wprowadzie do dwudziestu jeden lat trochę brakuje, ale jak powiem, że jestem sierotą, to pewnie księdza przekonamy.

Poznań jest pięknym miastem. Mamy tu uroczy rynek, farę, której ogrom wręcz człowieka przytłacza, aż mu się zdaje, że jest małym, nieznaczącym pyłkiem. I są oczywiście te sławne koziołki na wieży ratusza. Kuchnia podobna do naszej, ludzie mili, tyle że na początku prawie nic nie rozumiałam, co do mnie mówią. Ni to po polsku, ni to po niemiecku. Inna rzecz, że Niemców tu dużo i ma się wrażenie, że są wrogo nastawieni. Ale co się dziwić, jak ten cały Hitler zwykłym ludziom tak w głowach miesza i jednych przeciw drugim nastawia.

Nic to, muszę kończyć, kochana, bo na drugą zmianę do swojej fabryki biegnę, a chcę ten list jeszcze po drodze na pocztę zanieść. Pisz do mnie koniecznie, co słychać w Warszawie, i koniecznie do nas przyjeźdź!

Twoja kochająca Basia

Hela odłożyła kartkę i pogrążyła się w myślach. Umiała czytać między wierszami. Jej przyjaciele żyli w niedostatku i pomimo wesołego tonu listu nie dało się tego ukryć. Sprawa była tym bardziej poważna, że przecież Basia dorastała w skrajnej nędzy, na nic się nigdy nie uskarżając, i nie miała wielkich potrzeb. Życie nauczyło ją radzenia sobie w skromnych warunkach, które zносиła ze stoickim

spokojem. Postanowiwszy sobie, że prześle Basi część swojego niewielkiego uposażenia ze szpitala, poszła na front sklepu, żeby zmienić ojca za ladą.

– Szanowny panie kolego! – Ordynator oddziału chirurgii szpitala na Czystem spojrział na Michała Gutmana z lekką przyganą. – A cóż pan właściwie robi w szpitalu? Nie dalej jak tydzień temu osobiście wysłałem pana na urlop.

– Dziewięć dni temu – sprostował Michał.

– Jak zwał, tak zwał, ale jeśli dobrze pamiętam, moje polecenie służbowe brzmiało, żeby się pan tu nie pokazywał przed końcem lipca, a jest dopiero piąty. Wakacje panu niemiłe, szanowny kolego?

– Miłe. Ledwie wczoraj wróciłem z Paryża, więc postanowiłem przyjść do pracy. W szpitalu zawsze jest coś do roboty. – Michał wzruszył lekko ramionami.

– Znacznie więcej będzie jesienią. I wtedy chcę mieć jednego z moich najlepszych ludzi wypoczętego i gotowego do wydajnej pracy. Dlatego raczy szanowny kolega zdjąć fartuch i wrócić na zasłużony urlop. I nie pokazywać mi się na oczy przez następne trzy tygodnie. – Słowa ordynatora brzmiały stanowczo, lecz on sam uśmiechał się do podwładnego łagodnie. Ogromnie cenił Michała i uważał go za najbardziej błyskotliwego chirurga w swoim zespole.

– Kiedy ja nie mam żadnych planów! – Michał spróbował ostatniego argumentu.

– A to już mnie, drogi panie doktorze, zupełnie nie interesuje. Jeśli o mnie chodzi, możesz pan się do końca lipca opalać na ławce w Ogrodzie Saskim. Widzę, że dobrze panu idzie, bo już słońce pana osmagało. Modnie! – pochwalił żartobliwie.

Ordynator miał rację w obydwu sprawach. Szał opalenizny opanował jakiś czas temu głównie panie z wyższych sfer, które prześcigały się w zdobywaniu brązowego odcienia skóry. Michałowi natomiast nieustająco towarzyszyły pełne zazdrości westchnienia, ponieważ przy jego ciemnej karnacji opalenizna pojawiała się ot tak, nawet nie musiał się smażyć na leżaku, jak zwykli to czynić letnicy.

Zastanawiając się, co pocznie z trzema tygodniami bezczynności, poszedł pieszo w stronę domu. Nie lubił do niego

wracać i ciągle nie potrafił pojąć, dlaczego jego matka, Sara, tak uporczywie odmawia wyprowadzki z mieszkania na Karmelickiej, dzielonego z wiecznie pijanym ojcem Michała i z antypatycznym dziadkiem Szmulem. Choć była od nich niezależna finansowo, a właściwie nawet na obu łożyła, nie chciała odejść od skłonnego do przemocy męża. Jedynie Michał utrzymywał damskiego boksera w ryzach, więc przez to stał się zakładnikiem własnej matki. Tak było do zeszłego miesiąca. Ojcu w końcu zaszkodziły lata pijaństwa i po leczeniu szpitalnym został wysłany do sanatorium, gdzie miał dochodzić do zdrowia.

W wieku trzydziestu lat po raz pierwszy w życiu Michał był zupełnie wolny. I kompletnie nie wiedział, co z tym zrobić. Szedł wolno dzielnicą północną, zamieszkaną głównie przez Żydów. Lubił jej klimat i lokalny koloryt, choć zupełnie do niego nie przystawał. Nie interesowały go żadne obrządki czy tradycje. Był zdeklarowanym ateistą i wszystkie religie uważał za nonsens. Między innymi o to wiecznie kłócił się z dziadkiem Szmulem, ortodoksyjnym Żydem i rabinem.

Nim dotarł do ulicy Karmelickiej, zorientował się, że przymusowy urlop komplikuje znacznie więcej spraw. Z domu nie miał możliwości kontaktu z Konradem, ponieważ tamten telefonował do szpitala. Kochanek nawet nie znał jego domowego adresu. Z mocnym postanowieniem, że na najbliższe trzy tygodnie przeniesie się do hotelu, Michał pchnął drzwi i wszedł na klatkę schodową. W mieszkaniu na szczęście nie było nikogo. Dziadek pewnie siedział w synagodze na Tłomackiem, a matka pilnowała swoich interesów na Kercelaku. Ucieszony takim obrotem spraw zostawił kartkę z wiadomością, że wyjeżdża, szybko zapakował dopiero co rozpakowaną walizkę i wyszedł z mieszkania, zamykając starannie drzwi na klucz.

Wsiadł do tramwaju i pojechał w stronę Śródmieścia. Upał doskwierał mu coraz mocniej, mimo to wyskoczył dziarsko na przystanku przy Marszałkowskiej. W drodze do znajdującego się na ulicy Chmielnej Hotelu Litewskiego o nie najlepszej reputacji, ale przyzwoitych cenach, postanowił zajrzeć do antykwariatu na Zgodzie. Nigdy tam nie bywał, z Heleną spotykał się niemal

codziennie w szpitalu, więc kompletnie nie rozumiał, skąd ten dziwny impuls. Po chwili zrozumiał, że popychają go do tego zupełnie egoistyczne pobudki. Na kartce pozostawionej w mieszkaniu na Karmelickiej nie napisał, dokąd się wybiera, bo wiedział, że matka może go nachodzić.

Z drugiej strony czuł się nieswojo, znikając bez śladu. Uznał, że powinien podać tymczasowy adres Helenie. Tak na wszelki wypadek. Zastał dziewczynę siedzącą za ladą, z głową pochyloną nad książką.

– Michał! – ucieszyła się na jego widok. – Co tu robisz? Znaczy, miło cię widzieć, ale jak żyję nie widziałam cię w antykwariacie.

Choć nie zabrzmiało to jako wyrzut, Michałowi zrobiło się głupio. Rzeczywiście, powinien odwiedzać czasem Helę i jej ojca. Czyżby nie różnił się aż tak bardzo od dziadka Szmula, który nie akceptował gojskiej części swojej rodziny?

– Przechodziłem, więc postanowiłem zajrzeć i się przywitać – odparł, czując, jak głupio brzmi wyjaśnienie.

– Ogromnie się cieszę, że cię widzę – odparła niezrażona Helena. – Już się zaczęłam martwić, gdzie też mój ulubiony kuzyn podziewał się przez ostatni tydzień.

– Ulubiony, bo jedyny – zażartował Michał.

– Nie taki jedyny, miły chłopcze, ale rad jestem cię widzieć w tych skromnych progach. – Od strony zaplecza rozległ się głos ojca Heleny. Antykwariusz wyszedł, rozkładając w gościnnym geście dłoń.

– Wuj Józef! Nic się wuj nie zmienił przez te lata – ucieszył się Michał.

– Natomiast ty, mój drogi, zmieniłeś się nie do poznania! Helena opowiadała mi sporo o tobie, ale wyobrażać sobie a widzieć na własne oczy to dwie osobne sprawy. – Józef Małecki uśmiechnął się do siostrzeńca swej przedwcześnie zmarłej żony i nie powstrzymał się od myśli, czy gdyby był Żydem, młodemu lekarzowi też tak długo zajęłaby decyzja przyjscia z wizytą.

Myśl była o tyle gorzka, że zaraz za nią posypały się lawiną niechciane wspomnienia. Od początku rodzina Anny nie akceptowała ich związku. Szmul był nawet łaskaw powiedzieć, że

prędeż go piekło pochłonie, niż jego noga postanie na zaślubinach córki z gojem. Nawet nie to tak doskwierało Józefowi jak fakt, że zatwardziały w swoich uprzedzeniach starzec nigdy nie zainteresował się swoją jedyną wnuczką. I to bolało. Podobnie jak ostracyzm reszty rodziny.

– Zostaniesz na obiedzie? – zaproponował z łagodnym uśmiechem.

– Dziękuję za zaproszenie. Chciałbym, wuju Józefie, ale ogromnie się spieszę – zełgał Michał. – Wpadłem jedynie się przywitać i powiedzieć dwa słowa Helenie.

– Zatem zostawię was. Pewnie macie do pogadania o szpitalu – odparł antykwariusz i wycofał się na zaplecze.

Michałowi zrobiło się głupio i obiecał sobie, że wkrótce ponownie odwiedzi antykwariat i zmusi do tego matkę. Co jak co, ale choć tyle mogłaby zrobić dla szwagra.

– Stało się coś? – Helena wytrąciła go z zamyślenia.

Zaprzeczył gorąco, choć nie zabrzmiało to zbyt szczerze. Poinformował kuzynkę, gdzie zamierza się zatrzymać, i pospiesznie się pożegnał.

WSPÓŁCZEŚNIE

Julia Malinowska wstała kompletnie rozbita. Nie spała całą noc, uporczywie myśląc o dzisiejszym spotkaniu, które trzymała w sekrecie przed rodzicami. Oni z pewnością nie pochwaliliby umawiania się z obcym człowiekiem z internetu, a poza tym nie miała zamiaru wtajemniczać ojca w postępy swoich badań nad odkrywaniem przeszłości rodziny.

Już samo to, że pradziadek Poldek miał przed wojną żonę, o której nikt nie wiedział, było dla ojca szokujące. Julia postanowiła mu oszczędzić wiedzy, że znalazła potomków Pauliny Melner. Wprawdzie nie w prostej linii, ale zawsze. Nie wiedzieć kiedy wciągnęła się w rozmowy z Filipem Melnerem, absolwentem historii na Uniwersytecie Warszawskim, a ich rozmowy stawały się coraz dłuższe. Julia czuła, że znalazła bratnią duszę, a że owa bratnia dusza reagowała na rodzinne tajemnice z jeszcze większym entuzjazmem niż ona, postanowili wreszcie się spotkać. Niby nic

dziwnego w epoce, gdy większość ludzi poznaje się przez sieć, ale Julia i tak ogromnie się denerwowała.

Umówili się na Mariensztacie, w cichej kawiarence w bocznej uliczce. Julii to pasowało. Znała doskonale ten rejon miasta, ponieważ część wykładów miała w pobliskim budynku uniwersyteckim niegdyś będącym łaźnią pani Teodozji Majewskiej.

Poranek był piękny. Błękitnego nieba nie zakłócała nawet pojedyncza chmurka, słońce grzało, lecz nieprzesadnie mocno, a na klombach uwijały się owady. Z koron drzew dobiegał śpiew ptaków, niezagłuszony miejskim hałasem. Julia zeszła po schodkach, zżymając się w duchu, że jak zwykle przyszła za wcześnie. Zawsze to robiła w obawie, że gdzieś się spóźni. Przez to przedłużało jej się czekanie, a w głowie pojawiała się niepokojąca myśl, że może osoba, z którą się umówiła, wcale nie przyjdzie, więc oczywiście zaczynała się denerwować. I tak źle, i tak niedobrze.

Ku jej zdziwieniu Filip już był na miejscu. Wyglądał dokładnie tak jak na fotografii profilowej, co było rzadkością. Ludzie mieli tendencję do używania filtrów, przyjmowania nienaturalnych póz, przez co idąc na spotkanie z kimś nigdy niewidzianym, zawsze zachodziła obawa, że się go nie rozpozna. Mężczyzna od razu odgadł, że to ona. Co nie sprawiło mu w gruncie rzeczy trudności. Przed niewielką kawiarenką stały raptem trzy stoliki, a oprócz niej na chodniku nie było żywego ducha. Filip miał długie, spięte z tyłu dredy, za dużą bluzę i szeroki uśmiech. Zdecydowanie nie wyglądał na historyka uczącego w prywatnej szkole. Właściwie sam wyglądał jak licealista.

– Julia? – zapytał, wstając zza stolika. – Oczywiście, że tak – sam odpowiedział sobie na pytanie. – Wybacz, że jestem przed czasem, ale zawsze się denerwuję...

– ...że się spóźnię – dokończyła za niego i uśmiechnęła się.

– W istocie – przyznał. – Czego się napijesz?

– Poproszę herbatę i wodę gazowaną. I oczywiście za siebie zapłacę – zastrzegła z góry.

– Jasne – skwitował krótko. – Przyznam, że to dość nieoczekiwany, ale i niesamowity zwrot akcji w moim życiu – przeszedł do sedna. – Zawsze myślałem, że wiem wszystko o mojej

rodzinie. Wydawało mi się, że jest zwyczajna, by nie powiedzieć nudna.

– Dokładnie to samo sądziłam o swojej – odparła. – W życiu nie wpadłabym na to, że zwykła praca zaliczeniowa okaże się taką petardą. A tu proszę: siedzimy i rozmawiamy o ślubie naszych krewnych sprzed kilkadziesiąt lat. Niesamowite.

– Mało powiedziane! Historia to mój konik, ale nie przypuszczałem, że w jej centrum znajdzie się znieścacka moja własna rodzina. Jak już przy tym jesteśmy, rozmawiałem z dziadkiem Bolkiem o Paulinie. Była siostrą jego matki, czyli mojej prababci Krysi. Niestety prababcia zmarła kilkanaście lat temu, słabo ją pamiętam. Jest pochowana na cmentarzu Bródnowskim. Dziadek wie niewiele. Według wspomnień jego matki Paulina nigdy nie była mężatką. Zmarła w czasie wojny, ale nikt dokładnie nie zna okoliczności. Babcia Krysia podobno ostatni raz widziała siostrę tuż przed wybuchem powstania warszawskiego. Później wszelki ślad po niej zaginął.

– Nie zachowały się żadne dokumenty? – zapytała Julia.

– To bardzo dziwne, ale niewiele i właściwie nic na temat Pauliny – wyjaśnił. – Moja rodzina od zawsze mieszkała w kamienicy przy Ząbkowskiej, więc wydawałoby się, że powinny się zachować papiery, może jakieś zdjęcia. Według dziadka musiały spłonąć w czasie wojny.

– Przecież powstanie praktycznie nie toczyło się na Pradze – zdziwiła się.

– To oczywiście prawda, ale zniszczenia nie powstawały tylko w czterdziestym czwartym. Istnieje w ludziach wyobrażenie wyniesione zapewne z kinematografii, że wojna w Warszawie to bombardowanie we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego, później ponad cztery lata bezwzględnej dominacji Niemców i terroru na ulicach, ale bez strat w budynkach, po czym nastąpiło powstanie warszawskie i okupant z zemsty zrównał stolicę z ziemią.

– A nie było tak? – Julia spojrzała ze zdumieniem.

– Było. Oczywiście, że tak. Ale to tylko część prawdy. Często zapomina się, że po zerwaniu sojuszu pomiędzy Niemcami

a Związkiem Radzieckim Warszawa stała się celem licznych nalotów ze strony Sowietów. Po roku czterdziestym drugim należy je liczyć w dziesiątkach. Oczywiście, główna siła skierowana była na lewobrzeżną część miasta, ale i Pradze się wówczas oberwało. A że późnym latem tego roku panowała ogromna susza, od zaproszonego ognia wypaliło się wiele kamienic.

– Także wasza na Ząbkowskiej? – zaciekawiała się dziewczyna.

– Z tego, co wiem, spłonęła część. Chociaż pierwsze pożary szalały już w kampanii wrześniowej i wtedy straciliśmy mnóstwo rodzinnych pamiątek. Dziadek wspominał, że gdzieś powinno być kilka zdjęć. Obiecał, że poszuka. – Filip zamyślił się na chwilę. – Jest coś jeszcze...

– Co takiego? – zapytała bez tchu.

– Dziadek, gdy mocniej go przycisnąłem, przyznał, że prababcia Krystyna pisała w czasie wojny pamiętnik, lecz nigdy go nie czytał. Dziwne, że wcześniej o nim nie wspominał, zważywszy na fakt, że jestem historykiem. Ale jak mawiają, szewc bez butów chodzi – roześmiał się gorzko. – Moja wina. Zamiast pasjonować się historią obcych ludzi, powinienem zająć się własną.

– Teraz nadarza się znakomita okazja – pocieszyła go Julia. – Bo rozumiem, że dziadek Bolek pożyczy ten pamiętnik? – zapytała z niepokojem w głosie.

– To nie jest takie proste – westchnął. – Dziadek już lata temu oddał dziennik Krystyny do muzeum. Zapewne leży gdzieś w archiwach.

– Czyli przepadło?

– Nie, skądże! Wystarczy złożyć podanie z odpowiednią prośbą i może uda się go przejrzeć.

– Zatem zrobmy tak – zapaliła się Julia.

– Już to zrobiłem. Gdy tylko uzyskam zgodę, co nie powinno być trudne, zbadamy dokument wspólnie.

Spotkanie przeciągnęło się do ponad trzech godzin. Filip okazał się miłym rozmówcą, a Julia ze zdumieniem przyznała, że już dawno tak swobodnie nie czuła się w niczym towarzystwie. Gdy szła pieszo Krakowskim Przedmieściem w stronę metra, jej serce żywiej biło.

Tajemnica ślubu sprzed wojny praktycznie cały czas zajmowała jej myśli. To, że obecnie ma współnika, dodatkowo ją nakręcało.

1938

Michał Gutman leżał na wznak w pokoju hotelowym. Nie był to przybytek najwyższej klasy, ale jemu to nie przeszkadzało. Nawet jęki pań lekkich obyczajów dobiegające zza ścian nie robiły na nim wrażenia. Już wcześniej zadzwonił z recepcji do Konrada, by zostawić mu wiadomość o miejscu swojego pobytu. Jeśli kochanka zdziwił taki obrót spraw, zupełnie nie dał tego po sobie poznać. Zamiast tego zaproponował spotkanie o ósmej wieczorem i wspólną kolację w Żywcu na rogu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich.

Michał całe dorosłe życie ukrywał swoje skłonności przed światem i samym sobą. Na pewnym etapie życia nawet próbował się przekonać do kobiet, lecz o ile bardzo lubił ich towarzystwo, zupełnie nie pociągały go fizycznie. Żeby mieć absolutną pewność, że tak jest w istocie, nawiązał kiedyś przelotny romans z jedną z koleżanek na studiach, a nawet skorzystał z usług prostytutki. W pierwszym przypadku wycofał się z relacji, gdy tylko się zorientował, że dziewczyna liczy na coś więcej, a przygoda z kobietą lekkich obyczajów spowodowała ogromny niesmak. I opryszczkę miejsc intymnych, co z kolei wywołało wstyd.

Zaniechał prób, godząc się z faktem, że związek z kobietą zwyczajnie nie jest mu pisany. Co nie znaczy, że chciał kiedykolwiek wiązać się z mężczyzną. Wychowanie wpoilo mu dostatecznie mocno, że coś takiego jest z moralnego punktu widzenia złe. A Michał chciał o sobie myśleć jak o porządnym człowieku.

Dość powiedzieć, że gdy ponad rok temu poznał Konrada, wciąż nigdy nie był z żadnym mężczyzną i nie miał takiego zamiaru. Miłość do kolegi Heleny spadła na niego jak grom z jasnego nieba. Czy to, że Konrad był znanym aktorem i amantem filmowym, ułatwiło sprawę? Z pewnością tak. Z początku Michał nie odczytał sygnałów. Częste wizyty Konrada w szpitalu tłumaczył sobie nadzwyczajną troską o ранego brata, lecz Ignacy wyszedł do domu, a Konrad wciąż się pojawiał. Zdobywał cierpliwie zaufanie Michała, by wreszcie uczynić ten pierwszy krok.

Po pierwszej miłosnej schadzce Michał spodziewał się, że aktor zniknie z jego życia równie szybko, jak się pojawił. Ot, zabawił się i popłynię w stronę swojego oświetlonego reflektorami świata. Lecz tak się nie stało. Romans przerodził się w związek, a zauroczenie w miłość. Obydwaj najchętniej zamieszkaliby razem i tworzyli nietypową, lecz szczerze się szanującą rodzinę, jednak doskonale wiedzieli, że to niemożliwe. Tak czy inaczej, chcieli spędzać ze sobą jak najwięcej czasu, najchętniej z dala od oceniających spojrzeń.

Za kwadrans ósma do pokoju wszedł Konrad. Obrzucił nieciekawe pomieszczenie uważnym spojrzeniem, lecz nie skomentował jego wystroju. Zamiast tego, nie zwracając sobie głowy zamykaniem drzwi, podszedł do Michała, który właśnie wiązał krawat, i wzięwszy go w ramiona, pocałował namiętnie.

– Jezu! – doleciał ich przerażony szept od strony wejścia. Odskoczyli od siebie gwałtownie. Michał czuł, jak serce ze strachu łomocze mu w piersi. – Przepraszam... Ja nie chciałam... – W drzwiach stała pobladła Helena i przyciskała dłoń do piersi. – Lepiej już pójdę – szepnęła.

– Heleno, poczekaj! – Konrad jako pierwszy odzyskał zdolność działania. – Poczekaj, pozwól wyjaśnić...

– Ja to załatwię – powiedział Michał i pobiegł za dziewczyną przez hotelowy korytarz.

Konrad poszedł za nimi, tym razem starannie zamykając za sobą drzwi. Był na siebie wściekły. Zawsze na pierwszym miejscu stawiał dyskrecję, a teraz nie dość, że naraził na szwank reputację Michała, to przestraszył Helenę, która wiele dla niego znaczyła.

– Helu, wróć do pokoju – prosił Michał, trzymając dziewczynę za rękę. Helena zerknęła niezdecydowana na drewniane schody, nie wiedząc, co ma zrobić.

– Mam inną propozycję. – Konrad podszedł bliżej z pojednawczo wyciągniętymi dłońmi. – Chodźmy wszyscy do knajpy i tam wypijemy parę kolejek do dobrej kolacji. Przyda nam się. Wszystkim – uściślił, patrząc wymownie na pobladłą Helenę.

Dziewczyna nie oponowała. Podczas gdy Konrad próbował ją zagadywać, Michał wrócił do pokoju, założył marynarkę i porwał kapelusz z wieszaka. Na różne sposoby wyobrażał sobie dzisiejszy

wieczór, ale w żadnym z wariantów nie występowała jego przestraszona kuzynka.

W milczeniu przeszli Chmielną aż do Marszałkowskiej i skręcili w lewo. Restauracja znajdowała się dokładnie na jej zbiegu z Alejami Jerozolimskimi. Fasadę kamienicy zdobiły niezwykle efektowne neony reklamowe.

– Usiądźmy na werandzie – zaproponował Konrad. – Chyba że macie ochotę na salę Szarą albo Gdańską? Jest tam całkiem udany fresk ukazujący bitwę pod Oliwą.

– Szczerze mówiąc, niezupełnie mam ochotę na podziwianie fresków – powiedział Michał. – Usiądźmy tam, gdzie jest najbardziej przewiewnie, bo wciąż nie da się żyć w tym upale.

Helena nie zabrała głosu. Patrzyła raz na kuzyna, raz na aktora, a z jej twarzy nie dało się niczego wyczytać.

– Zatem weranda – odparł Konrad. – Wprawdzie też jest zabudowana, ale przynajmniej pootwierano okna na przestrzał, więc będzie czym oddychać.

Zajęli nakryty białym obrusem stolik tuż przy oknie. Hela z westchnieniem ulgi opadła na wygodne, wyściełane krzesło z wysokim oparciem i bezwiednie bawiła się wykrochmaloną serwetą ustawioną na talerzyku do przekąsek.

Dania zamówili dość sprawnie. Konrad wymusił na Helenie, żeby zjadła cokolwiek, więc dziewczyna ostatecznie zdecydowała się na talerz zimnych przekąsek z wędlinami, sałatką majonezową i śledziem.

– Jest za gorąco, żebym przełknęła cokolwiek ciepłego – wymówiła się.

– Dla mnie to samo – poprosił Michał.

– Ja tu chciałem zamawiać francuskie wino – roześmiał się Konrad – ale do tego to pasuje tylko zmrożona połówka żytniówki Baczewskiego i duża karafka limoniady na popicie. – Kelner skłonił się uprzejmie i odszedł w stronę baru.

Przez dobry kwadrans rozmowa przy stole toczyła się wokół spraw neutralnych. Na stole stała butelka wódki i zimne przekąski. Konrad wyjątkowo skwapliwie polewał do kieliszków.

– Może zabrzmieć jak prowincjonalny szczur, ale tego mi brakowało w Paryżu – roześmiał się Michał, unosząc do ust kawałek śledzia.

– A sery? A te boskie wina? – zapytał z błyskiem w oku Konrad.

– Byłeś w Paryżu? – Helena wpatrywała się w kuzyna z zachwytem. – Moje ciche marzenie.

– Oby się spełniło – odparł Konrad. – Właściwie... Helu... Myśmy w tym Paryżu byli razem – wyjaśnił ze skruchą.

– To nie był pierwszy raz, prawda? – zapytała cicho.

– Mówisz o tej... sytuacji w Hotelu Litewskim?

Helena nie odezwała się. Zajęła się grzebaniem widelcem w sałatce.

– Nie, to nie był pierwszy raz – odparł Michał. – Widujemy się od roku. Rozumiem, że to dla ciebie szok, i bardzo przepraszam, że dowiedziałaś się w taki sposób. Że w ogóle się dowiedziałaś – doprecyzował.

– Planowaliście ukrywać to przede mną do końca świata? – Helena uśmiechnęła się i podparła brodę dłonią w wymownym geście człowieka, który oczekuje dalszych zwierzeń.

– Prawdę mówiąc, właśnie tak planowaliśmy – oświadczył Konrad, wzruszając ramionami. – Napijmy się lepiej.

Trzy kieliszki w zgodnym rytmie powędrowały do ust. Helena, nienawykła do picia alkoholu, wykrzywiła się komicznie i natychmiast upiła spory łyk lemoniady.

– Byłam zszokowana – oświadczyła. – Ale już mi przeszło. Myślicie, że nie wiem, że sodomia istnieje? Po prostu nie sądziłam, że dotyczy mojej rodziny. – Zerknęła na Michała. – I moich przyjaciół – dodała, patrząc wymownie na Konrada. – Ale przecież grzeczne panienki nie powinny o tym wiedzieć, prawda? – zapytała zaczepnym tonem.

– Teoretycznie nie powinny – odparł z wahaniem Michał.

– A co, powinny? – Niewinnie brzmiący głos Heli jak zwykle zwiastował rychły wybuch.

– Walczyć o swoje i nie przejmować się niesprawiedliwościami? – Konrad próbował zdetonować waleczny nastrój dziewczyny.

– Otóż to. Tylko dziwne, że muszę to tłumaczyć dwóm kawalerom, którzy choć mają jeszcze bardziej przegwizdane ode mnie, wciąż usiłują zgrywać mądrzejszych od biednej dziewczyny. – Helena przygwoździła chmurnym spojrzeniem kuzyna, który zmieszał się okrutnie i nie bardzo wiedząc, co ma zrobić z dłońmi, na wszelki wypadek przechylił kieliszek wódki.

Hela przejęła butelkę i nalawszy sobie solidną porcję alkoholu, natychmiast ją wypła.

– Heleno, nie powinnaś! – zaproponował Michał.

– Doprawdy? – roześmiała się. – Ale mówisz to jako mój starszy krewny, czy może jako mężczyzna, który jak zwykle najlepiej wie, czego potrzeba kobietom?

– Prawdę mówiąc, w tej chwili to obudził się we mnie lekarz, który wie, że nadmierne picie wódki prowadzi do zatrucia – mruknął Michał. – Ale w sumie co ja tam wiem – machnął lewą ręką, jednocześnie unosząc do ust prawą z kieliszkiem. – Lechajim!

– I jeszcze do tego Żyd! Mniejszość w mniejszości – roześmiał się Konrad i uściśnawszy dyskretnie pod stołem dłoń Michała, także wychylił jednym haustem wódkę. – Jesteście najlepszą kompanią na świecie – rozrzewnił się. – Zamówić drugą butelkę? – zaproponował.

– W żadnym razie! – zaprotestował Michał.

– Jak najbardziej! – odparła rozochociona Hela.

– Najgorsze, że jutro muszę wyjechać – wyznał smętnie Konrad.

– A dokąd? I tak bez nas? – Hela wyduła usta w podkówkę, udatnie naśladowując minę i głos Idy Wolińskiej. – To zupełnie mi się nie mieści w głowie!

– Do Juryaty obłaskawiać producentów filmowych. Zatem jedźcie ze mną! – oświadczył aktor, szczerząc zęby. – Zamiast pić wódkę, wsiądziemy zaraz w samochód i ruszamy w trasę.

– Mnie nic nie trzyma w Warszawie do końca lipca – zadeklarował zniechęcony Michał.

– Ja bez zgody ojca wolałabym nigdzie nie jechać – powiedziała rzeczowo Helena. – Zbyt mocno się boję o jego słabe serce, żeby go niepokoić.

– To wyśle mu się telegram – postanowił beztrósco Konrad.

– Na to się nie zgodzę, zbyt mocno szanuję wuja Józefa, żeby porywać jego córkę... – zaperzył się Michał.

– Ale ta córka ma wolną wolę, drogi kuzynie – wycedziła Helena.

– I ta wolna wola, frywolna jak nigdy wcześniej, mówi mi, że zakradnę się spakować walizkę, napiszę ojcu kartkę, że spotkam się z nim na koniec miesiąca w Sopocie, i możemy ruszać.

– Zuch-dziewczyna! – ucieszył się Konrad.

– Tak po prostu? – zdziwił się Michał.

– Tak po prostu – odparła twardo Helena. – Wszyscy jesteśmy dorośli. I możemy robić, co chcemy – dodała z naciskiem. – Poza tym stęskniłam się za morzem, a w Warszawie panuje niemiłosierny upał.

– Zatem ruszamy. – Konrad wezwał kelnera, uregulował rachunek i polecił zawołać przed wejście taksówkę. – Helu!

– Tak, Konradzie?

– Jesteś najszlachetniejszą ze znanych mi...

– ...kobiet? – dokończyła zaczepnie.

– Istot, Heleno. Istot ludzkich.

ROZDZIAŁ 3

1938

Poldek obudził się tuż po brzasku. Choć sądził, że zmiana klimatu pozwoli mu wreszcie przespać uczciwie choćby jedną noc, nadzieje okazały się płonne. Wyśliznął się ostrożnie z łóżka i jak zwykle podszedł do okna. Z piątego piętra swej kamienicy widział dość szeroką panoramę wiślańską, więc podświadomie czegoś takiego się spodziewał.

Tymczasem po otwarciu na oścież okna w pensjonacie ujrzał sosnowy zagajnik i w zasadzie nic więcej. Powietrze pachniało żywicą, a oddalony szum przypominał mu, że przyjechał nad morze. Błyskawicznie się ubrał i wyszedł przed budynek, nie zaszczyciwszy śpiącej żony choćby jednym spojrzeniem.

Poldek zdawał sobie sprawę, że Jurata jest niewielką miejscowością, a z obu jej stron faluje morze, ale i tak nie do końca wiedział, w którą stronę iść, by w końcu zobaczyć na własne oczy ów cud natury. Środek miejscowości wyznaczała aleja Międzymorze, dość schludny deptak urywający się przed wyniesioną wydumą od strony otwartego morza. Dalej były już jedynie zwały piasku i wydeptane w ostrych trawach ścieżki.

Tuż za wzniesieniem rozpościerała się niewyobrażalnie wielka niebieska panorama. Spektakl wody i nieba. Oszołomiony Poldek przysiadł na piasku i przez dobrą godzinę obserwował okolicę. Wiatr od morza smagał mu twarz, słońce odbijało się od białego piasku, oślepiając oczy, ale jemu nic nie przeszkadzało. Zanim na plażę dotarli pierwsi letnicy, Poldek zrzucił ubranie i z dzikim okrzykiem wbiegł do wody.

– Tak wygląda raj – szepnął do siebie, kładąc się na wodzie. – Mógłbym tu zostać na zawsze.

Prasa już od kilku dni rozpisywała się o rychłych żniwach, które zapowiadały się naprawdę świetnie.

Steyr 200 Konrada Wernera jechał szosą w stronę Wybrzeża, a bujne łąny zboża przesłaniały widoki. Widać było jedynie idealnie błękitne niebo bez pojedynczej chmurki.

Helena rozkoszowała się jazdą eleganckim samochodem. Na początku było jej nieco żal starego wiernego torpeda, które Konrad sprzedał, lecz nowa maszyna austriackiej firmy Steyr-Daimler-Puch miała znakomite parametry techniczne i prezentowała się doskonale. Kremową karoserię i brązowe nadkola wieńczył ciemnobrązowy dach. Teraz całkowicie złożony, żeby pasażerowie mogli jeszcze bardziej się cieszyć niespodziewaną przygodą.

– Zupełnie nie mogę uwierzyć, że zdecydowaliśmy się na to szaleństwo – powiedziała Helena, poprawiając na nosie okulary przeciwsłoneczne. Siedziała rozparta na siedzeniu obok kierowcy.

– Żałujesz? – zapytał Konrad, skupiając się na prowadzeniu samochodu. – Chyba mam dość, jestem kompletnie wyczerpany.

Trudno było się dziwić. Prowadził pojazd przez całą krótką o tej porze roku noc, i to jeszcze po wypiciu kilku kieliszków wódki. Helena i Michał spali w tym czasie. Dziewczyna zerknęła na tylne siedzenie. Jej kuzyn w dalszym ciągu się nie obudził, wtulony we własne ramię.

– Zatrzymaj się – poleciła. – Ja poprowadzę, a ty koniecznie się prześpij. Jeszcze tego nam brakuje, żebyś zasnął za kierownicą. I nie! Nie żałuję. Czuję, że to jedna z najlepszych decyzji w moim życiu.

– Biorąc pod uwagę, że zarezerwowałem dla nas pokoje w Lido, muszę przyznać ci rację! – Konrad wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Oddam co do grosza. Zarabiam przecież...

– Wiem, Helu. Jednakże jeśli mielibyśmy się za coś rozliczać, to ja do końca świata bym się nie wypłacił.

– A za cóż? – zdziwiła się.

– Nie zrozum mnie źle. Ogromnie się cieszę, że tu jesteś, lecz dzięki tobie jest tu też Michał.

Helena obserwowała go, gdy okrążywszy pojazd, otworzył drzwi pasażera i spojrzał na nią z poważną miną. Nie musiał mówić niczego więcej. Doskonale rozumiała, że jej obecność odsuwa od nich podejrzenia.

– Po prostu zdrzemnij się, a ja poprowadzę – odparła.

Ku jej zdumieniu Konrad posłuchał bez szemrania. Po chwili spał. Helena wcisnęła gaz i aż westchnęła z lubości. Tęskniła za tym.

Omijając szerokim łukiem Wolne Miasto, ruszyła szosą pomiędzy polami w stronę Władysławowa, na Wybrzeżu zwanego wciąż Wielką Wsią. I nie miało znaczenia, że całkiem niedawno odtrąbiono w ogólnopolskiej prasie otwarcie portu we Władysławowie.

Droga była wyboista, ale przeważnie utwardzona. Nie dało się tego powiedzieć o szlaku wiodącym przez Półwysep Helski. Kolej od kilku ładnych lat miała tu błyszczące w słońcu niezawodne szyny, a tymczasem prywatne samochody grzęzły w piachu, wykorzystując wydeptane przez lokalnych rybaków ścieżki przez las. W niektórych miejscach przechodziły w rozjeżdżone drogi bezsensownie meandrujące pomiędzy sosnowymi zagajnikami.

– Powiadają, że te zakręty to tak celowo zrobione. Że jakby był jakiś ostrzał albo nalot, to będzie trudniej trafić w ruchomy cel. – Michał w końcu obudził się i podzielił ze współpasażerami wiedzę zaczerpniętą ze stołecznych gazet.

– Jasne – odparł Konrad i ziewnął szeroko.

– Wbrew pozorom nie brzmi tak głupio – skomentowała Hela, biorąc kolejny zakręt za Jastarnią-Borem. – I przypominam wam, że na samym końcu półwyspu jest baza wojskowa, a także port wojenny.

– Zobaczcie, widać zatokę! – zauważył z entuzjazmem Konrad.

– Witajcie w królestwie ryb! Po prostu nie wierzę, że jeszcze wczoraj jedliśmy śledzie na Marszałkowskiej! – westchnął z zachwytem Michał.

– Ja też – przyznała Hela i roześmiała się. Odchyliła głowę, wiatr potargał jej czarne włosy, a ona wcisnęła gaz i wydała z siebie entuzjastyczny okrzyk.

Juratę cechowały dwie rzeczy: brak biednych ludzi i nadmiar bezwstydnie bogatych. A poza tym wypielęgnowane uliczki, domki kempingowe o wysokim standardzie, modne wille i nieliczne kawiarnie z wyśrubowanymi cenami. Nad tym wszystkim górował hotel Lido, perła nowo powstałego nadmorskiego kurortu, który był oczkiem w głowie elity rządzącej. W Juracie bywał każdy, kto chciał się liczyć w towarzystwie.

Helena zaparkowała przed głównym wejściem do hotelu. Jego nowoczesna bryła zupełnie kojarzyła się z nadmorską

miejscowością, lecz bezsprzecznie z miejscem luksusowym, gdzie pachniało dużymi pieniędzmi. Boy hotelowy przejął ich bagaże i wpakował na wózek ze złościście połyskującym stelażem, a Hela aż zawstydziała się swojej ubogo wyglądającej walizki.

– Ależ tu pięknie – szepnęła, gdy weszli do środka. Posadzka foyer błyszczała, a za ladą recepcyjną stał elegancko ubrany konsjerż. – Czy to Jadwiga Smosarska tam koło okna? – Helena aż wybałuszyła oczy na widok słynnej aktorki siedzącej w fotelu nieopodal donicy z palmą. – Nie wiedziałam, że tu przyjeżdżają sławni aktorzy – palnęła. – Znaczy, ty też jesteś sławny, Konradzie, ale tak jakoś inaczej. Bo ciebie znam, więc wydajesz się prawdziwy, a ona to tak jakby duch, który zszedł z ekranu w kinie... Chyba plotę straszne bzdury – zreflektowała się w końcu.

Konrad roześmiał się tak serdecznie, że musiał otrzeć wierzchem dłoni łzy.

– Heleno, jesteś po prostu niemożliwa. Przecież Jadzia to zwyczajna, bardzo miła dziewczyna – powiedział w końcu. – Co to będzie, jak zobaczysz premiera albo prezydenta?

– Prezydent nie staje w hotelu. Ma prywatne lokum. Przynajmniej tak pisali w gazetach – powiedział Michał. – Poza tym chyba nie spędza w tym roku lata w Juracie.

– On może nie, ale premier Walery Sławek bywa często – odparł Konrad. – Mają też swoją willę w Juracie państwo Beckowie. Żona ministra podobno bardzo lubi tu przyjeżdżać z dziećmi. To są tylko ludzie – zwrócił się do Heleny. – Zapoznam cię z Jadzią, jeśli chcesz.

– To może później. Taka jestem nieświeża po podróży – wymówiła się.

– Czyżbyś tchórzyła, moja droga? – droczył się Konrad. – Ale nic to. Jeszcze poznasz mnóstwo ciekawych ludzi. Zaiste barwnych letników przyjmuje Jurata. A teraz zameldujmy się i faktycznie odświeżmy nieco.

Dostali trzy osobne pokoje. Dwa sąsiadujące ze sobą i trzeci w głębi korytarza.

– Ja wezmę ten na końcu – szybko zadecydowała Helena, wyjmując z dłoni Konrada klucz z ciężką drewnianą przywieszką. –

Mam lekki sen, a tak nikt nie będzie mi chodził pod drzwiami.

Wiedziała, że Michał i Konrad chcą być najbliżej siebie jak się da. Rozumiała ich. Z drugiej strony panicznie się bała, że gdy będzie z nimi sąsiadować, usłyszy coś, czego słyszeć nie miała najmniejszej ochoty. Wprawdzie przyjęła do wiadomości fakt, że ci dwaj są parą, jednak musiało jeszcze upłynąć nieco czasu, zanim całkiem się z tym oswoi. Nie da się ot tak wyrzucić z głowy pewnych utartych schematów. Choćby nawet były tak krzywdzące dla ludzi o pewnych odmiennościach. Zastanawiając się intensywnie nad tym, jak by się czuła, gdyby musiała ukrywać swój związek i nie mogła okazywać miłości, poszła do pokoju. Towarzyszyły jej natarczywe i podstępne myśli o Poldku. Czy jest szczęśliwy w małżeństwie? Czy jeszcze czasem ją wspomina?

Ona, pomimo upływu czasu, nie potrafiła wyleczyć się całkowicie z młodzieńczego zauroczenia. Prawdą jest, że emocje, jakie towarzyszą pierwszej miłości, bywają wyjątkowo silne. Helena nie umiała zapomnieć ani iść dalej. Każdego mężczyznę bezwiednie porównywała do Poldka i każdy na jego tle wypadał blado.

Po wejściu do pokoju nieco otrząsnęła się z ponurych myśli. Pomieszczenie wyposażono we wszystkie wygody, a i wystrój był bez zarzutu. Helena postanowiła, że wykorzysta te niespodziewane wakacje najlepiej jak się da. Nie ma sensu topić się w smutkach, gdy na zewnątrz pachnie sosnowy las i kusząco szumi morze. Konrada znała na tyle dobrze, że można było się spodziewać szalonych i niezapomnianych chwil.

Helena przebrała się w kostium i przewiewną sukienkę, założyła kapelusz i wyszła na korytarz, gotowa do pierwszego w tym sezonie spotkania z Bałtykiem. Uwielbiała spędzać czas na plaży, czytając książki, ale tym razem nie wzięła żadnej, w zbyt dużym pośpiechu się pakowała. Postanowiwszy, że zapyta w recepcji, czy gdzieś można coś ciekawego wypożyczyć, skierowała się w stronę foyer, gdzie umówiła się z kompanami.

– Dlaczego nie chcesz iść na plażę? – Szczerze zdziwiony Poldek patrzył na Paulinę, która z kwaśną miną piła herbatę na werandzie pensjonatu. – Przecież po to przyjechaliśmy nad morze,

żeby sycić oczy jego widokiem, a nie siedzieć w ogrodzie. Przyznaję, jest bardzo miły, trawnik ma zadbane, a róże kwitną tu nadzwyczajnie, lecz to wszystko mamy choćby w Ogrodzie Saskim!

– Nie chcę siedzieć na słońcu – odparła Paulina. – Nie służy mi – ucięła dyskusję.

Poldek zacisnął zęby, żeby nie powiedzieć zbyt wiele. A aż się palił, żeby przypomnieć żonie, jak jeszcze niedawno bardzo lubiła wodę i ruch na świeżym powietrzu. Wioślarstwo i pływanie pasjonowały ją do tego stopnia, że chciała uprawiać sport wyczynowo.

– Cóż zatem chcesz robić? Może spacer po lesie? – zapytał z nadzieją.

– Myślę, że poczytam książkę. Nie mam specjalnie ochoty na spacer.

– A może kajaki? – kusił Poldek. – Nad zatoką jest wypożyczalnia. Świetnie wiosłujesz, możemy sobie urządzić rajd w stronę ptasiej wyspy.

– Nie mam ochoty – odparła krótko.

– Dobrze więc. Zatem ja pójdę. Żał mi siedzieć na werandzie, kiedy wokół takie cuda natury – poddał się.

– Rób, jak uważasz – odburknęła i ostentacyjnie zatopiła nos w książce.

Poldek wahał się chwilę. Z jednej strony chciał, żeby te wakacje zbliżyły ich do siebie, ale nie planował spędzić opłaconego ciężkimi pieniędzmi urlopu według dziwaczного kaprysu Pauliny. Kompletnie jej nie rozumiał i ogromnie dziwiły go zmiany, jakie w niej zaszły przez ostatni rok. Zadawał sobie pytanie, jak to możliwe, żeby pełna życia dziewczyna w tak krótkim czasie zmieniła się w wiecznie skwaszoną sekutnicę.

– Zatem zobaczymy się na kolacji – powiedział spokojnie i wyszedł z pensjonatu.

Szedł nad otwarte morze, zżymając się w duchu na idiotyczne myśli. Miał wyrzuty sumienia, że zostawił Paulinę i ot tak wybrał się na plażę. Tuż przed wejściem na wydmnę zrozumiał, że tak naprawdę ma wyrzuty sumienia, czując ulgę, iż pozbył się żony. A to niespecjalnie dobrze wróżyło ich pożyciu.

Wszystkie te niewesołe myśli pierzchły, gdy ujrzał nowoczesną fasadę Cafe Casino. Już wcześniej widział ten budynek, ale nie odważył się choćby podejść. Wielkie przeszklone okna, eleganckie wejście i ogromny drewniany parkiet zbudowany na plaży onieśmiały go. Wprawdzie miał pieniądze, co też ciągle wprawiało go w zdumienie, ale nadal czuł się w tym nadmorskim kurorcie jak ubogi krewny, przez niedopatrzenie elit wpuszczony na salony.

Wyminął nadmorski klub z zamiarem zaszycia się na pustej plaży. Onieśmienie okazało się silniejsze niż ciekawość.

– Poldek? Co za spotkanie! – rozległ się radosny głos za jego plecami. – To chyba mój szczęśliwy dzień, bo spotykam samych znajomych.

Odwrócił się i ze zdumieniem ujrzał Konrada Wenera. Stał z kieliszkiem szampana w dłoni. Wyglądał jak żywcem przeniesiony z filmowego planu. Lekka opalenizna doskonale harmonizowała z jasnymi, zaczesanymi na brylantynę włosami, a beżowy garnitur podkreślał nienaganną sylwetkę głównego amanta polskiego kina.

– Witaj, Konradzie – odparł ostrożnie Poldek.

– Chodź! Zabawa dopiero się zaczyna! – Konrad zdusił w wysokiej popielniczce papierosa. – Zaraz mają wybrać Miss Opalenizny, a potem zaczyna się dansing.

– Miałem zamiar przejść się po plaży i wrócić do pensjonatu – bronił się słabo Poldek.

– Jeszcze zdążysz! – roześmiał się aktor. – To zbyt niesamowite spotkanie, żebym ot tak przepuścił okazję. Chodź, chłopie. Swoją drogą, zupełnie nie pojmuję, że odpuściłeś role w filmach, które ci narailem.

– Wybacz – bąknął Poldek. – Jakoś się nie złożyło.

– Porozmawiamy o tym później! – Podpity Konrad otoczył ramieniem Poldka i poprowadził w stronę kasyna. – Jesteśmy w fajnym towarzystwie i leje się alkohol, przyjacielu. Polewa Szapiro, Jadźka Smosarska zamówiła przekąski, a Helena szykuje się do konkursu tanecznego.

– Helena? – zapytał bez tchu Poldek.

– Pamiętasz naszą Helę? – ucieszył się Konrad. – Uwielbiam tę dziewczynę. I jej kuzyna, doktora Michała Gutmana. Też się bawi

z nami.

– Wspaniale – odparł Malinowski. – Cóż za niespodziewany zbieg okoliczności!

– To Jurata, przyjacielu. Tu zjeżdżają się wszyscy. Chodź napić się szampana, dzisiaj ja stawiam!

Poldek w jednej chwili zrozumiał, że nie jest w stanie oprzeć się zaproszeniu. Paulina, ojciec i strach przed utratą plików banknotów były niczym w porównaniu z możliwością ponownego spotkania Heleny. Przeszedł za Konradem korytarz i nerwowym ruchem poprawił włosy w napotkanym lustrze.

Sala kasyna z niebotycznie wysokim sufitem odebrała Poldkowi mowę. Szedł za Konradem jak posłuszne cielę. Z gramofonu dobiegał głos Eugeniusza Bodo wyśpiewującego, że umówił się z dziewczyną na dziewiątą. Ten szlagier wszystkich stacji radiowych znał chyba każdy.

Towarzystwo bawiło się przy stoliku stojącym na drewnianym tarasie od strony morza. Można było stąd zejść wprost na plażę. Po bokach rosły sosenki, dodając miejscu uroku, a seledynowa w promieniach popołudniowego słońca woda dopełniała zachwycającego krajobrazu. Jednak Poldek nawet tego nie dostrzegał. Wbił spojrzenie w Helenę. Jeszcze go nie zauważyła. Siedziała bokiem do niego i zaśmiewała się z jakiegoś dowcipu opowiedzianego przez zabawiającego ją bruneta, zapewne swojego kuzyna. Odchyliła głowę, a czarne włosy rozsypały się na oparciu krzesła.

– Wrosłeś w podłogę? – zażartował Konrad, sprzedając mu lekkiego kuksańca w bok.

Poldek nie zareagował. Stał wpatrzony, gdy Helena jakby w zwolnionym tempie odwróciła głowę i spojrzała prosto na niego. W jednej chwili uśmiech spelzł z jej twarzy, a oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Zobaczcie, kogo spotkałem! – oświadczył Konrad, nieczuły na niezwykle napięcie, jakie pojawiło się między Poldkiem i Heleną.

Dziewczyna przymknęła na chwilę oczy, starając się opanować.

– Dzień dobry! – przywitał się uprzejmie Poldek, gdy Konrad przedstawiał go kolejnym osobom. Widok sławnych ludzi nie robił na

nim aż takiego wrażenia jak obecność Heleny. Nawet częściowo od niej odwrócony, gdy potrząsał dłonią reżysera Szapiro, czuł jej spojrzenie na plecach. Zebrał się w sobie i gdy wreszcie stanął przed nią, udało mu się zachować względny spokój, a nawet opanować drżenie głosu.

– Witaj, Heleno. Mam nadzieję, że spędzasz udany urlop – zagaił banalnie.

– Och, tak. Jurata jest cudowna. Nigdy wcześniej tu nie byłam, lecz z pewnością jeszcze wrócę – odpowiedziała.

Paradoksalnie rozmowa o rzeczach trywialnych sprawiła, że byli w stanie zachowywać się normalnie. Mimo to Helenie serce tłukło się w piersi, jakby chciało wyskoczyć. Z jej punktu widzenia całe to spotkanie było surrealistyczne. Od ponad roku nie wpadli na siebie w Warszawie, żeby teraz spotkać się na brzegu morza.

– Przyjechałeś z... sam? – Słowo „żona” jakoś nie chciało jej przejść przez gardło.

– Paulina została w pensjonacie – odparł. – Źle się poczuła i odpoczywa w ogrodzie.

– Och, bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że to nic poważnego – powiedziała, ponieważ właśnie coś takiego należało powiedzieć. Helenę niespecjalnie interesowało, co słyhać u jego małżonki. Właściwie była zła na siebie, że w ogóle zapytała.

– Myślę, że nic poważnego – odparł Poldek. – Gdzie się zatrzymaliście? Och, pewnie w Lido – dodał, zerkając wymownie na towarzystwo.

– Rzeczywiście – roześmiała się. – Tylko nie wiedziałam, że to aż tak oczywiste.

– Taki luksusowy, jak powiadają?

– Albo i bardziej. Przyznam, że czuję się w nim trochę nieswojo i jakby nie na miejscu – zniżyła głos.

– Kobiety takie jak ty są ozdobą każdego miejsca – palnął Poldek. Zmieszał się i zamilkł. Zrozumiał, że pomiędzy nimi jest tyle niedopowiedzeń i niezakończonych spraw, że właściwie wszystko, co powiedzą, może wybrzmieć dwuznacznie.

Na szczęście Konrad położył mu dłoń na ramieniu i zasypał pytaniami, czy będzie coś jadł i czego się napije. Impreza na tarasie

przeciągała się, a nastroje stawały się coraz swobodniejsze. Gdy zaszło słońce i zapalono nastrojowe lampki, Poldkowi już nieźle szumiało w głowie. Zagadywany przez jakąś aspirującą aktoreczkę nawet nie miał zbyt wielu okazji, żeby porozmawiać z Heleną. Zwłaszcza że zaczęły się wybory Miss Opalenizny, a zaraz potem dancing.

Orkiestra zagrała tango, a on zorientował się, że minęło już kilka godzin, odkąd wyszedł z pensjonatu. Spanikowany wstał od stolika i pożegnał się z towarzystwem.

– Odprowadzę cię do wyjścia – zaproponował Konrad i ruszył za Poldkiem.

– Dziękuję za ugoszczenie. Ale następnym razem ja stawiam – zadeklarował Malinowski.

– Będę zachwycony. – Aktor uśmiechnął się serdecznie. – Może zabierzesz się wraz z żoną jutro z nami na wycieczkę? Chcemy zwiedzić miasteczko Hel.

Poldek kompletnie nie miał na to ochoty, ale choć gorączkowo myślał, żadna wymówka nie przyszła mu do głowy. Nie umiał też odmówić sławnemu aktorowi.

– Bardzo chętnie – wyjąkał.

– Zatem załatwione. Podjedziemy pod twój pensjonat w południe. Wątpię, żebyśmy jutro wcześniej wstali, bo zabawa dopiero się rozkręca.

Zły na siebie, że nie udało mu się wymówić, Poldek ruszył aleją Międzymorze w stronę pensjonatu, lecz był tak podminowany, że postanowił jeszcze się przejść, zanim wróci do Pauliny. I przy okazji nieco otrzeźwieć.

Wszedł na drewniany pomost i zapatrzył się na wodę. Jeszcze widać było łunę po niedawnym zachodzie słońca. Powinien tu siedzieć z Pauliną, cementować ich związek, tyle że kompletnie nie miał na to ochoty. Niespodziewane spotkanie z Heleną otworzyło stare rany. Poldek pomyślał o bracie. Janek, choć młodszy, okazał się człowiekiem o niezłomnym charakterze. Tymczasem on był tchórzem. Nie miał za grosz odwagi, żeby stanąć przed ojcem i twardo zaprotestować przeciw małżeństwu z Pauliną. Ugiął się też

przed szantażem, że stary rzemieślnik złoży doniesienie na policję i Helena trafi do aresztu.

Problemy, które rok temu wydawały mu się nie do rozwikłania, teraz zdawały się zupełnie proste. Tyle tylko, że już było na to za późno.

Poldek wstał z ławki i rzuciwszy ostatnie spojrzenie na ciemniejący horyzont, poczłapał do pensjonatu. Ku jego uldze Paulina już spała. Leżała na łóżku szczelnie owinięta kołdrą. Choć w pokoju panowała duchota, okno było zamknięte na głucho. Poldek pożałował, że tak prędko wymówił się z towarzystwa. Paulinie godzina czy dwie nie zrobiłyby pewnie różnicy, a urazę i tak da mu odczuć już jutro.

Westchnąwszy ciężko, rozebrał się i położył najbliżej brzegu łóżka, jak tylko się dało. Pomyślał, że skoro czeka go ciężki poranek, to przynajmniej spróbuje się solidnie wyspać. Może chociaż ominie go kac po wypitym w nadmiarze szampanie.

Półwysep Helski od dawna był kością niezgody pomiędzy Polską a Niemcami. Szczególnie wioska rybacka nazywana przez jednych z kaszubskiego Helą i uporczywie poprawiana na Hel przez drugich. Choć od wieków inne miejscowości półwyspu utożsamiały się z wiarą katolicką i po części z Polską, Hela była w całości ewangelicka, zabudowana domkami z muru pruskiego i różniła się od reszty osad rybackich nawet obyczajowością.

To oczywiście zmieniło się po uzyskaniu przez Polskę półwyspu na mocy postanowień kongresu wiedeńskiego. Zaczęło się energiczne spolszczanie nazewnictwa, bez grama szacunku dla miejscowych obyczajów, języka i dumnych ludzi morza od wieków pielęgnujących swoją odrębność. Po raz kolejny w dziejach okazywało się, że wielka polityka ma za nic wrażliwość zwykłych ludzi. Nawet stara nazwa najbardziej okazałego pensjonatu w Helu, czyli Kurhausu Hela, zmieniła się na Dom Zdrojowy. A żeby nie było wątpliwości, dodano dopisek: hotel Polonia.

Samochód Konrada przemierzał piaszczystą drogę wijącą się pomiędzy sosnami, wzbijając za sobą tumany kurzu. Hela śmiała się w głos, trzymając kapelusz, żeby nie odfrunął. Siedziała obok

kierowcy i choć z całych sił próbowała skupić się wyłącznie na szalonej jeździe, całą sobą odbierała natarczywą obecność Poldka siedzącego tuż za nią. Na szczęście był sam. Paulina wymówiła się od wycieczki. Gdy podjechali pod pensjonat, wyszedł jedynie on, a jego żona wychyliła się z okna pokoju i zdawkowo pomachała im na pożegnanie.

Helena bardzo to zdziwiło. Oczywiście wiedziała, że jej były facytant nie pałał entuzjazmem do małżeństwa, ale przecież coś musiało tych dwoje połączyć, skoro jednak zdecydowali się na ślub. Ona sama z kolei kompletnie nie wiedziała, co ma o tym wszystkim sądzić. Po szampańskiej zabawie przespała niespokojnie kilka godzin, by wreszcie poddać się i zejść na śniadanie do hotelowej restauracji. O dziwo, Konrad i Michał już tam byli. Siedzieli na werandzie otoczonej sosnami, przy stoliku pod parasolem i pili kawę. Obydwaj wyglądali tak świeżo, jakby nie przebalowali połowy nocy.

– Jesteś, Helu! – ucieszył się Michał. Wstał i szarmancko odsunął wiklinowe krzesło dla kuzynki.

– Napijesz się kawy? – Konrad odczekał, aż dziewczyna się umości, i przyglądziwszy fałdę marynarki, usiadł obok niej.

– Raczej poproszę o herbatę – odparła.

– Tylko zjedz coś porządnego, bo zaraz po śniadaniu ruszamy na wycieczkę – zatroszczył się Michał.

– Nie tak zaraz – zaproponował Konrad. – Umówiłem się z Poldkiem, że podjedziemy po nich koło południa.

– Po nich? – Helena zmroziła go spojrzeniem. – Po coś ich zapraszał na wspólną eskapadę?

– A nie powinienem? – Konrad położył uszy po sobie. – Przecież zawsze go lubiłaś.

– Z naciskiem na czas przeszły, drogi przyjacielu.

– Przepraszam, nie wiedziałem – wyznał ze skruchą.

– Przecież to dość niezręczne. – Michał stanął po stronie Heleny.

– Ja bym nie chciał sytuacji, w której w jednym samochodzie siedzi mój były ukochany i obecny.

– Przecież już kilka razy przeproszałem za tego aktora drugoplanowego, który wczoraj się do nas dosiadł – zniecierpliwił się

Konrad. – Skąd mogłem wiedzieć, że przyjedzie do Juraty i po wódce zacznie być zbyt, hmm... przyjacielski.

– Och, nie o tobie i tym groteskowym fircyku teraz mowa, tylko o Helenie – sapnął ze złością Michał. – Inna rzecz, że to ty zaprosiłeś Poldka wczoraj do naszego stolika.

– Groteskowym fircyku. Dobrze sobie – odparł Konrad, skupiając się na pełnych zazdrości aluzjach Michała. – Czyli chcesz przez to powiedzieć, że mam fatalny gust?

Helena upiła łyk mocnej herbaty. Wymiana zdań kojarzyła jej się z kłótnią wieloletnich małżonków. Być może w innych okolicznościach wydałoby jej się to fascynujące, ale obecnie myślała tylko o tym, że tuż po śniadaniu stanie oko w oko z Pauliną. To było znacznie gorsze od wczorajszego spotkania z Poldkiem.

– Nie kłóćcie się jak przekupki z Kercelaka – ofuknęła ich. – I na przyszłość prosiłabym, żeby uzgadniać ze mną zapraszanie moich byłych znajomych na wspólne wycieczki. A poza tym zgadzam się z Michałem. Ten drugorzędny aktor to beztalencie i efekciarz – dodała słodki głosem, patrząc wyzywająco na Konrada, który w odpowiedzi tylko się roześmiał.

Spięta do granic możliwości, czekała na konfrontację z Pauliną, gdy samochód podjechał pod pensjonat. W pewnym sensie nawet była zawiedziona, że żona Poldka wykręciła się ze wspólnej wycieczki. Helena pomyślała, że gdyby miała to już za sobą, to przestałaby o tym obsesyjnie myśleć.

Tymczasem samochód Konrada dojechał do helskich rogatek i niezatrzymywany dotarł do miasteczka. Poldka urzekła główna droga wiodąca pomiędzy przytulonymi do siebie jasnymi domkami, jakże inna od wszystkiego, co dotychczas zobaczył w Juracie.

– Co chcecie najpierw robić? – Konrad zwołnił.

– A jakie mamy możliwości? – zapytał Michał.

– Zwiedzanie portu rybackiego, spacer po lesie i wspinaczka na latarnię morską. Widoki są pierwszorzędne. Będiesz mógł wypróbować nowy aparat – odpowiedział.

Michał był niezwykle dumny ze swojego aparatu Leica kupionego specjalnie przed wyjazdem do Paryża. Dzięki spontanicznemu wyjazdowi nad morze ponownie był w użyciu. Zrobił wiele zdjęć

Helenie i Konradowi i już nie mógł się doczekać, kiedy wywoła film. Obydwoje stanowili wdzięczne obiekty do pozowania na tle przepięknych nadmorskich krajobrazów. Perspektywa uchwycenia okolicy z wysokości mocno go ekscytowała.

– Zatem na latarnię! – Helena jako pierwsza wyskoczyła z samochodu, gdy ten zatrzymał się nieopodal malowniczego pensjonatu. Z wydmy poprzerastanej gdzieniegdzie trawami rozpościerał się widok na zatokę, która ledwie kilometr dalej łączyła się z otwartym morzem, przez co woda była tu bardziej niespokojna i głębsza niż w Juracie.

– To właśnie osławiony Kurhaus. – Konrad wskazał pamiętający poprzedni wiek jasny drewniany budynek z wieżyczkami. Przywodził na myśl angielskie nadmorskie pensjonaty albo niemieckie uzdrowiska nadbałtyckie. – Przyjeżdżali tu niegdyś sławni ludzie. Ot, choćby Stefan Żeromski.

– Może coś tu tworzył? – zaciekała się Hela.

– Niewykluczone.

Choć do latarni szło się w kompletnie inną stronę, dziewczyna nalegała, żeby zeszli na plażę obok pensjonatu. Od strony zatoki budynek prezentował się jeszcze osobliwiej: jego skrajna wieżyczka ze strzelistą kopułą miała okna w kształcie rombów. Całości dopełniała zadaszona weranda restauracji. Na plaży stały wiklinowe kosze, a tuż obok znajdowało się wejście na drewniane moło.

– Mam wrażenie, jakbyśmy cofnęli się do minionych czasów i zaraz miała zobaczyć damy w rozłożystych sukniach i słomkowych kapelusikach z epoki wiktoriańskiej – szepnęła Helena, opierając dłonie o balustradę.

– Wiesz, że czarne wstążki, które je zdobiły, weszły do mody właśnie po śmierci królowej Wiktorii? Wiem, bo dawno temu opowiadała mi o tym babka.

Helena prawie podskoczyła, słysząc głos Poldka tuż za swoimi plecami. Reakcja była idiotyczna, bo przecież chwilę temu wysiedli z jednego samochodu. Tyle że podczas jazdy chłopak nie odezwał się do niej bezpośrednio ani razu.

– Nie wiedziałam o tym – przyznała, próbując wziąć się w garść.

– To znaczy kojarzę z obrazów i rycin, że zarówno męskie, jak

i damskie kapelusze zdobiły owe wstążki, ale myślałam, że to po prostu jakaś moda i tyle.

– Myślę, że później tylko moda, ale na początku znak żałoby. Pięknie tutaj, prawda? – Poldek zmienił temat. – Zupełnie inaczej niż w Juracie. Właściwie nie wiem, co podoba mi się bardziej. Tutejszy stary klimat czy tamta nowoczesność. Lubię naszą Warszawę, ale teraz wcale za nią nie tęsknię – roześmiał się.

– I ja nie tęsknię. Posmak tej przygody jest tym silniejszy, że decyzję o wyjeździe podjęliśmy w minutę. – Helena streściła pokrótce, jak do niego doszło. Poldek słuchał w skupieniu.

Do Heleny dotarło, że chłopak wykorzystuje sytuację, by się na nią gapić. Lustrował najpierw jej oczy, potem usta. Poczowała, że wbrew jej woli ogarnia ją pożądanie. Nic się nie zmieniło. Choć minął ponad rok, a on stał się żonatym mężczyzną, pragnęła go równie mocno jak wtedy. Spojrzała na niego poważnie i dotarło do niej, że on o tym wie. Bojąc się głośniej odetchnąć, stała jak sparaliżowana.

– Pięknie tu, ale jeśli mamy iść do latarni, lepiej się pospieszmy – ponaglił Michał, sprawiając, że dziwne napięcie pomiędzy Helą i Poldkiem momentalnie się ulotniło.

– Tak ci spieszno, żeby zdjęcia robić? Nie bój się, krajobrazów nikt ci nie wyfotografuje. Coś tam zostanie i dla ciebie – droczył się z nim Konrad.

– Ja też chętnie zobaczę latarnię – poparła go dziewczyna.

Zanim jednak poszli w stronę latarni, Helena uparła się, żeby zajrzeć do sklepiku z nadmorskimi pamiątkami. Z niemal dziecięcym zachwytem oglądała nawleczone na rzemienie bursztyny i ozdoby z muszelek. Kupiła kilka pocztówek, a gdy tuż przy wejściu zobaczyła słomiane kapelusze, do złudzenia podobne do tych, o których rozmawiali z Poldkiem na molo, uparła się, żeby kupić po jednym dla każdego.

– I jak ci się oprzeć, dziewczyno? – roześmiał się Konrad. Powstrzymał ją gestem przed wyjęciem z torebki portfela i sam zapłacił za zabawne nakrycia głowy. – Poldkowi wyjątkowo w nim do twarzy – zauważył, mrużąc zabawnie oczy.

– Jakby na moją głowę pasowany – zażartował chłopak. – Ale wolałbym sam zapłacić – zaprotestował.

– Zafundujesz kolejkę zimnego piwa i będziemy kwita – powiedział Konrad, ucinając dyskusję.

Półwysep Helski na samym końcu był bardzo szeroki, więc zanim dotarli do domu latarnika, szli ponad pół godziny wydeptaną ścieżką przez sosnowy las. Poldek trzymał się Konrada i nie próbował już zagadywać do Heleny. A ona już nie wiedziała, czy ją to cieszy, czy wręcz przeciwnie. Gdy wspinali się stromymi schodami na szczyt latarni, Poldek szedł jako pierwszy. Tuż za nim Helena, a za nią Konrad, który oświadczył, że chce ją asekurować.

– Nie jestem wiotkim kwiatuszkiem – zaprotestowała.

– Ale buty na obcasie założyłaś – zauważył trzeźwo Michał, wychylając się zza pleców aktora.

Na samej górze schodki stały się jeszcze bardziej strome, a stopnie jeszcze wyższe. Poldek, stanąwszy na szczycie, odwrócił się do Heleny i podał jej dłoń. Dziewczyna ponownie poczuła falę gorąca, która nie miała nic wspólnego z forsowną wspinaczką. Mogła się zarzekać, udawać, że to nieprawda, ale wiedziała, że serca nie oszuka. Z roztargnieniem oglądała widoki, a w jej sercu dojrzewiała decyzja, by przerwać te szalone wakacje i wrócić do Warszawy pierwszym pociągiem. Wszystko będzie lepsze od torturowania własnego serca.

– Chodźmy na obiad do Kurhausu – zaproponował Konrad, gdy wracali w stronę przystani rybackiej.

– Zgłodniałem – przyznał Michał.

Helena i Poldek zdecydowanie nie mieli nic przeciwko temu. Gdy doszli nad zatokę, rybacy właśnie wrócili z popołudniowego połowu. Nad łodziami kołowały ze skrzekiem stada rybitw.

– To chyba nasz szczęśliwy dzień – zauważył z niekłamana radością Poldek. – Zobaczcie, niosą pełną skrzynkę do pensjonatu.

Smażone flądry podane z chlebem i przystawkami smakowały wybornie. Panowie raczyli się do tego zimnym piwem, a Helena piła niespiesznie chłodne białe wino. Siedzieli na zadaszanej werandzie z widokiem na zatokę. Nieopodal na piasku mały chłopiec w marynarskim ubranku bawił się z białym pudlem. Rzucił mu patyki, pies szczekał i podskakiwał w miejscu, jakby próbował powiedzieć, że nie bardzo wie, czego się od niego oczekuje.

Chłopczyk biegł więc sam po patyk i przynosił uszczęśliwionemu psu. Zdawało się, że obydwaj doskonale się bawią.

– I kto tu kogo tresuje, ja się pytam? – roześmiał się Michał.

– Mądrzejszy głupszego – zażartował Poldek.

– Wypijmy za to! – Konrad uniósł kufel w stronę Heli i pozostałych.

Dziewczyna ze zdumieniem obserwowała, jak trzej ważni dla niej mężczyźni doskonale się ze sobą dogadują. I nie wiedziała, co ma o tym myśleć.

Do Juraty wrócili w doskonałych humorach. Jedyne Helena siedziała w milczeniu, jakby przygaszona. Gdy odstawili Poldka pod pensjonat, westchnęła ciężko. Odczekała, aż samochód odjedzie z piskiem opon w stronę hotelu Lido, po czym spojrzała natarczywie na Konrada.

– Nigdy więcej nie chcę widzieć tego człowieka na oczy – oświadczyła stanowczo. – Jutro wracam pociągiem do Warszawy i nawet nie chcę słuchać żadnego protestu.

– Heleno, co się stało? – wyjąkał ze zdumieniem Konrad. – Michał, powiedz coś!

– A co ja mam powiedzieć?

– Dobrze pytanie, Konradzie – wtrąciła Hela. – Cóż takiego Michał mógłby mi powiedzieć? Jakie słowa sprawią, że przestanę się czuć jak na torturach w obecności Poldka?

– Ty go wciąż kochasz – zrozumiał Konrad. – Heleno, przepraszam, nie miałem pojęcia. Minęło przecież trochę czasu i...

– I co? Uznałeś, że wiesz lepiej, czego mi potrzeba, tak?

– Nie. Po prostu zupełnie nie pomyślałem – wyznał skruszony. – Wybacz mi.

Pod hotel podjechali w kompletnym milczeniu. Dziewczyna, nie oglądając się na kompanów, pomaszerowała do swojego pokoju. Usiadłszy na łóżku, zatopiła twarz w dłoniach i zaczęła rozdzierająco płakać. Przez cały ten rok nie uroniła jednej łzy i trzymała emocje na wodzy. Teraz tama pękła.

Paulina ponownie spędzała czas na werandzie z książką w ręku. Poldek podszedł do żony i uniósł jej dłoń do ust. Więcej w tym było

mechanicznego działania niż pieszczoty, lecz wiedział, że takie gesty sprawiają jej przyjemność. A on czuł potworne wyrzuty sumienia, że ją zostawił na prawie cały dzień i na dokładkę nie poświęcił jej nawet jednej myśli, obsesyjnie pragnąc Heleny.

– Jak się czujesz? – zapytał z niekłamaną troską. Choć jej nie kochał, nadal przecież życzył dobrze i naprawdę interesował go jej stan zdrowia.

– Już lepiej – uśmiechnęła się. – Jak się udała wycieczka?

– Hel jest prześliczną osadą rybacką. Szkoda, że nie pojechałaś, bo pewnie by ci się podobało.

– Nie pojechałam, bo nie lubię jazdy samochodem. Zawsze mi potem niedobrze i w głowie się kręci od prędkości. Spędziłam miły dzień tutaj.

– A może pójdziemy na spacer? – zaproponował. – Wieje lekki wiatr, nie jest już gorąco.

– Możemy – zgodziła się.

Ubrana w letnią sukienkę w niebieskie kwiaty, z modnym lokiem nad czołem wyglądała uroczo. Odzyskała też kolory, a jej oczy błyszcząły. Uśmiechnęła się do Poldka zachęcająco, więc ten wbrew sobie poczuł podniecenie. Paulina była ładną dziewczyną o smukłej figurze, więc trudno było się dziwić, że zdrowy, młody mężczyzna reagował na jej obecność.

Cóż z tego, kiedy po chwilach uniesień Poldek marzył tylko o tym, żeby uciec jak najdalej i nigdy nie wracać? Z jednej strony złościło go to, że jego własne ciało wygrywa z rozumem, a z drugiej, że ów rozum nie potrafi przyjąć do wiadomości, że jest skazany na tę kobietę do śmierci, więc lepiej by było, żeby wreszcie się z tym pogodził. Może wówczas bliskość między małżonkami stałaby się dla niego elementem życia, a nie absurdalnym wyrzutem sumienia. Choć był od roku żonaty, każde zbliżenie z Pauliną traktował jak zdradę Heleny. A tak nie dało się żyć na dłuższą metę.

ROZDZIAŁ 4

1938

W Juracie odczuwało się pewne napięcie. Choć sezon fajfów i dansingów trwał w drugiej połowie lipca w najlepsze, liczni politycy i pracownicy ministerialni wypoczywający z rodzinami w nadmorskim kurorcie zdradzali niepokój i nerwowość. Konrad doświadczył tego osobiście, gdy mijał się w wejściu do toalety z jakimś majorem. Choć nie musnął jego ramienia nawet materiałem swojej marynarki, ten poczerwieniał na twarzy i zaczął bredzić o zniewadze, honorze i urażonej godności.

Konrad jedynie wzruszył ramionami i poszedł opróżnić pęcherz. Doskonale jednak wiedział, że gdyby był mundurowym, ów poirytowany gbur mógłby go nawet wysłać przed sąd wojskowy. A tam nikt nie zawracał sobie głowy dociekaniem, kto ma rację. Elity, a szczególnie wojskowe, pozwalały sobie na wiele. Konrad mógł mieć to w nosie, bowiem po pierwsze był rozpoznawalnym aktorem, a po drugie należał do arystokracji. Ale spotkanie z szanownym majorem wiele mu uzmysłowiło.

Oczy ostatecznie otworzył mu przystojny aktor drugoplanowy, prywatnie będący kochankiem pewnego komandora marynarki wojennej. Konradowi przedstawiła go Ida Wolińska. Wojskowi co wieczór grali w karty w prywatnej willi, a ów aktor z Idą, będącą w dyskretnym związku z innym wojskowym, śmiertelnie się nudzili. Zmywali się więc po cichu do Cafe Casino i szaleli na popołudniowych dansingach w towarzystwie swoich scenicznych kolegów. Jednak sporo z prywatnych rozmów swoich partnerów słyszeli.

– Idzie wojna – ostrzegł kochanek komandora i wychylił duszkiem kieliszek szampana.

– Straszą od dawna – zbagatelizował Konrad. – Co wiesz?

– Słyszeliście o Sudetach?

– Znamy takie góry, jeśli o to pytasz – odpowiedział Michał.

– Każdy je zna – odparł aktor, zakładając pukiel czarnych włosów za ucho. – Ale już niedługo usłyszycie o nich znacznie więcej.

– Ale może mniej zagadek? – zaproponowała słodko Helena. Nie wyjechała z Juraty. Michał przekonał ją, że to nie ma najmniejszego sensu, skoro za niespełna dwa tygodnie ma się spotkać z ojcem w Sopocie.

– Daj mu mówić. On kocha takie dramatyczne wstępy! – roześmiała się Ida.

– To ja wam mówię, że Niemcy zaraz zaczną wojnę. W Sudetach właśnie. Hitler już gardłuje, że to ich tereny, a mniejszość niemiecka robi tam ogromny hałas. Czesi są bezradni.

– To i dobrze, może w końcu oddadzą nam Zaolzie – skwitowała Ida.

– Od dawna w prasie straszą, ale wojna jakoś nie wybucha. – Michał miał serdecznie dość tych jałowych rozmów. Był w rajku i chciał się w nim zatracić. Nie miał ochoty rozprawiać o polityce. Ona i tak toczyła się swoim torem, a on nie miał na nią najmniejszego wpływu. Właśnie dlatego uznał, że nie ma sensu zawczasu się przejmować. Choć doskonale rozumiał zagrożenia, wolał spędzić fantastyczne lato i przejmować się później. Jego romans z Konradem kwitł i to stanowiło dla niego kwintesencję życia.

– Gówno nam oddadzą – roześmiał się Konrad.

– Mimo wszystko żyjemy w państwie prawa... – wciął się Michał.

– A ty słyszałeś, co Hitler robi Żydom i pedziom? A już komunistom to w ogóle. – Ida zapaliła papierosa i wydmuchała chmurę dymu nad stolik zastawiony trunkami i świeczkami. Znad morza leniwie powiewał wiatr, wieczór zmienił się w noc, a bezchmurne niebo pokryły gwiazdy.

– Są wakacje – oznajmiła Hela – a wy robicie wszystko, żeby je zepsuć. – Zacisnęła pięści i po raz pierwszy od dawna pomyślała, że świat ludzi jest nienormalny. Otaczała ich zapierająca dech w piersiach natura, a oni nadal zajmowali się jedynie czarnowidztwem. – Hitler jest daleko, a tu trwa dansing.

– Nie tak daleko, jak by się wydawało – skomentowała ponuro Ida. – Ale masz rację, dziewczyno. Trzeba się bawić do końca. Ci na „Titanicu” wiedzieli o tym najlepiej.

– Wojna będzie jeszcze w tym roku, zobaczycie – skomentował złowieszczo kochanek komandora.

– Ja chyba mam dosyć na dzisiaj! – Helena wstała od stolika i pożegnała się z towarzystwem.

Nie czekając na Konrada i Michała, wyszła na deptak i korzystając z pełni księżyca, powędrowała na drewniane molo wcinające się w spokojne wody zatoki. Potrzebowała chwili samotności, żeby poukładać myśli. Tydzień temu, tuż po tym, jak poprzysięgła sobie, że nie chce nigdy więcej widzieć Poldka na oczy, wpadła na niego i Paulinę w mleczarni Milutkiej. Nie było możliwości, żeby się nie przywitać. Żona Poldka obrzuciła Helenę uważnym spojrzeniem, jednak Helena nie dostrzegła w nim wrogości. Ile Paulina wiedziała na temat przedślubnej miłości swojego męża? Chyba nic, w każdym razie nie sprawiała wrażenia zakłopotanej spotkaniem.

– Paulino, pozwól, że przedstawię, panna Helena Małecka. Heleno, poznaj moją żonę, Paulinę – dokonał prezentacji Poldek. Unikał, jak mógł, patrzenia Helenie w oczy i wydawał się zakłopotany.

Helena była pod wrażeniem żony Poldka. Wyglądała jeszcze lepiej niż w dniu ślubu. Miała modną fryzurę i zgrabną sylwetkę. Nosiła się dość skromnie, ale należała do tego typu kobiet, które zdobią ubrania, a nie odwrotnie. Zamienili parę banalnych uwag na temat pogody, a Helena pożegnała się pod pretekstem, że umówiła się ze znajomymi na plaży.

Później jeszcze kilka razy widziała spacerujących małżonków, lecz tylko kłaniali się sobie z daleka. Konrad dotrzymał słowa. Nie szukał kontaktu z Poldkiem, nie proponował wspólnych wypraw samochodowych ani wesołych rautów. Helena zatracala się w zabawie, starając się nie myśleć o własnych uczuciach.

Teraz spacerowała po oświetlonym światłem księżyca pomoście. Wokół panował spokój, lecz po wodzie niosła się muzyka i stłumione śmiechy z pobliskich lokali. Helena zeszła z molo i usiadła na chłodnym piasku. Zapatrzyła się w rozgwieżdżone niebo i ponownie zatopiła w niewesołych myślach, choć bardzo chciała je od siebie odsunąć. Pozorny spokój, szampańska zabawa i bez troskie lato wkrótce się skończą. Trzeba będzie wrócić do Warszawy, do szarej

codzienności, do wiecznych konfliktów, o których donosiła prasa, oraz do widma wojny.

Z zamyślenia wyrwał ją odgłos kroków na piasku. Z charakterystycznym szuraniem ktoś zbliżał się w jej stronę. Odwróciła głowę i zobaczyła Poldka. Odruchowo rozejrzała się w poszukiwaniu Pauliny, lecz musiał wyjść na spacer sam. Hela tkwiła bez ruchu, licząc na to, że jej nie zauważy, lecz przecież siedziała samotnie na środku pustej plaży, oświetlonej księżycem i lampami pobliskich domów kempingowych. Nie było szans, żeby ją przeoczył.

– Helu, co za spotkanie – powiedział cicho. – Dobry wieczór.

– Serwus. Nie możesz spać? – odparła kpiarskim tonem.

– W istocie. Postanowiłem zaczerpnąć morskiego powietrza. Zresztą wieczór jeszcze młody, a Paulina chciała już się położyć – wyjaśnił.

Dotarło do niego, że niepotrzebnie wchodzi w intymne detale, więc natychmiast spiekł raka. Na szczęście Helena nie mogła tego zobaczyć w ciemnościach. Pomiął milczeniem fakt, że posprzeczał się z żoną tuż po kolacji w pensjonacie. Właściwie nawet nie do końca wiedział, o co poszło. Musiał niechcący powiedzieć coś, co ją ubodło, lecz zamiast wyjaśnić sprawę, wołała obrazić się śmiertelnie i położyć do łóżka, ostentacyjnie odwracając się do niego plecami. Atmosfera w niewielkim pokoju zrobiła się nie do zniesienia, więc Poldek po prostu wyszedł.

– Ja musiałam zaczerpnąć powietrza po zabawie w Cafe Casino – odparła.

– Już się skończyła?

– Skądże! Dopiero się rozkręca. Ale wyszłam, bo zupełnie nie mogłam dzisiaj ścierpieć znajomych Konrada. Szczególnie Idy. Straszyla rychłym nadejściem wojny, wchodziła w słowo rozmówcom, jakby zjadła wszystkie rozumy. To pewnie zabrzmiało głupio, ale gdy z nimi przebywam, czuję się jak uboga krewna. Tolerują mnie tylko dlatego, że przyjechałam z wielkim amantem Wernerem. – Helena nieco zawstydzona wylewności, więc umilkła. Poldek wykonał ruch, jakby chciał się przysiąc, ale w ostatniej chwili

się rozmyślił. – Miejsca nie zabraknie. Chyba że mam się nieco przesunąć? – zauważyła ironicznie, lecz uśmiechnęła się ciepło.

– Dziękuję, jakoś się zmieszczę – roześmiał się. Usiadł na piasku i podobnie jak Helena objął nogi ramionami. – Ja też czuję się tu nie na miejscu – wyznał po chwili milczenia. – Czeladnik z Solca na salonach politycznych! – parsknął śmiechem.

– Uczennica pielęgniarstwa pracująca w soboty w antykwariacie ojca w wielkim świecie bohemy aktorskiej. Do usług! – zawtórowała mu.

– Pasujesz do nich. Jesteś barwnym ptakiem. Pamiętasz tę książkę, którą twój ojciec pożyczył mi niedługo przed śmiercią mojej matki?

– *Więzień na Marsie* – przypomniała sobie.

– Właśnie. Bardzo mi wtedy pomogła. Mojej matce też.

– Pamiętam – szepnęła. – Dlaczego o niej wspominasz?

– Mojej matce dała wizję nieba znacznie lepszą niż ta w kościele, a mnie wskazówkę, żeby sięgać myślami poza to, co najbliższe. Ja prochu nie wymyślę, Heleno, ale ty jesteś mądra i powinnaś sięgać gwiazd. Jesteś więcej warta niż ta cała trupa aktorska przesiadująca na dansingach.

– Zabawne, właśnie jedna gwiazda spada – zauważyła Hela, zerkając na niebo.

– Wiesz, co było najistotniejsze w tej powieści, pomijając szaloną podróż na Marsa, która pewnie nigdy nie nastąpi?

– Nie wiem – odparła miękko.

– Mężczyzna zniknął. Jakby starło go z powierzchni ziemi. A jego ukochana nie chciała tego przyjąć do wiadomości. Poruszyła niebo i gwiazdy, żeby go odnaleźć. Romantycznie, prawda?

– A może gdyby nie szukał przygód, tylko po prostu trwał przy swojej wybrance, cała historia nie musiałaby się otrzeć o obce planety, tylko toczyła się w spokoju na naszej? – Helena wstała gwałtownie i podeszła do brzegu.

– Tego nie wiem – stropił się Poldek. Podeszedł i stanął obok niej.

– Życie jest zbyt krótkie na podobne rozmyślenia. – Hela roześmiała się gorzko i rzuciła kamyczek do łagodnie szemrzącej wody.

– Heleno!

– Co takiego?

– Żałuję – powiedział cicho Poldek.

– Czego żałujesz? – zapytała, choć doskonale wiedziała, co ma na myśli.

– Wszystkiego – odparł, podchodząc do niej.

Przez ostatni rok bardzo zmęźniał. Helena czuła się przy nim jak mała bezbronna dziewczynka. Zadarła głowę, by spojrzeć mu w oczy. Gdy ujął jej twarz w dłonie, nie zaprotestowała. Nie miała już siły walczyć z uczuciami. Od początku, gdy spotkali się w Juracie, wiedziała, że to się musi tak skończyć. Niech więc się stanie, a ona przynajmniej uwolni się od nieznośnego napięcia. Myśli pierzchły, gdy poczuła jego usta na swoich. Poddała się chwili. Przygarnął ją do siebie gwałtownym ruchem, lecz niemal natychmiast uklęknął i wtulił twarz w jej napięty brzuch.

– Nie powinienem – szepnął zachrypniętym głosem.

– Nie powinniśmy – odparła, czując, że uginają się pod nią nogi.

– Nie potrafię odejść – wyznał z rozpaczą. – Każ mi się wynosić!

– Kiedy nie umiem.

Poldek podniósł się i chwycił Helenę w ramiona. Gdzieś za jej plecami wybuchły fajerwerki, na krótko oświetlając zatokę. Z oddali dolatywały odgłosy kapeli jazzowej. Sceneria była absurdalnie romantyczna.

– Nie myślmy o jutrze. To, co będzie potem, zrozumiemy później.

– Heła zarzuciła ręce na szyję Poldka.

– Kocham cię. Jesteś jedyną miłością mojego życia – szepnął. – Rozwiódę się. Małżeństwo z Pauliną to był błąd. Ojciec wymógł na mnie...

– Ciii. – Helena położyła mu palec na ustach. – Zapomnijmy o tym dzisiaj.

– O czym?

– O wszystkim, co nas krępuje, czego się boimy. Po prostu bądźmy.

Helena ujęła Poldka za rękę i poprowadziła tonącą w mroku aleją Międzymorze w stronę plaży nad otwartym akwenem. Z lewej strony płonęły światła Cafe Casino, grała orkiestra, a wokół lokalu rozlegały się stłumione śmiechy par skrytych w młodej sośninie.

Spokojne morze szemrało miarowo, gdy Poldek pociągnął Helenę na piasek i otoczył ramionami. Gorączkowo badał jej ciało pod kwiecistą sukienką.

– Jesteś pewna? – zapytał.

– Jak niczego w życiu – odparła i pocałowała go.

Westchnęła i zatopiała dłonie we włosach kochanka. Zawsze była odpowiedzialna i zachowywała się tak, jak zachowywać się powinna, lecz ten jeden raz pragnęła się zatracić, skupić tylko na swoich doznaniach. Kiedyś, gdy spotykali się oficjalnie, Poldek nigdy nie odważył się na tak śmiałe pieszczoty. Teraz sprawiał wrażenie opętanego pożądaniem. Gorączkowo dotykał jej, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Posmak zakazanego owocu dodawał sprawie pikanterii.

Helena nie tak wyobrażała sobie swój pierwszy raz. Miało być uroczyście, wokół łóżka z koronkową pościelą powinny płonąć świece, a tymczasem leżała na piasku pod osłoną nocy. Jedynym wspólnym elementem marzeń i rzeczywistości był mężczyzna, z którym doświadczała bliskości. Nie żałowała decyzji. Nawet potem, gdy emocje nieco opadły, siedziała wtulona w Poldka, który głaskał ją po włosach.

– Rozwiodeę się – ponowił deklarację. – Nie wyobrażam sobie dalszego życia bez ciebie. Byłem idiotą. I jeśli tylko mnie przyjmiesz do swojego serca, zrobię wszystko, żeby na nie zasłużyć.

– Moje serce zawsze należało do ciebie – odparła. – Nie mówmy o tym, co będzie później. Nie myślmymy o tym teraz – poprosiła.

Jeśli ludzie czują się dobrze w swoim towarzystwie, nie potrzebują nawet słów. Helena i Poldek siedzieli w milczeniu, słuchając cichego szumu wyjątkowo spokojnego morza. Dansingi pomału się kończyły, jedynie pojedyncze wybuchy śmiechu zakłócały ciszę nadmorskiego kurortu. Krótka letnia noc powoli dobiegała końca. Nad wodą pojawił się wąski różowy pasek zwiastujący rychłe nadejście świtu. Gdzieś od zatoki dało się słyszeć wrzask pierwszych mew.

Helena wstała z piasku pierwsza, a Poldek poderwał się tuż po niej. Stanęli naprzeciwko siebie i spojrzeli sobie w oczy.

– Muszę wracać, będą się niepokoić – powiedziała spokojnie Helena.

– Wyjedziesz ze mną? – zapytał.

– Dokąd?

– Nie wiem. Jak najdalej.

Helena założyła potargane, pełne piasku pasmo włosów za ucho. Westchnęła ciężko, lecz nic nie odpowiedziała. Jej myśli pobiegły do ojca, ukochanego antykwariatu, pracy w szpitalu na Czystem i do Basi klepiącej biedę w dalekim Poznaniu. Nie bała się wyzwania, ale nie miała pewności, czy Poldek jest w stanie sprostać brutalnemu światu. Był marzycielem, zupełnie niepodobnym do praktycznego Janka. Nie migał się od pracy, ale nie miał pojęcia o nierównościach społecznych i warunkach, w jakich żyją robotnicy. Stary Malinowski wymagał bezwzględnego posłuszeństwa od domowników, lecz w zamian zapewniał im bezpieczne, syte życie. Helenie serce rwało się do Poldka, ale wątpiła, czy wychuchany, delikatny chłopak podoła twardym regułom życia. Nie chciała, żeby chwila szaleństwa doprowadziła ich do upadku.

– Spotkajmy się tu jutro po zapadnięciu nocy. Postanowimy, co dalej – odparła w końcu.

– Kocham cię, Heleno – powiedział Poldek, obejmując ją w talii. Złożył na jej ustach delikatny pocałunek.

– I ja cię kocham – szepnęła.

Trzymając się za ręce, przeszli obok Cafe Casino. Światła w lokalu już zgasły, jedynie na froncie paliła się lampa. Z głośnym szelestem miotły jeden z kelnerów zamiatał schodki z piasku.

Wejście do hotelu Lido wciąż było oświetlone i szeroko otwarte. Ze środka dobiegały śmiechy i gwar rozmów. Imprezowicze jeszcze nie mieli dosyć i po zamknięciu plażowego dansingu przenieśli się do restauracji hotelowej.

– Dobranoc. – Helena uśmiechnęła się do Poldka.

– Dobrej nocy – odparł i pocałował jej dłonie. – Jutro zmienimy nasze życie i w końcu będziemy szczęśliwi.

– Zatem do jutra – odparła.

Z trudem oderwała się od ukochanego i wbiegła po schodkach do recepcji. Już miała skręcić w stronę schodów wiodących na piętro,

gdzie mieścił się jej pokój, gdy przed nią wyrósł kompletnie pijany Konrad.

– Gdzie się podziewałaś? Szukaliśmy cię. Chodź na patio, zabawa ciągle trwa! – roześmiał się i okręcił wokół własnej osi, udatnie imitując baletowy piruet. – Jest cała śmietanka towarzyska, łącznie z ministrami, ministrowymi, a nawet widziałem jakieś szlachetnie urodzone ministerialne pieski! – roześmiał się. – Dasz wiarę, że Beckowa wydała przyjęcie dla swojego kundla, podała psie przysmaki i zaprosiła inne kundle znanych osobistości?

– Uwierzę we wszystko, w końcu to Jurata. – Helena wbrew sobie poczuła, że właściwie ma ochotę na dalsze balowanie, zmrożonego szampana i zabawę tak szaloną, jakby nie było jutra. I nie zamierzała roztrząsać faktu, że jutro właściwie już nadeszło, a hotelowe patio rozjaśnił brzask poranka.

Między kolejnymi kieliszkami szampana pomyślała, że życie jest sumą przypadków, więc może plan Poldka wcale nie był tak utopijny, jak wcześniej sądziła. Kochali się, jej ciało tęskniło za nim w każdej sekundzie, gdy nie mogli być razem. Właśnie tak wygląda miłość, a ona przecież zwycięża wszystko. Gdy patio oświetlił wschód słońca, a stoliki opustoszały, Helena poszła do pokoju i zasnęła kamiennym snem, marząc o nowym życiu z ukochanym.

Poldek wślizgnął się do pokoju w pensjonacie najciszej, jak umiał. Liczył, że Paulina będzie spała snem sprawiedliwego. Wewnątrz było oczywiście duszno, kotary zaciągnięte, a okna zamknięte na głucho. Otworzył na oścież jedno i podszedł do łóżka. To okazało się puste, więc momentalnie wzmógł czujność.

– Paulina? – rzucił cicho w eter.

Nie doczekał się odpowiedzi, więc wyszedł na korytarz. W łazience na jego końcu paliło się światło. Nieco uspokojony, że żona bierze kąpiel, postanowił wrócić do łóżka, gdy nagle usłyszał przeciągły jęk.

– Paulina? – ponowił, naciskając klamkę. Drzwi nie były zaryglowane, więc wpadł do środka bez pukania.

Jasne spocone włosy oklejały jej twarz, a dłonie obejmowały muszlę klozetową. Na widok Poldka poderwała się na równe nogi

i przytknęła do ust ściskaną w dłoni chusteczkę.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Zatrzymała się? Może lekarza trzeba?

– Nie trzeba – odparła, niezgrabnie okrywając się szlafrokiem. – Spodziewam się dziecka – oświadczyła. – Wcześniej nie chciałam mówić, żeby nie zapeszyć – dodała przeprasząc.

Poldek poczuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Podeszedł do żony i troskliwie otoczył ją ramieniem. Jego ciało wciąż przypominało o chwilach z Heleną, jeszcze czuł resztki tamtej euforii. Jęknął w duchu. W jego głowie kotłowały się idiotyczne myśli i nie potrafił zrozumieć, co czuje.

Zaprowadził Paulinę do łóżka i otulił kołdrą. Świat nagle zmienił perspektywę. Położył się obok żony i zakrył dłońmi twarz. Zdusił szloch, myśląc o tym, że niedługo będzie miał potomka, jakże oczekiwanego przez jego ojca. Paulina nagle stała się najważniejszą postacią rodu Malinowskich i Melnerów. A on mógł jedynie leżeć na swojej stronie łóżka i gryźć knykcie, próbując powstrzymać desperacki krzyk.

Kolejny dzień nadszedł bez pytania o zaproszenie. Poldek wstał i przede wszystkim zadbał o potrzeby żony.

– Źle się czuję – oświadczyła Paulina, gdy zajęli stolik podczas śniadania. – Myślę, że dla dziecka byłoby najlepiej, gdybyśmy wrócili do domu.

– Przecież nad morzem jest najlepsze powietrze – zaprotestował Poldek. Miał wyrzuty sumienia. Nie postarał się nawet o kwiaty dla Pauliny i wciąż obsesyjnie myślał o Helenie. Za kilka godzin miał się z nią spotkać na plaży. Pierwotny plan zakładał, że namówi ją na ucieczkę pierwszym możliwym pociągami.

– Wolę wrócić do domu – oświadczyła Paulina.

– Rozumiem – westchnął Poldek przeciągle. – Zadbam o wszystko.

Paulina uśmiechnęła się do niego z ufnością, a on dolał jej mleka do filiżanki z herbatą, bo kiedyś obito mu się o uszy, że to zdrowe dla kobiet spodziewających się dziecka.

Nagle przypomniało mu się typowe śniadanie w jadalni mieszkania na Solcu, gdy jeszcze żyły matka i Dorotka. Codziennie

te same rutynowe rozmowy, herbata z samowara, bowiem innej Apoloniusz Malinowski nie uznawał, i niekończące się tyrady ojca, łącznie z wiecznym strofowaniem synów za wszystko. Wspomnienia bolesne i zupełnie zbędne dla jego skołatanego głowy. Poldek poczuł, że nie chce powtarzać tego scenariusza z Pauliną.

– Zjesz rogalika? – zapytał uprzejmie, choć marzył wyłącznie o tym, żeby poderwać się i uciec jak najdalej. Porwać Helenę w ramiona, a potem wsiąść do pociągu jadącego w nieznaną i zostawić za sobą ojca, ciotkę Marię i Paulinę, która właściwie nie robiła niczego złego, więc trudno było jej cokolwiek zarzucić, lecz jego i tak odrzucało od niej na kilometr.

– Zjem – odparła z uśmiechem. – Teraz muszę jeść za dwoje. Zatelegrafujesz, że wracamy wcześniej?

– Zatelegrafuję. Zaraz po śniadaniu pójdę na stację kolejową i zmienię datę biletów na najbliższą, jaką się da.

– Już nie mogę się doczekać, kiedy przekażemy tę wspaniałą nowinę mojej matce i ciotce Marii! – Paulina była podekscytowana, na jej policzki wystąpił rumieniec, dzięki czemu wyglądała uroczo. Poldek musiał obiektywnie stwierdzić, że jego żonie ciąża służyła.

Zgodnie z obietnicą tuż po śniadaniu wyszedł z pensjonatu, lecz nie udał się na dworzec, tylko na plażę. Z każdym krokiem, jaki oddalał go od Pauliny, coraz bardziej intensywnie myślał o Helenie. Gdy usiadł na piasku i zapatrzył się w wodę, a okolicę wypełniły śmiechy dzieci, gwar rozmów dorosłych i gramofonowa muzyka z Cafe Casino, zrozumiał, że nie jest w stanie porzucić Pauliny. Decyzja została podjęta, choć serce ścisnęło mu się z rozpacz. Wiedział, że zamyka drogę do niepewnego szczęścia, wyśnionej mrzonki o ramionach kobiety, którą kochał. Jak nigdy wcześniej pojął, że każda decyzja determinuje kolejne, a jego miejsce jest przy Paulinie i dziecku. Niepojęte koleje losu ponownie połączyły go z Heleną, lecz teraz musiał myśleć dojrzałe. Jak przyszły ojciec rodziny.

Poldek podniósł się z piachu i otrzepał spodnie. Po raz ostatni spojrzął na falujące morze, zapamiętując widok, jakby czuł, że prędko go nie ujrzy. Pomaszerował na stację kolejową, nadał

telegram z wiadomością, że wkrótce wracają, i skierował się do pensjonatu, żeby pomóc żonie spakować bagaże.

– Nie wiem, może jestem niewrażliwa na to otoczenie, ale znacznie lepiej czuję się w domu – oświadczyła Paulina, wsiadając do pociągu. – Może i pięknie tutaj, lecz do najbliższego kościoła daleko i właściwie kupić tutaj cokolwiek to mordęga.

– Nie denerwuj się tylko. Wracamy do Warszawy i będziesz traktowana jak księżniczka – odparł drętwo Poldek.

Później milczał, wpatrując się w umykający za oknem nadmorski krajobraz. Każda mijana sosna zwiększała odległość, jaka dzieliła go od Heleny. I ich umówionego spotkania na plaży. Wiedział, że popełnia koszmarny błąd, lecz wpojone wychowanie nie pozwalało mu na nic innego.

Helena czuła podniecenie. Ostatnia noc spędzona z Poldkiem sprawiła, że odkryła całą gamę uczuć, o jakich wcześniej nie miała pojęcia. Dzień upłynął jej w towarzystwie znajomych Konrada, lecz zupełnie nie zwracała uwagi na otoczenie. Z obojętnością przywitała się z Magdaleną Samozwaniec i jej córką Teresą, chociaż Konrad szepnął jej do ucha, że to rodzina słynnego malarza Wojciecha Kossaka. Z równą obojętnością potraktowała drugą córkę malarza, Marię Pawlikowską-Jasnorzewską.

– Czy ty się źle czujesz? – zainteresował się Michał.

– Wszystko w porządku – odparła. Nie mogła się doczekać spotkania na plaży, choć była sceptyczna co do wspólnej ucieczki. Serce rwało jej się do tego szalonego planu, lecz mózg pracował zbyt sprawnie, żeby nie widzieć wad takiego rozwiązania.

Helena tuż po zmroku opuściła hotel Lido i pomaszzerowała na plażę. Myślała o tym cały dzień, a w jej głowie ścierały się dwa skrajne pragnienia. Na zmianę decydowała się na przyjęcie propozycji Poldka, by zaraz ją odrzucić jako niedorzeczną. Nie potrafiła podjąć decyzji, choć marzyła o życiu z ukochanym. Bez niego nic nie miało już sensu. Zwłaszcza po upojnych chwilach, jakie spędziła w jego ramionach. Poldek miał jednak rację, twierdząc, że w Warszawie nie ma dla nich przyszłości. Jego i Pauliny rodzina zwyczajnie nie dałaby im żyć. W grę wchodziła jedynie ucieczka.

Chociaż zapadła już noc, Poldka wciąż nie było. Na plaży zrobiło się chłodno, czuło się, że lipiec ma się ku końcowi. Żeby nieco się rozgrzać, Helena szczerzej owinęła się cienkim sweterkiem i zaczęła chodzić w kółko po piasku. Bała się oddalać od punktu spotkania, żeby nie pogubili się w ciemności. Noc była pochmurna, więc plaży nie oświetlał księżyc. Jedyne z oddali widać było światła dansingu. Godzinę później zrozumiała, że Poldek nie przyjdzie. Nie przyszedł też przez kolejne dwa wieczory, choć na niego czekała.

Chociaż obawiała się przypadkowego spotkania z Pauliną, której nie umiała spojrzeć w oczy, poszła do pensjonatu. W różanym ogrodzie od frontu ścinała dorodne czerwone kwiaty jakaś kobieta. Helena, nabrawszy pewności, że ma przed sobą właścicielkę domku, podeszła i przywitała się z uśmiechem.

– Czy zastałam państwa Malinowskich? – zapytała lekkim tonem.

– Przechodziłam i pomyślałam, że złożę uszanowanie panu Poldkowi i jego małżonce.

– To niestety nie będzie możliwe – odparła życzliwie kobieta. – Wyjechali trzy dni temu w dużym pośpiechu.

– Ach, rozumiem, dziękuję za wiadomość. – Helena poczuła, że uginają się pod nią nogi.

– Strasznie pani pobladła – zauważyła z troską kobieta. – Może pani usiądzie? Wody przyniosę?

– Dziękuję, nie trzeba. Nic mi nie jest. Pójdę już. Do widzenia – powiedziała cicho. Odeszła szybko, wiedząc, że nie na długo powstrzyma płacz. Gdy tylko wyszła na ulicę, łzy pociekły jej po policzkach.

Nie zwracała uwagi, dokąd idzie. Przeszła przez tory kolejowe, nawet nie rozglądając się, czy nie nadjeżdża pociąg, i brnąc w piasku, dotarła na wzniesioną wydmę. Dopiero tam usiadła, zatopiła twarz w dłoniach i zaczęła rozdzierająco płakać. Najbardziej bolała zdrada. Zgodnie z tym, co powiedziała właścicielka pensjonatu, Poldek wyjechał w pośpiechu następnego dnia po ich upojnej nocy. Czy od początku chciał ją tylko wykorzystać i porzucić? Czy to możliwe, że aż tak pomyliła się w uczuciach i zakochała w skończonym tchórzu i draniu?

Głęboko zawiedziona i zraniona, wróciła do hotelu przez sosnowy zagajnik. Nie zwracała uwagi na piękną pogodę, błękitne niebo i upojny zapach żywicy. Dla niej Jurata była już tylko miejscem, gdzie przeżyła największy zawód miłosny, jaki tylko mógł się jej przydarzyć. Marzyła jedynie o tym, by jak najszybciej stąd wyjechać i nigdy nie wracać. Plaża, dancing na plaży, a nawet sąsiednie miejscowości będą już zawsze przypominać o tym, co zrobił Poldek.

Ignacy Werner leżał na wznak na trawie, opierając głowę na zgiętym ramieniu. Przez ostatni rok z wiotkiego neurotycznego wyrostka zmienił się w krzepkiego, dobrze umięśnionego młodzieńca z jasnymi włosami, zaczesanymi na brylantynę. Atletyczną sylwetkę zawdzięczał nowym znajomym z Falangi i doświadczeniu z ulicznych bójek. Po jednym z pierwszych starć z bandą robotników z Mokotowa, z którego wyszedł z rozciętym łukiem brwiowym i solidnie posiniaczoną twarzą, uznał, że zwalczanie Żydów i komunistów wymaga tężyzny fizycznej. Właśnie z tej przyczyny, choć z natury był raczej leniwy, zapisał się do sekcji bokserskiej. Ćwiczył z poświęceniem i regularnie, zawsze starając się przegrywać walki. Dzięki temu nie stał się obiektem zainteresowania trenera, nie musiał brać udziału w zawodach, a kontuzje po pierwsze oswajały go z bólem, a po drugie stanowiły doskonałą przykrywkę. Gdy wracał z akcji ulicznej, zawsze mógł wmówić Konradowi, że dostał w zęby na treningu.

Na wspomnienie brata z jego ust wydarło się mimowolne westchnienie. Do Konrada żywił uczucia ambiwalentne. Kochał go desperacko, ponieważ był jego jedyną rodziną i opoką, podziwiał za sukcesy, jakie odnosił w aktorstwie, a jednocześnie żywił głęboką pogardę dla jego poglądów, które zdaniem Ignacego czyniły z brata zaślepiętego głupca. A już najbardziej na świecie nie pojmował, jak Konrad mógł się przyjaźnić z tyloma Żydami. Wiedział oczywiście, że przemysł filmowy w dużej mierze jest obsadzony przez tę nację, więc brat był od nich uzależniony. Ignacy po wielekroć tłumaczył, że to jest właśnie dowód na pogłębiający się problem żydowski, lecz Konrad w odpowiedzi jedynie się śmiał i ucinał temat pobłażliwym

stwierdzeniem, by wreszcie Ignacy zmądrzał i wyrósł z tych idiotyzmów.

Do tego jeszcze znajomość z tą całą Heleną! Ignacy nie znosił Żydówki z antykwariatu przede wszystkim dlatego, że ona i jej kuzyn doktorek uratowali mu życie. W odczuciu Ignacego wdzięczność wobec wrogów ojczyzny nie wchodziła w rachubę, a jego wybawcy z pewnością mieli jakiś ukryty cel, ot choćby pogwałcenie go. Nie dopuszczał do siebie oczywistej prawdy, że celowo fałszuje obraz, by nie powstała rysa w jego czarno-białym świecie.

Ignacy w gruncie rzeczy nie był durniem. Po prostu świat od zawsze nie dawał mu stabilnego podparcia, więc szukał równowagi w prostych, populistycznych schematach. Umysł zagubionego we własnych uczuciach wyrostka wyjątkowo sprawnie chłonie podobną narrację. Zwłaszcza takiego wyrostka, którego osierocili rodzice. Prawdę mówiąc, opuścili syna lata przed śmiercią, nie przejmując się nim zupełnie i podzucając do kolejnych szkolnych internatów.

Z niewesołych myśli wyrwało Ignacego wołanie o pomoc. Usiadł na trawie i gorączkowo łowił dźwięki. Te bez wątpienia dobiegały od strony jeziora i należały do dziewczyny. Ledwie zobaczył czubek jej głowy. Wokół zapanowała upiorna cisza. Ignacy pospiesznie zdjął buty i pobiegł najszybciej, jak umiał, w stronę tonącej. Wskoczył do jeziora, przepłynął kraulem kilkadziesiąt metrów, po czym natychmiast zanurkował. Rozglądał się na wszystkie strony, okręcając się wokół własnej osi. Mętna w tym miejscu woda nie ułatwiała zadania. Wreszcie niemal na wyciągnięcie ręki mignęło mu coś czerwonego. Zanurzył się głębiej i złapał dziewczynę za unoszący się w wodzie ciemny warkocz, ozdobiony jaskrawoczerwoną kokardą. Nie namyślając się wiele, pociągnął do góry i gdy dotarł na powierzchnię, wypchnął tonącą przed siebie, asekurując jednocześnie ramieniem. Nie ruszała się, co było niepokojące, lecz dawało mu swobodę ruchów. Nie musiał walczyć z paniką tonącego.

W rekordowym czasie dotarł na brzeg. Nie tracąc czasu na wyciąganie dziewczyny dalej, położył ją na płyciźnie i rozpoczął sztuczne oddychanie. Modląc się w duchu, żeby przeżyła,

energicznie wdmuchiwał powietrze w jej lodowate usta. Gdy wreszcie zachłysnęła się wodą, pomógł jej usiąść.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział uspokajająco, gdy spojrzała na niego nieprzytomnie. – Nie wstawaj jeszcze. – Dopiero teraz się jej przyjrzał. Miała nie więcej niż szesnaście lat, drobną posturę i ociekające wodą czarne włosy. Gdy wyschną, pewnie nabiorą ciemnobrązowego odcienia.

– Skurcz mnie chwycił – wyjaśniła. Usta wciąż miała sine i trzęsła się jak galareta.

– Co robiłaś tak daleko od swojej drużyny? I co cię podkusiło, żeby płynąć na drugi brzeg? – zapytał. Choć miała na sobie jedynie kostium kąpielowy, doskonale wiedział, że była harcerką i stacjonowała w obozie żeńskim po przeciwnej stronie jeziora.

– Założyłam się – przyznała niechętnie. – Wiem, to było niewybaczalnie lekkomyślne – dodała ze skruchą.

– Jeszcze jak lekkomyślne – mruknął pod nosem. – Możesz się podnieść? – zapytał, wyciągając do niej rękę. Ufnie wsunęła w nią swoją, a Ignacy zdziwił się, że jest taka drobna. Gdy w końcu nieco chwiejnie stanęła, zauważył, że sięga mu zaledwie do ramienia. – Nasz obóz jest nieopodal, tuż za zagajnikiem. Pójdziemy tam, a druh drużynowy zawoła pomoc.

– Jaką pomoc? Przecież wszystko jest dobrze – odparła, obejmując się ramionami.

– Przez jezioro nie dostaniemy się do obozu żeńskiego, a jakoś musisz wrócić – zauważył trzeźwo Ignacy.

– Pójdę brzegiem – oświadczyła.

– Boso po leśnej ściółce?

– Nie jest tak daleko. – Dziewczyna z każdą chwilą odzyskiwała kolory. Jej usta wciąż były blade, lecz policzki wyraźnie się zaróżowiły.

– Jezioro jest wąskie, lecz bardzo długie, jak to zwykle jeziora rynnowe. Pieszko nie wrócisz tam przez wiele godzin, a stopy poranisz na igliwiu.

– Nie pokażę się w męskim obozie ubrana jedynie w kostium – wyszeptała.

Ignacy ściągnął kompletnie przemoczoną koszulę i wyżał ją ostentacyjnie. Skłonił się przesadnie nisko przed dziewczyną i wręczył jej przyodziewek. Stał spokojnie z nagim, umięśnionym torsem, gdy ona pospiesznie owijała się mokrym materiałem.

– Dziękuję – powiedziała z ulgą.

– Pójdiesz sama po rżysku czy mam cię zanieść? – zapytał, wzuwając buty.

– Pójdę sama – zdecydowała.

Pisnęła z bólu, gdy tylko postawiła stopę na polu oddzielającym jezioro od obozu harcerskiego. Bez słowa podszedł do dziewczyny i wziął ją na rękę.

– Przepraszam. Nie chcę sprawiać kłopotu – powiedziała cicho, z wyraźnym zakłopotaniem.

– Nie mów tyle.

– Nie będę, wybacz.

– Miałaś nie mówić! – zirytował się Ignacy. Dziewczyna okazała się lżejsza, niż się spodziewał. W zasadzie wciąż była w jego oczach dzieckiem, jednak niepotrzebna bliskość robiła na nim wrażenie.

– Jak masz na imię? – zaciekawiała się. Niepomna jego połajankę spojrzała mu w oczy.

– Ignacy – odburknął. – Możesz wreszcie zamilknąć?

– Mogę – odparła pogodnie. – A jak dalej?

– Werner.

– Co za wspaniały zbieg okoliczności! – ucieszyła się.

– Jaki niby?

– Ja mam na nazwisko Melner.

– A na imię? – Ignacy był na siebie zły, że zadał to pytanie, ale ciekawość okazała się silniejsza.

– Krystyna. Krystyna Melner.

ROZDZIAŁ 5 WSPÓŁCZEŚNIE

Po spotkaniu z Filipem Melnerem Julia długo biła się z myślami, czy powinna opowiedzieć o nim rodzicom, lecz ostatecznie uznała, że nie ma to właściwie sensu. Obydwoje żyli własnymi sprawami, nie interesowali się tym, co było kiedyś. Co więcej, Marcin, ojciec dziewczyny, nie chciał nawet słyszeć o swoim ojcu, z którym Julia po latach nawiązała serdeczny kontakt. Znacznie łatwiej było milczeć i oddzielać te dwa światy. Chociaż Julia wciąż nie rozumiała, dlaczego dziadek Marek i ojciec nie utrzymują kontaktu, uznała, że sprawa listu jest od tego znacznie ważniejsza.

W jego odczytywaniu osiągnęła niemały zresztą sukces, gdy udało jej się odszyfrować cały fragment, w którym pradziadek Poldek gorąco przeprasza Helenę za to, że zawiódł ją na całej linii.

Moje życie nie ma już sensu, a w tym większe popadłem przygnębienie, że przecież sam dałem się zamknąć w tej pułapce. Moja najdroższa Heleno, gdybym tylko mógł cofnąć czas! Mocy takiej jednak nie posiadam. A do tego sił, żeby przeciwstawić się losowi. Może gdybyś choćby słowem jednym potwierdziła, że jeszcze nie wszystko stracone, zdobyłbym się na odwagę i rzucił ojcu wyzwanie. Przychylności jego nie zdobędziesz, czego nigdy pojąć nie potrafiłem, a co rozumiałem już wtedy, gdy wypędził Cię z naszego domu, gdym chorował. Do dziś zachowuję w sercu wdzięczność, że nawet to nie powstrzymało Cię od zatelefonowania później, by dowiedzieć się o stan mojego zdrowia. Awanturę, jaką rozpętał o to mój ojciec, będę pamiętał przez długie lata.

Julia westchnęła, gdy przeszła do kolejnej linijki. Została napisana już innym tuszem. Widocznie pradziadek musiał przerwać pisanie, a potem wrócić do listu. Kolejne kilka wersów mocno wyblakło, a ich odczytanie zajmie jej wieki. Zrezygnowana włożyła ostrożnie żółtą kartkę do plastikowej koszulki i schowała do szuflady biurka.

Za oknem panowała cisza, a w mieszkaniu zrobiło się już całkiem ciemno, nie licząc światła w jej pokoju. Rodzice już się położyli, ale Julii nie chciało się spać. Zgasła lampkę, żeby nie przeszkadzać,

i wyłączyła komputer. Położyła się na łóżku i wzięła do ręki telefon. Przez chwilę przeglądała media społecznościowe. Bez większego zaangażowania, ponieważ nigdy nadmiernie się w nich nie udzielała. Nie miała potrzeby eksponowania siebie, a wszelkie gorące dyskusje omijała szerokim łukiem. Dobrze przyswoiła słowa ojca, że do jej życia niczego to nie wnosi, a też i nikogo nie przekona do swoich racji. Inna sprawa, że dlaczego miałyby to robić?

Pomiędzy zdjęciami zabawnych zwierzaków rzuciła się jej w oczy czarno-biała fotografia przedstawiająca przedwojenny Zamek Królewski. Wiedziona ciekawością, weszła na stronę, do której prowadził link, i z zachwytem odkryła bogatą kolekcję zdjęć starej Warszawy, ułożonych według miejsc, w jakich je zrobiono.

Mieszkała w stolicy przez całe życie, lecz na początku nie miała pojęcia, w jakich punktach zrobiono większość ujęć. Już tylko to uświadamiało Julii, jaki ogrom zniszczeń dotknął Warszawę podczas wojny. Z pełnym niedowierzaniem oglądała wysokie kamienice niegdyś stojące przy skrzyżowaniu Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi. Ozdobione licznymi neonami dachy i fasady, sygnalizacja świetlna, tłum przechodniów dokładnie tam, gdzie teraz znajduje się rondo Dmowskiego, a cały ruch pieszych przeniósł się do przejść podziemnych.

Ludzie pędzili w swoich sprawach, nie mając pojęcia, że fotograf zatrzymał ich na wieki w bezruchu. O czym myśleli? Dokąd szli? Julia zastanowiła się, czy ją też ktoś kiedyś uwiecznił w ten sposób. Może za sto lat jakaś studentka pochyli się nad kadrem i podda się podobnej refleksji na temat nieskończonej sieci ludzkich losów?

Zdjęcie miało wysoką rozdzielczość, więc powiększyła je, żeby przyrzec się poszczególnym sylwetkom. Uśmiechnęła się do kobiety ubranej w letnią sukienkę. Miała mocno cofnięte prawe ramię, a fotograf złapał ją w chwili, gdy podnosiła nogę, by postawić pierwszy krok na pasach. Wydawało się, że dokądś bardzo się spieszyła. Nieco przed nią przechodził przez ulicę wysoki mężczyzna. Julia nie od razu zrozumiała, dlaczego coś jej w tej postaci nie pasuje.

– Dziecko? – szepnęła pod nosem.

Przybliżyła jeszcze bardziej sylwetkę mężczyzny. Ubrany w jasną koszulę, ciemne spodnie i słomiany kapelusz trzymał na rękach becik z niemowlęciem. Pominąwszy fakt, że kapelusz całkowicie odstawał od reszty nakryć głowy widocznych na zdjęciu, Julię zdziwiło, że dziecko nie leży w wózku. Widziała na innych fotografiach dziwaczne przedwojenne modele, więc musiały być wówczas w użyciu. Czy powszechnym? Tego nie wiedziała. Coś innego przykuło jej uwagę. Twarz tego człowieka. Z oczywistych przyczyn nieco niewyraźna, ale jakby znajoma.

Julia poderwała się z krzesła i zgarnęła z półki podarowane jej przez dziadka Marka ślubne zdjęcie przodków.

– Przecież to Poldek – wyszeptła zdumiona. – Albo już mam omamy... To niemożliwe – natychmiast się zmitygowała.

Odłożyła telefon i poszła spać. O dziwo, usnęła natychmiast, gdy przyłożyła głowę do poduszki.

1938

Od samego rana w pracowni Apoloniusza Malinowskiego panowało zamieszanie. Jak zwykle, gdy przychodziły nowe partie skór przeznaczonych na wczesnojesienne fasony. Warszawskie eleganki właściwie przez cały rok nosiły rękawiczki. Stanowiły one nieodłączny element damskiego stroju, zresztą podobnie rzecz się miała z eleganckimi mężczyznami. Dodatkowo dumą napawała Apoloniusza umowa, jaką zawarł z wojskiem, które zwiększało liczebność z miesiąca na miesiąc. Rękawiczki były regulaminowym elementem stroju wszystkich kawalerzystów, więc warszawscy rzemieślnicy ubijali lukratywne interesy i zacierali ręce, gdy zamówienia spływały do ich pracowni szerokimi strumieniami.

– Nic dobrego nie będzie z tego wszystkiego, panie Malinowski. Wojna idzie jak nic – oświadczył przygnębionym tonem majster Bluman, przeciągając dłonią po wybrylantynowanej, zaczesanej fryzurze. Wpatrywał się w zgrabnie powiązane paczki z czarnymi i brązowymi rękawiczkami przeznaczonymi do zamówienia wojskowego i kręcił z rezygnacją głową.

– Kraczesz, Mosze – odparł Malinowski, wzruszając ramionami.
– Interes to interes, a o wojnie gadają od tak dawna, że już nudno

słuchać. Lepiej weź się za szwaczki, bo zamiast szyć, znów stoją przed pracownią i palą papierosy.

– No i co szef chce od nich? – Majster wzruszył ramionami. – Przerwę mają, to palą. Papierosy dobrze robią na nastrój, więc tylko się cieszyć.

– Ale żeby kobiety paliły? – Malinowski cmoknął z niesmakiem.

– Inne czasy, panie Malinowski. Zresztą już od dawna palą.

– Może szansonistki i ekscentryczne damy. A nie zwykłe szwaczki – sapnął rzemieślnik. – I prosiłem cię, Mosze, żebyś mi mówił po imieniu.

– Ale nie przy ludziach – przypomniał majster Bluman.

– Aj tam – machnął ręką Malinowski. Podszedł do stosu wykończonych rękawiczek i podkręcił wąsa. – Powiem ci, przyjacielu, że ten Hitler to nam się wyśmienicie przykłada do interesu. Wojaki trzęsą dupami, a zakładowi pieniądze przyrastają w PKO. Dobryś miał pomysł z założeniem tego numeru rachunku, Mosze. Powiem ci, że może pejsy ogoliłeś, ale żydowski łeb nadal masz na karku.

– Nigdy nie zapuszczałem, Apoloniuszu – uśmiechnął się majster. – Dobrze, że nam interesy idą, ale Hitler wyrządza ogromną szkodę. To, co mówi o Żydach, w głowie się nie mieści, a przecież wciela to w czyn.

– U nas to się nigdy nie zdarzy, Mosze. Rząd dba o dobre stosunki z Rzeszą, a im mocniejsze Niemcy, tym Polska będzie mniej się bać ruskich komuchów.

– Obyś miał rację – odparł majster, lecz nie wyglądał na przekonanego. – Przejrzałeś wykroje? Wciąż rośnie zapotrzebowanie na cyklistówki i choć niegdyś robiliśmy je dla cyklistów, teraz głównie pytają o nie automobiliści.

– Ja chyba nie nadażam za tym postępem – westchnął Malinowski. – Trzeba wysłać o szóstej po południu dorożkę na dworzec. Poldek telegrafował, że wracają do Warszawy.

– Wiadomo, dlaczego skrócili wczasy nad morzem?

– A kto zrozumie tych młodych? Za naszych czasów dzieci robiły, co rodzice im kazali. Posłuszeństwo jest tym, co spaja pokolenia. Pamiętasz, Mosze, jak mówiłeś, że to wszystko dla wnuka? Komuś

scheda musi przypaść, a Poldek się ociąga. Nie szczędziłem grosza, żeby zażyli wczasów i w końcu dali mi wnuka.

– Apoloniuszu, młodzi sami znajdą drogę do życia – odparł Mosze. – Tak jak ty znalazłeś.

Malinowski usiadł na krześle i upił łyk zimnej herbaty. Nie lubił wspomnień, bo zaburzały mu myślenie o interesach, lecz znienacka pomyślał o żonie i Dorotce. O swojej słodkiej małej córeczce z grzywą brązowych, lśniących w słońcu włosów. Przed oczami stanęła mu maleńka dziewczynka ubrana w niebieską sukieneczkę. Jej drobna dłoń ginęła w ręce matki. Eleonora była miłością jego życia, ale nigdy by tego nie przyznał. Mężczyźni są ponad to.

– Mosze, a jak wygląda zamówienie dla naszego sklepu? – zapytał, próbując opanować drżenie głosu.

– Wszystko działa jak w szwajcarskim zegarku! – odparł majster.

– To dobrze. Możesz wysłać dorożkę po Poldka i Paulinę na dworzec? Zajmiesz się tym?

– Zajmę – uspokoił go Bluman, choć osobiście uważał, że młodzi powinni po prostu skorzystać z taksówki.

Nie komentując, poszedł do młodziutkich szwaczek, które wpadły do pracowni, robiąc rozgardiasz. Szczebiot dziewcząt wprowadzał go w dobry nastrój. Wnosiły do pracy powiew nowych czasów. Być może nie miały w życiu zbyt bogato, ale nigdy nie zaznały wojny. Nuciły szlagiery z radia, z piosenkami Eugeniusza Bodo na czele, i zwyczajnie żyły, śmiejąc się do rozpuku. Każda z nich miała krótkie włosy, zaczesane na nową modłę w lok nad czołem. Mosze uśmiechał się z pobłażaniem. W jego odczuciu mody nie mogło już trafić nic gorszego niż bezkształtne worki z końca lat dwudziestych. Teraz przynajmniej dziewczęta odzyskały romantyczny wygląd. Kwieciste sukienki sprawiały, że majstrowi przypominały się kobiety sprzed wojny rosyjsko-japońskiej. Wszystkie ubrane na czarno, w żałobie po powstaniu, lecz nadal dystyngowane, w koronkach i dzielnie uśmiechnięte. Pomimo carskiego zaboru.

– No! – Klasnął w ręce. – Siadać mi turkaweczki do roboty, raz-dwa! – zakomenderował, lecz choć głos miał surowy, uśmiechał się z pobłażliwością.

– Się wie, panie majster! – młoda blondyneczka zasalutowała żartobliwie.

Blumanowi przypominała z wyglądu siostry Michalikówny. Natychmiast posmutniał. Nie mógł odżałować rezolutnej, wesołej Stasi, która bez sensu straciła życie od noża młodocianego przestępcy. Aż trudno było pojąć, jak ktoś tak pełen życia ot tak odchodzi przedwcześnie ze świata. Myśli starego majstra powędrowały do Basi, znacznie spokojniejszej z sióstr. Jak jej się tam wiedzie w świecie razem z Jankiem?

Przy Apoloniuszu Malinowskim nie można było nawet słowem wspomnieć o jego młodszym synu, bo od razu wpadał w szał i wrzeszczał, że on syna już nie ma i nigdy mieć nie będzie. Mosze nie mógł zrozumieć, jak bardzo można zaciąć się w uporze. Jeszcze żeby chłopak zrobił coś złego. Zakochał się i tyle. Pomysł umieszczenia go w seminarium od początku był absurdalny, więc nie dziwota, że dał nogę z domu. Inna sprawa, że Apoloniusz nigdy by na to nie wpadł, gdyby nie usługane podszepty szwagierki. Stara dewotka nie rozstawała się z różańcem. Majster pomyślał złośliwie, że pewnie nie wypuszczała go z dłoni nawet wtedy, gdy pod osłoną nocy grzała Apoloniuszowi łóżko.

– Daleko jeszcze? – Paulina wierciła się na miejscu, nie potrafiąc sobie znaleźć wygodnej pozycji. Skrzywiła usta w wyrazie dezaprobaty.

– Niedługo dojedziemy – powiedział zgodnie z prawdą Poldek. Za oknami pociągu umykały podwarszawskie pola.

– Chciałabym już być w domu. Ta podróż jest uciążliwa – poskarżyła się.

– Jeszcze odrobina cierpliwości – odparł, próbując ukryć irytację.

Choć starał się z całych sił, żona go denerwowała, a wykrzesanie choćby odrobiny życzliwości stanowiło spory wysiłek. Obiecał sobie solennie, że zaciśnie zęby, przekona się do Pauliny, a nawet zmusi się do pokochania żony. Szybko zdał sobie sprawę, jak było to naiwne. Odpychał myśli o Helenie, ale czuł się jak odrętwiały. Magiczne chwile na plaży wryły się w jego serce, z jednej strony rozpalając żądzę, z drugiej wywołując wyrzuty sumienia.

Warszawa przywitała ich upałem oraz trudnym do zniesienia odorem miejskiej kanalizacji. Lato nie zachęcało do pobytu w mieście, o czym Paulina świetnie wiedziała. Tym bardziej dziwiło, że upierała się przy wcześniejszym powrocie.

Na peronie dworca czekał na nich majster Bluman. Z daleka machał dłonią, próbując zwrócić na siebie uwagę. I bez tego od razu by go dostrzegli. Zwyczajowy fartuch wymienił na garnitur, w którym prezentował się nad wyraz dystyngowanie.

Poldek podszedł do niego sprężystym krokiem. Mosze spojrzał na niego z uznaniem. Starszy syn Malinowskiego był chłopem na schwał. Może nieśmiałym, lecz prezentował się imponująco. Wrażenie było tym mocniejsze, że chłopak kompletnie nie był świadomy czaru, jaki roztaczał. Nawet teraz kilka kobiet, choć spieszyły się do pociągu, rzuciło mu ukradkiem powłóczyście spojrzenia.

– Dzień dobry, panie majster! – Poldek odstawił walizki i z uśmiechem wyciągnął dłoń na powitanie.

– Witaj, chłopcze! Co ja mówię! Przecież ty już dorosły mężczyzna jesteś, a nie żaden wyrostek. Zamiast mi tak majstrować, po imieniu powinienes mówić – roześmiał się Bluman.

– Gdzieżbym śmiał!

– A jak się ładnie opaliliście. Pani Paulino – Mosze zwrócił się do małżonki Poldka – wygląda pani kwitnąco!

– Dziękuję – odparła, lecz usta miała zasznurowane, a spojrzenie odpychające.

– Co to ja chciałem... – Majster wyglądał na zbitego z tropu. – A, wiem! Walizkę daj, Poldek, pomogę.

– Jeszcze czego, panie majster, sam poniosę. Pan tylko drogę pokazuj – odpowiedział.

Powrót dorożką nie zajął długo. Paulina siedziała w milczeniu, głowę ostentacyjnie odwróciła w bok i z obojętną miną lustrowała przesuujące się kamienice.

– Wcześniej wróciłeś – zagaił majster.

– Ano wcześniej – przytaknął Poldek. – Paulina wołała już do domu. A w pracowni wszystko w porządku? – zmienił temat.

– Jak zwykle – odparł Mosze wymijająco. Dla niego w porządku było w czasach, gdy po pracowni krzątał się Janek. Zdumiewało go to, że dla reszty rodziny Malinowskich chłopak był martwy.

– Może znów polecimy do Paryża? – zapytał Konrad, patrząc z ukosa na Michała. Jechali powoli krętą piaszczystą drogą przez Półwysep Helski. Tym razem to Helena siedziała z tyłu, nie wykazując odrobiny zainteresowania rozmową kochanków. Cieszyła się, że wyjeżdżają, choć oczywiście wiedziała, że będzie tęsknić za tymi rajskimi widokami. Koła samochodu wzbijały tumany kurzu, więc gdy wykręciła się, żeby spojrzeć na uciekający za nimi las, ledwie dostrzegła najbliższe sosny.

– O nie! Do żadnego Paryża! – Michał zaprotestował stanowczo.

– Nie podobało ci się? – zdziwił się Konrad.

– Oczywiście, że podobało. Ale właśnie kończy mi się urlop.

– Nie wymówiłbyś się tak twardo, gdyby tylko o to chodziło. Stało się coś?

– W życiu nie wsiądę więcej do tej diabelskiej maszyny – oświadczył Michał. – Już podczas naszego powrotu czułem, że to nie jest bezpieczne, ale teraz po katastrofie polskiego samolotu nad Rumunią wiem to na pewno. Szczególnie że umiejętności doskonałego pilota, jakim był kapitan Kotarba, okazały się niczym dla kaprysu żywiołów.

– Przecież nie wszystkie samoloty spadają – zaprotestował Konrad. – Skoro zdarzają się katastrofy morskie, to znaczy, że na statki też nie należy wsiadać?

– Ja nie wsiadam – uciął Michał.

Konrad nie odpowiedział. Chciał dodać coś o samochodowych kraksach i ich aktualnej podróży do Sopotu, lecz postanowił więcej się nie wyzłośliwiać. Michał miał prawo do obaw, zresztą od kilku dni o katastrofie lotowskiego samolotu Lockheed krzyczały wszystkie nagłówki gazet, a i w hotelu Lido szeroko omawiano ten przykry wypadek, w którym poniosło śmierć trzech członków załogi i jedenastu pasażerów. Ludzi poruszało najbardziej, że wystarczyła do tego zwykła burza, natomiast Michała najmocniej uderzył fakt, że właśnie taką maszyną sam niedawno leciał. To sprawiło, iż w głowie

mężczyzny narodził się pewien fatalizm, w myśl zasady, że skoro oszukał los, ów wkrótce sam się po niego zgłosi.

– Spójrzmy na sprawy trzeźwo, mój drogi Konradzie – powiedział poprzedniej nocy, gdy po raz ostatni siedzieli na drewnianym tarasie Cafe Casino, popijając szampana. – W Hiszpanii ciągle wojna domowa, Austria wcielona do Niemiec, a nawet w dalekiej Azji nie cichną walki pomiędzy Chińczykami i Japonią. Sowieci tylko ręce zacierają, czekając na osłabienie Japończyków. Także i my siedzimy na beczce prochu. Wystarczy iskra, żeby ją podpalić.

Choć wokół trwał piękny letni dzień, Helena poczuła, że ma gęsią skórę. Wszystko, co mówił Michał, było prawdą, a właściwie jej częścią. Gazety codziennie donosiły o kolejnych konfliktach na świecie. Tak jakby wszystkich opętał jakiś szal. Szybko jednak zapomniała o złowieszczym słowach kuzyna, gdy dojechali do rogatek Wolnego Miasta od strony Gdyni.

– Zupełnie nie mam ochoty przekraczać tej granicy – mruknął pod nosem Konrad. – Przygotujcie dokumenty. Tutejszym celnikom dobry humor nie dopisuje.

– Mogłam jechać pociągiem – przypomniała z lekkim wyrzutem Helena. – Nie musielibyście wcale...

– Bzdura, Heleno – uciął Michał. – Odstawimy cię pod sam dom krewniaków. Inaczej nie mógłbym spojrzeć w oczy wujowi Józefowi.

Helena aż się zapowietrzyła. Chciała przypomnieć kuzynowi, że nie jest małą dziewczynką, a poza tym na przestrzeni ostatnich kilku lat spoglądał w oczy jej ojcu raptem raz, więc zupełnie niepotrzebnie przypisuje sobie rolę opiekuna.

– Poza tym podjedziemy na pompę. Jeśli mamy zaraz ruszać w stronę Warszawy, trzeba uzupełnić paliwo – powiedział Konrad, odwracając się z krzepiącym uśmiechem do Heli. – Trzeba tylko w kantorze po drugiej stronie granicy kupić nieco guldenów.

Samochód wreszcie ruszył. Helena wcześniej żałowała, że musi jeszcze zostać na Wybrzeżu. Po namyśle uznała to jednak za dobry pomysł. Powrót do Warszawy oznaczałby przebywanie w jednym mieście z Poldkiem, a ona i tak czuła się, jakby współistnienie z nim na jednym globie sprawiało jej ból. Czas spędzony z ojcem

w Sopocie pozwoli na okrzepnięcie, może nawet pogodzenie się z sytuacją.

Pensjonat należący do krewniaków Józefa Małeckiego mieścił się w bocznej cichej uliczce obsadzonej starymi drzewami. Charakterystyczny dla miejscowości uzdrowskiej drewniany budynek nie był specjalnie oblegany.

– Interes coraz słabiej idzie, Helenko – westchnął Fryderyk Małecki, stryj Heleny, gdy już przywitali się i weszli na staromodną werandę. Siwy jak gołąb mężczyzna podkręcał co chwilę sumiastego wąsa. Robił to zawsze, gdy miał zmartwienie.

– Przecież mamy szczyt sezonu, więc w czym rzecz, szanowny panie? – zdziwił się Konrad. Stryj uśmiechnął się smutno, lecz patrzył na sławnego aktora z wyraźną przyjemnością. Obecność tak sławnego gościa robiła na nim ogromne wrażenie.

– Cóż z tego, jeśli Polaków jak na lekarstwo? Omijają Sopot, wybierając polskie miejscowości, a mnie to nawet nie za bardzo dziwi. Coraz trudniej tu żyć naszym rodakom. Znowuż niemieccy turyści bojkotują pensjonat prowadzony przez Polaków. Zatrzymują się u swoich. Mnie to się wszystko, proszę szanownego pana, po prostu w głowie nie mieści! Kiedyś zwyczajnie wszyscy tu byliśmy u siebie. Sąsiad sąsiada szanował. A teraz co? Ech! – mężczyzna machnął ręką z rezygnacją.

– Wchodźcie do środka, zaraz podamy obiad – ucięła stryjenka Kasia.

Michał głównie milczał przy obiedzie, przysłuchując się wesołym rozmowom pomiędzy Heleną, wujem Józefem a stryjostwem. Gospodarze mieli dwie nastoletnie córki. Jak wyjaśnili, dwaj starsi synowie już jakiś czas temu poszli na swoje i zamieszkali w Gdyni.

– Zaprosiłam ich z rodzinami na jutrzejszy niedzielny obiad. Będzie okazja, żeby wszyscy się poznali – oznajmiła z uśmiechem korpulentna stryjenka, podsuwając Michałowi wazę z chłodnikiem ogórkowym.

– Bardzo dziękujemy za gościnę, lecz wkrótce ruszamy do Warszawy – odparł. – Szmata drogi jeszcze przed nami.

– No to i lepiej odpocząć, a resztę dystansu pokonać jutro. – Stryj Heleny wciął się bezceremonialnie w rozmowę. Zerknął przy tym na

Konrada, z którym właśnie ucinął interesującą pogawędkę o kinematografii. Było jasne, że życzyłby sobie zatrzymać sławnego gościa na dłużej.

– Ależ zostańcie! – Helena niespodziewanie poparła starszych. – Oprowadzę was po Sopocie. To taka piękna miejscowość. Plaża tym helskim też w niczym nie ustępuje.

– Mówią, że jest tu niezrównane molo – zaczął się wahać Michał. Oczami wyobraźni widział już zdjęcia, jakie mógłby tu zrobić. Zwłaszcza że zostało mu jeszcze pół rolki ostatniego filmu Kodaka w aparacie.

– Molo jest piękne, a obok wyśmienity Kasino-Hotel – oświadczył z szelmowskim uśmiechem Konrad. – Bawiłem tam przejazdem kilka lat temu – wyjaśnił.

– Zatem postanowione. – Helena klasnęła w dłonie.

– Chciałem jedynie zaznaczyć, że przyzwoite panny nie chadzają w takie miejsca – wtrącił się Józef Małecki.

– Och, ojczy. Nie jestem już przecież dzieckiem – zachnęła się Hela.

– Wuju, przecież nie odstąpię jej nawet na krok – zapewnił Michał. Kuzynka łypnęła na niego złowrogo, lecz tym razem nie zaserwowała mu pogadanki o swojej niezależności. W porę pojęła, że obecnie zupełnie jej się to nie kalkuluje.

– Słowo harcerza. Helenie z nami włos z głowy nie spadnie – przyszedł z pomocą Konrad.

– Ale do Kasino nie polecam wam chodzić – powiedziała z wyraźnym ociąganiem stryjenka Kasia. – Pan, zdaje się, jest Żydem, prawda? – Spojrzała z przepaszającą miną na Michała.

– Tylko w nieco większym stopniu niż ja. Właściwie co stryjenka ma na myśli? – zjeżyła się Hela.

– Mnie tam nic nie przeszkadza, ale im... – stryjenka zawiesiła głos.

– Niemcom przeszkadza. Panoszy się nam po Sopocie NSDAP. – Nazwę partii hitlerowskiej stryj wypluł z obrzydzeniem. – Zakazu niby nie ma, ale nie chciałbym, żeby mojego gościa spotkała jakaś przykrość.

– Pójdziemy więc tylko na spacer i może do jakiejś kawiarni albo na dancing. Nie musimy przecież do kasyna. Dość pieniędzy puściliśmy w Juracie – odparł Konrad nonszalancko, lecz spojrzał przy tym z troską na pobladłego Michała. Mógł się tylko domyślać, co kochankowi obecnie grało w duszy. Czym innym jest czytanie o szykanach, jakich doświadczali Żydzi w Rzeszy, a czym innym doświadczanie tego na własnej skórze.

– Zatem mogę? – Helena, równie świadoma tego, że Michał jest dotknięty do żywego, postanowiła ściągnąć uwagę obecnych na siebie.

Józef zawahał się. Nie miał najmniejszego powodu, żeby źle myśleć o krewniaku córki, a z kolei sławny aktor zdawał się mieć dobry wpływ na jego ukochaną jedynaczkę. Była ożywiona, uśmiechała się. Może mieli się ku sobie, a Helena wreszcie zapomniała o tamtym Poldku, który złamał jej serce?

– Idźcie więc, lecz przed północą Helena ma wrócić – postanowił wreszcie z uroczystą miną.

– I uważajcie na siebie – dodała z troską stryjenka. Ujrzała błagalne miny swoich córek, lecz pokręciła przecząco głową. – Wy, panienki, jesteście stanowczo za młode na wieczorne wyjścia i dancingi.

Heli dwa razy nie trzeba było powtarzać. Pomogła stryjence posprzątać ze stołu, a potem pognęła do dzielonego z kuzynkami pokoju na poddaszu. Uwielbiała to miejsce. Miała ogromny sentyment do niewielkich okienek ze szprosami i bielonych desek skośnego sufitu. Z wciąż nierozpakowanej walizki wyciągnęła ulubioną sukienkę w kwiecisty deseń. Uczesała się starannie, stojąc przed lustrem panińskiej toaletki kuzynek.

Sopot bezsprzecznie zasługiwał na miano eleganckiego nadmorskiego kurortu. Helena prowadziła swoich towarzyszy spokojną uliczką Roonstrasse, tuż obok nowoczesnej synagogi z dwoma wysokimi wieżami, zbudowanej tu nieco ponad dwadzieścia lat wcześniej. Wieczór był ciepły, bezwietrzny, a Helena po raz pierwszy spokojna od chwili, gdy pojęła, że Poldek ją oszukał. Czy krzepiąco wpływało na nią znane od dzieciństwa otoczenie, czy raczej obecność rodziny?

– Dobrze, że wybraliśmy spacer. Podczas jazdy samochodem tak wiele szczegółów umyka, a tu jest pięknie – oświadczył Michał, zerkając na świątynię. Jako całkowity ateista oceniał budynek obiektywnie. Przez głowę przemknęła mu myśl, czy odrzuciłby wiarę z taką stanowczością, gdyby dziadek Szmul nie zmuszał go do praktyk religijnych. Tego pewnie nigdy się już nie dowie.

– Poza tym dobrze się poruszać. Mnie już prawie zadek przyrósł do kanapy w samochodzie – parsknęła Hela.

– Myślałby kto, żeś taką przeciwniczką motoryzacji – droczył się Konrad.

Obsadzona starymi drzewami reprezentacyjna Seestrasse wiodła wprost do wcinającego się na kilkadziesiąt metrów w Zatokę Gdańską szerokiego molo. Naprzeciwko rozpierał się na piasku rozłożysty Dom Kuracyjny, a nowszy, choć wybudowany w podobnym stylu Kasino-Hotel stał tuż obok. Od budynków aż biła aura luksusu, a parking pękał w szwach od mercedesów i innych kosztownych maszyn. Przeszli pomiędzy klombami placu Zdrojowego, omijając zabudowania. Gwar śmiechu i muzyki niósł się po wodzie, gdy stanęli na końcu molo. Widziany z tej perspektywy, rzeźbiście oświetlony Sopot skojarzył się Helenie z odległą wyspą.

– Jak pięknie – westchnęła. – Uwielbiam tu wracać. Sopot jest dla mnie jak drugi dom. Przyjeżdżam tu z ojcem od dziecka. Można powiedzieć, że właśnie stąd pochodzą moje pierwsze szczęśliwe wspomnienia.

– Od jak dawna stryjostwo tu mieszka? – zainteresował się Konrad.

– Stryjenka Kasia urodziła się tutaj, a stryj wyemigrował z Warszawy tuż po skończeniu studiów. Jest architektem. Przyjechał do budującej się Gdyni, bo przecież wtedy było w niej pole do popisu, a później wzenił się w pensjonat, więc osiadł w Sopocie na stałe.

– I tak wylądował za granicą – skwitował Konrad.

– Wtedy nie myślało się, że to jakaś zagranica. Właściwie jeszcze parę lat temu to wszystko wyglądało normalnie. Dopiero niedawno...

– Dopiero niedawno Hitler wytłumaczył ludziom, że nie wszyscy nimi są – powiedział gorzko milczący dotychczas Michał. – Wybaczcie, że burzę nastrój, ale chciałbym jutro wracać do Warszawy. Najwcześniej jak się da. Przynajmniej tam jest w miarę normalnie. Chociaż też nie do końca. – Rozgoryczony mężczyzna oderwał dłonie od drewnianej balustrady i niespiesznym krokiem zawrócił w stronę brzegu. Jednak nie skierował się w stronę pensjonatu. Zamiast tego zszedł na plażę i brnąc przez piasek, podszedł do wody.

– Idź za nim – szepnęła Helena. – Ja sobie pooglądam jeszcze gwiazdy.

Konrad krótko pogładził jej dłoń i bez słowa poszedł za Michałem. Helena obserwowała z góry, jak podchodzi do kochanka, gładzi go po plecach, a potem mocno przytula. Chwytającą za serce scenę oświetlały światła pobliskiego kasyna. Dziewczyna pomyślała, że im zazdrości, a to ją zaskoczyło. Dopóki nie pojęła relacji, jaka łączy jej kuzyna ze sławnym aktorem, sądziła, że takie zachowania są brudne, wyuzdane, a ludzie z podobnymi skłonnościami słabi. Temat jej nie dotyczył, więc nie poświęcała mu żadnej głębszej myśli, mimowolnie przesiąkając społecznym brakiem akceptacji. Tymczasem między Michałem i Konradem zrodziło się poważne uczucie. Wtajemniczona w sprawę Helena bezbłędnie wychwytywała ich pełne ciepła gesty, miłe słowa i to, jak zapadali się w swoich oczach, gdy sądzili, że nikt nie patrzy.

Publicznie nigdy nie pozwalali sobie na najmniejszy nawet kontakt fizyczny, więc Hela widziała scenę czułości pomiędzy nimi jedynie raz, w Hotelu Litewskim. Teraz patrzyła z fascynacją, jak Konrad ujmuje w dłonie twarz nieco niższego od niego Michała i składa na jego ustach pocałunek. A ona stała na molo, rozpadając się w środku na maleńkie kawałki. Po policzkach popłynęły łzy tęsknoty za Poldkiem. Choć czuła przede wszystkim upokorzenie, wciąż nie potrafiła go przestać kochać.

– *Halt!* – Ostry rozkaz przeciął nocną ciszę.

Helena z przerażeniem zobaczyła, jak do jej towarzyszy podeszło dwóch uzbrojonych po zęby żołnierzy ze swastykami na ramionach.

Kochankowie odskoczyli od siebie jak oparzeni, lecz Konrad niemal natychmiast zasłonił sobą Michała.

– Dokumenty! – warknął jeden z intruzów.

– Tylko spokojnie – powiedział czystą niemczyzną Konrad. – Nie robimy niczego złego i właśnie sobie idziemy. Jesteśmy obywatelami Polski – ostrzegł.

– Dokumenty! – powtórzył żołnierz.

Konrad podał mu paszporty. Helena spostrzegła, że cały czas tak manewrował, żeby osłaniać Michała najbardziej jak to możliwe.

– Odsuń się od niego! – warknął drugi żołnierz, celując w Konrada lufą karabinu.

– No proszę. Pan Konrad Werner. Znam, a jakże! Aktor! – zarechotał obleśnie mężczyzna. Przesunął światło latarki z paszportu na twarz Konrada. Ten odruchowo osłonił porażone oczy. – A tutaj kogo mamy? Michał Gutman. Żyd! – zawołał triumfalnie. – Czy Żyd wie, że dla parchatych jest zakaz wchodzenia na plażę w Sopocie?

– Żeby na ludzi pchły nie przeskoczyły – zawtórował drugi.

– Czyli nie dość, że pederasta, to jeszcze Żyd. Nieciekawie lokujesz pan sympatie, panie Werner. A taki dobry aktor. I jeszcze pewnie z niemieckimi przodkami. Udam, że niczego nie widziałem, zwłaszcza żeś pan cudzoziemcem. I taka rada na przyszłość: pederastia w Rzeszy jest karana więzieniem – pouczył żołnierz, oddając Konradowi dokumenty.

– Chyba raczej nie chcesz pan problemów z poselstwem polskim – wycodził Konrad w najlepszym hochdeutsch, na jaki było go stać. – Poza tym to nie jest Rzesza, z tego, co mi wiadomo, tylko Wolne Miasto Gdańsk. – Nazwę wymówił najczystsza polszczyzną, starannie akcentując poszczególne słowa.

– Już niedługo – warknął drugi żołnierz ponownie, nakierowując na Konrada lufę karabinu.

– Zamknij się, Ulrich – uciszył go kompan. – Jak powiedziałem, możesz pan iść, ale Żydka zabieramy. Dwa przepisy złamane, więc łatwo się nie wywinie.

– Pan nie ma prawa! Jesteśmy obywatelami obcego kraju...

– Tak, tak – przerwał mu bezceremonialnie żołnierz.

Helena stała na molo i oglądała scenę, bojąc się choćby odetchnąć. Zakryła usta dłonią, żeby nie krzyknąć. Myślała gorączkowo, co powinna zrobić. Przecież oni nie mogli ot tak zaareztować Michała! Rozejrzała się wokół i zauważyła śmietnik. Przez głowę przemknął jej absurdalny pomysł, a zaraz potem przypomniała sobie słowa ojca o intuicji, która w uzasadnionych przypadkach powinna brać górę nad racjonalnym myśleniem.

Starając się poruszać jak najciszej, podniosła z wysiłkiem pojemnik i cisnęła do wody. Wpadł z głośnym chlupotem, wzbijając rozbryzgi. Hela przykucnęła.

– *Hilfe!* – krzyknęła rozpaczliwie.

– Ulrich! – wrzasnął żołnierz. – Jakaś dama się topi! Trzeba jej pomóc.

Światło latarki omiotło wodę pod molo.

– Nikogo nie widzę!

Obydwaj mężczyźni stanęli na linii morza, nie bacząc na to, że niewielka fala moczy ich wojskowe oficerki. Chwilowo nie zwracali uwagi na Konrada i Michała, którzy rozglądali się gorączkowo wokół siebie.

– Chodu! – syknęła Hela, pędząc po deskach pomostu najciszej, jak się dało.

Konradowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Klepnął Michała w ramię i pobiegli w stronę zaciemnionej części nabrzeża, klucząc między pustymi koszami plażowymi. Za ich plecami rozległy się strzały, być może tylko ostrzegawcze, lecz sprawdzać tego nie mieli ochoty.

Nie zatrzymali się nawet na chwilę, dopóki nie dotarli do pensjonatu stryja Heleny. Michał, dysząc, dopadł do błękitnej furki i namacawszy haczyk z drugiej strony, otworzył ją błyskawicznie.

Helena dobiegła chwilę po nich.

Cała trójka przyjaciół weszła pospiesznie do sielskiego budynku udekorowanego rzędami doniczek z krwistoczerwonymi pelargoniami.

– Gdyby nie ty... – wychrypiał Michał, patrząc na Helę.

– Lepiej wejdźmy – zbyła go, patrząc gorączkowo na ulicę.

Posadzka w przedpokoju niemiłosiernie skrzypiała, gdy skradali się do środka.

Stryjenka stanęła w połowie drewnianych, pomalowanych na biało schodów, które Hela uwielbiała od dziecka i zawsze liczyła stopnie, schodząc na śniadanie.

– Kto tam? – Ubrana w nocną koszulę kobieta przetarła zaspane oczy.

– To ja, Helena – odparła cicho. – Stryjenko, musimy natychmiast wyjechać. Zawiadomi stryjenka ojca i stryja Fryderyka?

– Chryste Nazareński. – Stryjenka Kasia się przeżegnała. – Dziecko moje kochane! Co się stało?

– Musimy uciekać przed żandarmerią – wyjaśnił Konrad. Jego pobladła twarz była dostatecznym dowodem na to, że sprawa jest śmiertelnie poważna.

Stryjenka, nie pytając o nic więcej, ruszyła żwawo do sypialni małżeńskiej, żeby obudzić męża. Wkrótce pan domu wraz z ojcem Heleny zaprosili trójkę przyjaciół do gabinetu.

– Usiądźcie wszyscy i mówcie, o co chodzi – oświadczył Józef Małecki. – Helu, ty może idź jednak spakować walizkę – polecił, nagle zmieniając zdanie. Ewidentnie chciał porozmawiać z mężczyznami w cztery oczy. Odczekał, aż dziewczyna wyjdzie, nim podjął rozmowę. – Michale, wytłumacz, co tu się właściwie dzieje – zwrócił się do siostrzeńca.

– Wuju, to dość delikatna sprawa i nie chciałbym, żeby była omawiana na forum publicznym – odparł Michał.

– Jednakże chyba musisz to wyjaśnić, jeśli mamy zażegnać kryzys. – Józef Małecki spojrzał twardo. – Podnieśliście alarm na całą ulicę i oczekujecie, że bez pytań przyjmiemy do wiadomości, że pali wam się pod nogami grunt?

– Panie Józefie, zatrzymali nas na plaży obok placu Zdrojowego za pederastię i za to, że Żyd wszedł na plażę. Hela sprytnie nas wyswobodziła, lecz Michał nie ma dokumentów. Zatrzymali – oświadczył spokojnie Konrad. – A teraz możecie nas oceniać – dodał po chwili.

– Nikt nikogo nie będzie oceniać. – Stryj Fryderyk podkreślił nerwowo wąsa. Widać było, że odkryta tajemnica zrobiła na nim nie

najlepsze wrażenie, lecz jako człowiek kulturalny, trzymał się w ryzach. – Panie Konradzie, najlepiej będzie, jeśli natychmiast ruszycie z Helą w stronę granicy. Wyjedźcie czym prędzej, kierując się ponownie na północ. Przejazd przez Gdańsk to niepotrzebne ryzyko. Wróćcie do Gdyni przez przejście graniczne w Kolibkach. Jeśli chodzi o Michała, to bez dokumentów nie wydobędzie się przez granicę. NSDAP pilnuje najdrobniejszej dziury w płocie.

– Nie zostawimy Michała. O tym nawet nie może być mowy! – powiedziała Helena, stając w drzwiach gabinetu stryja.

– I nikt czegoś podobnego nie proponuje – westchnął stryj Fryderyk. – Ale ot tak nie wyjedzie.

– Cóż więc robić? – zapytał Konrad.

– Od tego ma się dobrych sąsiadów – oświadczył stryj. – Zaraz pójde do Hermana i zapytam, czy może spławić łódź po nocy. Nie powinien odmówić.

– Jedźcie, dzieci – ponaglił Józef Małecki.

– Zatrzymajcie się w Redłowie, już za Klifem Orłowskim, i czekajcie na plaży – dopowiedział stryj Fryderyk.

Konrad nie wyglądał na przekonanego, lecz uścisnął krótko dłoń Michała. Szepnął coś bezgłośnie i podszedł do Heleny. Bez słowa podniósł jej walizkę, otoczył dziewczynę ramieniem. Wyszli pospiesznie przed pensjonat. Świerszcze dawały koncert, a wygwieżdżone niebo obejmowało granatą okolicę.

– Damy radę. Nie z takich opresji wychodziliśmy! Uratowałeś mnie po zamachu na Chmielnej, teraz ja się odwdzięczę. – Helena poczekała, aż Konrad wsiałdzie, i chwyciła za kierownicę. Nie umknęło jej, że zapatrzył się na pensjonat stryja Fryderyka, jakby żegnając się z jego mieszkańcami i Michałem. – Przygotuj dokumenty i módl się, żeby do posterunków jeszcze nie dotarło, że jesteś poszukiwany.

– Mam to gdzieś – powiedział apatycznie Konrad. – Wydostańmy Michała.

– Właśnie dlatego nie możesz mieć niczego gdzieś. Roztaczaj czar gwiazdora i uśmiechaj się ile wlezie.

– Och, Heleno, zupełnie nie wiem, co bym bez ciebie począł. Jesteś najdzielniejszą osobą, jaką znam – powiedział Konrad. – Ten

cały Poldek... Nie rozumiem, dlaczego zapomniał o tobie i ożenił się z gąską z Pragi.

– Ojciec go zmusił, przecież doskonale o tym wiesz. Było, minęło – ucieła Hela. – Skup się na Michale. Za chwilę dojedziemy do przejścia granicznego, więc przyszykuj dokumenty.

Ku ich niewypowiedzianej uldze opuścili terytorium Wolnego Miasta Gdańska bez najmniejszych komplikacji. Po sprawdzeniu dokumentów jeden z ubranych w czarny mundur celników uniósł szlaban, otwierając upragnioną drogę do Gdyni. Czy żandarmom z plaży nie chciało się zgłosić ucieczki na posterunku? A może system łączności działał niespiesznie i do rana nikt nie planował zawracać sobie tym głowy? Konrad skwitował rozważania Heleny stwierdzeniem, że po prostu incydent nie miał żadnego znaczenia, zatem żandarmi go zignorowali. Dziewczyny to nie przekonywało, więc gdy wreszcie zaparkowała samochód na leśnej polanie obok Redłowa, z jej płuc wydarło się mimowolne westchnienie ulgi.

– Ile to może potrwać? – zapytała Konrada, gdy szli w nikłym świetle latarki w stronę plaży, potykając się co chwilę o korzenie sosen.

– Nie wiem, jak daleko muszą odpłynąć od brzegu, żeby ominąć ewentualne patrole – odparł. – Zakładając, że w ogóle znajomy rybak twego stryjostwa zgodził się na tak niebezpieczną eskapadę. Wyraźnie słyszałem, że stryj Fryderyk użył imienia Herman. Czy jakiś nieznanomy Niemiec poświęci się tak dla obcego Polaka? Nie chce mi się w to wierzyć.

– Ja natomiast wolę wierzyć, mój Konradzie, że są na świecie dobrzy ludzie i nie ma to nic wspólnego z ich narodowością – szepnęła Hela.

– Chciałbym podzielać twój optymizm, moja droga.

Helena nie odpowiedziała. Objęła nogi ramionami i oparła brodę na kolanach. Zapatrzyła się w ciemną toń.

– Skąd właściwie pewność, że rybak przyplynie właśnie tutaj? – zapytał Konrad.

– Tego nie wiemy. Tu nam kazano czekać, więc nie powinniśmy niczego zmieniać. Do świtu jeszcze kilka godzin, więc nie ruszajmy się stąd – powiedziała Helena, wzdrygając się.

– Jest ci zimno – oświadczył Konrad. Poderwał się na równe nogi, zerwał z siebie marynarkę i otulił nią dziewczynę.

– Trochę – przyznała Helena, szcękając zębami. – Dziękuję.

Konrad usiadł bliżej i otoczył ją ramieniem. Nie czuła się tym skrępowana. Traktowała go jak starszego brata i darzyła zaufaniem.

– To wszystko jest takie... – Helena umilkła, nie znajdując adekwatnego określenia.

– Bez sensu? niesprawiedliwe? Głupie? – podsunął usłużnie Konrad.

– Na jakim świecie my żyjemy? Ludzie są jednym gatunkiem, a rzucają się sobie do gardeł, i to właściwie nie do końca wiadomo, w jakim celu.

– Bo podjudzają ich do tego przywódcy. Ludność nie chce myśleć, większość jest wdzięczna, gdy podsunie im się gotowy przepis na życie i będą się go trzymać do upadłego. Łatwiej uwierzyć w uproszczony obrazek i nie zastanawiać się nad jego złożonym tłem.

Helena westchnęła ciężko i mocniej przylgnęła do ramienia Konrada. Noc była chłodna, czuło się, że nadchodzi sierpień. Jak mawiają, od Świętej Anki zimne noce i poranki. Zanurzyła rękę w piasku. Przesypywała go machinalnie, nie zważając na to, że potęguje chłód zmarzniętej dłoni. W przeszlizgujących się pomiędzy palcami ziarenkach było coś kojącego.

– Czym plaża tutaj różni się od tej w Sopocie? – zapytała retorycznie.

– Polityką – odparł sucho Konrad.

Horyzont nad zatoką zaczął się rozjaśniać. W zaroślach za plecami przyjaciół rozległ się rwetes ptaków. Wodę wciąż spowijał mrok, lecz wąska kreska horyzontu zaróżowiła się, zwiastując nowy dzień.

– Konradzie! – szepnęła Helena – Zobacz!

W oddali rozbłysnął pojedynczy ognik, z pewnością niebędący refleksem nadchodzącego świtu. Do plaży, jakieś trzysta metrów dalej, przybijała łódź rybacka, a siedzący w niej człowiek trzymał w wyciągniętej dłoni latarkę.

– Udało im się! – Z piersi Konrada wydarło się westchnienie ulgi.

ROZDZIAŁ 6

1938

Ignacy mechanicznie obierał ziemniaki wyszczerbionym kozikiem. Siedział w kuchni obozowej na kulawym stołku i zżymał się w myślach na idiotyczny regulamin nakazujący wszystkim harcerzom po kolei obejmować dyżury przy niewdzięcznych pracach gospodarskich. Najchętniej powiedziała by druhowi, patrząc mu, rzecz jasna, prosto w oczy, że nie po to w domu ma służbę, żeby osobiście zajmować się pracą odpowiednią dla kucharek i parobków, zwłaszcza że kiedyś otrzyma tytuł hrabiowski. Nie było to do końca prawdą. Tytuł odziedziczył po ojcu Konrad i zupełnie go nie używał. Śmiał się nawet, że przy jego zawodzie jest wręcz kłopotliwy. Ze służbą też Ignacy nieco przesadził, bo mieli gosposię i tyle. W willi rodziców niegdyś uwijało się mnóstwo personelu, ale te czasy dawno się skończyły. Nie zmieniało to faktu, że Ignacy uważał się za stworzonego do lepszych rzeczy niż obieranie ziemniaków na grochówkę dla całej drużyny.

Od kilku dni z myśli nie schodziła mu młodzietka Krysią Melner. Tłumaczył sobie, że skoro uratował jej życie, to w naturalny sposób już zawsze będzie się troszczył o jej bezpieczeństwo. Prawda była jednak taka, że dziewczynka patrzyła na niego z podziwem. Dla niej był bohaterem. Ignacemu, który uważał się za pokrzywdzonego przez los i niedostatecznie szanowanego przez otoczenie, uwielbienie Krystyny zwyczajnie schlebiało.

Gdy przyprowadził ją przemoczoną i wyziębioną do obozu, wzbudził natychmiast zainteresowanie kolegów, więc dodatkowo napawał się swoją bez wątpienia kluczową rolą w ratowaniu dziewczyny. Druh powierzył mu obozową furgonetkę, zwykle służącą do aprowizacji obozu, by mógł odwieźć Krystynę do jej drużyny. Na szczęście Ignacy potrafił prowadzić samochód. Zadbał o to Konrad, a w Krystynie wzbudziło to jeszcze większy podziw. A on chciał być podziwiany. Podobał mu się obraz samego siebie, jaki widział w jej oczach, i właśnie dlatego od kilku dni chodził jak struty, nie potrafiąc wymyślić żadnego pretekstu, żeby ponownie zobaczyć dziewczynę.

– Jak tak będziesz powoli strugał, to za tydzień nie doczekamy się obiadu. Coś taki zafrasowany? Zakochany jesteś? – zażartował druh, siadając na sąsiednim zydlu.

– A tak jakoś się zamyśliłem, druhu drużynowy – zmieszał się Ignacy. Doskrobał ziemniaka i wrzucił do stojącego przed nim wiadra.

– Ciesz się, bo jutro ci dyżur przepadnie.

– Nie jemy jutro obiadu? – zdziwił się chłopak.

– Jemy, ale gotują harcerki! – roześmiał się druh. – Zaprosiły nas na ognisko i potańcówkę. Ogłoszę dzisiaj na wieczornym apelu, więc się nie wygadaj do tego czasu.

– Milczę jak głaz, druhu drużynowy! – powiedział Ignacy. Z trudem powściągnął uśmiech i ze zdziwieniem poczuł, że serce zaczęło mu żywiej bić.

W nocy nie mógł usnąć. Przewracał się z boku na bok na pryczy, zastanawiając się, co powie Krystynie, gdy ponownie się spotkają. A może przyplącała przygodę w jeziorze przeziębieniem i nawet nie wyjdzie z namiotu? Ostatnia myśl sprawiła, że Ignacy otworzył oczy i usiadł. Wiedział, że ze snu już nici, więc wymknął się bezszelestnie z namiotu. Niebo pojaśniało, lecz do brzasku było jeszcze daleko. Chłopak wciągnął w płuca żywiczne powietrze. Sosnowy, mroczny las był mu przez ostatni miesiąc najwierniejszym przyjacielem. Ignacy chadzał własnymi ścieżkami, więc gdy tylko mógł, zniknął kolegom z oczu i zaszywał się z dala od obozu. Wiedział, że ma opinię dziwaka, lecz zupełnie nic sobie z tego nie robił. Nie zależało mu na ich opinii. Aż do teraz.

Usiadł pod drzewem i oparł się plecami o pień. Ścierpła mu skóra na myśl, że mógłby się skompromitować przed Krystyną i jej koleżankami na oczach kolegów z drużyny. Obiecał sobie solennie, że tym razem nie będzie się zachowywał jak odludek. Skoro był bohaterem Krystyny, zachowa się jak bohater.

Energiczny marsz do obozu dziewcząt trwał ponad godzinę. Pomyślał, że to właściwie lepiej. Spacer pomoże uporać się z podenerwowaniem.

Jednak gdy odgwizdano wyjście drużyny z obozu, Ignacy poczuł, że ma miękkie kolana.

– Drużyna, baczność! – rozległ się rozkaz. Ignacego zwykle drażnił ten cały dryl. Może i był zwolennikiem wojska, ale irytowała go konieczność wykonywania ślepo wszystkich rozkazów, więc nie odnajdował się w żadnych strukturach. Sparzył się już podczas pobytu w kolejnych internatach. Ale teraz zerknął na zgromadzone przy wejściu do obozu dziewczęta i wyprężył się jak struna. W duchu cieszył się, że nie stoi sam.

– Witamy w naszym obozie! – Naprzód wyszła drużynowa i uśmiechnęła się serdecznie. – Rozgośćcie się. Dziewczęta prowadzą panów po naszym terenie. Wkrótce zaczniemy ognisko.

– Jeśli trzeba nanieść chrustu, natychmiast oddeleguję kilku harcerzy – oświadczył drużynowy.

Ignacy ledwie łowił uchem wymianę uprzejmości. Stał, jak mu nakazano, lecz pomimo twarzy skierowanej w przewidzianą regulaminem stronę zerkał na harcerki, próbując odnaleźć Krystynę.

– Jak panowie sobie życzą – odparła drużna. – Dziewczęta doskonale sobie radzą same, lecz pomoc jest oczywiście zawsze mile widziana.

– Drużyna, spocznij! – padł upragniony rozkaz.

Drużynowy błyskawicznie rozdzielił zadania pomiędzy swoimi ludźmi, starając się nie zauważać ich prężenia mięśni przed dziewczętami, które uśmiechały się do kolegów i zdecydowanie miały nadzieję na nowe znajomości.

Ognisko zapłonęło nad jeziorem tuż po zachodzie słońca. Harcerze siedzieli w zdyscyplinowanym szeregu i z uśmiechami przyjmowali przyrumienione kiełbaski zdejmowane z ognia przez dziewczęta. Ignacy ponownie rozejrzał się, lecz nie udało mu się dostrzec Krystyny. A może zwyczajnie zapomniał, jak wyglądała? Zacisnął szczęki, z irytacją skupiając uwagę na rosnącym stosie chrustu. Paru gorliwych harcerzy wciąż ściągano kolejne gałęzie, nie bacząc na gęstniejący mrok.

Ciepły wieczór toczył się niespiesznie w rytm wygrywanych na gitarze akordów. Jak to zwykle na początku sierpnia, niebo znaczyły świetliste kreski spadających gwiazd, a z zarośli dochodziło cykanie

świerszczy. Ignacy miał właśnie zamiar wycofać się dyskretnie, żeby usiąść w pewnym oddaleniu od drużyny i porozmyślać, patrząc na odbijający się w jeziorze księżyc, lecz nie zdążył nawet wstać, gdy z drugiej strony dobiegły go uroczyste werble. Zaciekawiony spojrział w tym kierunku i zamarło mu serce. Na oświetlonej płomieniami polance ujrzał Krystynę. Choć tym razem była uczesana w dwa warkocze i miała na sobie mundurek, poznał ją od razu. Obok niej stali druzynowi, obydwójce z uroczystymi minami.

– Chcieliśmy coś ogłosić – oświadczył druh, odczekawszy, aż ucichną werble. – Niejednokrotnie Związek Harcerstwa Polskiego udowadniał, że w szeregach naszych jest miejsce dla ludzi szlachetnych i odważnych, bowiem właśnie te cechy cenimy najwyżej. Różne są oblicza odwagi, a jednym z nich jest ratowanie ludzkiego życia, nawet z narażeniem własnego. Najwyższą odwagą natomiast można się wykazać nie tylko na polu bitewnym. Z dumą ogłaszam, że nasz kolega druh Ignacy Werner został zgłoszony do odznaczenia „Za uratowanie życia”. Ignacy, wystąp!

Wokół ogniska rozległa się burza oklasków i gwizdów. Oszołomiony Ignacy, poklepywany przez kolegów, został wręcz wypchnięty na środek i ściskając po drodze niezliczone dłonie, stanął przed dowódcą.

– W imieniu władz Związku Harcerstwa Polskiego i swoim własnym z całego serca dziękuję. – Druhna druzynowa uścisnęła dłoń Ignacemu, a Krystyna podeszła z szerokim uśmiechem. Wręczyła oszołomionemu chłopakowi bukiet polnych kwiatów, a potem spontanicznie rzuciła mu się na szyję i ucałowała w policzek. Ponownie rozległy się gwizdy i brawa. Splotony jak piwonia Ignacy niezdarnie poklepał dziewczynę po plecach. Natychmiast wywinął się z jej objęć, walcząc z chęcią ucieczki.

– Odznaka „Za uratowanie życia” to jeden z najwyższych zaszczytów, jaki może przyspaść harcerzowi w udziale – oświadczył drżącym ze wzruszenia głosem druzynowy. – Jestem pewny, że wkrótce spotkamy się w Warszawie na uroczystości jej wręczenia. Czuwaj!

– Czuwaj! – odpowiedziały harcerki i harcerze.

Ignacemu aż kręciło się w głowie od gratulacji, ilości uściśniętych dłoni i ciepłych słów, jakie usłyszał tej nocy. Marzył tylko o tym, żeby zaszyć się w ciemnym kącie, zejść tym wszystkim ludziom z oczu, a jednocześnie rozpierać go duma, jakiej nie czuł jeszcze nigdy. Ciemną plamą na jego triumfie kładło się jedynie to, że Krystyna zniknęła wśród swoich koleżanek po drugiej stronie ogniska, a on nie miał śmiałości, żeby do niej podejść. Wzbudzał powszechne zainteresowanie, więc doskonale wiedział, że wiele par oczu śledzić będzie każdy jego krok.

Tuż po północy drużynowy wydał rozkaz wymarszu, a Ignacemu zabrakło pomysłów, jak mógłby zamienić jeszcze choćby słowo z dziewczyną. Wiedział, że okazja do spotkania może nie nadarzyć się już nigdy, ponieważ jego drużyna zwijała obóz już za kilka dni. Choć Krystyna, jak zresztą większość harcerzy z obydwu obozów, mieszkała w Warszawie, szanse na przypadkowe spotkanie były niewielkie. Z mocnym postanowieniem, że urwie się choćby ukradkiem, żeby przynajmniej spróbować ją zobaczyć ponownie przed odjazdem, z ociąganiem stanął w dwuszeregu.

– Zaczekaj! – usłyszał za sobą dziewczęcy głos. – To mój adres. Może napiszesz choć kartkę na święta? – zapytała głośno, natychmiast przyprawiając kilku najbliższych stojących chłopców o sztubacki chichot.

Ignacy cieszył się, że noc skrywa zdradzieckie rumieńce. Chwyił złożoną na czworo kartkę i pospiesznie schował do kieszeni.

– Napiszę – odparł cicho.

Podróż samochodem do Warszawy była dla Heleny niczym nierealny sen. Miała wrażenie, jakby wszystko wokół niej lekko się zamazywało, a uszy otulała wata. Poniewczasie zrozumiała, że to musiała być opóźniona reakcja na ostatnie wydarzenia. Zerknęła przez ramię na kuzyna.

Michał siedział z głową odrzuconą na oparcie tylnej kanapy, lecz wiedziała, że nie śpi. Zwyczajnie nie miał siły na jakąkolwiek rozmowę, więc odseparował się od współpasażerów. Poza kilkoma monosylabami nie wypowiedział od czasu spotkania na gdyńskiej

plaży nawet słowa. Twarz miał bladą, usta zacięte, a dłonie zwinięte w pięści tak silnie, że aż pobielaly mu knykie.

Helena nie chciała zakłócać tego nikłego spokoju, więc także milczała, bacznie obserwując, czy Konrad nie przysypia za kierownicą. Poddał się zmęczeniu tuż za Płockiem, więc zamienił się z Helą miejscami. Usiadła z ulgą na fotelu kierowcy. Milcząca bezczynność ostatnich godzin ogromnie ją znużyła, a z kolei ciągły stan podenerwowania nie pozwalał usnąć. Konrad nie miał takich problemów, zaraz zapadł w sen jak niemowlę.

Do Warszawy wjechali tuż przed świtem. Miasto powoli, wraz z dzwonieniem butelek w wózkach mleczarzy, budziło się do życia. Helena zaparkowała przed antykwariatem na Zgodzie. Ulica była jak wymarła, od kamienic bił poranny chłód, lecz w zasłoniętą kotarą witrynę już zaglądały pierwsze promienie słońca.

– Konradzie, obudź się. – Potrząsnęła delikatnie ramię mężczyzny. – Dojechaliśmy.

– Już? – wychrypiał nieprzytomnie.

– Tak. Wreszcie jesteśmy w Warszawie – odparła. W tym krótkim, pozornie banalnym stwierdzeniu krył się ocean niewypowiedzianej ulgi, że tu wciąż jest bezpiecznie, a ludzie mogą cieszyć się względnym spokojem.

– Co z Michałem? Nie mogę go odwieźć do domu matki. Zrodziłoby to zbyt wiele niepotrzebnych pytań – zmartwił się Konrad.

– Wolałbym, żeby pojechał do mnie, ale Ignacy lada chwila wraca z obozu harcerskiego. Wydaje mi się, że nie powinien być teraz sam.

– U mnie jest dość miejsca, dopóki ojciec nie wróci. Kto ma się wspierać jak nie rodzina? – odparła z prostotą Hela.

– Nie szepczcie o mnie, jakbym był głuchy – odezwał się Michał.

– Szeptaliśmy, bo sądziliśmy, że jeszcze śpisz – rzekł Konrad.

– Zatem, kuzynie, przyjmiesz zaproszenie w moje skromne progi? – spytała Helena. – Wielkich wygod tu nie ma, ale jest cisza i spokój. Sąsiedzi też pilnują własnych spraw.

– Przyjmę zaproszenie i bardzo ci dziękuję.

– Odwiedź nas, Konradzie. Dla ciebie te drzwi też są zawsze otwarte – dodała Helena.

Wkrótce Konrad odjechał, choć widać było, że z wyraźnym ociąganiem. Helena po raz kolejny zadumała się nad złożonością ludzkich losów. Tych dwóch desperacko pragnęło spędzać ze sobą każdą chwilę, lecz anonimowa masa ludzi po drugiej stronie drzwi cichego antykwariatu postanowiła, że nic z tego.

Kolejne dni na Zgodzie upływały kuzynom w spokoju. Michał odzyskał równowagę, zatapiając się w kolejnych książkach stryja Józefa.

– Przyznam, Heleno, że ta beczynność jest tak słodka, że zupełnie nie wiem, jak zdołam wrócić do pracy – oświadczył z błyskiem w oku, stając w progu niewielkiej kuchni.

– Myślałby kto. Jakbym nie wiedziała, że aż się palisz, żeby pojechać do szpitala – roześmiała się, mieszając drewnianą łyżką w garnku.

– Och, Heleno, czy to rosół z knejdłach? – zainteresował się natychmiast.

– Nie miałam macy na kulki, więc wrzuciłam pulpeciki wieprzowe – odparła.

– Masz bardzo osobliwe podejście do kuchni, moja droga. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Ach, zupełnie zapomniałam. – Hela klepnęła się dłonią w czoło.

– Ja zwykle łączę wszystko jak popadnie, ale przecież to wieprzowina. Zaraz wymyślę coś innego.

– Przecież wiesz, że nie przykładałam najmniejszej wagi do koszerności. Po prostu, jeśli jest się przywiązany do przepisu matki, znanego od wczesnego dzieciństwa, podobne pomysły mogą w pierwszej chwili zadziwić, ale zjem z przyjemnością. Matka robiła mi zawsze rosół z knejdłach na przeziębienie albo zły nastrój – rozmarzył się.

– Ja także chciałam poprawić ci nastrój – przyznała.

– Heleno, dziękuję ci, że się tak o mnie troszczysz – odparł, w jednej chwili poważniejąc. – Te chwile w Sopocie... – Zamilkł, nie potrafiąc sformułować myśli. Hela milczała, czekając cierpliwie, aż kuzyn podejmie wątek. – Chodzi o to, że gdy tam byliśmy, doświadczyłem tego wszystkiego, o czym piszą w gazetach. Dopóki jedynie czytamy, co robi i wygaduje Hitler, to wszystko wydaje się

odległe. Złe, lecz nie ma na nas wpływu. A teraz zło stało się namacalne. Oblepiło mi duszę strachem, że tak blisko nas żyją ludzie traktujący innych z niewyobrażalną pogardą. Nie słuchaj mnie – mruknął po chwili – niepotrzebnie marudzę.

– Wręcz przeciwnie. Mówisz mądrze. U nas też różnie bywa z tym traktowaniem.

– To prawda. Ale nie boję się chodzić po ulicach, nikt nie zabrania mi pójść na plażę i nie muszę uciekać pod osłoną nocy, słysząc strzały karabinu za plecami – szepnął. – Boję się, że pewnego dnia to samo spotka mnie w Warszawie.

Trójka przyjaciół nie wracała już więcej w rozmowach do wydarzeń z Sopotu. Choć siedząc wieczorami w warszawskich restauracjach i dansingach, chętnie wspominali sielskie chwile na helskich plażach, sprawę ucieczki przez granicę Wolnego Miasta Gdańska pomijali milczeniem.

Paulina z ulgą wyszła z kamienicy na Solcu. Odkąd ogłosili z Poldkiem rodzinom, że spodziewają się dziecka, kobietę zalała nieznośna wręcz fala czułości i troskliwości ze strony bliskich. Z dnia na dzień przestała być Pauliną, a stała się bezcennym naczyniem do przechowywania potomka Malinowskich. Prym w dogadzaniu jej na siłę wiodła oczywiście ciotka Maria. Nawet teraz, gdy Paulina postanowiła pójść na spacer do rodziców na Pragę, musiała ją okłamać, że idzie do kościoła. Ten argument stara dewotka rozumiała zawsze.

Inna sprawa, że Paulina miała nieco wyrzutów sumienia, ponieważ sama była silnie związana z Kościołem i starała się nie czynić niczego, co później musiałyby wyznać w konfesjonale. Pokusa wyjścia, żeby choć trochę pobyć tylko z własnymi myślami, okazała się jednak zbyt mocna.

Środkiem brukowanej ulicy toczył się w takt stukotu końskich kopyt drewniany wóz. Chociaż motoryzacja w dużym stopniu zmieniła oblicze transportu, a samochody były wszechobecne, na Solcu czas jakby się zatrzymał. Samochodów widywało się tutaj mniej. Paulina poczekała, aż wóz wypełniony ziemniakami przetoczy się dalej, i przeszła na drugą stronę ulicy. Była niemal pewna, że

czujne oko Marii śledzi każdy jej krok zza firanki okna kuchennego, więc starając się trzymać na widoku, poszła w stronę kościoła. Lecz gdy tylko zniknęła z zasięgu wzroku ciotki, poszła na przystanek. Wkrótce, podzwaniając wesoło, nadjechał czerwony tramwaj, nawet niezatłoczony, więc Paulina wskoczyła na stopień pojazdu. Choć pałała chęcią, by udać się na dłuższy spacer, uznała, że tak szybciej i niepostrzeżenie zniknie z zasięgu wścibskiej dewotki. Tramwajem dostała się w pobliże mostu Kierbedzia, gdzie wysiadła.

Idąc na drugą stronę Wisły, obserwowała grę światła padającego na chodnik przez ażurową kratę mostu. Rzeka płynęła leniwie, skrząc się w popołudniowym słońcu. Paulina szła niespiesznie, uśmiechając się do siebie. Świat wydawał jej się piękny. Od czasu, gdy powiedziała Poldkowi, że spodziewa się dziecka, jej mąż odnosił się do niej z ciepłem i szacunkiem. Ku jej rozpaczy nie zbliżał się do niej w nocy, twierdząc, że nie chce zaszkodzić dziecku, lecz przytulał, głaskał czule po włosach, a ona znajdowała w tym ukojenie. I była w stanie przymknąć oczy na to, że jest boleśnie niezaspokojona. Sama myśl o tym wpędzała ją w zażenowanie. Co więcej, w zasadzie nie miała żadnych argumentów. W świetle wiary mąż spełnił powinność małżeńską, więc dalsza bliskość Bogu nie była do niczego potrzebna. A fakt, że zmieniające się ciało Pauliny płonęło pożądaniem, zupełnie się w tym nie liczył. Właśnie dlatego kobieta skupiała się na przyszłości, gdy dziecko już pojawi się na świecie, a ona ponownie stanie się tylko sobą. Przy odrobinie szczęścia ciotka Maria straci nią zainteresowanie.

Gorączkowe myśli do tego stopnia ją zajęły, że nawet nie zauważyła, jak dotarła na Ząbkowską. Zawsze gdy stawiała przed rodzinną kamienicą, w jej sercu rodziła się błogość. To właśnie tu, na podwórzu studni spędziła najszcześniejsze lata, bawiąc się z dziewczynkami z sąsiedztwa. Czy podobne wspomnienia będzie miała jej córka z kamienicy na Solcu?

– To będzie córka! – mruknęła pod nosem. – Ciotka Maria i teść mogą sobie gadać, co chcą, ale noszę pod sercem dziewczynkę. – Paulina oczywiście wiedziała, że oczekiwania w rodzinie Malinowskich wiążą się wyłącznie z chłopcem, lecz w jej odczuciu srogo się zawiodą. Roześmiała się do siebie, myśląc, że to jedna

z tych spraw, na które nikt nie ma wpływu. – Chłopak będzie następny! – zachichotała, dziarsko wspinając się po schodach kamienicy. Obiecała sobie, że niezależnie od tego, co szykuje dla niej przyszłość, postara się być szczęśliwą żoną Poldka. Kochała go, choć oczywiście nigdy ot tak nie przyznałaby się do tego. Nie wydawało jej się to eleganckie ani potrzebne w małżeństwie. Tego nauczyła ją matka, a przecież ona żyła z ojcem od wielu lat.

– Córcia! – Teresa Melner klasnęła w dłonie na widok Pauliny i pospiesznie ściągnęła kuchenny fartuch. Choć rodzice od dawna posiadali pomoc domową, matka nie przyjmowała do wiadomości, że dzięki pieniądzom, które zarobili na mięsie z Januarym, ma udawać damę. To było zupełnie nie w jej stylu. – A co tu sama robisz? Gdzie Poldek? – zapytała z troską.

– Mamo, może jestem przy nadziei, ale to nie znaczy, że nie mogę sama przyjść z wizytą do rodzinnego domu – zaprotestowała żywo Paulina, lecz uśmiechnęła się szeroko na widok matki.

– Wejdz, dziecko, no przecież ogromnie się cieszę, że jesteś! Ojca nie ma, dogląda interesów, ale Krysia wróciła wczoraj z harcerzami. A wyrosła! A jak się opaliła! Ucieszy się na twój widok. Zaraz każę podać podwieczorek. – Melnerowa pociągnęła córkę do krzykliwie udekorowanego salonu.

– Pójdę do naszego pokoju. To znaczy do Krysi, dobrze? – zapytała Paulina. Nie chciała być traktowana w rodzinnym domu jak gość. Przyszła tu, żeby poczuć się swojsko. Choć nie przyznawała się do tego, w kamienicy Malinowskich czuła się obco. A to, że na Ząbkowskiej jej rodzona matka także traktowała ją jak kogoś z zewnątrz, sprawiało, że dziewczynie zniknął ostatni bastion. Już donikąd nie przynależała w pełni. Starając się nie pogrążyć w ponurych myślach, pchnęła drzwi do pokoju jeszcze niedawno dzielonego z młodszą siostrą.

– Musisz wchodzić bez pukania? – rozsierdziła się Krysia. Siedziała przy dawnym szkolnym biurku starszej siostry i na jej widok zgarnęła do szuflady jakieś kartki i przybory do pisania.

– Mnie też miło cię widzieć, siostrzyczko – zadrwiła Paulina, lecz poczuła się głupio. Zrozumiała, że to miejsce w żaden sposób już do

niej nie należy. I nie chodziło tylko o panieński pokój. Jej rodzinny dom przestał być domem.

Szpital Starozakonnych na Czystem zajmował spory teren. Mieściło się na nim kilka osobnych pawilonów z oddziałami specjalistycznymi, a także budynek szkoły pielęgniarek, najbardziej nowoczesnej i postępowej w całej Warszawie. Przyjmowano do niego uczennice niezależnie od pochodzenia. Jedyne kryterium stanowiły wyniki egzaminów. W świetle ograniczeń ilościowych dla kandydatów pochodzenia żydowskiego na uczelniach wyższych, ze szczególnym uwzględnieniem Akademii Medycznej, szkoła na Czystem jawiła się oazą normalności w kraju, którego rząd, choć wciąż nie tak straszny, niebezpiecznie upodabniał się do nowego niemieckiego porządku. Gwoli ścisłości, pewna część społeczności żydowskiej upatrywała pozytywnych zmian na wschodzie. W totalitarnym systemie, którego żaden Polak doświadczony zaborami nie był w stanie zaakceptować. A to rodziło napięcia, zwłaszcza że zarówno Stalin, jak i Hitler prężyli muskuły. Propaganda rozlewała się trucizną po wszystkich warstwach społecznych, powodując coraz większą dezorientację w ludziach.

Helena założyła biały fartuch na szkolną sukienkę w różowe pasy. Charakterystyczny strój sprawiał, że uczennice z Czystego każdy rozpoznawał z daleka. Dziewczynę ekscytował powrót do nauki zawodu po wakacjach. Podobała jej się praca w szpitalu, a poza tym czepiała się nadziei, że gdy zajmie czymś głowę, być może uda się wyrzucić z niej Poldka.

– Już wróciłaś? – Michał ucieszył się, gdy zobaczył kuzynkę na oddziale chirurgii. Więzy pomiędzy nimi bardzo się zacieśniły po wydarzeniach minionego lata.

– Tak, na szczęście! – odparła. – Niech życie wróci do normalności – westchnęła.

– Gdybyśmy nie byli tam razem, wcale bym nie powiedział, że spędziłaś lato nad morzem – powiedział Michał, przyglądając się dziewczynie badawczo.

– Co masz na myśli? – zdziwiła się.

– Jesteś bardzo blada, Heleno – zauważył. – Źle się czujesz?

– Chyba nie. – W jej głosie dało się usłyszeć zawahanie.

– Chyba?

– Ostatnio brakuje mi sił – przyznała niechętnie. – Łatwo się męczę i wciąż chce mi się spać.

– To może być niedokrwistość – zauważył Michał, biorąc Helenę za rękę. Przez chwilę oglądał jej paznokcie.

– W moim wieku to raczej mało prawdopodobne – roześmiała się.

– Wręcz przeciwnie. Chodź! – Kuzyn wziął ją pod łokieć i pociągnął w stronę ambulatorium.

Próbowała się wykręcić, lecz Michał był nieprzejejdany. Szli wyłożonym linoleum korytarzem, mijając kolejne okna. Wrześniowe słońce odbijało się w wyszorowanej na wysoki połysk posadzce, rażąc dziewczynę.

– Nie przesadzasz aby? – zaprotestowała.

– Czyżbyś się bała małego uklucia? – wykiął ją.

Na to nie znalazła odpowiedzi. Milczała także w czasie, gdy jedna z pielęgniarek pobierała jej krew, i również wtedy, gdy Michał poprosił, żeby personel zajął się próbką w pierwszej kolejności.

– Nadal uważam, że przesadzasz – odezwała się w końcu, gdy dociskając kawałek gazy, wyszła za nim z gabinetu.

– Pewnie tak – zgodził się. – Ale sprawdzić trzeba. Zjedz jakiś sensowny posiłek w czasie przerwy. A ja wracam do pracy.

Dziewczyna także rzuciła się w wir obowiązków i wkrótce zapomniała o sprawie. Zdziwiła się, gdy kilka dni później Michał wywołał ją z sali lekcyjnej.

– W życiu nie widziałam cię w budynku szkoły. Potrzebujesz dodatkowych lekcji? – zażartowała.

– Heleno, możesz pójść ze mną? – zapytał.

– Czy coś się stało?

– Porozmawiamy w moim gabinecie – oznajmił.

Tak poważnego nie widziała go nigdy, więc zanim dotarli do następnego budynku, poczuła, że zaczyna panikować, a serce próbuje wyskoczyć z piersi. Zastanawiała się, czy zrobiła coś złego, może zaniedbała swojej obowiązki i przyjdzie jej się pożegnać

ze szkołą i szpitalem albo jakiemuś pacjentowi nieświadomie wyrządziła krzywdę?

– Usiądź – poprosił, gdy zamknął za nimi drzwi gabinetu.

Helena nie była tu od czasu, gdy wraz z Basią znalazły rannego Ignacego i przywiozły do szpitala. Miała wówczas na sobie zakrwawioną sukienkę i w panice sięgnęła po słuchawkę telefonu stojącego na biurku kuzyna. Zadzwoiła do Konrada, a potem przyglądała się zdjęciom stojącym na blacie. Teraz ich nie było. Lecz poza tym gabinet wyglądał dokładnie tak jak wtedy. Łącznie z czarnym ebonitowym aparatem telefonicznym.

– Nie podoba mi się ten oficjalny ton – oświadczyła, kręcąc się na wyściełanym krześle.

– Jakoś to zniesiesz – odparł, patrząc wnikliwie. – Heleno, wyznam to bez ogródek, choć porusza mnie to do głębi – Michał zawiesił głos.

– Mówże, do jasnej cholery! – zirytowała się. – Jeśli umieram, wolę to wiedzieć bez żadnych ceregieli i tuszu orkiestry.

– Spokojnie, nie umierasz. Wręcz przeciwnie. Wkrótce powołasz na świat nowe życie, a ja się zastanawiam, jak do tego doszło.

Helena zerwała się z krzesła. Odruchowo przycisnęła dłoń do brzucha i kompletnie skołowana podeszła do okna. Pierwsze jesienne liście opadały na chodnik, a słońce podświetlało migotliwymi refleksami ich kurs ku ziemi.

– To nie może być prawdą! – oświadczyła wreszcie, siląc się na wyniosły ton.

– A jednak – powiedział cicho Michał.

– Przecież...

– Przecież co? – podchwycił. – Heleno, to jest bardzo wczesne stadium, ale kompletnie nie pojmuję...

– Poldek – wycedziła. – Jak zwykle on jest powodem moich kłopotów.

Michał milczał. Zatopił się we wspomnieniach z Juraty. Był pewien, że Helena właściwie cały czas trzymała się blisko niego i Konrada. Co więcej, miał nieco inne wyobrażenie na temat moralności kuzynki. Poldek spędzał wakacje nad morzem z żoną. Jak więc dwoje kochanków zdołało niepostrzeżenie umawiać się na

schadzki? Po chwili dotarło do niego, że niczym się od Heleny nie różni i z pewnością nie ma najmniejszego prawa, żeby ją osądzać.

– To była tylko jedna chwila zapomnienia na plaży... – wyjaśniła, jakby czytając kuzynowi w myślach. Planu wspólnej ucieczki nie zamierzała ujawniać, szczególnie że przez Poldka nigdy nie doszedł do skutku.

– Chcesz go powiadomić?

– Oszalałeś? – prychnęła. – Ma żonę – parsknęła wymuszonym śmiechem. – O powiadomieniu nie może być mowy.

– Coś zrobić musimy – westchnął Michał. – Ten kłopot sam się nie rozwiąże – dodał.

– Przynajmniej w tym jesteśmy zgodni.

– Że coś trzeba zrobić?

– Że to kłopot – odparła ponuro.

– Nie powinienem tak mówić, w końcu to największy cud natury, ale sama wiesz, z czym się zмага matka nieślubnego dziecka. Wytykanie palcami to najłagodniejsze, z czym będziesz się spotykać. Dlatego im szybciej powiemy o tym twojemu ojcu, tym lepiej. Wszyscy musimy przygotować się na to, co będzie potem.

– Tyle że nie będzie żadnego potem! – zachnęła się Helena. – Jeśli sądzisz, że zamierzam urodzić dziecko tego... tego zdrajcy, to znaczy, że kiepsko mnie znasz! – Rozsierdzona dziewczyna krążyła po gabinecie jak lew po klatce.

– Przede wszystkim usiądź – zaproponował łagodnie. – To, o czym mówisz, jest nielegalne. Nie protestuj i daj dokończyć – powiedział, widząc, że Helena otwiera usta. – Nie zamierzam cię odwozić od decyzji, jedynie wyjaśnić dokładnie, z czym to się wiąże.

– Myślisz, że nie wiem? – odparła zrezygnowanym tonem i ciężko usiadła na krześle. Michał podał jej szklankę wody. Choć Helena starała się trzymać w ryzach, czuła, że denerwuje się coraz bardziej. Z każdą minutą docierało do niej, że świat wywraca się właśnie do góry nogami.

– Sądzę, że wiesz dużo, ale zanim podejmiesz jakąkolwiek decyzję, obiecaj mi, że nie będziesz szukała pomocy u jakichś

szarlatanek. Wiesz, ile kobiet traci życie wskutek zakażeń po takich pokątnych zabiegach?

– Jesteś przeciwny spędzaniu płodów bez względu na przyczynę? – zapytała.

– Wręcz przeciwnie. Sądzę, że do nieszczęścia w największej mierze przykładają się nasze władze i ta niesprawiedliwa groźba więzienia dla kobiet. Na każdym kroku nieustannie zastanawia mnie, dlaczego silniejsi za wszelką cenę chcą mówić słabszym, jak mają żyć i co jest słuszne. Ale to nie czas na takie refleksje, Heleno. Teraz chodzi o ciebie. Wiesz, że zawsze wyciągnę do ciebie pomocną dłoń i nigdy nie będę oceniał. Tak jak ty nigdy nie oceniłaś mnie. – Michał spojrzał na nią z poważną miną.

– Dlaczego wyczuwam w tym jakieś ale?

– Bo jest jedno. Uważam, że powinnaś się dobrze zastanowić. Wciąż masz czas. I proszę, żebyś wróciła do mnie, gdy podejmiesz decyzję. Jeśli będzie trzeba, polecę ci odpowiedniego doktora. I zapłacę, ile będzie trzeba. Nie ryzykuj niepotrzebnie życia. Będę cię wspierał niezależnie od decyzji. A uwierz, żadna nie będzie łatwa.

ROZDZIAŁ 7

1938

Apoloniusz Malinowski rzucił gazetę na stół i z głośnym siorbaniem upił herbaty z filiżanki. Paulina z trudem powstrzymała grymas obrzydzenia. Na nikim oprócz niej ten pokaz brzydkich manier nie zrobił najmniejszego wrażenia. Ciotka Maria, jak zwykle uczesana w ciasny kok i ubrana w popielatą staromodną sukienkę, niespiesznie przeżuwała kawałek chleba, a Poldek z apetytem pochłaniał swoją porcję jajecznicy.

– Zupełnie nie rozumiem tego rozgorączkowania Sudetami – oświadczył stary Malinowski poirytowanym tonem. – Skoro na tych terenach mieszka tylu Niemców, to Czesi powinni przystać na prośbę Hitlera i oddać mu, co się należy. Jak jednemu sąsiadowi puści się gałąź jabłoni nad płotem, to do kogo należą jabłka? – zapytał retorycznie.

– Jabłka może i tak, ale nie drzewo i ziemia, na której ono rośnie – zauważył trzeźwo Poldek, lecz nie kontynuował zgrabnej przenośni, zgromiony spojrzeniem ojca.

– Odkąd to z ciebie taki inteligent? – zezłościł się Apoloniusz. – Kończ śniadanie i idziemy do pracowni. Mosze ma dla ciebie sporo zajęć, może to cię wyleczy z filozofii.

Poldek zacisnął szczęki, żeby się nie odezwać. Posłusznie wgryzł się w pajdę pysznego chleba wypiekanego osobiście przez ciotkę. Nie lubił krewniaczki, lecz musiał przyznać, że była niezrównaną gospodynią.

– Dzisiaj mam badanie lekarskie – zagaiła Paulina. – Chcesz iść ze mną?

– Nonsens, moja droga – wcięła się ciotka. – Nie mieszaj mężczyzn w kobiece sprawy.

– Otóż to – sapnął z zadowoleniem Malinowski. – Niech każdy zna swoje miejsce. Czesi także! Nie potrzeba nam kolejnej awantury. Nie pojmuję, dlaczego Praga po prostu nie odda Hitlerowi Sudetów i tyle. A inne mocarstwa niepotrzebnie się w to mieszają.

– Jeśli Londyn i Paryż będą tak ustępować Hitlerowi we wszystkim, w końcu i po nas wyciągnie ręce. Nie widzi ojciec, co

robi z Gdańskiem? Wolne Miasto? Dobre sobie! – odparł Poldek.

– Kanclerz Hitler dobrze się układa z Francją, a wroga widzi jedynie w komunistach. I w tym się z nim zgadzam! Komunistów należy tępić jak wszy – oświadczył tonem nieznoszącym sprzeciwu ojciec.

– Jeśli można powiedzieć choćby słowo w tym salonie politycznym, to przypominam, że zamówiłam mszę za moją świętej pamięci siostrę na najbliższą niedzielę. – Ciotka Maria położyła kres dyskusji, wstając zza stołu.

– Za moją świętej pamięci Eleonorę? – zdziwił się Malinowski. – A co to za okazja? – zapytał, pamiętając świetnie, że żona odeszła z tego świata w grudniu, a dopiero zaczął się wrzesień.

– Już zapomniałeś, że w przyszłym tygodniu świętowalibyście rocznicę ślubu? – Ciotka spojrzała z wyrzutem.

Malinowski odchrząknął i ponownie schował twarz za płachtą gazety. Poldek poczuł wyrzuty sumienia, bo on także nie pamiętał. Matka i siostra nie żyły od trzech lat, a jemu zdawało się, że od tego czasu upłynęła wieczność. Przez głowę przeleciała mu myśl, że Janek z pewnością by nie zapomniał. On zawsze miał czulsze serce dla matki i był z nią silnie związany. Być może dlatego, że ojciec nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Ku własnemu zdumieniu Poldek poczuł ukłucie tęsknoty za bratem. Po jego ucieczce, zbyt zajęty swym nieszczęśliwym małżeństwem z Pauliną, nie poświęcał Jankowi nawet przelotnej myśli.

Poldek zastanowił się, jak ciotka Maria łączy podtrzymywanie pamięci o zmarłej siostrze z grzaniem łoża jej mężowi. Co ciekawe, tej gorliwej dewotce grzmiącej o upadku moralności jej własne życie na kocią łapę wyraźnie nie zakłócało spokoju sumienia.

– O! Do Warszawy przyjechał już z Gdyni major Stevens – oświadczył Apoloniusz, zmieniając niewygodny temat.

– Czy to ten, który pobił kiedyś rekord światowy wysokości lotu balonem? – zaciekawiła się nagle Paulina. Choć zrezygnowała z uprawiania wszelkich dyscyplin, wciąż interesowała się światem sportu i różnych osiągnięć.

– A jakże – mruknął Malinowski. – Piszą, że przyjechał szkolic naszego pilota, który ma pobić jego wynik na pokładzie naszej

„Gwiazdy Polski”.

– Trzydzieści kilometrów nad ziemię! Tylko pomyślcie! – podekscytowanemu Poldkowi aż zaśniły oczy. – Mówią, że nasz narodowy balon będzie badał rozkład promieniowania kosmicznego. Kto wie? Może Polacy zostaną pionierami podboju kosmosu?

– I na co to komu potrzebne? – fuknęła ciotka. – Jakby Bóg chciał, żeby ludzie latali, toby im dał skrzydła. Ile to pieniędzy zmarnowanych na tę całą „Gwiazdę”.

– Ale przecież postęp... – Poldek podjął dyskusję.

– Co dzisiaj na obiad, Mario? – odezwał się Malinowski, stanowczo kończąc spór.

– Dobrze, żeś mi przypomniał, Apoloniuszu. – Ciotka klasnęła. – Będą pierogi, a ja muszę wysłać podkuchenną po słoninę na skwarki.

– I tak się właśnie ucina dyskusje z babami, synu – zarechotał Malinowski. Od czasu, gdy okazało się, że Poldek podolał zadaniu i spłodził potomka, bywało, że ojciec traktował go jak partnera.

Paulina poczerwieniała, lecz nic nie powiedziała. Poldek zauważył, że tak mocno zacisnęła dłoń na widelcu, aż pobieleły jej knykcie. Nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad tym, jak nie lubiana żona czuje się w tym domu. W cieniu jego despotycznego ojca nie mogło być jej łatwo.

– Odprowadzę cię na górę, zanim pójdę do pracy – zaproponował szarmancko.

– Dziękuję, ale nie ma takiej potrzeby – odparła ze zdziwieniem.

Poldek nie ponowił propozycji. Uśmiechnął się uprzejmie, po czym zbiegł po schodach na parter. Znajdująca się w głębi podwórza pracownia rękawicznicza wydawała się ziemią obiecaną po torturach rodzinnego śniadania. Uświadomił sobie, że podobne uczucia będą mu towarzyszyć do końca życia. Nie uwolni się od rodzinnego interesu, niechcianej żony i dzieci, które pewnie kolejno będą przychodzić na świat. Natomiast ojciec i ciotka to gorzkie wisienki na zakalcowatym torcie jego życia.

Ignacy tęsknił za Krysią bardziej, niż byłby skłonny przyznać. Odważył się wysłać do niej krótki list, lecz na razie nie doczekał się

odpowiedzi. Choć starał się o tym nie myśleć, dręczyło go przeświadczenie, że jest dziewczynie obojętny. Wzruszył ramionami, zarzucił marynarkę i zaczął upychać do skórzanej torby rękawice bokserskie.

– Wychodzisz po zmroku? – Do pokoju wyrostka zajrzał wystrojony we фрак Konrad. W dłoni trzymał wytworne rękawiczki, które niegdyś tuzinami kupował w sklepie Malinowskiego na Nowym Świecie.

– Idę na trening, przecież mówiłem – burknął Ignacy w odpowiedzi. – Ja tam ciebie nie pytam, gdzie tak idziesz wystrojony po nocy.

– Gdybyś tylko zadał sobie trud posłuchania, co się do ciebie mówi, zapamiętałbyś, że świętuję dzisiaj premierę najnowszego filmu, a nawet zapraszałem cię, żebyś mi towarzyszył.

– Wolę iść na trening – odparł Ignacy. – Guzik mnie obchodzą te twoje durne komedie.

Konrad westchnął, lecz nie dał się sprowokować. Życie pod jednym dachem z młodszym, sprawiającym problemy bratem nauczyło go, że czasem lepiej coś przemilczeć, niż dać się wciągnąć w otwartą wojnę. Zamknął za sobą cicho drzwi pokoju Ignacego, po czym wyszedł z mieszkania. Oprócz poświaty z okien eleganckie podwórze wewnątrz osiedla oświetlały lampki nad wejściami do klatek schodowych. Wciąż zielona winorośl, posadzona przy fasadach z szarej cegły, wspinała się już na wysokość pierwszego piętra. Kolonia Szarych Domów zaczynała się wtapiać w otoczenie, tracąc inwazyjny charakter w młodej dzielnicy. Samochód czekał na elegancko ubranego właściciela tuż obok latarni. W rozproszonym żółtym świetle karoseria lśniła brązowym odcieniem.

– Czas na zabawę – westchnął z rezygnacją Konrad, odpalając silnik.

Kompletnie nie był w nastroju na raut, lecz właściwie nie miał wyboru. Producent zarezerwował prywatny gabinet w Oazie, opłacił fotografa, który zrobi zdjęcia do prasy, i ufundował niezgorszą kolacyjkę z szampanem i szerokim wyborem innych alkoholi. Konrad zdecydowanie wolałby zaszyć się z Michałem w zamkniętej na głucho willi po rodzicach, lecz o tym nawet nie mogło być mowy.

Zamiast tego ruszył w stronę bliskiej Ochoty, gdzie w mieszkaniu wynajętym przez jej kochanka mieszkała Ida Wolińska, jego partnerka filmowa, a na użytek prasy oficjalna flama.

Konrad kompletnie nie potrafił zrozumieć, że taka zdolna, piękna i niewątpliwie inteligentna kobieta zgadza się na granie drugich skrzypiec w życiu mężczyzny. Przecież kochali ją wszyscy, wystarczyło, żeby pstryknęła palcami, a u jej stóp kładliby się hrabiowie, herbowi posiadacze ziemscy i pewnie tuzin bogatych fabrykantów gotowych przychylić jej nieba. Ona jednak od lat trwała przy swoim pułkowniku z pierwszych stron gazet, choć wiedziała, że ich związek nigdy nie doczeka się ujawnienia.

– Co za kreacja! Ido, wyglądasz bajecznie – skomplementował koleżankę, gdy pojawiła się na chodniku przed kamienicą. Czegokolwiek by nie sądził o jej życiu osobistym, musiał przyznać, że aktorka była stuprocentową profesjonalistką. Zawsze punktualna, przygotowana i z przyklepionym do twarzy uśmiechem. Ubrana w srebrną połyskującą suknię przyozdobioną śnieżnobiałymi piórkami prezentowała się zjawiskowo.

– Zaprosiłeś Michała? – zapytała, gdy już umościła się wygodnie w samochodzie. Doskonale wiedziała, z kim związał się jej filmowy partner. Musiałaby być ślepa, żeby nie spostrzec ich więzi podczas pobytu w Juracie.

– Zaprosiłem. Helenę także. Gdy są we dwoje, nikt nie zadaje zbędnych pytań. A oni mogą się łatwo wykpić faktem, że są kuzynostwem.

– Stąpasz po cienkim lodzie, przyjacielu – westchnęła.

– Nie bardziej niż ty – odparł. – Ja przynajmniej nie daję się wciągnąć w politykę.

– Bez obaw, to ona cię wciągnie, nawet jeśli nie będziesz chciał – roześmiała się ponuro.

– Co masz na myśli?

– Nieważne, pewnie mam tremę przed rautem i plotę wierutne bzdury – zbyła go.

– Jasne – mruknął pod nosem, lecz nie ciągnął wątku.

Wkrótce dojechali na Wierzbową. Niezbyt długa uliczka mieszcząca się na tyłach Ogrodu Saskiego stanowiła istotne miejsce

na mapie nocnych rozrywek miasta. Konrad wjechał od strony placu Teatralnego. Kolorowe neony i rozświetlone witryny lokali widać było już z daleka. Tuż obok sławnej Adrii ulokowała się jedna z restauracji Ziemiańskich, których Warszawa posiadała już kilka, jednak Konrad zaparkował przed Oazą, eleganckim i niezwykle popularnym stołecznym dansingiem z restauracją. Nie każdy mógł sobie pozwolić choćby na kieliszek wina w tym miejscu. Wysokiemu standardowi dorównywały zawrotne ceny.

– Dobrze, że mamy prywatny gabinet na piętrze – westchnęła Ida, wchodząc do szatni z widokiem na gwarną restaurację. – Głowa mi dzisiaj pęka i ostatnie, na co mam ochotę, to hałaśliwa zabawa.

– Gabinet czy sala główna, i tak będzie głośno, gdy zaczną się tańce – rozwiął jej złudzenia Konrad.

– Ach, faktycznie, skończyła się przerwa wakacyjna – przypomniała sobie.

Weszli na piętro szerokimi schodami wyłożonymi dywanem. W przestronnym prywatnym gabinecie kręciło się już sporo gości. Ustawione w podkowę stoły uginały się od fantazyjnie udekorowanych zimnych zakąsek. Tutejsza kuchnia serwowała znakomite jedzenie i jeszcze lepsze alkohole. Producent filmu miał gest i potrafił wywołać dobre wrażenie, co oczywiście było obliczone na efekt pośród zaproszonych pismaków.

Idę i Konrada, głównych aktorów nowej produkcji, przywitały gromkie brawa i głośne gwizdy. Nie mogli wypaść z roli, więc kobieta wdzięcznie wsparta na ramieniu partnera wysyłała dłońią całusy i uśmiechała się ile wlezie, trzepocząc rzęsami. Konrad wyszczerzył zęby i ścisnął mocno kolejne dłonie, choć jego myśli zaprzętało jedynie to, czy Michał pojawi się na przyjęciu.

Nie widzieli się od tygodnia, więc tęsknota robiła swoje. Zdawał sobie sprawę, że jeśli kochanek w ogóle przyjdzie, ich wzajemny kontakt nie wyjdzie poza krótki uścisk dłoni oraz parę zdawkowych słów. Ale nawet to było lepsze od całkowitej separacji.

– Zajmę się panami – szepnęła mu Ida dyskretnie do ucha. – A ty czaruj damy.

Aktorka uściśnęła krótko jego przedramię dłońią w śnieżnobiałej rękawiczce, po czym popłynęła w tłum gości z wystudiowaną gracją.

Konrad pomyślał, że chciałby mieć choć część jej pewności siebie. Publiczne wystąpienia przysparzały mu stresu. O ile przed kamerami czuł się jak ryba w wodzie i dawał z siebie wszystko podczas odgrywania roli, o tyle późniejszy kontakt z publicznością zdecydowanie go deprymował. Konrad był człowiekiem starej daty. Chciał być artystą, spełniać się zawodowo, lecz nie pragnął sławy. Rozumiał, że nadeszły nowe czasy i coraz mocniej naszpikowane zdjęciami gazety poszły z duchem epoki, lecz on nie był gotów na to wszechobecne zainteresowanie. Zastanawiał się, czy nie byłoby mu lepiej przed erą kinematografii na deskach stołecznych teatrów.

– Tu się chowasz! – kobiecy głos najpierw go zirytował, lecz gdy odwrócił się niechętnie i ujrzał Helenę ubraną w prostą sukienkę, jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– Już zacząłem wątpić, że cię tu dzisiaj zobaczę – powiedział z entuzjazmem.

– Michał nalegał – odparła cicho. – Niespecjalnie lubię podobne rauty, ale chciałam dodać mu otuchy. Zresztą długo nie zostaniemy, obydwójce musimy być jutro wcześniej rano w szpitalu.

– Gdzie on jest?

– Jakaś matrona porwała go na parkiet. Wyglądała na księżną, w każdym razie miała na ondulowanych włosach połyskujący diadem. Wydawała się bardzo miła, a Michał nie śmiał zaprotestować.

– Czyżby wpadł w ramiona Mieci Ćwiklińskiej? – roześmiał się Konrad. – Jeśli nie rozpoznałaś największej damy polskiej kinematografii, Heleno, to znaczy, że jesteś jeszcze większym oryginałem, niż myślałem.

– Aj tam, po prostu na co dzień siedzę z nosem w książkach i mało współczesnych spraw do mnie dociera. Co nie znaczy, że nie znam aktorów!

– A jakich znasz? – Konrad wyraźnie się z nią drażnił, jednocześnie prowadząc Helenę w stronę bufetu z napojami. W tle orkiestra przestawiła się ze skocznych melodii na jazz.

– Ciebie znam, panią Jadwigę Smosarską, Eugeniusza Bodo i oczywiście Idę Wolińską. Swoją drogą, jej srebrna suknia zdobiona białymi piórkami zwyczajnie zapiera dech w piersi.

– Ida zawsze potrafiła zrobić doskonale *entrée* – zgodził się Konrad. – Heleno, czy mi się wydaje, czy zmizerniałaś? – zapytał, przystając obok dziewczyny i ujmując jej dłoń.

– Nie, Konradzie, wszystko w porządku, jestem nieco zmęczona po zmianie w szpitalu – zełgała, zastanawiając się w duchu, ile aktor wie. Wcześniej sądziła, że Michał zachowuje całkowitą dyskrecję odnośnie do jej ciąży, ale teraz już nie była tego wcale taka pewna.

– To dobrze, nie chciałbym się martwić także o ciebie – odparł z zadumą.

– A o kogo się martwisz? – zareagowała natychmiast.

– Jak zwykle – westchnął. – O Ignacego.

Helena gruntownie знаła wszystkie problemy Konrada związane z młodszym bratem, więc o nic nie pytała, a jedynie pokiwała głową. Zresztą jej rozmówca spojrzał właśnie ponad jej prawym ramieniem i rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. Nie musiała się odwracać, wiedziała, że Miecia Ćwiklińska musiała uwolnić ze swoich sławnych objęć Michała.

– Jest tu coś do picia bez alkoholu? – Kuzyn miał rozpalone policzki, ale wyglądał na radosnego.

– Czyżbyś przepadł z kretesem w ramionach naszej najjaśniejszej gwiazdy? – zapytał Konrad, puszcżając oko do Heli.

– Pani Mieczysława jest przeuroczą partnerką – odparł Michał. – Aż żałuję, że żaden pismak nie zrobił fotografii na pamiątkę – roześmiał się.

– Nic straconego, będą krążyć jak sępy przez całą noc. Dobrze się ustaw i zdjęcie z naszą cudowną Mecią masz gwarantowane – parsknął Konrad.

Uwielbiał Ćwiklińską. Dała się poznać w młodości jako wielkoformatowa gwiazda teatru, a gdy nadeszła era filmów dźwiękowych, okazało się, że właściwie żadna produkcja nie może się obyć bez tej żywiołowej kobiety w średnim wieku. Pani Mieczysława po prostu zarażała wszystkich swoim humorem i niespożytą energią.

– Przepraszam was na chwilę, chyba zrobiło mi się słabo – szepnęła Helena. – Wyjdę zaczerpnąć nieco świeżego powietrza.

– Pójdę z tobą – natychmiast zaoferował się Konrad.

– Nie, ty zostań. Masz tu obowiązki – zaprotestował Michał. – Zobacz, Ida spogląda w naszą stronę znacząco. Ja wyjdę. Gdybyśmy nie wrócili, będzie to oznaczało tylko tyle, że odwozłem Helę na Zgodę.

Zabrzmiało to rozsądnie, więc Konrad nie oponował. Pocałował przelotnie dziewczynę w policzek i uściśnął mocno dłoń Michała, nie ulegając pokusie, by przytrzymać ją dłużej, niżby wypadało. Szczególnie w miejscach takich jak to należało zachowywać czujność.

Helena wsparła się na ramieniu kuzyna. Przy schodach Michał delikatnie, ale stanowczo wyplątał się z jej rąk, żeby objąć ją w pasie. Nie protestowała. Czuła, że kręci jej się w głowie, a przed oczami pojawiły się mroczki.

– Stańmy tu z boku na chwilę – powiedział, gdy wyszli z Oazy. – Powietrze dobrze ci robi, ale uważam, że powinniśmy wrócić do antykwariatu. Powinnaś odpoczywać.

– Nic mi nie jest! – odparła gniewnie. – Nie traktuj mnie jak chorej.

– Jestem jak najdalszy od tego, ale musisz przyznać, że jednak coś się zmieniło, prawda? – powiedział ostrzej, niż zamierzał.

– Odpocznę chwilę i możemy wracać na raut – oświadczyła z uporem.

– Heleno, doskonale rozumiem, że nie dopuszczasz do siebie prawdy, ale, do jasnej cholery, niezależnie czy to wyprzesz, czy nie, nadal będziesz w ciąży. Dociera do ciebie ta oczywista prawda?

– W jakiej ciąży? – rozległ się za ich plecami głos Konrada. – Co wy przede mną ukrywacie?

– Dlaczego wyszedłeś za nami? Nie powinieneś zabawiać Wolińskiej? – Helena nie wiedziała, co powiedzieć, więc odruchowo zaatakowała przyjaciela.

– Daj spokój – próbował łagodzić Michał. – Dowiedział się i tyle. Nie cofniesz tego, a pretensje to ostatnie, co nam teraz potrzebne.

Konrad nie zwrócił uwagi na jego słowa. Podszedł do Heli i położywszy jej dłonie na szczyptych ramionach, nieco się schylił. Patrzył przez chwilę dziewczynie badawczo w oczy. Były pełne łez.

Chociaż próbowała za wszelką cenę powstrzymać płacz, krople potoczyły się po policzkach.

– Moja biedna mała – szepnął Konrad. W porywie współczucia przygarnął ją do siebie mocno i delikatnie głaskał po włosach.

Helena czuła miarowe uderzenia jego serca, co w jakiś sposób krzepiło ją, a jednocześnie przypomniało tamtą scenę na Solcu, gdy stary Malinowski wprawdzie ochronił ją przed policją, ale później w niewybrednych słowach kazał się wynosić. Także wtedy przyczyną jej nieszczęścia był Poldek, a Konrad, ten niezawodny przyjaciel, przyszedł jej z pomocą. Przyłgnęła do niego ufnie jak małe dziecko.

– Musimy iść – mruknął półgębkiem Michał, widząc, że jeden z fotografów szykuje aparat, żeby uwiecznić zagadkową z jego perspektywy scenę pod lokalem restauracji.

– Wszyscy chodźmy – zdecydował Konrad. – Pojedźmy w jakieś spokojniejsze miejsce, gdzie będziemy mogli porozmawiać.

– A premiera? – zapytał Michał.

– Och, to nieistotne. Idźcie do samochodu – powiedział, wręczając Heli kluczyki. – Wykpię się niestrawnością czy inną migreną i zaraz do was dołączę. Jakoś straciłem zapalniczkę do rautu w towarzystwie filmowców.

Pół godziny później weszli do restauracji Żywiec na Marszałkowskiej. Jako że Konrad był tam stałym, bardzo lubianym przez obsługę bywalcem, natychmiast dostali stolik za dyskretnym przepierzeniem w kącie sali. Dzięki temu żaden z gości nie rozpoznał sławnego aktora.

– Dla mnie i kolegi piwo, a dla pani herbata oraz szklanka wody – zadysponował Konrad, nie konsultując zamówienia z towarzyszami.

– Potrawy zamówimy potem – dodał. – Zależało mi, żeby się szybko odczepił – usprawiedliwił się, gdy kelner odszedł od stolika.

– Chętnie napiję się herbaty – uspokoiła go Helena.

– Zapytałbym, dlaczego zatailiście to przede mną, ale mamy ważniejsze zagadnienie. Co zamierzasz zrobić? – Konrad zwrócił się do Heleny, gdy kelner postawił przed nimi napoje i oddalił się z zamówieniem na pożywny bulion dla niej i flaki po warszawsku dla panów.

– Nie zapytasz, kto jest ojcem? – Helena spojrzała zadziornie.

– Poldek, to oczywiste – odparł spokojnie Konrad. – Myślisz, że nie wiem, że dalej go kochasz? Nie musisz mówić, co zaszło pomiędzy wami w Juracie, ale z jakiejś przyczyny jestem pewny, że nie bierzesz pod uwagę poinformowania go o swoim stanie. Dlatego od razu przechodzę do sedna.

Michał spojrział na niego zaskoczony. Konrad umiał znacznie lepiej obchodzić się z dziewczęcą psychiką i najwyraźniej lepiej od niego znał Helę.

– Biję się z myślami. Nie wiem, co zrobić. Co chwilę zmieniam decyzję, ale jestem dziwnie pewna, że jeśli dojdzie do... – umilkła. Słowa o spędzeniu płodu nie chciały przejść jej przez gardło. – Nie dam rady. Stchórzę i wiem to. – Spojrzała przeprasząco na kuzyna.

– Heleno, przecież mówiłem ci już wcześniej, że cokolwiek postanowisz, będę cię wspierał – powiedział Michał.

– Obaj będziemy – dodał Konrad. – Musisz pamiętać o jednej rzeczy. Jeśli postanowisz urodzić to dziecko, trzeba, żebyś jak najszybciej porozmawiała z panem Józefem. Nie ukryjesz tego przed nim. Poza tym pamiętaj, że masz nadzwyczaj kochającego i wyrozumiałego ojca. Jestem przekonany, że cię nie odtrąci. A nawet jeśli, ja się tobą zaopiekuję. Jeśli będzie trzeba, po prostu się z tobą ożenię – powiedział spokojnie.

Michał zachłysnął się piwem, a Helena otworzyła oczy z niedowierzaniem. Jednak słynny aktor z nieprzeniknioną miną patrzył na dwoje najbliższych przyjaciół.

– Chyba nie mówisz tego poważnie. – Michał w jednej chwili poczerwieniał jak burak.

– Nie wiesz, o czym mówisz, Konradzie. – Helena nerwowo mięła róg papierowej serwetki z firmowym nadrukiem. – Jest Ida, twoja kariera, a poza tym to sobie nawet ciężko wyobrazić.

– To miłe, że ktoś w ogóle zastanowił się, co ja sądzę o tym pomysle – powiedział Michał z goryczą w głosie. Mężczyzna wstał gwałtownie i odwróciwszy się na pięcie, wyszedł z restauracji, pozostawiając kochankę w stanie osłupienia.

– Co tu się właśnie stało? – wyjąkał Konrad.

– Przecież to oczywiste. Zraniłeś uczucia człowieka, który cię kocha i którego darzysz podobnym uczuciem. Bo nie myślę się, że tak jest? – zapytała Helena.

– Oczywiście, że tak jest. Ale mimo wszystko nie pojmuję, co go tak wzburzyło. Przecież ja tylko...

– ...znieńca oświadczyłem się przy nim jego kuzynce? – podsunęła usłudnie.

– Przecież jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Uchroniłbym cię przed losem panny z dzieckiem, ale to nie wpłynęłoby przecież na to, co czuję do Michała. Co więcej! To dawałoby nam wszystkim przykrywkę doskonałą – obstawał przy swoim Konrad.

– Och, mój drogi – westchnęła. – Jestem ci niezwykle wdzięczna za tę hojną ofertę, ale wydaje mi się, że myślisz krótkowzrocznie, pod wpływem wzburzenia i za podszeptem szlachetnego serca.

– Krótkowzrocznie?

– Pomyśl, co będzie, gdy urodzi się to... dziecko. – Ostatnie słowo z trudem przeszło jej przez gardło. – Kim wszyscy dla siebie nawzajem będziemy? Kim ty będziesz dla niego? Ojcem? Chcesz takiej odpowiedzialności? Nowy człowiek zmienia w życiu wszystko. Wiele widzi i zadaje mnóstwo pytań. Stworzymy pozornie szczęśliwą rodzinę. Jakie w tym miejsce Michała? Nie rozumiesz, że to byłaby dla nas wszystkich pułapka, w której unieszczęśliwilibyśmy się na zawsze?

Konrad milczał, trawiąc słowa Heleny. Choć znacznie od niego młodsza, najwidoczniej miała więcej życiowej mądrości niż on.

– Chyba masz rację – bąknął w końcu.

– Poza tym jest jeszcze jedna rzecz.

– Jakaż?

– Jest zazdrosny. Zraniłeś jego uczucia.

– Powinienem za nim iść? – Zdezorientowany Konrad wykonał ruch, jakby chciał poderwać się z krzesła.

– Nawet nie wiesz, dokąd poszedł – odparła. – Poza tym sądzę, że woli teraz być sam. Pewnie wróci.

– A jeśli nie wróci?

– To porozmawiacie jutro. Może to nawet lepiej. Uspokoicie się do tego czasu.

Konrad wiedział, że dziewczyna ma rację, lecz siedział jak na rozżarzonych węglach, co chwilę zerkając w stronę drzwi. Ku jego zdumieniu po kwadransie Michał wrócił do restauracji. Usiadł bez słowa przy stoliku.

– Przepraszam. Wyrwałem się z tą głupią propozycją. – Konrad ze skruszoną miną obracał w palcach niepodpalonego papierosa.

– Po namyśle nie wydaje mi się taka głupia – odparł cicho Michał.

– Dość tego! – Helena z irytacją uderzyła dłonią na płask w stół.

– Konradzie, czy możesz mnie odwieźć do domu? Jeszcze dzisiaj rozmówię się z ojcem, a wy może wybierzcie się na jakiś spacer, żeby ochłonać?

Michał z trudem powściągnął uśmiech. Dokładnie takiej reakcji się spodziewał. Słowa Konrada oczywiście zraniły go mocno, lecz szybko zrozumiał, iż przy właściwym podejściu mogą wyzwolić w Helenie pragnienie działania. Dotąd trwała w marazmie i odsuwała od siebie problem. Scena w restauracji po prostu musiała uzmysłwić rezolutnej dziewczynie, że najwyższy czas wziąć sprawy w swoje ręce. I właściwie to było w tej chwili najważniejsze.

Wkrótce Konrad zaparkował przed antykwariatem w cichej uliczce. Witrynę wygaszono, lecz szyld lśnił w żółtym świetle pobliskiej latarni. Wokół nie było żywego ducha. Mężczyźni odczekali, aż Helena wejdzie do bramy, i ponownie wsiedli do samochodu.

– Podrzucisz mnie do przystanku tramwajowego? – zapytał Michał.

– Jasne – odparł Konrad, lecz nie zatrzymał się na Marszałkowskiej. Przeciął niemal puste skrzyżowanie z Alejami Jerozolimskimi i pojechał z dużą prędkością w stronę Mokotowa.

– Mam jutro dyżur, a jest późno – bąknął Michał, lecz kochanek położył mu dłoń na udzie, skutecznie udaremniając dalszy opór.

Do rogatek mokotowskich nie padło między nimi nawet słowo. Samochód jechał pustymi ulicami, a gdy wreszcie stanął na tyłach Madalińskiego, obydwaj wysiedli i podeszli do kuchennych drzwi willi, którą Konrad odziedziczył po śmierci ojca. Zapuszczony ogród jak zwykle wzbudził w nim wyrzuty sumienia. Powinien wreszcie coś zrobić z tym miejscem, lecz stanowiło zbyt dogodną kryjówkę. Poza

tym wiedział, że właściwie jedynym rozsądnym wyjściem byłaby sprzedaż, a na to w dalszym ciągu nie potrafił się zdobyć.

– Ten dom jest dla mnie przerażający, a jednocześnie pełen dobrych wspomnień – oświadczył, gdy weszli po trzech betonowych schodkach i zamknęli za sobą wąskie drzwi dla służby.

– Wspomnień o ojcu? – zapytał Michał.

– Też. Ale bardziej chodziło mi o nas. – Konrad ujął w dłonie twarz kochanka i wpił się żarliwie w jego usta. Poczuł, że euforia zalewa jego ciało, a serce zaczyna łomotać.

Michał zarzucił mu ręce na szyję i wsunął dłonie w wybrylantynowane na raut włosy. Była w tym geście jakaś desperacka potrzeba bliskości, na jaką w normalnym układzie nie mogli sobie pozwolić. Ten dom stanowił ich jedyne schronienie przed wrogim światem. Przynajmniej tak to odbierał Michał. Meble skryte pod białymi płachtami materiału, drobinki kurzu wirujące w wąskiej smudze światła bijącego od lampy naftowej, którą rozpalali w kuchni i wynosili do jednej z sypialni z gołym materacem, a także skrzypiące, od dawna niefroterowane podłogi przydawały atmosferze niezwykłości. Kradli czas, oszukiwali wszystkich wokół, lecz jednocześnie ich wzajemne uczucie było tak szczere, że dusza Michała wyła od sprzecznych doznań.

– Dlaczego zawsze towarzyszy mi poczucie winy? – wyszeptał, gdy Konrad rozpiął mu koszulę i ściągnąwszy z ramion, cisnął na podłogę.

– Nie myśl o tym – odparł chrapliwie kochanek. – Świat został za murami.

– Świat został za murami – powtórzył posłusznie Michał i próbując odegnać z głowy wyrzuty sumienia, zatracił się w ramionach Konrada.

Helena wiedziała, że jeśli nie zdobędzie się na odwagę zaraz po powrocie do domu, zapewne stchórzy i zapanuje impas. Na to nie mogła pozwolić. Problem nie miał najmniejszej szansy rozwiązać się sam, a ojciec, choć pewnie zareaguje gwałtownie, z domu jej raczej nie wyrzuci. Jeśli tak, wciąż miała adres Konrada, jego numer telefonu, więc nie zostanie na bruku.

Ojca zastała w jego pokoju pełniącym także funkcję jadalni i saloniku. Józef Małecki siedział w swoim wysłużonym, ukochanym fotelu z nosem zatopionym w opasłym tomie. Tytułu nie dojrzała, lecz to musiał być któryś z klasyków albo historia jakiejś starożytnej bitwy.

– Jesteś! – ucieszył się na widok córki. To była kolejna zupełnie niespotykana rzecz. Ojciec nigdy nie narzucał jej żadnych zasad i nie wtrącał się w to, co robi Helena. – Zostawiłem ci kolację, ale pewnie jadłaś z przyjaciółmi na mieście.

– Jadłam, ojciec, ale bardzo dziękuję – odparła.

– Czy coś cię trapi? – Józef Małecki spojrzał badawczo na jedynaczkę. Zatrzasnął tomiszczę i odłożył na stolik.

– Możemy porozmawiać? – zapytała, przysiadając na już pościelonym do snu tapczanie ojca.

– Zawsze możemy porozmawiać, córko. Po to tu jestem – odparł z prostotą.

– Ojciec, ale to nie będzie łatwa rozmowa – ostrzegła, czując, że jeśli natychmiast nie przejdzie do rzeczy, to już nigdy więcej nie będzie w stanie i prędzej pójdzie się utopić w Wiśle, niż powróci do tematu.

– A z kim masz rozmawiać o niełatwych sprawach, jeśli nie z człowiekiem, który kocha cię ponad życie i nawet jeśli się zdenerwuje, to i tak zrobi wszystko, żeby znaleźć wyjście z trudnego położenia? – Józef Małecki uśmiechnął się łagodnie i wyciągnął rękę. Helena ufnie wsunęła dłoń, a ojciec mocno ją uścisnął.

– Tato... – Umilkła.

– Mów.

– Tato, spodziewam się dziecka – przyznała, po czym zerwała się z wersalki i wybiegła do niewielkiej kuchni na zapleczu antykwariatu.

Na kuchennym blacie stał talerz z kanapkami, które wcześniej przygotował dla niej ojciec. Spojrzała na nie i zaniósła się płaczem.

Łzy płynęły po jej policzkach, a ona szlochała i choć próbowała się opanować, nie dawała rady.

– Kłopot jest wtedy, gdy ludzie umierają, a nie kiedy się rodzą – oświadczył ojciec, wchodząc do kuchni.

– Ojciec, przepraszam! – zwiesiła głowę ze wstydem.

– Nie przepraszaj – westchnął. – Chcę tylko wiedzieć jedno. Czy to się stało, bo ktoś wyrządził ci krzywdę?

– Nie. – Helena, choć z ociąganiem, opowiedziała ojcu, co się wydarzyło.

– Zatem na ojca dziecka nie ma co liczyć – podsumował.

– Nie – przyznała. – Właśnie dlatego jest to sytuacja bez wyjścia. Myślałam, żeby pozbyć się kłopotu, lecz sumienie mi nie pozwala – dodała cicho.

– Zatem trzeba znaleźć inne rozwiązanie. – Józef Małecki powstrzymał się od komentarza, co sądzi na temat usuwania ciąży, a Helena była mu za to wdzięczna, choć owa powściągliwość nieco ją zdziwiła.

– Myślałam, że na mnie nakrzyczysz za ten zamiar, a ty wydajesz się spokojny – bąknęła pod nosem.

– Heleno, przypuszczałem, że lepiej mnie znasz. Czy ja kiedykolwiek krzyczę? – uśmiechnął się łagodnie. – Poza tym wiem, że dla ciebie jestem już okropnie stary, lecz dobrze pamiętam młodość, gdy krew buzowała w żyłach, a w ciele płonęła namiętność. Rozumiem, jak łatwo można stracić głowę. Zwłaszcza kiedy się kogoś kocha. A ty przecież jesteś w Poldku nadal nieszczęśliwie zakochana. Jeśli mam mieć do kogoś pretensje, to właśnie do niego.

– Nie rozmawiajmy o nim – poprosiła.

– Z pewnością nie będziemy. Mamy teraz ważniejsze rzeczy na głowie. Kiedy należy spodziewać się rozwiązania?

– Myślę, że w kwietniu – odparła i natychmiast poczerwieniała z zażenowania.

– Będziesz musiała przerwać naukę, wiesz o tym?

– Niestety wiem. Jeszcze przez jakiś czas niczego nie będzie widać, ale pewnie wkrótce to się zmieni. Ojczy, ja nie chcę ci przynieść wstydu. Nie przeżyję tego.

– Zupełnie mnie nie interesuje, co będą gadać za plecami sąsiedzi, jeśli o to ci chodzi. Martwię się raczej o to, że będą cię wytykać palcami. Dlatego wpadłem na pewien pomysł. Myślę, że dobry.

– Jaki pomysł? – W sercu dziewczyny zatliła się nadzieja.

– Zadzwoń jutro do Sopotu. Pojedziesz, zanim twój stan zacznie być widoczny. Stryjenka się tobą zajmie. Ludziom się powie, że twój mąż został w Warszawie, a ty źle znosisz swój stan, więc z zalecenia lekarskiego przebywasz w uzdrowisku. Niechętnie się z tobą rozstanę, ale to zapewni ci spokój. I towarzystwo kuzynek też pewnie podtrzyma cię na duchu.

– A jeśli stryj się nie zgodzi?

– A czy mój brat kiedykolwiek dał odczuć, że jest człowiekiem małostkowym? – Ojciec puścił do niej oko. – O rodzinę się nie martw, ta na szczęście nam się udała. Przynajmniej w części – dodał, przypominając sobie nieustępliwość Szmula, który nie chciał znać rodzonej wnuczki.

– Nie mogę zostać na zawsze w Sopocie – zauważyła Hela.

– I nie proszę o to. Zostaniesz do rozwiązania, a potem wrócisz. Myślałaś, czy chcesz oddać dziecko, czy je zatrzymać?

– Nie wybiegałam myślami tak daleko, ojciec – wyjąkała, zupełnie zbita z tropu.

– Zatem potrzebujesz tego wyjazdu jeszcze bardziej. Z czasem zrozumiesz, czego potrzebujesz, i jeśli dziecko oddasz, wówczas wrócisz do Warszawy z czystą kartą. Jeśli zatrzymasz, powie się, że wyszłaś za mąż w Sopocie, ale mąż zginął w nieszczęśliwym wypadku. Być może brzmi to wszystko bezdusznie, córko, lecz teraz czas na pragmatyczne działanie. Poukładamy sobie wszystko, a później zajmiemy się uczuciami – powiedział łagodnie.

Helena siedziała oszołomiona. Tyle czasu panikowała, nie wiedząc, co ma ze sobą począć, a tymczasem ojciec znalazł wyjście z sytuacji w ciągu kwadransa rozmowy. Nie miała ochoty wracać do Sopotu po ostatnich wydarzeniach, ale wiedziała, że propozycja jest rozsądna.

ROZDZIAŁ 8

1938

Poldek Malinowski ze wszystkich sił starał się dogodzić żonie, lecz stawało się to coraz trudniejsze. Paulina zrobiła się kapryśna, opryskliwa, wiecznie niezadowolona ze wszystkiego, co robił i mówił. Dokuczały jej nudności, łatwo się męczyła, więc tym sobie tłumaczył jej zachowanie, co jednak nie sprawiało, że żyło mu się łatwiej. Na każdym kroku upewniał się, że bardziej niedobranego małżeństwa nie ma chyba na całym świecie.

Właśnie dlatego odczuł ulgę, gdy odmówiła wspólnego wyjścia na niedzielny spacer. Ojciec nie miał z kolei pretekstu, żeby zatrzymać go w wolny dzień w pracowni, więc Poldek postanowił pójść sam. Za cel obrał Starówkę, a że dzień był ciepły i pogodny, szedł niespiesznie Nowym Światem w stronę Zamku Królewskiego. Wokół spacerowało mnóstwo przechodniów, a w najbardziej reprezentacyjnych miejscach czatowali na nich fotografowie, nazywani nieco kpiarsko lajkarzami, od dyndających im na szyjach aparatów Leica. Mieli oni w zwyczaju doskakiwać z nienacka do spacerujących chodnikami ludzi. Po wykonaniu niezamówionego zdjęcia wciskali ofierze wizytówkę z adresem swojego zakładu. Poldek zakładał, że interes jest opłacalny i część przechodniów kupuje swoje uliczne portrety. On, choć nieraz już stał się obiektem lajkarza, jakoś nigdy po zdjęcie nie poszedł.

Wrześniowa pogodna niedziela sprawiła, że ludzie gromadnie ruszyli na spacer. Od strony obleganych stolików kawiarnianych niósł się śmiech i gwar rozmów. Po chodnikach matki popychały głębokie wózki, a starsze dzieci podskakiwały z ekscytacji na widok obwarzanków i lodów. Tuż przy wejściu do parku stał sprzedawca kolorowych baloników. Przywiązał je do drutów, a te wbił w zatkniętą na kij główkę białej kapusty.

Działając pod wpływem impulsu, Poldek uznał, że wizyta w Ogrodzie Saskim sprawi mu większą przyjemność niż spacer na Starówkę. Parkowe alejki zatłoczone w nie mniejszym stopniu niż chodniki dawały nieco upragnionego cienia. Słońce przygrzewało jak w środku lipca, więc mężczyzna zdjął popielatą marynarkę

i przerzucił ją przez ramię. Szedł zatopiony w myślach, więc nawet nie zauważył, kiedy doszedł do Pałacu Saskiego z Grobem Nieznanego Żołnierza umieszczonym pod jedną z kolumnad. Nieopodal była fontanna, a wokół na ławkach siedziało sporo ludzi. Skrajną, ulokowaną w pełnym słońcu zajmowało jedynie dwoje ludzi. Trzymali się za ręce, a twarze mieli wystawione do słońca. W pewnym momencie kobieta spojrzała na towarzysza. Z miejsca, gdzie stał, Poldek zobaczył ją bardzo wyraźnie.

– Helena – szepnął do siebie. Drgnął, jakby chciał rzucić się do ucieczki, lecz nogi przyrosły mu do ścieżki. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w miłość swojego życia, czując, że zaczyna brakować mu tchu. Po chwili ogarnęła go irracjonalna wściekłość na mężczyznę, który śmie trzymać dziewczynę za rękę, lecz zawstydził się natychmiast. Jakie miał prawo do takich uczuć? Skrzywdził ją, wykorzystał i oszukał. Zdołał wreszcie oderwać stopy od ziemi i odwrócił się gwałtownie, pragnąc jak najszybciej zniknąć za zakrętem alejki.

– Niechże pan uważa! – rozległ się kobiecy krzyk.

Poldek stracił grunt pod nogami i runął jak długi w poprzek przewróconego dziecięcego wózka.

– Moje dziecko! – wrzasnęła kobieta, rzucając się na kolana. Z leżącej na boku gondoli rozległ się płacz niemowlęcia.

– Ja ogromnie przepraszam – mamrotał Poldek. – Nie zauważyłem. Bardzo mi przykro.

– Niechże mi pani pokaże to dziecko, zamiast lamentować. – Nad głową Poldka rozległ się głos Heleny. Odruchowo skurczył się w sobie, lecz było już za późno. Rozpoznała go, co wywnioskował z grymasu jej kształtnych ust. – Proszę położyć je na ławce – dodała, odwracając się od Poldka.

– Kim pani jest? – zażądała wyjaśnień matka, przyciskając do siebie becik z niemowlęciem.

– Pielęgniarką ze szpitala na Czystem – odparła krótko Helena.

Kobieta nie dyskutowała, tylko ostrożnie umieściła koronkowe zawiniątko na drewnianym siedzisku. Poldek stał z boku, otrzepując spodnie, lecz nie spuszczał oczu z rozgrywającej się tuż obok sceny. Helena odwinęła becik i uważnie, miejsce przy miejscu dotykała

dziecka. Nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą zrobić, Poldek postawił na koła wózek i zaczął wytrzępywać ze żwiru ozdobną poduszkę i kremowy materacyk.

– Nic mu nie jest. Proszę zobaczyć, już uśmiecha się promiennie. Przestraszył się jedynie, czemu trudno się dziwić. Chłopiec jest zdrow jak ryba – oświadczyła Hela, zakrywając becik. – Proszę go obserwować, jeśli cokolwiek panią zaniepokoi, trzeba się zgłosić do szpitala, ale moim zdaniem nie będzie takiej potrzeby.

Matka porwała dziecko w ramiona, umieściła je troskliwie w wózku, po czym nie oglądając się za siebie, odeszła pospiesznie w głąb ogrodu.

– A tobie nic nie jest? – zapytała Helena, zwracając się do Poldka.

– Dziękuję za pomoc, wszystko jest w porządku – zdołał wykrztusić.

W tej samej chwili podszedł do Heleny mężczyzna, który tak go wcześniej zirytował. Poldek poczuł się jak ostatni idiota, gdy rozpoznał ojca Heleny.

– Zatem jeśli wszystko w porządku, pozwól, że się pożegnamy – zarządził tonem nieznoszącym sprzeciwu Józef Małecki. Spojrzenie miał twarde i zdecydowanie nieprzyjazne.

– Oczywiście. Kłaniam się państwu – powiedział Poldek, uchylając kapelusza. Umknął jak niepyszny w sąsiednią alejkę. Wstyd nie stłumił euforii, jaką mimo zakłopotania odczuł na widok Heleny. Gdyby nie to, że towarzyszył jej ojciec, podszedłby raz jeszcze, padł na kolana, choćby miał po drodze skosić kolejny niemowlęcy wózek, i błagałby ją o wybaczenie. Oczami wyobraźni ujrzał scenę, gdy dziewczyna zarzuca mu dłonie na kark i cicho szepcze, że mu wybacza. Poldek zaśmiał się w duchu ponuro.

– Heleno, myślę, że nie trzeba zwlekać z wyjazdem do Sopotu – oświadczył pan Józef, odprowadzając spojrzeniem chłopaka. – Stryjenka ucieszyła się, że przyjeżdżasz, i donosi, że tym razem będziesz miała swój własny pokój. Też na poddaszu, ale zachowasz prywatność. Kasia kazała przygotować dawny stryżek, jednak mówi, że wszystkie wygody będą.

– Dobrze, ojciec – odparła apatycznie. – Im szybciej wyjadę, tym lepiej dla wszystkich.

Apoloniusz Malinowski sapnął z zadowoleniem, gdy jego ulubiona prostytutka w domu schadzek na Chmielnej skończyła swoje dzieło, otarła pospiesznie usta i wyszła z prywatnego pokoju. Mężczyźnie dobrze układało się z Marią. Choć w życiu by tego nie przyznał, to stara panna z buzią w ciup i uczesana w zgrzebny kok potrafiła mu dostarczyć znacznie więcej przyjemności niż świętej pamięci żona. Mimo to co jakiś czas musiał odwiedzić znajomy lokal, żeby odetchnąć od kamienicy na Solcu i zaznać pieśczoł, jakich żadna porządna kobieta nigdy by mu nie ofiarowała. Maria, choć gorąkocrwista i wijąca się pod nim jak rozgrzana do czerwoności kotka, zdecydowanie odmawiała francuskich bezeceństw, mówiąc, że jeśli ulegnie, już nigdy nie odważy się przekroczyć progu kościoła.

– Niby siostry, a jednak każda inna – mruknął pod nosem, wciągając pospiesznie spodnie.

Podkręcił wąsa i poszedł do saloniku domu uciech. Właśnie za to cenił ten przybytek. Alkoholi nie rozwadniano, rzetelnie przygotowane zakąski cieszyły oko, wystrój także był niezgorszy, a całość osładzały skąpo ubrane dziewczyny. Przy stoliku zarezerwowanym dla najważniejszych gości siedział kompletnie ubrany January Melner i niespiesznie siorbał flaczki. Ich aromat sprawił, że Apoloniuszowi pociekła ślinka.

– Złoty rubel za twoje myśli, druho – zażartował, przysiadając na sąsiednim fotelu.

– Czyżbyś kolekcjonował carskie „świnki”?

– Nawet cały ich stosik nie byłby wart takiego przyjaciela jak ty – odparł Apoloniusz.

Melner rozpromienił się w uśmiechu i pstryknął palcami. Jedna z roznegliżowanych kelnerek natychmiast podeszła i uprzejmie nachyliła się w stronę klienta.

– Daj nam, dziecko, najlepszego szampana, jakiego tu macie – zażądał. – I ruski kawior. Niech będzie jak za dawnych lat. Łatwe nie były, ale przecież to nasza młodość – roześmiał się gromko.

- Służę panu – odparła dziewczyna i odeszła w stronę pomieszczenia ukrytego za modnym drewnianym przepierzeniem.
- Cóż to za okazja, drogi January? – zapytał Malinowski.
- Najwyższa pora napić się solidnie za zdrowie naszego wspólnego wnuka! Udało nam się, czyż nie? – rozochocił się Melner.
- I to jeszcze jak! Chętnie za to wypiję.

Wkrótce szampan polał się złocistym strumieniem, posrebrzana patera z kawiozem zajęła honorowe miejsce na stoliku, a dwaj ojcowie z rozmachem uczcili triumf nad swoimi dziećmi. Nie ich szczęście było ważne, choć nic nie wskazywało na to, że przez ich intrygę komukolwiek dzieje się krzywda. Kluczowe było to, że ich rzemieślnicze fortuny wkrótce połączy wyczekane dziecko, dziedzic obydwu przedsiębiorców rodem z Solca i z Pragi. Życie nie mogło być piękniejsze niż w chwili, gdy kieliszki Apoloniusza i Januarego zderzyły się z cichym brzękiem, po czym dwaj panowie rzucili się sobie w ramiona i wycałowali się jak z dubeltówki.

– Kolejny szampan dla wszystkich! – wybełkotał mocno już wstawiony Melner. – Za moją córkę!

– I jeszcze jeden za zucha, mojego syna – dodał rozanielony Malinowski.

Kelnerki wniosły na stoły butelki z alkoholem, ludzie zaintonowali *Sto lat*, po czym ktoś puścił najnowsze przeboje na gramofonie. Przywiązany do dawnych melodii Apoloniusz w pierwszej chwili nieco się skrzywił, lecz wkrótce poniósł go głos Mieczysława Fogga i skoczne piosenki intonowane przez Eugeniusza Bodo. Szampańska zabawa skończyła się dopiero o świcie, gdy dwaj przyjaciele z trudem wtoczyli się do dorożki.

Krysia Melner wyszła ze szkoły wraz z innymi uczennicami. Pogoda wręcz zapraszała do tego, by powłóczyć się nad Wisłą albo przejść piechotą przez most Kierbedzia. Ojciec zarządził, że młodsza córka pójdzie do żeńskiego liceum po lewej stronie Wisły. Wybór padł na prywatną placówkę w Śródmieściu. Krysia nie narzekała, miała świetne koleżanki, choć większość z nich pochodziła z rodzin arystokratycznych. Nie zadzierały wprawdzie nosa, lecz dzieliła je przepaść doznań. Choć jeśli chodzi

o posiadane fundusze, Krysia nie miała się czego wstydzić. Ojciec wyznaczał jej na tyle wysokie kieszonkowe, że swobodnie mogła chodzić z koleżankami do kawiarni na pączki i gorącą czekoladę. Dopiero rozmowy nad ową czekoladą boleśnie obnażały różnice życiowych doświadczeń.

– W Wenecji było nieznośnie gorąco w lipcu – oświadczyła Klara.

– Nic nie mów – westchnęła Alicja. – Nicea to najnudniejsze miejsce na świecie. I jeszcze na nic mi nie pozwalali. Rodzice chodzili na różne dansingi i kolacje, a ja siedziałam z guwernantką i nudziłam się jak mops mojej matki.

– Co ja mam powiedzieć? Cały sezon letni w Trieście. Żebym jeszcze kogoś tam poznała – poskarżyła się Wiktoria. – Kysiu, a ty poznałaś kogoś?

– Poznałam – odparła rozmarzonym głosem, powoli mieszając łyżeczką gęstą czekoladę. – Uratował mnie, gdy się topiłam.

Dziewczęta zgodnie porzuciły wspomnienia z wakacji w egzotycznych miejscach. Całą uwagę skupiły na Krystynie, która z wypiekami na twarzy opowiedziała im ze szczegółami historię, jaka przydarzyła się na Mazurach.

– Mam w nosie Wenecję – oświadczyła Klara. – Zapisuję się do harcerzy i w przyszłym roku jadę na Mazury.

Stolik pensjonarek opanował śmiech, a wszystkie dziewczęta prześcigały się w pytaniach na temat Ignacego. Krysia, zwykle pełna kompleksów, tym razem poczuła się jak królowa dnia. O dziwo, to one jej zazdrościły.

– Napiszesz do niego? – zapytała Alicja, gdy wyszły z kawiarni.

– Nie wiem – odparła zgodnie z prawdą.

– Przecież to bardziej romantyczne niż rola Żabczyńskiego w ostatnim filmie – pisnęła Wiktoria.

– Zastanowię się. – Krystyna poczuła euforię i pożegnawszy się z koleżankami, poszła energicznie mostem w stronę rodzinnej Pragi. Po drodze zaczęła się śmiać. – To tak niewiele trzeba, żeby zrobić wrażenie na córkach przemysłowców i herbowych pannach? Cudownie. Doskonała lekcja na przyszłość. Lepsza niż francuskie czasowniki – zarechotała i zapatrzyła się w płynącą dołem Wisłę.

Saska Kępa połyskiwała bielą odwróconych w porywistym wietrze liści olch.

Zadowolona z siebie dziewczyna pomaszerowała w stronę Ząbkowskiej z mocnym postanowieniem, że odpisze Ignacemu. Znała treść listu na pamięć, lecz obiecała sobie, że gdy tylko zaszyje się w swoim pokoju, niezwłocznie przeczyta go ponownie w świetle lampki. Może dziewczyny mają rację i te kilkanaście skreślonych koślawo zdań zawiera znacznie więcej wiadomości?

– Chodź, gołąbków zjesz – przywitała ją matka. – A potem idziemy do kościoła.

– A muszę? – jęknęła.

– Pytasz o gołąbki? Nie musisz. Zawsze możemy podarować ubogim – odparła Teresa Melner zwodniczo słodko. – Jeśli chodzi ci o wizytę u Matki Boskiej Loretańskiej, to chyba nawet nie ma o czym dyskutować. Ksiądz proboszcz szykuje się do wystawy prac plastycznych harcerzy w służbie Kościoła. Poleciłam cię, a dobrodziej się zgodził, więc zjedz obiad bez dyskusji i idziemy!

Krysia wiedziała, że choć z matką wiele można ugrać, w kwestii Kościoła była absolutnie nieprzejednana. Jej stosunek do wiary zakrawał na fanatyzm. Gdy Teresa Melner przekraczała drzwi świątyni, przybierała uduchowioną minę, zdaniem Krysi przypominającą bardziej grymas bólu. Kiedy była małą dziewczynką, okropnie się tego bała, lecz z czasem przywykła. Matka ciągnęła ją przecież do pobliskiego kościoła kilka razy w tygodniu.

Zanim wróciły, minęły trzy długie godziny, więc gdy w końcu Krysi udało się zniknąć za drzwiami pokoju, z ulgą opadła na łóżko. Leżała chwilę z otwartymi oczami, wpatrując się w biały sufit, by wreszcie usiąść przy biurku i zrobić to, o czym myślała przez cały dzień. Odsunęła szufladę biurka, wyjęła z pliku różnej korespondencji ten jeden jedyny list i delikatnie rozprostowała go na blacie. Pochyliła głowę i zaczęła czytać.

Panno Krysiu!

Od czasu gdy wróciłem z Mazur, noszę się z zamiarem napisania kilku słów i będę wdzięczny za odpowiedź zwrotną. U mnie wszystko w porządku, tak jak mieszkałem w Mokotowie z bratem, tak mieszkam dalej. Ciekaw za to jestem, co u panny słyhać. Będę

wyczekiwał odpowiedzi z nadzieją, że zechce panna skreślić kilka słów do kolegi z harcerstwa.

Czuwaj!

Krysia czytała list tyle razy, że słowa, tak przecież zwyczajne, wryły się jej w pamięć. Jedyne, co ją zdziwiło, to forma grzecznościowa, jakiej Ignacy użył w korespondencji. Od kiedy to nazywał ją panną? Czy sądził, że w liście tak wypada, czy może uznał ją za kogoś doroślejszego niż wcześniej? To ostatnie przemyślenie sprawiło, że dziewczynie zaczęło mocniej bić serce. Drżącymi dłońmi wyjęła czystą papeterię i sięgnęła po pióro.

– Córeczko, byłabym na śmierć zapomniała! – Matka wtargnęła do pokoju tak gwałtownie, że Krysia aż podskoczyła na krześle. Nie wiedzieć dlaczego poczuła się jak przestępca przyłapany na czymś karalnym. – Przyszedł do ciebie list. Listonosz przyniósł rano – wyjaśniła Melnerowa, wyciągając przed siebie dłoń z białą kopertą.

– Dziękuję – odparła dziewczyna.

Odczekała, aż matka wyjdzie, i dopiero wtedy otworzyła list. W pierwszej chwili poczuła ukłucie zawodu, gdy ze środka wyjęła pojedynczą kartkę z pismem urzędowym. Spodziewała się kolejnej wiadomości od Ignacego, ale nie sądziła, żeby ten miał do niej pisać tak formalnie. Wątpiła, żeby posiadał maszynę do pisania. Wzruszyła ramionami, lecz zaczęła czytać. Po chwili zorientowała się, że Związek Harcerstwa Polskiego zaprasza ją na uroczystość wręczenia Ignacemu odznaki „za odwagę” w najbliższą niedzielę. Zatem niezależnie od tego, czy napisze list, czy nie, ich spotkanie jest przesądzone.

Najpierw ogarnęło ją radosne podekscytowanie, lecz po chwili zrozumiała, że listowne milczenie z jej strony nie bardzo przysłuży się spotkaniu. Nie marnując czasu, skreśliła parę banalnych uwag i obiecała sobie, że nada list z samego rana. Fakt, że mieli się spotkać już w niedzielę, sprawiał, iż treść liściku nie miała większego znaczenia. Liczyło się to, żeby doszedł na czas do adresata. Na Krysię spłynęła nagła ulga. A potem zaczęła się intensywnie zastanawiać, którymi kokardami przyozdobi warkocze na uroczystość. Najchętniej założyłaby też piękną sukienkę, lecz regulamin wymagał w takich przypadkach harcerskiego mundurku.

Ostatecznie stwierdziła, że może to i lepiej. Nie będzie sobie łamać głowy, w co się ubrać. Zachichotawszy cicho, wstała zza biurka i zgasła lampkę.

Pociąg pospieszny do Gdyni wtoczył się powoli na Dworzec Główny. Helena spojrzała na wagony bez większego entuzjazmu.

– Głowa do góry, córeńko. Wszystko będzie dobrze – dodawał jej otuchy ojciec. Stał z zatroskaną miną, lecz dzielnie próbował się uśmiechać. – Będę przyjeżdżał w odwiedziny – obiecał.

– Ale przecież antykwariat nie może być zamknięty – zaprotestowała Helena.

– O nic się nie martw – wtrącił się do rozmowy Konrad. Stał za słupem w podcieniu dworca, z zsuniętym na czoło kapeluszem. Ostatnim, czego by sobie życzył w tej smutnej chwili pożegnania, były łowczyźnie autografów. – Jeśli twój ojciec zechce jechać do Sopotu, z chęcią go zastąpię.

– Przecież jesteś zajęty, Konradzie – przypomniała mu Helena.

– Nie na tyle, żeby odmówić pomocy. Poza tym kolejny plener mam dopiero w styczniu w Zakopanem, a do tego czasu ani myślę ruszać się z Warszawy. – Aktor chciał dodać coś jeszcze, lecz umilkł, zacisnąwszy usta.

– Będiesz wśród bliskich, życzliwych ludzi. Zobaczysz, nim się obejrzysz, znów się wszyscy spotkamy – powiedział milczący dotychczas Michał.

Helena wiedziała, co im obu chodzi po głowie. Choć ojciec może ją odwiedzić, oni dla własnego bezpieczeństwa nie powinni przekraczać granicy Wolnego Miasta Gdańska.

– Pisz do nas – poprosił Konrad. – Będę wyglądać listów od ciebie.

– Bez obaw, jeszcze zdążycie się nimi znudzić. Nic więcej do roboty nie będę tam miała – roześmiała się z goryczą.

– Czas wsiadać – upomniał młodych Józef. – Do zobaczenia, Heleno. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

– Wiem – powiedziała cicho, choć nie podzielała jego optymizmu. Uściskała ojca, ucałowała w policzek na pożegnanie i z trudem

oderwała się od niego. On też się nie palił, by wypuścić ją z opiekuńczych ramion.

Po wejściu do wagonu nie zajęła miejsca w przedziale, tylko otworzyła okno w korytarzu na pełną szerokość i dzielnie się uśmiechając, machała do czasu, aż trzy postacie stojące na peronie zmały, by wreszcie zniknąć w oddali.

Ku jej radości w przedziale nie było nikogo, więc usiadła przy oknie i tęsknym wzrokiem obserwowała uciekające krajobrazy. Myśl, że minie wiele miesięcy, zanim wróci do Warszawy, wydawała jej się nieznośna, dlatego po raz pierwszy w życiu nie cieszyła się z podróży do Sopotu. Zresztą cóż to ostatnimi czasy była za podróż? Dopóki Niemcy respektowali postanowienia traktatu wersalskiego o neutralności Wolnego Miasta Gdańska, wysiadało się po miłej podróży pociągiem wprost na uroczej sopockiej stacji. Teraz pociąg mijał Gdańsk i Sopot, nawet się nie zatrzymując.

Helena spojrzała na swoją prawą dłoń, przypominając sobie poranną scenę w domu, tuż przed wyjściem na dworzec. Ojciec wyjął z szuflady biurka płóciennie zawiniątko i podsunął na otwartej dłoni Helenie.

– Cóż to takiego? – zapytała.

– Otwórz – odparł z łagodnym uśmiechem. Helena posłuchała. Spod materiału błysnęła złotem wąska obrączka. Spojrzała na ojca nierozumiejącym wzrokiem. – To obrączka twojej matki – wyjaśnił. – Załóż ją. Nadejdzie chwila, gdy da ci ochronę przed ludzkim okrucieństwem, córeczko.

Nie musiał mówić nic więcej. Z wdzięcznością przyjęła złoty drobiazg i wsunęła na palec serdeczny prawej dłoni. Pomyślała z gorzką ironią, że raczej nikt inny nigdy tego już nie zrobi, więc powinna zapamiętać chwilę.

W Gdyni czekał stryj Fryderyk. Pomachał kapeluszem i rozpromienił się w uśmiechu.

– Dzień dobry! – przywitała się wyraźnie speszona Helena. – Dziękuję, że stryj po mnie przyjechał. Nie chciałabym robić kłopotu – dodała cicho.

– Jakiż to kłopot widzieć miłą sercu krewniaczkę? – roześmiał się jowialnie. – Toż to czysta radość, moje dziecko. A jak stryjenka

i dziewczynki się cieszą! Chodzą i układają wciąż od nowa poduszki w twoim pokoju. Nie opędzisz się od nich jak nic!

– Ale stryj wie, że zaraz będzie widać... – Helena umilkła zawstydzona.

– Dziewczyno, nie truj sobie niepotrzebnie głowy. A teraz szła, bo zawozi nas do Sopotu mój młody sąsiad. Był tak miły, że przywiózł mnie tu swoim samochodem. Uszy ma czułe jak u zająca, nie ma co podrzucać mu tematów, które go nie powinny obchodzić. Swoją drogą, co to się wyprawia na tym świecie?

– Co stryj ma na myśli? – zaintrygowana się Helena.

– Żeby to trzeba było jechać aż do Gdyni pociągiem, a potem wracać samochodem przez przejście graniczne do Sopotu. Paszporty sprawdzają skrupulatnie jak nigdy wcześniej, więc pewnie postoiemy na granicy. Mam nadzieję, żeś niegłodna? – zaniepokoił się stryj. – Już tam stryjenka z frykasami na ciebie czeka, ale to musisz do domu wytrzymać.

– Nie jestem głodna, dziękuję – uśmiechnęła się ciepło.

Do pensjonatu stryjostwa dotarli po godzinie. Helena marzyła tylko o tym, żeby położyć się w zaciszu pokoiku, lecz kuzynki nie odstępowały jej nawet na krok.

– Musisz nam opowiedzieć o wszystkim, co się dzieje w Warszawie. – Młodsza, piętnastoletnia Mania, z wypiekami na twarzy świdrowała Helenę wzrokiem.

– A zwłaszcza o nowych fasonach od Hersego! – dodała siedemnastoletnia Zosia. – Och! Ile bym dała, żeby móc pojechać do jego salonu mody i przekonać się na własne oczy, jak tam jest! – ekscytowała się.

– Dziewczynki, zostawcie Helenę w spokoju! – zarządziła stryjenka. – Za pół godziny zapraszam na kolację, ale wcześniej wejdę sprawdzić, czy w pokoju jest posprzątane. Tymczasem zabierzcie walizki kuzynki i proszę nie wchodzić do salonu, póki nie zaproszę.

Kuzynki posłuchały matki bez szemrania, a Helena, czując, że szykuje się umoralniająca pogadanka, poszła za stryjenką prawie jak na ścięcie. Ku jej zdziwieniu w salonie już siedział stryj Fryderyk z nieodłączną fajką w ustach. W serce Heli wstąpiła nieśmiała

nadzieja, że może obejdzie się bez kazania o tym, jak powinna się prowadzić panienka.

– Chodź, moja droga, opowiadaj, co tam u Józefa i jak nastroje w stolicy. – Stryj poklepał zachęcająco siedzisko kanapy, więc Helena usiadła obok.

– Stryju, przywiozłam prasę. Ojciec osobiście dzisiaj poszedł po najnowsze numery, a ja zapakowałam prenumeratę z ostatniego tygodnia.

– Zuch-dziewczyna! – ucieszył się Fryderyk Małeckie, pociągając z fajki. – Gdy już rozpakujesz bagaże, chętnie postudiuję polską prasę. Ta nasza to propagandowy bełkot Hitlera. Nie da się czytać. Swoją drogą, sporo ryzykowałeś.

– Co stryj ma na myśli?

– Gdybyś miała prasę drukowaną na wierzchu, chłoptasie z NSDAP zarekwirwaliby ją z rumieńcem nazistowskiej podniety na przasných ryjach.

– Fryderyku! Pewnych słów w tym domu nie używa się – zachnęła się stryjenka.

– Przepraszam, Kasiu, masz rację – skapitulował stryj. – Politykę wyrzucamy precz. Najważniejsza jest nasza Hela.

– Otóż to – odparła stryjenka.

Helena skuliła się na skórzanej kanapie, podświadomie czekając na cios. Była pewna, że gospodyni rozpocznie mowę pełną kwiecistych słów i zapewnień, jak mocno wspiera rodzinę, po czym uderzy znienacka z moralizatorską gadką. Ku jej zdziwieniu nic takiego nie nastąpiło.

– Józef nalegał, żebyśmy o nic nie pytali – powiedziała, podchodząc do stolika, na którym stał imbryk z herbatą i trzy filiżanki. – A my dostosujemy się do jego życzenia. Heleno, chcę, żeby jedna sprawa była jasna. – Stryjenka przybrała poważną minę. – Powiesz tyle, ile zechcesz. W tym domu jesteś moją trzecią córką i absolutnie nic tego nie zmieni.

– Dziękuję. Dziękuję za dobroć, na którą nie zasługuję – odparła Helena.

W oczach krewniaków widziała wyłącznie życzliwe zainteresowanie i współczucie. Nie dopatrzywszy się pogardy,

postanowiła opowiedzieć historię swojej nieszczęśliwej miłości do Poldka i wydarzeń po zamachu na Stanisława Krzemienieckiego, które bezpowrotnie przekreśliły jej szanse na szczęście u boku chłopaka. Gdy otworzyła usta, słowa popłynęły same, a Helena poczuła, że po policzkach spływają jej łzy.

Stryjostwo nie przerwali opowieści nawet jednym pytaniem. Trzy kwadransy później, gdy dziewczyna wciąż mówiła, do salonu zapukała i weszła gosposia, oznajmiając, że kolacja jest na stole. Stryjenka odprawiła ją krótko z poleceniem, że wszyscy mają czekać i nie przeszkadzać. A Helena mówiła dalej.

W końcu, gdy cała rozdzierająca serce historia nieszczęśliwej miłości i przypadkowego spotkania w Juracie została opowiedziana, Helena ze zdumieniem zrozumiała, że przyniosło jej to ulgę. Nie była wcześniej w stanie wyznać wszystkiego tak drobniawczo Michałowi ani Konradowi, a ojcu przekazała maksymalnie okrojoną wersję. Zaskoczyło ją też to, że podczas obecnej rozmowy zwracała się głównie do stryjenki, chwilami zapominając, że w pokoju jest także jej mąż. Być może zadziałała troska w jej oczach, a może zwyczajnie Helena potrzebowała się zwierzyć innej kobiecie? Od czasu wyjazdu Basi do Poznania właściwie nie miała żadnej przyjaciółki czy powiernicy.

– Moje drogie dziecko, jak ty musisz cierpieć przez to wszystko. – Stryjenka wyjęła chusteczkę i otarła oczy. – I jakaś ty dzielna. Dobrze cię ten Józek wychował. Może być dumny z takiej córki. Nie winię cię za to, jak to się wszystko potoczyło. Każdy człowiek ma swoją granicę wytrzymałości.

– Dziękuję, stryjenko.

– Chodźmy na kolację. Przecież teraz musisz jeść za dwoje, a my cię tu trzymamy o głódzie. Gdzie moje maniery? – jęknęła kobieta.

– Zanim pójdziemy – wtrącił się stryj – ustalmy prędko jakąś wersję dla dziewczynek i służącej. Ta druga ma wybitnie długi jęzor, a dziewczynki z racji młodego wieku mogą napleść komuś bzdur.

– Może wystarczy powiedzieć, że mój mąż jest wojskowym i przebywa w jednostce, a mnie lekarz zalecił morskie powietrze? – podsunęła Helena.

– Doskonale! Dokładnie tak będziemy mówić, jeśli ktoś wsadzi nos w nie swoje sprawy – ucieszył się stryj Fryderyk.

Kolacja przebiegła w miłej atmosferze i nikt się nie skarżył, że cieleńce serdelki prawie całkiem ostygły. Helenie w niczym to nie przeszkadzało, jadła z apetytem, czując, że po raz pierwszy od bardzo dawna może swobodnie oddychać. Żartowała z młodszymi kuzynkami i uśmiechała się do stryjostwa, a w jej głowie zakiełkowała myśl, że ojciec miał rację. Decyzja o przyjeździe do Sopotu była najlepszym wyjściem z sytuacji.

– Helu, chcesz iść z nami jutro na spacer i lody? – zapytała podstępnie Mania.

– Już ja wam lody dam, jak zimno się zrobiło! – wtrąciła się stryjenka.

– To może na spacer i gorącą czekoladę? – nie poddawała się dziewczynka.

– Jeśli stryjenka pozwoli, to bardzo chętnie – odparła Hela, powstrzymując chichot.

– Och wy sprytnie kozy – roześmiał się stryj, patrząc z miłością na córki. – I pewnie ja mam na to kieszonkowe dać?

– Stryju, ja z chęcią kupię dziewczynkom czekoladę, i to z bitą śmietaną, jeśli będą chciały. – Helena wyszczerzyła zęby.

– Nie trzeba, dziecko. Zwyczajny jestem ich podstępów. I oczywiście mam za miękkie serce, bowiem zwykle ulegam. Dobrze, że gałgany się chociaż odwdzięczają dobrymi ocenami w szkole. Zosia nad wyraz dobrze radzi sobie z przedmiotami humanistycznymi, a Manię pociąga matematyka i fizyka.

– Wspaniale! – odparła szczerze Helena. – Kto wie? Może przyjadą na studia do Warszawy?

– Za wcześnie o tym mówić – powiedziała stryjenka, wyraźnie przerażona pomysłem rozstania z ukochanymi córkami.

– Co przypomina mi, że nie skończyłaś jeszcze szkoły pielęgniarstwa, Heleno. Sądzisz, że uda ci się wrócić na kursy? Mówią o szkole na Czystem, że jest najlepszą i najnowocześniejszą placówką tego typu w całej Rzeczypospolitej – zaciekawił się stryj.

– To bardzo dobra szkoła, ale czy uda mi się do niej wrócić? Tego nie wiem.

Pytanie zawisło nad stołem, lecz nikt nie palił się do drażenia tematu. Matki bękartów z zasady wyrzucano z wszelkich placówek oświatowych, więc przyszłość Heleny zdecydowanie nie rysowała się w jasnych barwach. Wiele też zależało od tego, co dziewczyna postanowi w sprawie dziecka. Jak dotąd z ust stryjenki nie padło nawet słowo na ten temat, lecz było niemal pewne, że sprawa powróci. Tymczasem Helena nie miała zielonego pojęcia, co zrobić. Odpychała od siebie myśli dalsze niż zahaczające o jutrzejszy dzień.

– W Warszawie pewnie panuje teraz wielka radość? – zagaiła stryjenka. – Nie dość, że Czechy ustąpiły w sprawie Sudetów, więc przestało wisieć nad Europą widmo wojny, to jeszcze teraz zwróciły Polsce Śląsk Zaolzański.

– To prawda, nastroje są w mieście bardzo dobre – przyznała Helena. – Chociaż mój ojciec mówi, że nie ma z czego się cieszyć i głupotą jest sądzić, że ustępując Hitlerowi w sprawie Sudetów, Europa zażegnała ryzyko wybuchu wojny.

– I ma rację ten mój brat. Kanclerz Niemiec ma w oczach szaleństwo. Nie obłąkawi go uległość mocarstw w sprawie rozbioru Czechosłowacji – oświadczył stryj.

– Toż ponoć przemawiał w zeszłym tygodniu w berlińskim Pałacu Sportu i podkreślił stanowczo, że nie zgłasza już żadnych roszczeń terytorialnych – odparła stryjenka. – Jak raz czytałam wczoraj w gazecie.

– A co miał powiedzieć? – roześmiał się stryj Fryderyk. – Pamiętajcie, że nie słowa, a czyny świadczą o zamiarach człowieka. A czyny Hitlera, co świetnie widać w naszym Sopocie, nijak nie świadczą, że ten opętany manią wielkości mały człowieczek chce żyć w spokoju. Sopot i Gdańsk miały być neutralne. I co? Odkąd wybory wygrało NSDAP, już nie ma dawnego Sopotu. Na Żydów nakłada się podatki, muszą oddawać swoje przedsiębiorstwa Niemcom. Są w majestacie prawa okradani w biały dzień i wypędzani z terytorium Wolnego Miasta. Zresztą Polacy też łatwo nie mają.

– A co stryj sądzi o zajęciu Zaolzia przez Polskę? – zapytała Helena. – Nawet nieprzychylny rządowi „Robotnik” wypowiada się powściągliwie.

– Moja droga, sporne ziemie zawsze wywołują konflikty. Na Zaolziu jest więcej Polaków niż Czechów i to jest niepodważalny fakt, lecz nie da się zaprzeczyć, że historycznie częściej przynależało do Czech. Zatem nie ma prostej odpowiedzi na to pytanie. Z pewnością strona polska wykorzystała osłabienie Czechosłowacji po awanturze z Niemcami o Sudety. Trochę to przypomina sytuację, gdy sarnę atakuje wilk i natychmiast przyłącza się kolejny. Niezbyt to eleganckie, ale świat polityki nie na manierach się opiera. Dla mnie krótkowzroczne jest robienie sobie z Czechów wrogów, gdy po jednej stronie mamy nieprzyjaznych Niemców, a po drugiej Rosjan od wieków przekonanych, że Polska im się zwyczajnie należy. Poza tym czy zajęcie Zaolzia nie stawia nas w jednym szeregu z Hitlerem, którego oskarża się o rozbiór Czechosłowacji?

– Ojciec widzi to podobnie, stryju. I mówi, że politycy siedzą na beczce prochu, lekkomyślnie bawiąc się zapałkami.

– Komu jeszcze herbaty? – W wymianę zdań wtrąciła się stryjenka, dając sygnał, że ma dość rozmowy na tematy polityczne.

Helena świetnie to rozumiała. Nie da się żyć w ciągłym strachu przed sprawami wielkiego świata, na które zwykły człowiek nie ma żadnego wpływu.

– Heleno, przyjdiesz do naszego pokoju? – zapytała Mania po skończonej kolacji. – Opowiesz nam, co dzieje się w Warszawie, dobrze?

– I o Konradzie Wernerze! – dodała Zosia.

– Koniecznie – parsknęła Mania. – Zośka już pochwaliła się wszystkim dziewczynom w szkole, że zna osobiście sławnego aktora, a że ten sławny aktor podczas ostatniego pobytu w Sopocie powiedział do niej pewnie tylko „dzień dobry”, więc teraz musi ciebie za język ciągnąć, żeby znów przed koleżankami zabłysnąć.

– Och, przymknij się wreszcie! – zirytowała się Zosia.

– Opowiem wam wszystko, co chcecie wiedzieć, ale jak będzie zgoda. – Helena natychmiast zainterweniowała.

Obie kuzynki miały dość gwałtowne usposobienie, lecz lubiła je bardzo. Przypominały jej dziecięce bez troskie chwile i samą tylko

obecnością podnosiły ją na duchu. Po raz kolejny pomyślała, że przyjazd do Sopotu okazał się najlepszym możliwym rozwiązaniem.

ROZDZIAŁ 9

1938

Jesień w Warszawie była bardzo pogodna, lecz chłodna. Prasa żyła kolejnymi kłopotami rozpadającej się Czechosłowacji. Tym razem Węgry miały apetyt na przyłączenie terenów słowackich. Oczywiście przy gorącym poparciu Włochów i Niemców. W Bratysławie odbyły się protesty słowackich studentów, lecz sprawa w zasadzie wydawała się przesądzona. W Warszawie przeważały głosy, że racja jest po stronie węgierskiej, a większość ludzi pojmowała jedynie tyle, że przyłączenie terytorium Zaolzia stawia nas w jednym rządzie z mocarstwami pokroju Trzeciej Rzeszy i powinno napawać dumą narodową.

Poldek Malinowski nie zawracał sobie głowy polityką. Choć niegdyś był tak dociekliwy i wyczulony na niesprawiedliwość społeczną, obecnie miał własne kłopoty. A w zasadzie jeden kłopot, sprowadzający się do małżonki. Pauliny nie dawało się znieść. Trzymała się w ryzach, gdy przebywali w większym gronie rodzinnym, lecz za drzwiami sypialni, do której zaglądał niechętnie, wciąż śpiąc w sąsiednim pokoju, kobieta zaczynała być agresywna. Miotła absurdalnymi oskarżeniami, że mąż życzy jej śmierci, bywało, że obrzucała go stekiem wyzwisk albo pluła mu w twarz i policzkowała. Panował nad sobą, pamiętając o jej stanie, lecz nic nie mógł poradzić na to, że patrzył na nią z rosnącym wstrętem.

Poldek nie miał pojęcia, co się dzieje w głowie Pauliny. Podejrzewał, że dotknęła ją jakaś choroba, ale nie śmiał zaproponować wizyty u odpowiedniego doktora. Wiedział, że spotka się to z pogardliwym prychnięciem ze strony ojca, wywodem ciotki Marii, że wszystko trzeba zawierzyć Bogu, a żona w najlepszym przypadku ponownie uderzy go w twarz i nie pójdzie na wizytę lekarską. Pomocy u teściów też nie uzyska. Być może January Melner uraczy go przaśnym wykładem o babskich narowach i zbagatelizuje sprawę stwierdzeniem, że po urodzeniu dziecka wszystko się zmieni.

Poldek był w potrzasku, a jego życie stało się udręką. Właśnie dlatego kompletnie nie zauważał, co działo się w kraju. Wracił

myślami do Juraty, lecz to z kolei pogłębiało wyrzuty sumienia wobec Heleny.

– Nad czym tak dumasz, chłopcze? – Majster Mosze poklepał go serdecznie po ramieniu i przysiadł na sąsiednim stołku. – Coraz lepiej ci to wychodzi – pochwalił, z uznaniem oglądając wykroje męskich rękawiczek, nad którymi Poldek aktualnie pracował.

– A tak o wszystkim i o niczym – zbył go Poldek. Obarczanie Blumana własnymi troskami kompletnie mijало się z celem. Majster nijak nie pomoże, a tylko będzie niepotrzebnie się przejmował.

– Tkwisz tu po godzinach, jakbyś nic lepszego do roboty nie miał – zauważył Mosze od niechcienia. Patrzył przy tym badawczo na syna szefa. Widział, że coś go trapi. Od tygodni snuł się po pracowni z niewesołą miną, odpowiadał na pytania półgębkiem ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– W sumie to nie mam – odparł Poldek, odkładając nożyce do cięcia skór na kamienny blat.

– Widzę przecież, że unikasz własnego domu jak diabeł święconej wody, czy jak to wy tam katolicy mówicie. Jest sobota, późne popołudnie, a ty, zamiast siedzieć przy żonie albo iść na miasto, udajesz bardzo zainteresowanego rękawiczkami, choć obaj wiemy, że to wierutna bzdura.

– Coś w życiu trzeba robić, panie majster – mruknął Poldek.

– Trzeba, a jakże – zgodził się ochoczo Bluman. – Tyle że jeśli chłopak w twoim wieku przesiaduje po godzinach w pracy, dla mnie to oznacza, że albo nie ma niczego innego do roboty, albo zwyczajnie się przed czymś ukrywa. – Majster poklepał go pokrzepiająco po plecach i wstał. – Chodź, chłopcze, jeśli nie palisz się do powrotu na łono rodziny, zapraszam cię do siebie na piwo. Jeszcześ mnie nigdy nie odwiedził w domu, a ja po prawdzie chciałbym ci coś pokazać.

Zdumiony Poldek nie oponował. Posłusznie zdjął z haczyka przy drzwiach skózaną kurtkę w stylu angielskiego lotnika i zarzucił na siebie. Bluman zgasił w tym czasie lampy w pustej już kompletnie pracowni. Wyszli obaj na podwórze rozdzielające pracownię i kamienicę Malinowskich.

– A co takiego chce mi majster pokazać? – zapytał chłopak, gdy szli niespiesznie w stronę ulicy Szarej, gdzie mieszkał Bluman.

– Cierpliwości, chłopcze. A jak się miewa Paulina? – zapytał majster. – Twój ojciec już się nie może doczekać kolejnego małego Apoloniusza w rodzinie.

– Nigdy nie powiedziałem, że jeśli urodzi się chłopak, to nazwę go Apoloniusz – odparł gwałtownie Poldek. Wybrzmiało to ostrzej, niż zakładał, więc natychmiast zrobiło mu się głupio. – Chodzi mi o to, że to jest tradycja ojca, ja jej podtrzymywać nie muszę.

– Chciałbym, żeby Apoloniusz przełknął to gładko, lecz obaj wiemy, że tak nie będzie – westchnął Mosze.

– Nie ma co się martwić na zapas, panie majster, może będzie dziewczynka?

– Wiesz ty co? Właściwie nawet dobrze by się złożyło – roześmiał się. – Mała Malinowska skradłaby dziadkowe serce, a my uniknęlibyśmy potężnej awantury o imię dla pierworodnego. Nie powiedziałaś jednak, jak czuje się twoja żona. Wszystko w porządku?

– Ech... – westchnął Poldek.

– Mów, co się dzieje. Przecież znam cię od urodzenia i widzę, że się czymś trapisz.

Poldek z ociąganiem opowiedział staremu majstrowi o napadach złości Pauliny i o tym, jak bardzo nienawidzi swojego małżeństwa. Mosze słuchał w milczeniu niewesołej opowieści.

– Cóż, zawsze podejrzewałem, że nie łączy was płomienna miłość, ale przecież jest tyle szczęśliwych małżeństw zawartych z rozsądku. Nie sądziłem, że jest aż tak źle – zafrasował się majster.

– Jest źle – podsumował krótko Poldek.

Minęli Rozbrat i skręcili w krótką i kameralną ulicę Szarą zabudowaną po obu stronach kamienicami. Mosze wszedł przodem w oświetloną latarnią bramę i poprowadził towarzysza w głąb podwórza.

– Wejdz, zapraszam – powiedział, otwierając szeroko drzwi. – Nieczęsto mam gości, ale jest gdzie usiąść i porozmawiać.

Poldek rozejrzał się po niewielkim mieszkanku usytuowanym na parterze kamienicy. Składało się z jednego pokoju i ciasnej kuchni,

lecz Mosze urządził się tu wygodnie.

– Usiądź – zaprosił Mosze, wskazując głęboki ciemnozielony fotel. Sam poszedł do kuchni, by zaraz wrócić z dwoma brązowymi butelkami piwa Haberbuscha, najpopularniejszego trunku stolicy. – Napijemy się, pogadamy i zaraz poczujesz się lepiej – obiecał, po czym usiadł na wersalce naprzeciwko chłopaka.

– Miał majster coś pokazać – przypomniał Poldek.

– Słusznie. Poczekaj chwilę. – Mosze sięgnął pod blat stolika i wysunął szufladę. Wyjął z niej plik kartek przewiązanych kawałkiem zwykłego sznurka, po czym położył go przed Poldkiem.

– Co to takiego? – zdziwił się.

– Listy. Od twojego brata – powiedział spokojnie Bluman.

– Nie wiedziałem, że... Od dawna pisze?

– Prawie od początku, gdy wyjechał do Poznania. Nigdy nie pozwoliłem mu na zerwanie kontaktu. Wymogłem na nim, żeby od razu po dotarciu na miejsce napisał i podał swój adres. Słowa dotrzymał. Być może twój ojciec wyrzucił Janka z serca, jednak ja nie potrafię i nie chcę. Zdumiewa mnie natomiast, jak łatwo ty o nim zapomniełeś. – Mosze nie potrafił ukryć rozgoryczenia w głosie.

– To nie tak. – Poldek zwiesił głowę.

– A jak? – zapytał twardo Mosze.

– Janek nigdy do mnie nie napisał, a ja sądziłem, że nie chce mnie znać. Przed samym wyjazdem usłyszałem od niego parę gorzkich słów. Co gorsza, miał rację. Więc choć nie rozstaliśmy się w gniewie, on potępił decyzję poślubienia Pauliny. Powiedział wprost, że sam nigdy nie ugnie się przed wolą ojca i woli klepać biedę, ale żyć z ukochaną kobietą. Nawet majster nie wie, ile razy żałowałem, że nie uciekłem z nim wtedy.

– Jak to nie napisał do ciebie? – zdziwił się Bluman. Rozwiązał plik listów, przeglądał je przez chwilę, po czym rozłożył kilka kartek tuż przed oczami Poldka. – Czytaj – polecił, wskazując palcem odpowiedni akapit.

– „To już czwarty list, jaki wysłałem do Poldka, lecz i ten nie doczekał się odpowiedzi. Być może ma mi coś za złe? Czy majster może dyskretnie wybadać, w czym rzecz?” – przeczytał Poldek na

głos. – Nic z tego nie rozumiem. Nigdy nie otrzymałem od Janka choćby jednej pocztówki, o listach nie wspominając.

– Jak widzisz, on je wysyłał. Co najmniej kilka. Jeden mógł nie dojść, ale nie więcej. – Bluman się zamyślił. – Zatem pewien przykry wniosek nasuwa się sam.

– Ojciec je przede mną schował – powiedział ze złością chłopak.
– Po raz kolejny uznał, że wie lepiej ode mnie, jak mam myśleć i żyć.

– Robi to przecież od dawna. Być może nawet nie pomyślał, że jesteś dorosły, założyłeś rodzinę. Zastanów się, czy nie czas porozmawiać z nim i wyłożyć swoje racje.

– Och tak, już ja mu wyłożę swoje racje. – Poldek poczerwieniał ze wściekłości.

– Spokojną rozmową osiągniesz znacznie więcej niż kłótnią – studził jego zapędy Mosze. – Awanturą nic nie wskórasz.

Poldek doskonale to wiedział, lecz nie mógł nic poradzić na to, że gdy szedł w stronę domu, poziom jego irytacji zwiększał się z każdym krokiem. Wszedł do kamienicy i w rekordowym tempie pokonał schody na czwarte piętro. Ku własnemu rozczarowaniu nie zastał ojca w salonie. Z kuchni wyszła ciotka Maria.

– Gdzieś się podziewał, gałganie? – krzyknęła ze złością.

– A co ciotce do tego? – odpysknął.

– Żonę ci do szpitala zabrali! Apoloniusz z nią pojechał, a ty się szwendasz po okolicy jak jakiś ulicznik!

– Co się stało? – Poldek w jednej chwili zapomniał o Janku i ukradzionych listach.

– Zaczął ją boleć brzuch. Pozieleniała na twarzy i zaczęła krzyczeć, zwijając się w pól. Ojciec natychmiast zatelefonował po pogotowie. Zabrali ją od razu do szpitala na Solcu.

Poldek odwrócił się na pięcie i nie słuchając, co dalej mówi ciotka, zbiegł po schodach. Do wejścia szpitalnego od strony ulicy Czerwonego Krzyża dotarł w rekordowym tempie. W nowoczesnym holu niedawno przebudowanej placówki kręciło się sporo ludzi. Zdezorientowany chłopak ruszył do recepcji, gdy nagle poczuł, że ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu. Odwrócił się i zobaczył ojca patrzącego na niego z zatroskaniem.

– Przykro mi, synu – powiedział. – Paulina straciła dziecko.

Ignacy Werner stał wyprężony jak struna, czekając, aż harcmistrz przypnie mu odznakę. Rzucił okiem na aksamitną poduszeczkę, na której leżała. Niewielki, brązowy przedmiot z trójkątną czerwoną wstążką wyglądał niepozornie, a jednak przyprawiał chłopaka o szybsze bicie serca. Mimo to już nie mógł się doczekać końca uroczystości. Gdy rozległy się brawa i wiwaty, Ignacy zauważył, że Krysia klaszcze z całych sił i uśmiecha się do niego promiennie. Chwila triumfu upajała go, a on sam czuł się tak, jakby unosił się nad podłogą.

– Zwykle to kawaler zaprasza pannę na kawę i ciastka, jednak skoro jesteś moim wybawcą, myślę, że można zrobić wyjątek. – Krysia podeszła do Ignacego po skończonej uroczystości.

– Całkiem gładkie wyjaśnienie, ale pozwól jednak, że to ja zaproszę ciebie – odpowiedział. W skrytości ducha był jej wdzięczny za przejęcie inicjatywy. Choć planował podobną propozycję, jednak wcale nie miał pewności, czy nie stchórzy w ostatnim momencie.

– Z przyjemnością – odparła z prostotą.

Gdy szli ramię w ramię chodnikiem przy Nowym Świecie, Krysia czuła ekscytację. Miała nadzieję, że spotka jakąś koleżankę i ta zobaczy ją w towarzystwie przystojnego chłopaka, ale choć ulica stanowiła popularne miejsce na mapie Warszawy, nic takiego nie nastąpiło. Jak na złość nie doskoczył też do nich z aparatem nawet jeden lajkarz. Zwykle irytowali Krystynę, lecz teraz z pewnością przyjęłaby wizytówkę, by zdobyć zdjęcie z chłopakiem.

– Dziękuję ci za list – powiedział Ignacy. – Już prawie straciłem nadzieję, że mi odpiszesz.

– Chciałam, lecz nie wiedziałam, co napisać. Pewnie dlatego tyle to trwało – wyznała szczerze.

– Myślałem, że wszystkie dziewczyny potrafią pisać długie, ciekawe listy – zażartował. – Przecież mają wprawę po tych wszystkich pamiętnikach i sekretnych dziennikach.

– Nigdy nie miałam żadnego dziennika – roześmiała się Krysia. – Jakoś nawet o tym nie pomyślałam.

– Jestem przekonany, że byłby bardzo ciekawy.

– Skoro miałby być sekretny, i tak nie dałabym go nikomu do czytania!

Przekomarzając się i żartując, doszli do Gelateria Italiana, gdzie podawano doskonałe lody i pierwszorzędną kawę.

– Tuż obok jest sklep pana Malinowskiego, tego rękawicznika. – Krysia wskazała dłonią na sąsiednią witrynę.

– Znasz go? – zapytał Ignacy, pamiętając, że znienawidzona przez niego Helena Małecka swojego czasu zadawała się z synem Malinowskiego. Zresztą obydwu jego synów poznał niegdyś, gdy wraz z Konradem podjechali pod kamienicę rękawicznika na Solcu.

– W pewnym sensie jesteśmy rodziną – parsknęła. – Moja siostra wyszła za Poldka Malinowskiego.

Ta wiadomość nieco poruszyła Ignacego. Czyżby ów Poldek nie był całkiem głupi i zwiął od tej Żydówki? Z pewnością dobrze na tym wyszedł.

– Świat jest taki mały. Ja też znam tę rodzinę – odparł, nie wdając się w szczegóły.

– Opowiesz mi coś o swojej? – zapytała, gdy już zajęli miejsca przy kawiarnianym stoliku. We wnętrzu lokalu unosił się zniewalający zapach świeżo mielonej kawy. Wystrój był dość oszczędny, lecz miły dla oka.

– A co chciałabyś wiedzieć?

– Cokolwiek zechcesz powiedzieć. Właściwie nie wiem nic – powiedziała Krysia.

– Niewiele tu do opowiadania. Moi rodzice nie żyją.

– Tak mi przykro – szepnęła.

– To stało się prawie dwa lata temu, więc nie myślę już o tym często. Zginęli w niewyjaśnionych okolicznościach podczas podróży po Abisynii. Zostałem tylko z Konradem, moim bratem, który odziedziczył tytuł.

– Jaki tytuł? – Krysia zamrugnęła ze zdziwienia.

– Hrabiowski, oczywiście – odparł nonszalancko, zadowolony, że udało mu się zrobić na dziewczynie wrażenie. – Nie używa go, w jego pracy aktorskiej zupełnie się nie przydaje.

– Czy ty właśnie próbujesz powiedzieć, że to nie jest zbieżność nazwisk, a twoim bratem jest wielki Konrad Werner? – Dziewczyna

wybałuszyła oczy ze zdziwienia.

– Tak.

– Och! – westchnęła Krysia, a Ignacy pomyślał, że pewnie zaraz zacznie trajkotać o filmie i przymilać się o zdjęcie z autografem, lecz nic takiego nie nastąpiło. – Ogromnie ci współczuję – powiedziała i teraz to chłopak się zdziwił. – Moja siostra zawsze uchodziła za rodzinną gwiazdę. Nawet zapowiadała się na niezgorszą pływaczkę, więc świetnie wiem, jak żyje się w cieniu rodzeństwa. Nawet jeśli jest się dumnym z ich osiągnięć.

– To prawda – odparł Ignacy. Poczuł, że choćby szukał przez kolejne sto lat, nigdzie nie znajdzie dziewczyny, która będzie choć w połowie tak doskonała jak Krystyna. Problemem było jedynie to, że miała zaledwie piętnaście lat. Ignacy postanowił, że będzie czekał, ile trzeba, i poświęci wszystko, żeby ją zdobyć.

Kilka dni po ich spotkaniu do Krysi niespodziewanie przyszła przesyłka pocztowa. Gorączkowo odpakowała papier, a ze środka wypadł nieduży tomik oprawiony w brązową skórę. Kredowe, puste kartki wewnątrz świadczyły, że trzyma w dłoni elegancki dziennik. Na pierwszej stronie znalazła dedykację: *Krystynie, w dowód przyjaźni – Ignacy.*

Krystyna przycisnęła tomik do piersi i westchnęła ze szczęścia.

Michał Gutman jak nigdy opuścił szpital na Czystem z poczuciem ulgi. Zwykle niechętnie wracał do domu, lecz ostatnia zmiana na oddziale porządnie dała mu w kość. Mnóstwo szycia i łatania nieodpowiedzialnych gnojków z ulicznych bójek, naprawiania rzeczy, jakie nigdy by się nie wydarzyły, gdyby nie porywczość i gwałtowna natura niektórych młodych ludzi. Stawiali naprzeciw siebie komuniści i narodowcy, ci drudzy często krzycząc hasło „gonić Żyda”, a potem całe zacierzewione towarzystwo łądowało obok siebie na szpitalnych łózkach pod opieką żydowskiego lekarza.

Innym powodem jego irytacji była wizyta pewnego prominentnego polityka z obozu rządzącego. Ordynator, chyba z góry zakładając, że ta wizyta nie wróży nic dobrego, pozostawił gościa w rękach swojego najbardziej zaufanego asystenta, czyli Michała, po czym wymówił się pilną operacją.

Polityk nie usiadł na wskazanym miejscu, a zamiast tego zaczął się przechadzać po gabinecie z rękami założonymi na plecy. Sztywno wyprostowany, z uniesionym podbródkiem kroczył w tę i z powrotem, jakby zbierając myśli. Michał poczuł się jak uczeń we własnym miejscu pracy.

– Zapewne znana jest panu metoda odmładzająca Woronowa? – przemówił dygnitarz z wyższością.

– Jest mi znana – odparł Michał.

– Tak, z pewnością. Cóż więc pan o niej sądzi?

– Jeśli mam być szczery, uważam ją za szarlatanerię.

– Jednak jest z powodzeniem stosowana w Paryżu, a i u nas w kraju wykonuje się ją od trzydziestego trzeciego roku. Ot, choćby w Szpitalu Sióstr Elżbietanek w Mokotowie. – Polityk przerwał wreszcie irytujący spacer i rozparł się wygodnie na krześle przed biurkiem.

– Pan wybaczy, ale ja w tę kurację nie wierzę. Proszę się zwrócić do sióstr elżbietanek.

– Podobno nawet Stalin przeszedł tę operację – perswadował polityk.

– Nie polegałbym za mocno na niesprawdzonych pogłoskach z głębi komunistycznej Rosji. Z całym szacunkiem, ale czy posiada pan wiedzę, na czym polega ten nieszczęsny zabieg?

– Szczegółów nie znam.

– Z hodowli Woronowa lub jego naśladowców przysyłają do szpitala dojrzałego pawiana, którego uśmierca się, a potem pobiera wycinki jego jąder. Po czym owe wycinki wszczepia się do jąder pacjenta. A wie szanowny pan, co w tym wszystkim jest najciekawsze? Zanim Woronow wpadł na pomysł wykorzystania małp, skupował zwłoki młodych straconych więźniów i pobierał materiał od nich. Niechże pan pomyśli, czy to brzmi jak wiarygodny sposób na zatrzymanie młodości?

Polityk odszedł jak niepyszny, lecz było niemal pewne, że nie uwzględni szpitala żydowskiego w jakimkolwiek rozdzielaniu budżetu. Inna rzecz, że szpital na Czystem od zawsze radził sobie sam dzięki wpłatom prywatnych darczyńców. I prawdopodobnie

dlatego był najbardziej nowoczesną placówką tego typu w całej Warszawie.

Michał szedł chodnikiem w stronę przystanku tramwajowego, a popołudniowe słońce nieco go oślepiało, świecąc prosto w oczy. Być może właśnie dlatego nie zauważył samochodu Konrada zaparkowanego tuż za rozłożystym klonem.

– Złotówkę za myśli pana doktora! – krzyknął Werner, wyskakując z pojazdu na chodnik.

– Nie chcesz ich znać – roześmiał się Michał, wciąż mając w pamięci obrazy dnia ze szpitala. – Właśnie szedłem na tramwaj i zupełnie nie spodziewałem się ciebie tu spotkać.

– Pokazałeś mi swój wykaz dyżurów, a ja go zapamiętałem – odparł Konrad. – I wiem, że dzisiaj jesteś już wolny. Zatem może pójdziemy na obiad?

– Niezupełnie wolny. Obiecałem matce, że podjadę na Kercelak po dyżurze. Nieczęsto mnie prosi o podobne przysługi, więc nie mogę odmówić – odparł Michał z wyraźnym żalem w głosie.

– A po cóż masz jechać na bazar? – zdziwił się Konrad.

– Matce uzbierało się sporo pieniędzy w kasie baru i potrzebuje obstawy, żeby iść do PKO. Nie trzyma gotówki w domu – wyjaśnił Michał, lecz powodu nie podał. Zresztą Konrad nie drażył. Wiedział, że dom rodzinny kochanka to ostatnia rzecz, o jakiej ten lubił rozprawiać.

– Zatem wskakuj! Zawiozę cię tam, a potem podrzucę was do banku. Tak będzie bezpieczniej – oświadczył Konrad, czym zaskoczył zarówno siebie, jak i Michała. Nigdy wcześniej nie wykonał najmniejszego ruchu, żeby poznać kogokolwiek z jego rodziny. Ich nieakceptowany społecznie związek był wystarczającym bodźcem do zachowywania pełnej dyskrecji.

– Jesteś pewny? – zapytał ostrożnie Michał. – Pamiętaj, że i tam wzbudzisz powszechną sensację.

– Przecież prawo nie zabrania posiadania uczynnych kolegów, prawda? A po wszystkim możemy coś zjeść.

Brzmiało to dość rozsądnie, poza tym każda wspólnie spędzona chwila cieszyła, więc ruszyli w głąb dzielnicy północnej. Samochód

przejechał Żelazną, skręcił w Ogrodową i od tej strony dostali się na plac Kercelego.

Wokół bazaru panował spory ruch, więc Konrad zaparkował przy chodniku na Ogrodowej, starannie zamknął wóz i przywołał gestem dłoni stojącego nieopodal dzieciaka w kraciastym kaszkiecie.

– Dostaniesz całą złotówkę, jak popilnujesz samochodu. Stoi? – zapytał mężczyzna.

– Stoi, szefie! – ucieszył się wyrostek i posłusznie oparł się o ścianę kamienicy na wprost kremowego steyra.

Spory plac szczelnie wypełniony budkami i straganami jak zwykle tętnił życiem.

– Uważaj na doliniarzy – ostrzegł Michał podniesionym głosem. W gwarze rozmów i okrzyków zachwalających swój towar sprzedawców ciężko było się usłyszeć nawzajem. – Kręci się ich tutaj dużo i są wyjątkowo sprytni. Łatwo stracić portfel.

Sarę Gutman zastali jak zwykle w barze. Konrad wyobrażał ją sobie wcześniej jako stonowaną starszą kobietę w niemodnych ubraniach i z siwiejącymi czarnymi włosami, więc doznał lekkiego szoku na widok zadbanej, wciąż atrakcyjnej, pewnej siebie osóбки z tlenionymi blond włosami.

– Miło poznać przyjaciela mojego syna – przywitała się uprzejmie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł i szarmancko pocałował ją w dłoń.

– Niech pan powie, cóż sprowadza gwiazdę filmową na ten nasz bazar? – zapytała, zerkając w okno baru. Paru ciekawskich już przywazyło znanego aktora i przykleiło nosy do szyb.

– Konrad był tak miły, że postanowił cię eskortować własnym samochodem do banku – odparł Michał.

– Jak miło z pana strony! – Sara Gutman klasnęła w dłonie. – Ale najpierw obydwaj coś zjecie.

– Mamo, może najpierw jednak zajmiemy się tym bankiem, póki otwarty? – zasugerował Michał. Sytuacja nieco go krępowała. Przypuszczał, że taki smakosz i bywalec najlepszych restauracji jak Konrad może nie być zachwycony jadłospisem baru na Kercelaku.

– Z ogromną przyjemnością! – ucieszył się Konrad. – Już od progu poczułem niebiańskie zapachy.

Reakcja przyjaciela wydawała się szczerą, a entuzjazm, z jakim zabrał się za pyzy okraszone gęsim smalcem z cebulką, utwierdził Michała w przekonaniu, że potrawa bardzo mu smakuje. On sam przepadał za kuchnią swojej matki. Wiedział też, że kucharki w barze gotują według jej przepisów stworzonych od serca.

– Jedz, synu. Nad czym tak myślisz? – zapytała Gutmanowa, głaszcząc go przelotnie po czarnej czuprynie.

Gest rozczył Konrada, bo zawierał w sobie całą matczyną miłość, jakiej on już od wielu lat nie doświadczył. Michał był szczęściarzem.

Do gmachu Pocztovej Kasy Oszczędności na Świętokrzyskiej dotarli kwadrans później. Sara Gutman, zachwycona przejażdżką eleganckim samochodem, uśmiechała się promiennie.

– Ciekawe, kiedy skończą tę nową siedzibę banku. – Michał zadarł głowę do góry, gdy mijali róg Marszałkowskiej. – Chociaż jeszcze nie jest gotowa, już robi spore wrażenie.

– Nie dziwota, w końcu ma mieć aż osiem pięter. Podobno skończą w przyszłym roku. Są też plany, żeby starą siedzibę i nową połączyć plombą, a potem przebić wejścia.

– Bankowość to doskonały geszeft – roześmiała się Sara.

Mieli sporo szczęścia, bo wewnątrz kręciło się jedynie kilku interesantów. Sara podeszła do wolnego okienka i sprawnie wpłaciła plik stuzłotowych banknotów. Musiało tego być ładnych kilka tysięcy, więc stawało się jasne, że kobieta obawiała się chodzenia z nimi po ulicy. Konrada zdziwiło, jak dochodowy może być handel na Kercelaku.

– Chodźmy, załatwione – oświadczyła z ulgą matka Michała.

Byli już przy wyjściu, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie, a do środka wszedł jakiś mężczyzna, niemal zderzając się z Konradem.

– Proszę o wybaczenie, nie zauważyłem szanownego pana – powiedział uprzejmie, choć z irytacją w głosie. Konrad spojrzał mu w twarz i natychmiast rozpoznał.

– Moje uszanowanie, panie Malinowski – przywitał się spokojnie, choć z jego oczu wyzierała skrajna nienawiść.

– Moje uszanowanie, panie Werner – odparł szybko Apoloniusz Malinowski i błyskawicznie odszedł, porażony nieprzyjaznym obliczem aktora.

– Skurwysyn – powiedział z pogardą Konrad, gdy już wyszli na ulicę. – Och, najmocniej szanowną panią przepraszam za słownictwo – zmitygował się natychmiast.

– Nic nie szkodzi – odparła. – Jeśli się należało, to nie ma co przepraszać.

– Czy to był właśnie ten Malinowski od Heleny? – zapytał nieopatrnie Michał.

– We własnej osobie.

– Od naszej Heleny? – wtrąciła się Sara. – Zaraz, zaraz. Coś mi to nazwisko mówi. Czy nie tak właśnie nazywał się wysoki blondyn, z którym Hela przyszła kiedyś na Kercelak?

– Zgadza się, matko. Choć nie miałem pojęcia, że kiedykolwiek poznałaś Poldka – bąknął Michał.

– Facet w banku to ojciec Poldka? – odgadła natychmiast Sara. – A wnosząc po reakcji pana Konrada, musiał skrzywdzić naszą Helenę. Co ty przede mną ukrywasz, synu? Czy mam odwiedzić Helenę w antykwariacie, żeby się dowiedzieć, co tu się dzieje?

– Helena wyjechała do Sopotu i nie będzie jej przez kilka miesięcy – powiedział Konrad i tym razem on niechcący podał bystrej kobiecie kluczową informację. Intuicja Sary zadziałała bezbłędnie.

– Helena jest w pozamałżeńskiej ciąży z synem jegomościa z banku? Jak mogłeś to przede mną ukryć, Michale? I jak ona mogła nie pomyśleć, żeby przyjść do mnie po wsparcie? Jestem jedyną spokrewnioną z nią kobietą.

Zapadło niezręczne milczenie. Wokół chodzili ludzie, po ulicy mknęły z warkotem samochody, a Michał, przygwożdżony spojrzeniem matki, miał wrażenie, jakby poza nimi dwojgiem nagle przestał istnieć świat.

– Myślę, że powinniśmy wstąpić do kawiarni i tam porozmawiać w spokoju – oświadczył przytomnie Konrad.

Apolinary Malinowski wyjął butelkę wódki z lodu i nalał do dwóch kieliszków z ozdobną złotą obwódką. Jeden z nich podał siedzącemu naprzeciwko synowi.

– Pij! Problemów może nie rozwiążesz, ale smutek na chwilę zniknie – oświadczył łagodnym jak na niego tonem.

Poldek posłusznie przechylił kieliszek, ale nie miał w tym zbyt wiele wprawy, więc natychmiast się zakrztusił.

– Przepij sokiem – roześmiał się Malinowski. – Oj, co z ciebie za chłop, jak nawet wypić nie potrafisz. A byłeś tu kiedyś? – zapytał, wymownie rozglądając się po gwarnym wnętrzu Adrii.

– Byłem – przyznał. – Kręciłem... – Poldek ugryzł się w język. – To znaczy oglądałem, jak kręca film z Konradem Wernerem.

– Ach, z tym – mruknął pod nosem Malinowski. – Nie podoba mi się twoja z nim znajomość. Nie dalej jak miesiąc temu spotkałem go w banku. Spojrzał na mnie tak, jakbym matkę mu zabił.

– Nie widziałem go od bardzo dawna – skłamał Poldek, zachowując dla siebie wspomnienia z Juraty.

– Zresztą to teraz zupełnie nieistotne. Synu, ja wiem, że strata dziecka to okropne przeżycie. – Przez twarz Malinowskiego przebiegł grymas bólu na wspomnienie zmarłej Dorotki. – Ale przecież przyjdą kolejne. Oczywiście pod warunkiem, że nie będziesz unikał żony.

– Ojczy, przecież to ona mnie unika – odparł ze zdziwieniem chłopak. Pominął milczeniem fakt, że najchętniej nie zbliżałby się do niej już nigdy.

– A bo ty jakiś mięczak jesteś czy co? Chłop chce, baba daje. O obowiązku małżeńskim nie słyszałeś? – Apoloniusz spojrzał na syna z politowaniem.

– Gwałtem mam ją brać? – zirytował się Poldek. – Czy tylko ja widzę, że z Pauliną dzieje się coś niedobrego? Jej potrzebny lekarz. Albo płacze, albo się ciska.

– Z żalu. Będzie znów przy nadziei, to szybko zapomni.

– Jeszcze zanim straciła dziecko, było z nią kiepsko. A teraz potrafi przez cały dzień leżeć w łóżku i patrzeć w jedno miejsce na ścianie. Do mnie nie odzywa się wcale, a gdyby ciotka Maria nie namawiała jej do jedzenia i prawie siłą karmiła, to już dawno

zmarłaby z głodu. Ona ma coś nie tak z głową. Pomocy potrzebuje, a nie kolejnego dziecka! A może ojciec porozmawiałby z Melnerem? – zapytał z nadzieją. – On pewnie nakłoniłby córkę, żeby poszła do doktora.

– Chcesz, żebym powiedział Januaremu, że ma wysłać córkę do łapiducha, bo ma nierówno pod sufitem? – Malinowski wybałuszył na syna oczy, a potem zaczął się śmiać.

– Choroba to nie wstyd – bąknął chłopak.

– Choroba może i nie, ale oskarżanie czyjejś córki, że pomieszały jej się zmysły, raczej przyjaciół nie przysparza. O tym w ogóle nie może być mowy! Nawet nie waż mi się wspominać nic na ten temat. A co by sąsiedzi powiedzieli? Że wariatkę w domu trzymamy?

Poldek zwiesił głowę. Choć łudził się, że coś wskóra, w gruncie rzeczy wiedział, że ta rozmowa donikąd ich nie zaprowadzi. Zdziwił się, gdy ojciec zaprosił go na kolację. Nigdy wcześniej to się nie zdarzało, więc chętnie przystał na propozycję, a w jego sercu pojawiła się nieśmiała nadzieja na pojednanie. Jak widać, rozmowa miała służyć jedynie zachęceniu do spółdzenia kolejnego upragnionego dziedzica, a wyjście z domu nieskrępowanej rozmowie na tematy, jakich przy kobietach nie wypadało poruszać.

– Najlepiej by było, żebyście znów wyjechali, ale pora mało sprzyjająca – zasepił się Malinowski.

– Pogoda już niedobra i mogłaby Paulinie dodatkowo nadwątlić zdrowie – potwierdził Poldek, gorączkowo szukając wymówek.

– Aj tam, aż taka delikatna to ona nie jest. – Ojciec machnął niecierpliwie ręką. – Sezon idzie, więc nijak nie mogę wypuścić cię z pracowni.

– Ojczy, wszystko ma swój czas. Zarówno wyjazdy, jak i wnuk. Nie da się pospieszyć natury. – Poldek spróbował dyplomacji.

– Kiedy nie mamy czasu! Nie widzisz, jak kruche jest życie? Dorotka zmarła, zostałeś mi tylko ty. Jeśli nie doczekam od ciebie wnuka, to nie doczekam go wcale.

– Janek nie umarł – odparł spokojnie Poldek, lecz spojrzał ojcu wyzywająco w oczy. W domu pewnie w życiu by się na to nie

odważył, lecz pomiędzy ludźmi czuł się bezpiecznie. Wiedział, że ojciec nie zaryzykuje awantury w miejscu publicznym.

– Dla mnie umarł – odparł Malinowski.

– Lecz ja nie zapomniałem, że mam brata. Co stało się z listami, które do mnie pisał?

– Wylądowały tam, gdzie ich miejsce! W piecu – warknął ojciec. Twarz poczerwieniała mu ze złości. – Nigdy więcej nie wspominaj przy mnie o Janku, rozumiałeś?

Poldek bezwiednie zacisnął dłonie w pięści. Z całych sił powstrzymywał się, by nie powiedzieć czegoś, co rozpęta otwartą wojnę. W swej naiwności zakładał, że ojciec chociaż zmiesza się po pytaniu, lecz on najwyraźniej nie dopuszczał do siebie myśli, że zrobił coś niewybaczalnego.

– Życie nie jest bajką, rozumiesz? Albo jesteś twardy, albo inni wdeptują cię w ziemię – powiedział Apoloniusz.

– A gdzie czas na zwyczajne ludzkie sprawy? – zapytał z przygnębieniem Poldek.

– Od razu widać, żeś z pokolenia rozpieszczonych maminsynków, którzy nie zaznali trudów życia – sapnął ojciec. – Z jednej strony to i dobrze, ale przez to wcale nie masz kręgosłupa. Ja w twoim wieku byłem już na wojnie rosyjsko-japońskiej. Wiem, co to strach, głód i chłód. A później jeszcze wziąłem udział w bitwie z bolszewikami o Warszawę. Na moich oczach ginęli ludzie. Ich flaki rozlewały się w kałużach krwi na przedpolu Radzymina, a ty mi mówisz, że nie potrafisz własnej żony wychędożyć, żebym mógł przed śmiercią zobaczyć swojego następcę?

Poldek widział, że ojciec jest bliski furii, więc nie odważył się odpowiedzieć. Spuścił głowę i biernie wpatrywał się w nieskazitelnie biały obrus. W pewnym sensie rozumiał stanowisko rodzica, lecz cóż z tego, skoro jego dusza wyła na myśl o tym, że ma do końca życia tkwić w potrzasku pomiędzy Pauliną a pracownią ojca i jego ciągłymi wymaganiami.

– Napij się, synu. Wódka pozwala mężczyźnie zatopić smutki i zapomnieć o uczuciach. Te są dobre dla bab, a my musimy być silni – powiedział niespodziewanie łagodnie Apoloniusz i znów nalał trunku do kieliszków.

ROZDZIAŁ 10

1938

Pierwszy listopada stanowił dla Heleny pewną cezurę. Jeszcze nigdy nie spędziła Wszystkich Świętych poza Warszawą. Zwykle celebrowali ów szczególny dzień z ojcem, odwiedzając grób jego rodziców na Powązkach i później miejsce spoczynku matki na pobliskim cmentarzu żydowskim. Macewa z napisem „Anna Gutman” kłóciła się ze stanem faktycznym, bowiem po mężu powinno widnieć „Małecka”.

– Ojczy, dlaczego mama miała inne nazwisko? – zapytała kiedyś.

– To długa historia, córeczko – westchnął Józef. – Mama wyraziła życzenie, żeby pochować ją pośród jej ludzi, a rabin na to przystał. Potem do sprawy wtrącił się twój dziadek Szmul, który ma rozległe kontakty, bo przecież sam jest rabinem. Wymógł na mnie, że na macewie zostanie wyryte nazwisko panięńskie twojej matki. Wiedziałem, że chciała być pochowana w żydowskiej ziemi, więc się zgodziłem. To był zresztą ostatni raz, gdy widziałem Szmula Gutmana. Właśnie na pogrzebie.

Helenę zawsze to dziwiło. Za życia mieszkańcy Warszawy mieszałi się na jej ulicach, a po śmierci za wszelką cenę pragnęli, żeby ich rozdzielić. I oddzielały ich mury z czerwonej cegły, a między nimi biegła ulica o najbardziej przygnębiającej nazwie, jaką tylko mógł wymyślić ludzki ród. Smętna.

W tym roku Wszystkich Świętych Helena spędziła na cmentarzu w Sopocie, odwiedzając wraz ze stryjostwem nagrobek rodziców stryjenki Kasi. Siłą rzeczy nie zrobiło to na niej większego wrażenia, choć z szacunku dla tutejszej rodziny położyła na grobie chryzantemy i zapaliła znicz. Przez chwilę myślała o tym, jak samotnie musi czuć się ojciec, odwiedzając warszawskie mogiły w pojedynkę. A później przypomniła sobie zapomniany grób na cmentarzu Bródnowskim, należący do zamordowanej siostry Basi. Jego nikt nie odwiedzi. Zaglądali tam tylko Barbara i Janek, ale oni mieszkali teraz w dalekim Poznaniu. Helena żałowała, że nie pomyślała o tym wcześniej. Przecież mogła poprosić Konrada, żeby odwiedził mogiłę nieszczęsnej Stasi.

– Wracajmy, robi się bardzo zimno. Jeszcze nam się Helena zaziębi – powiedziała stryjenka.

– Słuszna uwaga, moja droga. Idziemy, dziewczynki – zakomenderował stryj Fryderyk.

Wracali szeroką aleją cmentarną, brodząc w opadłych liściach. Takie oblicze Sopotu nieustająco zdumiewało Helenę. Dla niej to miejsce oznaczało wyłącznie zieleń, lato i słońce. Tymczasem w jesiennej odświeżeniu miasto wyglądało niezwykle uroczo. Oczywiście poza miejscami, w których łopotały na wietrze ogromne flagi z niemiecką swastyką i nachalną czerwienią. Obsesja niemiecka na tle eksponowania symboli państwowych biła na głowę dążenia do oflagowania wszystkiego w Warszawie na biało i czerwono.

– A może pójdziemy na spacer nad morze? – zaproponowała Helena. W przeciwieństwie do opatrzonych z bezkresną wodą krewniaków jej zawsze było mało nadmorskich widoków.

– Heleno, nie dzisiaj. Robi się bardzo zimno, a jutro także jest dzień. Może wiatr tak bardzo nie będzie dokuczał, a dziewczynki chętnie dotrzymają ci towarzystwa. Jednak teraz bez dyskusji idziemy na gorący rosół – odparła stryjenka.

Hela nie zamierzała się z nią sprzeczać. Widziała, że wszystko, co ta kobieta robi, jest podyktowane troską. Cóż jednak mogła poradzić na to, że od tygodni Helenę wręcz rozpieierała energia? Miała apetyt, lecz ciągły ruch sprawił, że prawie nie przytyła. Niewielka wypukłość, starannie maskowana płaszczkiem, także nie wzbudzała podejrzeń.

– Dobrze, stryjenko – odparła z uśmiechem. – Ale nie każ mi siedzieć w domu jak woskowej lalce. Chętnie w czymś pomogę.

– Najlepiej pomożesz, jeśli weźmiesz sobie do czytania jakąś książkę z biblioteczki stryja Fryderyka – odparła stryjenka.

Helena tylko westchnęła, lecz nic nie odpowiedziała. Stryj pozwolił jej korzystać ze swojego gabinetu, więc pomyślała, że po obiedzie usiądzie przy biurku i napisze pierwszy od dawna list do Basi. Nie kontaktowała się z nią od czasu wyjazdu z Warszawy. Ubranie w słowa tego, co dzieje się w jej duszy, sprawiało ogromną trudność i nie miała pomysłu, jak w miarę wiarygodnie uzasadnić wyjazd do Sopotu. Przecież nie mogła wyznać, że spodziewa się

dziecka Poldka. Była przekonana, że przyjaciółka podzieli się wiadomością z Jankiem. Na jaki pomysł wpadnie on, trudno było zgadnąć, więc Helena wiedziała, że musi powstrzymać się od zwierzeń. Po namyśle uznała, że napisze kolejny list do ojca, a sprawa listu do Basi musi jeszcze poczekać.

Pomimo niesprzyjającej aury Helena wymykała się na spacer, kiedy tylko mogła. Unikała głównej plaży, opustoszałej o tej porze roku. Po prostu za każdym razem, gdy tam była, przypominała jej się okropna scena, kiedy żandarmi chcieli aresztować Michała. Otuchy nie dodawał także Dom Zdrojowy obwieszony, gdzie tylko się dało, flagami ze swastyką. To nachalne zaznaczanie hitlerowskich wpływów wybitnie działało Helenie na nerwy. Z natury wyczulona na cudze nastroje, codziennie obserwowała coraz większą pogardę, jaką sopoccy Niemcy okazywali żydowskim sąsiadom. Polakom także.

Helenie, wychowanej na pograniczu kultur, nie mieściło się w głowie, że można okazywać komuś brak szacunku tylko dlatego, że przynależy do jakiejś narodowości, grupy etnicznej czy też wyznania. Tymczasem hitlerowska metoda działania małymi krokami i powolnego sączenia propagandy doskonale się sprawdzała. Nawet stryj i stryjenka wydawali się pogodzeni z takim stanem rzeczy, a w każdym razie nie szokowało ich to w takim stopniu, jak powinno szokować inteligentnych, uczciwych ludzi.

Tymczasem Helena dostawała furii na widok tabliczek zabraniających Żydom wstępu na publiczną plażę lub do lokali gastronomicznych. Jej w połowie żydowska dusza łkała, obserwując bezmiar pogardy, z jaką odnoszono się jawnie do jej pobratymców. Polska duma z kolei cierpiała na widok ledwie tajonej niechęci ze strony większości sąsiadów wobec jej ojczyzny.

Oczywiście nie dotyczyło to wszystkich. Herman, rybak, który pomógł uciec Michałowi z Sopotu, odnosił się do swoich polskich sąsiadów z sympatią. Odwiedzali się, znali swoje rodziny, więc Heleny nie zdziwiło, gdy stryjenka jej oznajmiła, że w pierwszą niedzielę listopada rodzina Hermana przyjdzie do nich na obiad. Dziewczyna nie doświadczyła wielu rozrywek ostatnimi czasy. Nie

poznała wcześniej rodziny Hermana, więc ucieszyła się na wieść, że przyjdzie z żoną, synem i córką będącą jej rówieśnicą.

Z okazji uroczystego obiadu założyła elegancką popielatą sukienkę, w którą wciąż mieściła się bez problemu. Stała przed lustrem w swoim niewielkim pokoiku na poddaszu i okręciła się wokół własnej osi. Nadal nie było po niej nic widać.

– Już przyszli! – Do pokoju zajrzała Zosia. Uwadze Heleny nie umknęły wypieki na jej policzkach. – Chodź do jadalni.

– Już idę – mruknęła pod nosem.

– Ona kocha się na zabój w tym całym Wilhelmie. No wiesz, w synu sąsiadów – parsknęła śmiechem Mania, wchodząc do środka.

– Nie za stary dla niej? Stryjenka mówiła, że już skończył dwadzieścia pięć lat – odparła Helena.

– Pewno, że za stary, ale ona wie swoje. Zapatrzona w niego jak w tęczę.

– A on?

– No przecież to oczywiste, że nie zwraca na nią najmniejszej uwagi! – roześmiała się Mania.

Helena w zupełności rozumiała fascynację Zośki, gdy zeszła do jadalni. Syn Hermana był wysokim blondynem z oczami błękitnymi jak pogodne niebo w środku lata. Posiadał ten rodzaj czaru, który działa absolutnie na wszystkich. Nawet stryjenka patrzyła na młodego mężczyznę z wyraźną przyjemnością. Córka Hermana wypadła na tle brata blado. Ubrana w niemodną sukienkę, z niezbyt bujnymi włosami i wodnistymi oczami, uśmiechnęła się nieśmiało do Heleny, na chwilę pokazując krzywe zęby. Małżonka sąsiada z kolei była zupełnie zwyczajną kobietą, ubraną w odświętną suknię, jaką zapewne zakładała na niedzielne msze w kościele ewangelickim, lecz jej spracowane dłonie z punktu zdradzały, że na co dzień trudni się sprzedażą ryb na lokalnym bazarze.

– Zapraszam do stołu – powiedziała stryjenka po niemiecku.

Rozmowa przy obiedzie toczyła się w tymże języku, a Helena z całej siły wytężyła umysł, żeby nadążyć. Za podszeptem Michała zapisała się na niemiecki i szło jej całkiem nieźle, lecz wciąż był to poziom szkolny.

– Jak podoba się pani Sopot, Heleno? – zapytał uprzejmie Wilhelm.

– Przyjeżdżam tu od dawna, więc oczywiście podoba mi się bardzo – odparła grzecznie.

– Może od dawna, lecz chyba po niemiecku nie mówi pani najlepiej – zauważył niezbyt taktownie, patrząc na dziewczynę z pobłażliwą wyższością.

– Do niedawna Sopot był tak samo polski jak niemiecki, więc chyba nie ma obowiązku? – zapytała zaczepnie.

– Może jeszcze dokładkę rosółu? – wtrąciła się stryjenka.

– Dziękuję, Kasiu, jest jak zwykle wybitny. Twój przepis na polski *Brühe* jest nadzwyczajny – odparła uprzejmie Hermanowa.

– Wilhelmie – stryj uśmiechnął się do chłopaka – czy w pracy wszystko dobrze?

– W najlepszym porządku, panie Malecky – odparł Wilhelm.

Helena miała wrażenie, że przystojniak celowo kaleczy wymowę nazwiska, które przecież zna od dziecka. Adenauerowie sąsadowali ze stryjostwem od kilkunastu lat, więc ciężko było uwierzyć w tę nagłą niegramotność.

– Małecki – sprostowała spokojnie Helena i oblizała łyżkę.

– Tak właśnie powiedziałem – odparł Wilhelm, lecz widać było, że jest zirytowany.

– Właściwie zastanawia mnie jedna rzecz, panie Wilhelmie. Może pan rozwieje moje wątpliwości, choć z góry przepraszam za mój nie najlepszy niemiecki. – Helena spojrzała twardo na blond przystojniaka.

– Służę uprzejmie – wycedził chłopak.

– Co pan sądzi o tym, że siedzimy na terenie Wolnego Miasta, któremu ów status nadał traktat wersalski, a pan się dziwi, że ktoś nie mówi dobrze po niemiecku? Czyżby Polacy nie mieli tu już nic do powiedzenia?

– Co pani właściwie ma na myśli?

– Przecież równie dobrze to ja mogłabym zdobyć się na impertynencką uwagę, że pana polski jest niedoskonały – roześmiała się Helena. – Ach! Proszę wybaczyć! Pan nie zna słowa po polsku, kaleczy nazwisko przyjaciół rodziców, udając, że go nie

potrafi wymówić. Czyli to Polacy mają się uczyć waszego języka, a nasz was nie interesuje?

– Heleno! – jęknęła stryjenka.

– Ona ma rację – oświadczył zniechęcony Herman. Jego żona przytaknęła, a córka jeszcze bardziej skuliła się w sobie. – Polityka polityką, ale boli mnie, że stawia się mury pomiędzy sąsiadami.

– Drogi Hermanie, nigdy w życiu nikt w tym domu nie nazwie was inaczej niż przyjaciółmi – powiedział stryj Fryderyk.

– Amen. – Stryjenka przeżegnała się szybko i skupiła spojrzenie na stole. – Za chwilę podamy drugie danie.

– Och, mam nadzieję, że polski bigos! – Żona Hermana klasnęła w dłonie.

– W istocie, moja kochana – roześmiała się Kasia. – Z grzybami, oczywiście. Wiedziałaś, że wciąż są podgrzybki w okolicznych lasach? A do tego mam zrazy wołowe, które Fryderyk wprost uwielbia.

– Ja też je uwielbiam! – Herman uśmiechnął się szeroko.

– A ja mam przednie niemieckie piwko do tego. – Stryj puścił oko do przyjaciela.

– Wciąż ma pani zastrzeżenia do rozmów po niemiecku? – zapytał nonszalancko Wilhelm, patrząc Helenie wyzywająco w oczy.

– Nie mam najmniejszych zastrzeżeń – odparła pogodnie, widząc, że przystojny mężczyzna taksuje ją wzrokiem.

– Być może nie jestem zwolennikiem różnorodności etnicznej w Sopocie, lecz nikt nie zarzuci mi, że nie szanuję ludzi, którzy próbują dążyć do niemieckiej doskonałości. Niektórzy Polacy nawet do tego się nadają – odparł arogancko.

– Wilhelmie! Natychmiast przeproś panią Helenę – oburzył się Herman.

– Proszę wybaczyć, pani Heleno – odparł kpiarskim tonem syn sąsiada. – Swoją drogą, gdzież to się podziewa pani mąż?

– Służy w wojsku polskim.

– Ach tak. To całe wasze wojsko – roześmiał się.

– Natychmiast zamilcz – syknęła jego matka.

– Och nie, niech mówi – odparła Helena, wypinając biust. Mężczyzna całkowicie jej nie pociągał, lecz wiedziała, że on

w pokrętny sposób pożąda jej. Cynicznie postanowiła to wykorzystać, żeby zdobyć przewagę w tej absurdalnej dyskusji.

– Proszę wybaczyć, pani Heleno – wciął się w wymianę zdań prostolinijny rybak Herman. – Syn nie miał nic złego na myśli. Nikt w Sopocie, jeśli ma zdrowe zmysły, nie chce wojny z Polakami.

– Wystarczy, że wspólnie wyrzucimy stąd żydostwo – powiedział Wilhelm.

– Więc żydostwo szanownemu panu nie odpowiada? – Helena skupiła się na doborze niemieckich słów, by zabrzmieć wystarczająco dystyngowanie. – A co łaskawy pan powie na to, że moja matka była Żydówką?

W jadalni stryjostwa zapanowała śmiertelna cisza. Kuzynki spojrzały na Helenę z niedowierzaniem, stryj Fryderyk odchrząknął z zakłopotaniem, a żona Hermana pogłaskała Helę po ramieniu, jakby chciała jej dodać otuchy.

– Co lubi pani czytać? – odezwała się znienacka po polsku córka sąsiadów.

– Różne rzeczy – odparła Helena, patrząc z wdzięcznością na nieciekawą dziewczynę. – Dlaczego pani pyta?

– Mam bogatą bibliotekę, więc chętnie się podzielę. Również polskimi powieściami – powiedziała cicho.

– Będę niezmiernie zobowiązana.

– Jeśli ktoś jeszcze życzy sobie schnitzla, to proszę się częstować – zaprosiła stryjenka.

– Schabowego! – roześmiał się Herman. – Robisz je najlepsze na świecie, Kasiu. I nie zwracaj uwagi na waśnie pomiędzy dziećmi. Młode burzliwe głowy zawsze myślą, że wiedzą lepiej.

Wieczór upłynął bez kolejnych awantur, więc wszyscy domownicy odetchnęli z ulgą. Helena wyszła do ogródka stryjenki i z rozkoszą wdychała powietrze pełne jodu.

– Helu, mogę na słówko? – Stryj Fryderyk stanął tuż obok, wciąż w wieczorowym stroju.

– Oczywiście, wuju. Ja też chciałam porozmawiać.

– Tak?

– Chciałam przeprosić, że byłam niesympatyczna dla pana Wilhelma.

– Och, trudno być miłym w rozmowie z takim zakutym łbem – roześmiał się cicho stryj.

– Ale obraziłam gościa.

– Wpierw on obraził ciebie.

– Nie wracajmy do tego.

– Niestety musimy. Wilhelm jest wysoko postawionym urzędnikiem w NSDAP. Miejmy nadzieję, że rodzice wciąż nad nim panują i więzi z wieloletnimi sąsiadami coś znaczą, lecz po tym, gdy wspomniałaś o żydowskich korzeniach, możemy spodziewać się kłopotów.

– Stryja to nie oburza? – zapytała zdumiona dziewczyna.

– Oburza w najwyższym stopniu – odparł. – Ale jak mój protest ma się do tego chorego świata?

– Nijak. – Helena podeszła do różanego krzewu, gdzie pomimo niesprzyjającej pogody wciąż kwitł biały kwiat. Pogłaskała go pieszczotliwie opuszkami palców.

Stryj Fryderyk zerwał różę z pożółkłymi brzegami i wpiął siostrzenicy we włosy.

– Pamiętaj, moje dziecko. Świat tworzą masy, na ich czele stoją opętani małostkową żądzą władzy mali ludzie, którzy potrafią owymi masami poruszać. Dla nich piękno kwiatów nie ma najmniejszego znaczenia.

– Więc mamy zgadzać się na to, że szczeniak Wilhelm kaleczy nasze nazwisko, choć doskonale umie je wymówić? – zapytała z goryczą.

– Jeśli wymaga tego sytuacja, to chyba tak – szepnął stryj, otaczając ją ramieniem. – Fatalnie się ułożyło, że wspomniałaś o matce.

– Nie wstydzę się jej.

– Jak cała nasza rodzina. Lecz dla Niemców ze spranymi hitlerowską propagandą mózgami jest to wstrząsające odkrycie.

Poldek Malinowski stał przy samych drzwiach, wpatrując się w żonę. Była wczesna godzina, na zewnątrz wciąż panowały ciemności, a lampka stojąca na nocnej szafce obok łóżka nadal była włączona. Właśnie światło sączące się spod drzwi kazało mu wejść

do środka. Z Pauliną w dalszym ciągu nie spał, więc zwykle starał się nie zaglądać do sypialni.

Kobieta leżała na wznak, nakryta do pasa białą pierzyną. Miała rozłożone szeroko ręce i włosy rozsypane w nieładzie. W pokoju panował chłód, a okno było otwarte. Poldek pokręcił głową z dezaprobatą.

– Jeszcze brakuje, żeby dostała zapalenia płuc – mruknął pod nosem i podszedł bliżej, aby zamknąć okno. W smudze światła nocnej lampki ujrzał brzydką brązową plamę na prześcieradle tuż obok dłoni Pauliny. Zdziwiło go to, ponieważ wiele mógł jej zarzucić, lecz z pewnością przykładła ogromną wagę do czystości.

Nachylił się i w pierwszej chwili pomyślał, że żona usnęła z czekoladą w dłoni, a ta rozpuściła się, plamiąc wszystko wokół. Lecz to nie była czekolada.

– O mój Boże! – szepnął zdrętwiałymi ze strachu ustami. – Co ty zrobiłaś?

Szybkie spojrzenie na drugą stronę łóżka wyjaśniło, że Paulina targnęła się na życie, podcinając sobie żyły. Zapomniawszy o otwartym oknie, wybiegł z pokoju i nie zważając na śpiących domowników, zapalił światło na schodach, a potem pognął do salonu, gdzie stał telefon. Drżącą dłonią uniósł słuchawkę i wezwał pogotowie.

– Co tu się dzieje? – zapytała ciotka Maria, stając w progu, ubrana jedynie w nocną koszulę.

– Paulina odebrała sobie życie – wyjąkał Poldek.

– Jezus Maria, jaki wstyd! – jęknęła ciotka i przeżegnała się.

– Tylko to ciotkę obchodzi? – warknął.

Pogotowie przyjechało bardzo szybko. Dwaj sanitariusze nie słuchali wyjaśnień Poldka, lecz wyminąwszy go bezceremonialnie, pobiegli z noszami na poddasze. Zdrętwiały z przerażenia chłopak podążył za nimi. Nie chciał ponownie oglądać zwłok żony, lecz poczucie obowiązku wygrało.

– Ona jeszcze żyje! – krzyknął jeden z sanitariuszy.

Poldek poczuł, że kręci mu się w głowie, więc przytrzymał się futryny, biernie obserwując dwóch mężczyzn sprawnie przenoszących Paulinę na drewniane nosze.

– Mogę jechać z wami? – ocknął się wreszcie.

– Możesz pan, ale szybko! –

Poldek złapał jedynie szlafrok, a do kieszeni wepchnął portfel leżący dotychczas na stoliku w pokoju Janka, który obecnie zajmował. Zbiegł za sanitariuszami na parter kamienicy i błyskawicznie wsiadł do ambulansu. Starał się nie patrzeć na Paulinę. Przeraziła go jej kredowobiała twarz. Zamiast tego spojrzął na kamienicę. W kuchennym oknie wychodzącym na wewnętrzny dziedziniec dojrzał dwie przytulone do siebie głowy. To ciotka Maria i ojciec odprowadzali spojrzeniem odjeżdżający samochód.

– Dokąd jedziemy? – zapytał sanitariusza.

– Najbliżej mamy do soleckiego – odparł tamten.

Poldkowi kotłowały się w głowie przeróżne myśli, a jedna natrętna wystrzeliła nagle i nie dawała mu spokoju. Ambulans wyjechał już przez bramę, a kierowca szykował się do skręcenia w lewo.

– Niech pan jedzie do szpitala na Czystem – krzyknął Poldek.

W chwilach ogromnego strachu rozum człowieka jest zdolny do przedziwnych rzeczy. Dopiero gdy padło żądanie, uzmysłowił sobie, że w tym nowoczesnym przybytku pracuje kuzyn Heleny. O tym, że był świetnym chirurgiem, wspominała nie raz.

– To znacznie dalej! – zaoponował kierowca.

– Zapłacę! – Poldek wyszarpnął z kieszeni szlafroka portfel. Wciąż miał w nim stułotówki niewydane w Juracie. Ojciec nigdy nie poprosił o ich zwrot, a on nie śmiał ich wydać.

– Panie, pieniądze to jedno, ale czas się liczy. Im dalej, tym mniejsze szanse.

– Jedź pan do szpitala żydowskiego – odparł Poldek, podając mu banknot. – Na moją odpowiedzialność.

– Jak sobie łaskawy pan życzy – kierowca wzruszył ramionami, skręcił w prawo i pognął na sygnale przez uśpioną Warszawę. Pod szpital na Czystem podjechali po niespełna dziesięciu minutach, mijając po drodze dorożki wiozące do domu ostatnich imprezowiczów. Zza fasad kamienic przy Alejach Jerozolimskich powoli wstawało słońce, oświetlając upiornie woskową twarz Pauliny.

Zrządzeniem losu Michał miał nocny dyżur, więc gdy Paulinę wniesiono, od razu przyszedł na izbę. Obrzucił Poldka krótkim spojrzeniem, lecz z miejsca stracił nim zainteresowanie i zajął się pacjentką.

– Natychmiast trzeba przetoczyć krew – zarządził.

– Przeżyje? – zapytał zachrypniętym głosem Poldek.

– Czas pokaże – odparł krótko lekarz. – Teraz można tylko czekać i mieć nadzieję. Usiądź w poczekalni, my zabieramy ją na oddział. Poldku, zrobię wszystko, co w mojej mocy – dodał łagodniej na odchodne.

– Dziękuję.

Poldek pochylił głowę i zatopił dłonie w jasnych włosach. Targał nim ogrom sprzecznych uczuć. Nad tym wszystkim dominował wstyd. Gdy zorientował się, że Paulina porwała się na życie, przez chwilę poczuł ulgę, że uda mu się uwolnić od niej raz na zawsze. Chociaż zachował się, jak należało w tej dramatycznej sytuacji, w ogóle nie zakładał możliwości, że w ciele żony tli się jeszcze iskierka życia. Przemknęło mu nawet przez myśl, że może teraz uda mu się odzyskać Helenę. Być może dlatego podstępny mózg przypomniał mu kuzyna Michała? Czy to właśnie chęć, żeby być bliżej Heleny, kazała mu skierować ambulans do szpitala na Czyste? Ta myśl sprawiła, że ponownie poczuł wyrzuty sumienia. Wolałby sądzić, że przysłała go tu troska o Paulinę i o to, żeby oddać ją w ręce najlepszych specjalistów, lecz doskonale wiedział, że to tylko po części jest prawdą.

– Pan jest znajomym doktora Gutmana? – zapytała cicho pielęgniarka w różowej sukni i białym fartuchu, pochylając się z troską nad Poldkiem.

– Tak. Czekam na jakieś wieści o żonie – odparł.

– To na pewno potrwa. Nikt nie powie panu niczego przez kolejne kilka godzin.

– Oczywiście rozumiem to, ale i tak będę czekał.

– Tak sądziłam. Niechże pan ze mną pójdzie do dyżurki, zrobię panu herbaty – ulitowała się dziewczyna.

– A jeśli Michał będzie mnie szukał?

– Teraz zajmuje się pacjentką, więc niezależnie od wszystkiego nie wyjdzie, dopóki nie upewni się, że zrobił wszystko, żeby uratować jej życie.

– Dzięki Bogu – szepnął Poldek.

Dopijał herbatę, wciąż nie potrafiąc poukładać myśli. W dyżurce pielęgniarek zapanował harmider, a kobiety rozmawiały coraz mocniej podniesionymi głosami. W pierwszej chwili pomyślał, że nadeszły jakieś wieści o Paulinie, więc zerwał się z krzesła, wcześniej odstawiając filiżankę na blat, i wyszedł z dyżurki.

– Coś się stało? – zapytał, patrząc bacznie na stłoczone kobiety.

– W Berlinie rozpętały się ataki na Żydów. Niemcy tłukli wystawy sklepów, wchodzili do mieszkań, niby szukając kryształowych żyrandoli. Nie wiadomo, ile osób zginęło, ale na pewno mnóstwo ludzi straciło dorobek życia – poinformowała go pielęgniarka, ścis-kając w dłoni poranną gazetę.

– To straszne – wyszeptał. – Jak do tego doszło? – zapytał, chociaż bardziej chciał się dowiedzieć, co dzieje się z Pauliną. Uświadomił sobie, że ani jego ojciec, ani Melnerowie nie mieli pojęcia, gdzie obecnie obydwójce przebywają.

– Zmarł sekretarz z ambasady niemieckiej w Paryżu. Ten, co to go nasz chłopak postrzelił – wyjaśniła jedna z pielęgniarek.

– Jaki nasz? Niemiec to był! Żyd, ale Niemiec. Rozprawił się z przedstawicielem katowskiego systemu, a to posłużyło Hitlerowi za doskonałą wymówkę, żeby się wziąć za Żydów w Berlinie. Za nas w Warszawie też się wkrótce wezmą – oświadczyła inna.

– Niech pani nie rozpowiada bzdur – zachnęła się przełożona pielęgniarek. – Może tam się dziwne rzeczy dzieją, ale Niemcy, co by nie mówić, są kulturalnym narodem. A poza tym w Polsce nie mają nic do gadania.

– Taki to kulturalny naród, że Żydom nocne pogromy urządza. Ja tam swoje wiem – zaśmiała się ponuro kobieta.

– Po co zamachowiec strzelał w niemieckiej ambasadzie? – wtrąciła się kolejna.

– Chce pani powiedzieć, że pogrom to jego wina? Poza tym cały świat wie, jak rząd Hitlera traktuje Żydów. Nie dziwię się chłopakowi.

Nawet niezbyt ostatnio zaznajomiony z najnowszą polityką Poldek wiedział, o czym mówią kobiety. Gazety trąbiły o żydowskim zamachowcu, młodym Herschlu Grynszpanie, i powodach strzelaniny w ambasadzie niemieckiej w Paryżu. Jego mieszkającą w Hanowerze rodzinę Niemcy deportowali do Polski. Krewni przebywali obecnie w obozie dla internowanych w Zbąszyniu. Herschel uniknął ich losu, ponieważ przebywał w tym czasie w Paryżu, czekając na możliwość wyjazdu do Palestyny. Wściekły na Niemców za to, jak traktują Żydów, posunął się do desperackiego kroku. A Poldek zupełnie się chłopakowi nie dziwił. Można znieść wiele, łącznie z jawną pogardą, ale nie prześladowanie najbliższych.

– Czy wiadomo już coś o mojej żonie? – zapytał z nadzieją.

– Trzeba czekać – odparła pielęgniarka, która przyprowadziła go wcześniej do dyżurki. Spojrzała na niego ze współczuciem, lecz niemal natychmiast skupiła się na rozmowie o pogromie żydowskim. Poldek poczuł się jak intruz, więc wyszedł dyskretnie na korytarz. Stał przy oknie i zapatrzył się na dywan żółtych liści leżących pod nagimi drzewami. Dzień zapowiadał się ponury, już teraz siąpił deszcz, a niebo zasnuły chmury. Poldek oparł dłonie o parapet i przymknął oczy. Pod powiekami natychmiast pojawił się obraz Pauliny leżącej w łóżku z szeroko rozrzuconymi rękoma. A w głowie koszmarny wstyd za tę chwilę ulgi, gdy sądził, że pozbył się jej ze swojego życia raz na zawsze.

Apoloniusz Malinowski był nieprzytomny z niewyspania. W jego wieku zarwana noc oznaczała fatalny dzień. Mimo to po porannej toalecie założył codzienny garnitur i wszedł jak zwykle do jadalni. Umościł się na tym samym krześle, na którym siadał od lat.

– Dziękuję, Mario – powiedział sztywno, podnosząc ze stołu filiżankę z herbatą.

– Poldek wciąż się nie odezwał – powiedziała ciotka, siadając za stołem.

– Potrzeba czasu.

Właściciel zakładu nie miał apetytu ani chęci na rozmowę, więc odsunął talerz z nietkniętą jajecznicą i wstał. Kobieta westchnęła pod nosem, lecz nie ośmieliła się skomentować.

– Idę do pracowni, a ty pilnuj telefonu – polecił sucho.

– Nie martw się. Gdy tylko dostanę wiadomość, przyjdę do pracowni – odparła.

Apoloniusz wiedział, że powinien zadzwonić do Januarego, lecz odwlekał tę chwilę. Oświadczył Marii, że nie będzie bez potrzeby niepokoił ojca Pauliny, zwłaszcza że nic pewnego nie wie. Doskonale wiedział jednak, że oszukuje samego siebie. Zwyczajnie bał się gorzkich słów, jakie padną z ust przyjaciela. Apoloniusz po raz pierwszy w życiu poczuł wątpliwości, czy rzeczywiście przerasta rozsądkiem swojego syna. Prawdą było, że Poldek od dawna ostrzegał, że z głową jego żony coś jest nie w porządku. Może gdyby go wtedy posłuchał, nie doszłoby do tego nieszczęścia, które z pewnością zaważy na przyjaźni z Januarym Melnerem i zagrozi przyszłym interesom. Litość dla nieszczęsnej dziewczyny oczywiście odczuwał, lecz przede wszystkim irytację, że przez babskie histerie cały misterny plan coraz mocniej chwia się w posadach.

W pracowni już panował ruch. Szwaczki siedziały pochylone nad maszynami, a pomieszczenie wypełniał zgrany turkot i piosenki z radia. Apoloniusz poszedł do swojej pakamery. Spodziewał się, że nie będzie w stanie zająć się robotą, lecz i tak usiadł przy biurku. Nie wiedzieć dlaczego przed oczami stanął mu obraz Dorotki wbiegającej po szkole do pracowni. Apoloniusz ujrzał w wyobraźni jej zwiewną sukieneczkę i brązowe loki, gdy siadała na taborecie i machając zawzięcie chudymi nogami, z przejęciem opowiadała o koleżankach ze szkoły. Choć z całej siły próbował powstrzymać wspomnienia, zalały go kaskadą, nie dając możliwości obrony. Na to wszystko nałożył się widok Pauliny pospiesznie znoszonej z poddasza przez sanitariuszy.

– Apoloniuszu, czy coś się stało? – zapytał z niepokojem Mosze Bluman, wchodząc do pakamery.

– Paulina targnęła się na życie, ale nikomu ani słowa – powiedział Malinowski, pocierając ze znużeniem czoło.

– Och, to straszne – westchnął majster. – Niewiele nam dzisiaj wyjdzie z pracy, choć sezon handlowy już blisko.

– W dupie mam sezon, Mosze – odwarknął. – Ileż dramatów może pomieścić moja kamienica? – zapytał z rozpaczą.

– Zbyt wiele ich się już wydarzyło – szepnął Mosze. – Apoloniuszu, jak Poldek poradzi sobie jako wdowiec?

– Jeszcze nie został wdowcem. Pogotowie zabrało dziewczynę w ostatniej chwili. Może przeżyje. Niczego nie wiem.

Bluman usiadł ciężko na stołku, który kiedyś zajmowała Dorotka, i spojrzął z troską na szefa. Chociaż nie nawykł do podobnych poufałości, wyciągnął dłoń i ścisnął nadgarstek Malinowskiego.

– Mamy w szafie jeszcze trochę śliwownicy. To chyba odpowiednia chwila, żeby ją wyjąć – powiedział cicho.

– Żebyś wiedział, Mosze.

Majster wyjął butelkę i dwa kieliszki. Nalał trunku i podał jeden Apoloniuszowi. Wychylili, zgodnie odstawili szkło na biurko.

– Burzliwe czasy nadchodzą – westchnął Bluman. – Obyśmy je przetrwali.

– Co masz na myśli?

– Czytałeś wczorajsze gazety? Pogrom Żydów w Berlinie to tylko preludium kłopotów, jakie nadejdą.

– Na straży naszego spokoju stoi wojsko – odparł Malinowski. – Hitler może sobie robić porządki w Rzeszy, ale nie u nas. Mamy sojuszników, Mosze. Anglia i Francja są gwarantami naszego spokoju.

– Och, Apoloniuszu. Chciałbym wierzyć, że tak jest i dadzą nam prowadzić pracownię jak dotychczas.

– Ja także. – Malinowski wstał od biurka i założywszy ręce za plecy, podszedł do okna. – Cokolwiek by się wydarzyło, masz we mnie sojusznika, przyjacielu.

ROZDZIAŁ 11

1938

Rozdzierający wrzask przeszył nocną ciszę, podrywając Helenę na równe nogi. Jej pęcherz już wcześniej dawał znaki, że czas udać się do toalety, więc spała niespokojnie, ale hurgot na zewnątrz kompletnie wybił ją ze snu. Założyła szlafrok i pospiesznie zeszła na parter domu stryjostwa.

– Co się dzieje? – zapytała, widząc, że krewni stoją ciasno przytuleni i wpatrują się w okna przeszklonej werandy.

– Wczoraj im się nie udało, ale dzisiaj podpalili synagogę na Roonerstrasse – wyszeptała stryjenka Kasia.

Helena usiadła ciężko w fotelu stryja Fryderyka. Od kilku dni w mieście panowała wzmożona nagonka na Żydów, którzy jeszcze nie wyjechali z Wolnego Miasta. Dusza dziewczyny wyła w obliczu tego bezprawia, zżymała się na postępujące zmiękczenie społeczeństwa, któremu wmawiało się kolejne bzdury na temat Żydów i Polaków. Nienawiść pełzła powoli, sącząc podatnym na propagandę niemieckim mieszkańcom Sopotu wręcz nieprawdopodobne sensacje na temat ich sąsiadów.

– Może straż ogniowa ugasi? To taki ładny budynek. Może nie zabytek, ale szkoda go – zapytała Helena.

– Nie ugaszą – odparł stryj Fryderyk.

– Helu, wracaj do łóżka – poleciła łagodnie stryjenka. – Nie powinnaś się denerwować.

Dziewczyna podniosła się posłusznie z fotela i poczuła dziwne drżenie w brzuchu. Jakby jakiś motyl rozpostarł w jej wnętrzościach skrzydła i muskał ją nimi.

– Dziecko – szepnęła oszołomiona. – Czuję je.

Stryjenka uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła dłonie do siostrzenicy. Helena rozjaśniła się. Scena wydawała się absurdalnie radosna.

– Moja kochana – powiedziała.

W tej samej chwili szyba okna tarasowego posypała się w drobny mak, a po tureckim dywanie potoczył się kamień. Stryj odruchowo objął ramieniem żonę i zasłonił sobą Helenę.

– Idźcie po dziewczynki i zejście wszystkie do piwnicy – polecił stryj drżącym głosem.

– A ty? – zapytała stryjenka.

– Ktoś musi obserwować, czy nas nie podpalają – odparł sucho stryj. Kobiety bez zbędnej dyskusji opuściły pomieszczenie.

Ta przerażająca noc trwała bardzo długo. Krzyki i brzęk tłuczonego szkła nie słabły w okolicy przez godziny. Synagoga płonęła, a jej łunę było widać z potłuczonych okien domu. Stryj Fryderyk, pogasiwszy światła we wszystkich pokojach, przechadzał się nerwowo od pomieszczenia do pomieszczenia, bacznie nasłuchując odgłosów. Na szczęście skończyło się na strachu i jednym kamieniu, ale mężczyzna czuwał do świtu, nie tracąc czujności.

Upragniona cisza nastąpiła wraz z brzaskiem. Wywabiła kobiety z piwnicy. Stryja Fryderyka znalazły w jadalni. Siedział wyprostowany przy stole.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała stryjenka.

– Już nigdy nic nie będzie w porządku, moja droga – westchnął.

– Dzisiaj już nic wam nie grozi, kładźcie się do łóżek i spróbujcie się choćby zdrzemnąć.

– A ty się nie wybierasz?

– Niedługo przyjdę – odparł.

Nie miał takiego zamiaru. Poza tym i tak by nie usnął. Odczekał, aż pozamykają się drzwi od sypialń, po czym ubrał się i wyszedł na ulicę. Bał się podejść bliżej synagogi. Z dużym prawdopodobieństwem okolicę patrolowali gorliwi chłoptasie w brunatnych koszulach. Fryderyk poszedł uliczką równoległą do Roonerstrasse. Wysoki słup dymu wznosił się ponad mijane domy. Mężczyzna mijał kolejne sklepy z powybijanymi szybami. Szkło chrzęściło mu pod butami, przywodząc skojarzenia z mocno zmrożonym śniegiem. Przed jednym z lokali siedział na krawężniku brodaty Żyd w chałacie. Miał spuchniętą twarz, a z łuku brwiowego sączyła mu się krew, zalewając lewe oko.

– Potrzebuje pan pomocy? – zapytał po niemiecku Fryderyk. Ranny mężczyzna aż wzdrygnął się na dźwięk obcego głosu, lecz uniósł głowę i spojrzał widzącym okiem w jego stronę. Dopiero teraz

widać było dokładnie, jak brutalnie został pobity. – Może zaprowadzić pana do szpitala?

– Nie trzeba, nic mi nie jest – odparł tamten. Miał drżący, zachrypnięty głos, a gdy Fryderyk podał mu swoją chusteczkę, zauważył, że mężczyźni trzęsą się ręce.

– To pański sklep? – Stryj wskazał na splądrowaną owocarnię za nimi.

– Mój – odparł żałośnie, próbując wstać.

– Pomogę panu. – Fryderyk wziął pod ramię rannego.

– Wszystko przepadło. Sklep zniszczony, towar rozgrabiony. Dobrze, że żonę i dzieci do krewniaków odesłałem na czas. Panie, w jaką stronę ten świat zmierza?

– W złą – odparł krótko stryj. – A będzie tylko gorzej.

– Wyjeżdżamy całą rodziną z Sopotu. Od dawna jest strasznie, lecz teraz zaczęliśmy się bać o życie – przyznał sklepikarz. – Po tej nocy nie ma na co czekać.

– Dokąd pojedziecie?

– Chciałem sprzedać interes i za to ruszyć do Francji, ale czy teraz się uda, jak wszystko zniszczone? Cała nadzieja w naszych żydowskich władzach, a nuż pomogą. Widział pan może, czy synagoga ocalała? – zapytał z nadzieją, nagle zmieniając temat.

– Nie odważyłem się podejść, ale ze swojego domu widziałem, że płonąła, przykro mi.

– I to wszystko w szabas – szepnął Żyd. – Za was, Polaków, też się wezmą – ostrzegł znienacka. – To są bestie, nie ludzie. Zresztą niepokorni Niemcy też zapłacą za sprzeciw. Dziękuję za chusteczkę. Niech pan uważa na siebie – dodał i poczłapał ciężko do zrujnowanej owocarni.

Fryderyk zawrócił do domu. Z każdym krokiem jego przygnębienie rosło, a w głowie dojrzewała decyzja. Rozmowa z żydowskim sklepikarzem uzmysłowiła mu, że musi jak najszybciej odesłać Helenę do Warszawy. Bez względu na wstyd, z jakim będzie musiała się tam zmierzyć. Bezpieczeństwo było ważniejsze, dlatego gdy tylko dziewczyna wybudziła się z drzemki, zaprosił ją i żonę do gabinetu.

– Właściwie sama chciałam to zaproponować – oświadczyła Helena, gdy stryj ogłosił jej swoją decyzję. – Naraziłam was wszystkich na niebezpieczeństwo. To moja wina.

– Dziecko, o czym ty mówisz? Jeśli ktokolwiek jest temu winien, to ci prymitywni naziści. – Stryjenka załamała rękę.

– Gdybym nie wdała się w pyskówkę z Wilhelmem, nikt nie odważyłby się rzucić kamieniem w wasz dom. To moja wina, że nie umiałam utrzymać języka za zębami, stryjenko.

– Zabraniam ci tak myśleć, Heleno! – Gniewny głos stryja zbił dziewczynę z tropu. – Kasia ma rację. Całe zło, jakie dzieje się wokół nas, jest wyłączną winą tych brunatnych skur... – Stryj zmiatygował się i nie dokończył. – Heleno, nigdy nie daj sobie wmówić, że jesteś czemuś winna przez wzgląd na pochodzenie. To nie ono, lecz nasze czyny określają, kim jesteśmy. I przenigdy nie uginaj się przed łajdakami dzielącymi ludzi na lepszych i gorszych według wymyślonych przez siebie chorych zasad. Nie dlatego chcę cię odesłać do Warszawy, że boję się o siebie, ale o ciebie. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś ci się stało. Jak miałbym spojrzeć Józefowi w oczy?

– Stryju, dziękuję za te słowa – powiedziała Helena. – Ale wam też wkrótce może grozić niebezpieczeństwo. Jedźmy do Warszawy wszyscy. Tam jest bezpiecznie.

– Nie zostawię przecież dorobku całego życia – odparł. – Ty jednakże wracasz jutro, najbliższym pociągiem. Nie zdążymy już zawiadomić twojego ojca, ale przecież do domu trafisz. Dam ci zaraz pieniądze na dorożkę. Bilet kupimy jutro w kasie. Dopłacę za pierwszą klasę, więc miejsce na pewno się znajdzie.

– Mam pieniądze, stryju.

– I zachowaj je. Gdy dziecko przyjdzie na świat, z pewnością będziesz miała sporo wydatków.

W gabinecie stryja zapadła cisza. Niewypowiedziany kłopot, z jakim wiązał się pospieszny powrót Heli do Warszawy, wszystkim trojgu chodził cały czas po głowie.

– Stryju, może Mania i Zosia pojedą ze mną? Chociaż na jakiś czas, dopóki się to wszystko nie uspokoi. W Warszawie są dobre

szkoły, a miejsca w antykwariacie wystarczy dla nas wszystkich – zaproponowała Helena.

– Polaków się nie czepiają aż tak jak Żydów. Dziewczynkom nic tutaj nie grozi – wtrąciła szybko stryjenka. Dla wszystkich było jasne, że za nic nie chce rozstawać się z córkami.

– To wcale nie jest taki zły pomysł, Kasiu – odparł z zamyśleniem stryj.

– Mój Fryderyku, chyba nie mówisz poważnie? – zapytała podniesionym, groźnym tonem.

– Pójdę się pakować – oznajmiła szybko Helena. – Nie jestem już chyba potrzebna.

– Idź, Helu. Poproś Manię i Zosię, żeby ci pomogły. – Stryj uśmiechnął się do niej blado.

– Zosia wyszła – poinformowała go stryjenka.

– Dokąd? – zdenerwował się stryj. – Na ulicach jest niebezpiecznie.

– Mówiła, że do przyjaciółki. Bądź realistą, mój Fryderyku. Z niebieskimi oczami i jasnymi warkoczami nikt jej nie pomyli z Żydówką.

– Gdy wróci, przyślij ją do mnie bezzwłocznie! To jest niedopuszczalnie lekkomyślne. Nie powinnaś była jej puszczać, Kasiu.

Helena zamknęła za sobą pospiesznie drzwi, nie chcąc być świadkiem awantury. Zapukała do Mani i nie czekając na zaproszenie, weszła do panińskiego pokoiku. Dziewczynka leżała jeszcze w łóżku. Uśmiechnęła się na widok kuzynki i przeciągnęła jak kotka.

– Co to za awantura na dole? – zapytała. – Aż tu słyszeć, jak matka się o coś wyklóca.

– Stryj ma za złe, że Zosia wymknęła się z domu, a stryjenka jej na to pozwoliła.

– A nie powiedziała mu, że Zośka i tak by wyszła? Ona robi, co chce. Oczywiście jeśli ojciec nie widzi. Matki wcale się nie boi.

– Może i mu powie, tego nie wiem – uśmiechnęła się Hela.

– Pewne będzie ją jak zwykle kryła – zbagatelizowała dziewczynka.

– Z drugiej strony, co się może stać? Rozruchy ustały, a ona poszła tylko do przyjaciółki. Daleko stąd mieszka?

– Do przyjaciółki? – Mania parsknęła śmiechem. – Przecież wiadomo, że umówiła się z Wilhelmem.

Helena poczuła pełznące po kręgosłupie lodowate zimno. Jej kuzynka poszła gzić się z brunatnym bandziorem po tym, jak ten albo osobiście rzucił kamieniem w okno jej rodzinnego domu, albo wyjawiał nazistowskim koleżkom, że w zaprzyjaźnionym domu mieszka Żydówka, i zrobił to któryś z nich. Niezależnie od tego, kto rzucał, wina spoczywała na Wilhelmie, a Zośka była na tyle inteligentna, że musiała zdawać sobie z tego sprawę. Helena zacisnęła zęby, żeby czegoś nie powiedzieć. Gorączkowo myślała, co powinna zrobić z tą niebezpieczną wiedzą. Stryj należał do ludzi powściągliwych, lecz rozdrażniony wypadkami poprzedniej nocy może zrobić coś gwałtownego. Do Heleny dotarło coś jeszcze. Kamień był ostrzeżeniem skierowanym do niej. W innym przypadku dom alboby spłonął, albo stracił wszystkie szyby i został zdemolowany. To Wilhelm przysłał jej wiadomość, że ma się natychmiast wynosić z Sopotu.

Uświadomiwszy to sobie, uznała, że nie ma wyjścia, tylko opowiedzieć wszystko stryjowi, niezależnie od tego, jak bardzo wścieknie się Zosia.

Michał Gutman leżał na brzuchu, kompletnie nagi, i wpatrywał się w drzemiącego Konrada. Znów udało im się wymknąć do zamkniętej na cztery spusty mokotowskiej willi. Przy niekończących się dyżurach i niezwykle intensywnym harmonogramie zdjęć na planie filmowym zakrawało to wręcz na cud, że udało im się spotkać trzeci raz w tygodniu. Michał najchętniej przeniósłby się tu na stałe, lecz prędzej czy później sąsiedzi zaczęliby węszyć, a poza tym był jeszcze krnąbrny młodszy brat Konrada. Ignacy nadal potrzebował nadzoru. Wprawdzie ostatnio złagodniał, a po otrzymaniu zaszczytnego wyróżnienia w harcerstwie wydawało się nawet, że nieco dojrzał, lecz nie zmieniało to jego bardzo radykalnych poglądów i skłonności do agresji.

– Złotówkę za twoje myśli – mruknął Konrad, otwierając oczy.

– Chciałbym, żebyśmy mogli codziennie być razem. Razem zasypiać i razem się budzić – wyznał Michał, zaskakując samego siebie wylewnością.

– Tak będzie. Musimy poczekać, aż mój brat się usamodzielni, a potem urządzimy się jakoś.

– Jak? Konradzie, niczego bardziej nie pragnę, ale to jedynie mrzonka. W Polsce nigdy nie będzie lepiej. Jeszcze teraz, gdy sanacja wygrała wybory, jedyne, co się tu będzie robić, to klęczeć w kościele, wieszać flagi wszędzie, gdzie tylko się da, i urządzać parady wojskowe.

– Jeśli będzie trzeba, przepiszę na Ignacego mieszkanie i zostawię mu fundusz. Sprzedam wreszcie tę willę i wyniesiemy się do Paryża – odparł hardo. – Lekarzy potrzebują wszędzie.

– Ale aktorów z polskim akcentem już nie – powiedział trzeźwo Michał.

– Pójdę kelnerować.

– Zrobiłbyś to?

– Albo założę jakąś restaurację. Pieniądzy mielibyśmy dość na początek.

– Też mam trochę oszczędności – odparł Michał.

– Czyżby pan doktor przekonywał się do pomysłu? – roześmiał się Konrad. – Za rok Ignacy będzie mógł pójść własną drogą, a ja mogę wyjechać. Filmować można także we Francji. Przecież nad Wisłą takie obrazy sprzedawałyby się jak świeże bułeczki.

– A co z moją rodziną?

– Zabierzesz matkę. Myślę, że z jej błyskotliwością odnajdzie się w Paryżu. Bo rozumiem, że chodzi ci tylko o nią? – zapytał Konrad.

– Jest jeszcze Helena – odparł Michał z ledwie wyczuwalnym wyrzutem w głosie.

– Nie sądzę, żeby kiedykolwiek chciała wyjechać z Polski, ale jeśli się zdecyduje, osobiście wniosę ją na rękach do samolotu – zażartował.

– Żadnych więcej samolotów!

– Dobrze, wierny steyr zawiezie nas wprost na Montmartre, nawet po tamtejszych schodach, jeśli będzie trzeba – odparł Konrad i wyszczerzył zęby.

– Jeśli o Helenie mowa...

– Masz jakieś nowe wieści? Przyznam, że te pogromy zatoczyły szerokie kręgi. Sądziłem, że skończy się na Rzeszy, ale doniesienia prasowe z Gdańska są bardzo niepokojące – powiedział Konrad.

– Nie w tym rzecz. Przedwczoraj do mojego szpitala przyjechał Poldek. Jego żona próbowała popełnić samobójstwo. Biedaczka podcięła sobie żyły. Podobno z rozpaczy po stracie dziecka.

– Żyje?

– Udało nam się ją odratować. Powinna przeżyć, jeśli w rany nie wda się żadne zakażenie.

– A jak się trzyma Poldek? – zapytał Konrad.

– Czy rzeczywiście musimy zajmować się samopoczuciem tego wiarołomcy? Zdradzającego ciężarną żonę? – zirytował się Michał. – Trzymam się przysięgi Hipokratesa, Paulina jest moją pacjentką, lecz nastrojem jej męża przejmować się nie zamierzam.

– Ta historia pomiędzy nim a Heleną ma znacznie głębsze dno, niż nam się wydaje – odparł z zadumą Konrad.

– Być może, lecz niezbite fakty są takie, że Hela ma przez niego kłopoty, Paulina targnęła się na życie, a my tak właściwie niewiele wiemy o tym chłopaku, oprócz tego, że ma jakiś tam fach w ręku, despotycznego ojca i niezbyt silny charakter. I cała ta sprawa z zamachem, policją, starym Malinowskim i wymuszonym ożenkiem nie usprawiedliwia tego, że nie potrafił zawczasu zadbać o Helenę i pokazać, że jest mężczyzną. Jego brat jakoś potrafił. Do ciężkiej cholery, Konradzie! Mamy koniec lat trzydziestych! Ledwie rok temu nawet angielski Edward poślubił tę Amerykankę. Król rozwódkę! I jakoś świat się nie zawalił. Nigdy więc nie uwierzę w czyste intencje Poldka. Zabawił się kosztem sentymentu dziewczyny i tyle.

– Król musiał abdykować po ślubie z Wallis – przypomniał rzeczowo Konrad.

– Och, tym bardziej, mój drogi. Poldek nawet tego nie musiałby robić.

– Mimo to lubię go. A Helena kocha – odparł Konrad.

– To za mało, by ją uszczęśliwić – uciął Michał. – Na ukochanym człowieku trzeba móc polegać. A Poldek nie jest kimś takim.

– Napiszesz do niej o Paulinie?

– Nie mam najmniejszego zamiaru. Ona ma teraz myśleć o sobie i szukać spokoju.

– Jeśli można znaleźć spokój w nazistowskim Sopocie.

– Nawet mi nie przypominaj – wzdrygnął się Michał. – Miejmy nadzieję, że to wszystko jakoś się uspokoi.

– A my usiądziemy wkrótce w kawiarni na Montparnasse, gdzie być może wypijemy znów kawę z królem fryzjerów Antonim Cierplikowskim i będziemy się z tego wszystkiego śmiać – odparł Konrad i przytulił kochankę.

Krysia od kilku dni starała się schodzić rodzicom z drogi. Matka wciąż zanosila się płaczem i uparczywie próbowała zaciągnąć ojca do kościoła, a on zaciął się w sobie i pił wódkę w okolicznych barach trzeciej kategorii. Wtaczał się do kamienicy nad ranem, nucąc pod nosem szemrane praskie szlagiery, i zwał się nieprzytomny na sofę w salonie. Matka załamywała ręce, lecz nie śmiała się awanturować. Jeśli rozmawiali ze sobą, gdy ojciec już wytrzeźwiał, to wyłącznie o Paulinie i o niedopilnowanym interesie. O Krysi nie myślał nikt.

Dziewczyna otworzyła pamiętnik, który dostała od Ignacego, i pośliniwszy końcówkę ołówka, zaczęła w nim zapisywać swoje przemyślenia. Te nie były wesołe, lecz nie miała z kim się nimi podzielić. Rodzice zajęci dramatem, jaki rozegrał się na Solcu, zupełnie o niej zapomnieli.

– Zamówiłam mszę za pomyślność wyzdrowienia Pauliny – oświadczyła Teresa Melner podczas obiadu. – Dzisiaj o siódmej wieczorem u Matki Boskiej Loretańskiej.

– Nasza córka żyje – mruknął skacowany January, przecierając serwetką zapocone czoło. – Nie ma potrzeby co dwa dni padać krzyżem w kościele.

– Jest – odparła twardo Melnerowa. – A Paulina za próbę popełnienia ciężkiego grzechu powinna leżeć codziennie od rana do nocy. Chryste przenajświętszy, jaki wstyd. – Kobieta ukryła twarz w dłoniach.

– Cicho bądź, babo – huknął rzeźnik. – Wylizę się z tego, więc jakby grzechu nie ma, a poza tym nikt nie wie. Chyba żeś księdzu wypaplała?

– Nic nie mówiłam. Ale przy spowiedzi...

– Ogłupiałaś chyba, żeby na spowiedzi takie rzeczy gadać – przerwał jej ostro. – To jest tajemnica i nikt, podkreślam nikt, nie powie ani słowa. Malinowscy też będą trzymać języki za zębami, bo i w nich to uderza. Krystyno, ty też masz milczeć, zrozumiano?

– Tak, ojczy – odparła cicho. Jej nie robiło różnicy, co ma mówić o pobycie siostry w szpitalu. Cieszyła się, że udało się ją odratować i tyle. Poza tym głowę miała nabitą marzeniami o Ignacym. Wiedziała, że rodzice nie zaaprobuja jej randek z kilka lat starszym chłopakiem, więc spotykała się z nim w sekrecie.

– Nie będę kłamać na spowiedzi! – zaprotestowała Teresa.

– A bo to będzie pierwszy raz? – zarechotał Melner. – Przypomnieć ci, coś gadała księdzu przed ślubem, a co robiliśmy?

– Opamiętaj się, January! Chyba jeszcze nie całkiem otrzeźwia! – zbulwersowała się. – Krysiu, jeśli skończyłaś już jeść, możesz iść do siebie.

Dziewczyna wyszła bez słowa. Piekielna awantura w salonie rozpętała się, zanim zdążyła zniknąć za drzwiami swojego pokoju. Niegdyś takie sceny robiły na niej wrażenie, ale teraz miała to w nosie. Rodzice zawsze się kłócili, a potem godzili. I taki rytm wyznaczał lata jej dzieciństwa, odkąd pamiętała. Krysiu wzruszyła ramionami. Usiadła przy biurku i zaczęła pisać.

January Melner miał serdecznie dość kłótni. Wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Nie dbał o to, co powiedzą sąsiedzi. Jeśli będą szeptać coś za plecami, inni skwapliwie mu doniosą. Plotkarzy wyrzuci się na bruk, a na ich miejsce weźmie bardziej pokornych. Ot, przywilej właściciela kamienicy.

Dochodziło ledwie popołudnie, lecz rzeźnik nie miał najmniejszej ochoty do pracy. Kilka dni przerwy nie zaszkodzi, zwłaszcza gdy na jego dobrobyt pracowali ludzie szanujący swoje stanowiska. January zawsze płacił na czas i potrafił być hojny, więc nikt przy zdrowych zmysłach nie naraziłby się na gniew szefa.

– Cóż, najwyżej zeżrą gadziny kilka serdli i nieco kiełbasy. A niech im idzie ten raz na zdrowie – mamrotał pod nosem, w oczywisty sposób rozgrzeszając się z kolejnego dnia nieróbstwa.

Poszedł na postój dorożek i kazał się zawieźć na Solec. Poczłł nieodpartą potrzebę odwiedzenia Apoloniusza. Od kilku dni grył się myślą, jak ma z nim rozmawiać. Nie chciał rzucić nieopatrznie gorzkich słów pod adresem jego syna, lecz w głębi serca obarczał go winą za to, że Paulina próbowała się zabić. Każdy mąż winien przecież dbać o żonę. Owa filozofia zupełnie nie kłóciła się Januaremu z tym, że właśnie zrobił przygnębionej Teresie karczemną awanturę i wyszedł z domu, zamiast dla świętego spokoju wspierać ją na mszy w intencji własnej córki.

– Tu się pan zatrzymaj – polecił dorożkarzowi. – Zaraz za wyszynkiem i druciarzem.

Nauczony doświadczeniem, że manewrowanie szeroką dorożką w wąskim przejeździe bramnym niepotrzebnie zajmuje czas, zapłacił za kurs i wysiadł wprost na brukowaną ulicę. Środkiem przejechał tramwaj, dzwoniąc ostrzegawczo dzwonkiem na małych urwisów układających kapiszony na torach. Dzieciaki odskoczyły w stronę sąsiedniej bramy z piskiem i śmiechem, nawet nie zdając sobie sprawy, jak niebezpieczna mogła być ich zabawa. Gdyby nie to, że Januaremu spieszyło się do Malinowskich, pewnie poszedłby za nimi i wytargał za uszy, a potem zaprowadził do rodziców. Zamiast tego wszedł na podwórze przed pracownią, po czym skierował kroki do kamienicy Apoloniusza.

Nie bez wysiłku wdrapał się na czwarte piętro, zżymając się w duchu na oszczędność kamrata każącą mu gnieździć się pod dachem i odnajmować dolne mieszkania za lepszą cenę. Stał wreszcie przed drzwiami i zapukał. Otworzyła Maria. January nie przepadał za kostychną kobietą z wiecznie zasznurowanymi ustami, ponieważ przypominała mu jego własną bogobojną małżonkę, jednakże był dla niej zawsze uprzedzająco miły. Ot, tak na wszelki wypadek.

– Całuję rączki, kochana Mario – przywitał się wylewnie, uśmiechając się szeroko.

– January! – zaćwierkała kobieta, bezwiednie poprawiając ścisły kok. – Jakaż niespodzianka i przyjemność widzieć cię tutaj. Wejdźże, rozgość się, proszę.

Melner wszedł do ciemnego przedpokoju i odwiesił kapelusz na wieszak.

– Sądziłam, że to listonosz, więc nie zawołałam służącej, ale pozwól, że pomogę ci z płaszczem.

– Nie ma takiej potrzeby, kochana Mario, zdejmę i odwieszę sam.

– Zapraszam do salonu, zaraz podam herbatę. Apoloniusza nie ma. Pojechał do składu kupieckiego, pewnie wróci dopiero wieczorem.

January jęknął w duchu. Marzyła mu się wódka z ulubionym druhem, oczyszczająca duszę rozmowa i być może jazda do lupanaru na Chmielną, ale z pewnością nie pisał się na herbatkę ze starą dewotką.

– Poldek jest? – zapytał z nadzieją.

– W pracowni, ale jeśli życzysz sobie z nim rozmawiać, zaraz pošlę po niego – odparła Maria.

Januaremu wszystko wydawało się lepszym pomysłem od rozmowy z kolejną babą na temat Kościoła, więc przytaknął skwapliwie.

– Ja właściwie do niego przychodzę – skłamał, uśmiechając się szeroko.

Zdezorientowany Poldek wmaszerował do salonu w fartuchu roboczym ledwie kilka chwil później. Wyraźnie zmieszał się na widok teścia, lecz przywitał się uprzejmie i przycupnął na krześle. Ostrożnie sięgnął po filiżankę herbaty, którą postawiła przed nim ciotka.

– Miło mi powitać teścia – bąknął, choć było jasne, że czuje się niezręcznie.

– Witaj, synu – uśmiechnął się nieszczercze Melner. – Jak się trzymasz?

– Dzięki Bogu Paulina coraz lepiej się czuje.

– Nie o nią pytam. Z doktorem z żydowskiego szpitala już rozmawiałem – odparł January. W jego głosie dało się wychwycić nutkę dezaprobaty dla decyzji Poldka o przewiezieniu żony do szpitala na Czyste.

Poldek milczał, a Melner obracał filiżankę z herbatą po porcelanowym spodku, wciąż nie mogąc się zdecydować, by

podnieść ją do ust. Marzyło mu się zimne spienione piwo, które choć trochę ukoji suchość w ustach. A nade wszystko chciał uciec z zasięgu świdrujących go od progu oczu sekutnicy. Maria nie musiała niczego mówić. Jej oskarżające spojrzenie dobitnie wyjaśniało Januaremu, że czyn Pauliny w jej mniemaniu obciąża wyłącznie jej sumienie i hańbi dom Malinowskich.

– Nie wiem, co będzie, gdy wypuszczą ją ze szpitala – powiedział cicho Poldek. – Wiedziałem, że cierpi, lecz nie sądziłem, że aż tak.

– Zamilcz, synu – sapnął rzeźnik. – Na dole jest wyszynk. W miarę porządnym?

– Taki sobie – bąknął młody Malinowski. – Ale nikt z naszych w mordę tam nigdy nie dostanie. To honorna okolica.

– Zatem pójdźmy. Napijemy się i pogadamy.

– A podwieczorek? – zapytała jękliwie ciotka.

– Dziękuję, Mario, za miłą wizytę. – Melner wstał i podszedłszy do ciotki, ujął jej spracowane dłonie. Ucałował obie i uśmiechnął się szeroko spod wąsa. – Jesteś najbardziej czarującą gospodynią, jaką znam. Taka pani domu to klejnot – oświadczył.

Poldek z trudem powstrzymał się od przewrócenia oczami na to pochlebstwo. Ciotce najwyraźniej nie przeszkadzało. Spłonila się i zamrugala oczami.

– Do zobaczenia wkrótce, January – odparła uprzejmie.

Rzeźnik klepnął Poldka w ramię, a ten bez protestu podążył za nim. Pokonali w milczeniu schody i zeszli na podwórze.

– Mam serdecznie dość bab na dzisiaj – oświadczył Melner.

Chłopak nie odpowiedział. Zaprzeczenie byłoby nieuprzejme, a potaknięcie być może sprawiłoby, że teść odczytałby to jako skargę na małżeństwo z jego córką. Najrozsądniej było milczeć.

Jednak January zupełnie nie zważał na młodego kompana. Zamaszyście otworzył drzwi knajpy i rozejrzawszy się po niezbyt schludnym, choć już obleganym wnętrzu, wskazał palcem stół w rogu.

– Tam jest wolne.

– To stół dla tutejszych wiarusów – wyjaśnił Poldek. – Nie można tak po prostu siadać.

– Bzdura, mój chłopcze – odparł Melner, podchodząc do kontuaru. Wręczył urzędującemu za nim starszemu kelnerowi zwinięty banknot i poczłapał do krzesła. Usiadł i zachęcająco klepnął blat stolika.

– Niech ojciec uważa, bo tu kradną – bąknął młody Malinowski.

– Pierwszy raz nazwałeś mnie ojcem – odparł January.

– To dobrze czy źle?

– Dobrze. Ja zawsze życzyłem tobie i Paulinie szczęścia. To moja pierworodna córka, którą kocham nad życie – oświadczył sztywno Melner.

Kelner postawił z trzaskiem na stoliku dzban piwa i dwa kufle. Poldek wyprostował się na krześle, odsuwając się możliwie jak najdalej od ojca żony. Irytowała go muzyka z gramofonu. Hałaśliwe tanga rodem z Czerniakowa wprowadzały zamęt, lecz mimo to spojrzał mężnie w oczy rzeźnika.

– Robiłem wszystko, żeby mój ojciec zrozumiał, że Paulina jest nieszczęśliwa. Wolałbym wierzyć, że to tylko rozpacz po stracie dziecka, ale wcale tak nie uważam. – Poldek zdobył się na szczerość.

– Bóg zabrał dziecko. – January uniósł kufel i pociągnął z niego tego.

– Wszystko jedno, kto zabrał – zniecierpliwził się Poldek. – Zrobię wszystko, żeby moja żona odzyskała spokój.

– I za to cenię cię najmocniej. Napijmy się!

– Zanim się napijemy, chciałbym omówić pomysł doktora Michała Gutmana.

– Jakiż to pomysł? – zapytał January, zanurzając wąsy w piwie.

– Paulinie potrzebny jest wyjazd do ośrodka, gdzie ktoś zajmie się jej umysłem i naprowadzi go na właściwe tory. Cierpi, a tam mogą jej pomóc.

– Bzdura! Odżałuje dziecko i wszystko będzie dobrze – zachnął się Melner.

– Wcale nie – odparł Poldek, podnosząc kufel do kolejnego toastu. – Potrzebne jest leczenie. Proszę ojca o pomoc w ratowaniu mej żony.

January odstawił niedopity kufel i spojrzał bacznie na zięcia. Jego błękitne oczy patrzyły z powagą.

– Kochasz moją córkę? – zapytał.

– Chcę jej nieba przychylić i powitać w domu całą i zdrową – odparł Poldek wymijająco, lecz zupełnie szczerze.

– Zatem ów wyjazd do sanatorium nie jest złym pomysłem.

– Lekarze otoczą Paulinę najlepszą opieką – zapewnił. – Moim zdaniem to najrozsądniejsze wyjście. Odzyska spokój duszy i wróci. Potrzeba tylko na to pieniędzy. Porozmawiam z ojcem, ale chciałem prosić o pomoc w rozmowie z nim.

– Z Apoloniuszem rozmówię się z pewnością. A o fundusze się nie martw, bo te się znajdują. Jak długo Paulina ma przebywać w tej placówce?

– Doktor Gutman mówił, że pół roku pozwoli na pełne wyleczenie.

– Zatem niech będzie. Jeśli ma jej to pomóc, ja sprzeciwić się nie będę.

Poldek uśmiechnął się zdawkowo do teścia, który dopijał duszkiem zawartość kufła. Choć leżało mu na sercu szczęście Pauliny, przede wszystkim cieszyło go to, że właśnie otrzymał od losu sześć miesięcy spokoju. Później problem wspólnego życia powróci, lecz nie chciał teraz zaprzętać sobie tym głowy.

Jeśli Józef Małecki był zdziwiony nagłym przyjazdem Heleny w towarzystwie naburmuszonej Zosi, zupełnie nie dał tego po sobie poznać. Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu, gdy córka przypadła do niego i chwyciła za dłonie.

– Ależ tęskniłam, ojcze! – przyznała nabrzmiałym ze wzruszenia głosem.

– Witaj, moja kochana! – Józef uściskał córkę. – Zosiu, jak miło cię gościć w Warszawie. Co za wspaniała niespodzianka.

Zośka zdobyła się na grymas, który w zamierzeniu miał być pewnie uśmiechem. Od dziewczyny aż biła słabo tajona wściekłość.

– Zosiu, idź do mojego pokoju i się rozgość – poleciła jej Helena.
– Miejsca jest tam dość dla nas obu.

– Nie pierwszy raz przyprowadzasz lokatora – zauważył ojciec, mając na myśli czas, gdy mieszkała z nimi Basia – ale przyjazdu mej własnej bratanicy zupełnie się nie spodziewałem. Jakież sprawy sprowadzają was do Warszawy?

– Przejdziemy się na spacer? – odpowiedziała pytaniem.

– Pogoda marna. – Małecki spojrział w stronę witryny antykwariatu, za którą jednostajnie siąpił deszcz. – Lecz widzę, że chcesz porozmawiać, zatem wstąpmy do kawiarni Bliklego. Uwielbiasz ich pączki. Poprosimy, żeby zapakowali na wynos dla Zosi, a ona w tym czasie swobodnie się rozgości.

Kwadrans później siedzieli przy niewielkim stoliku i ogrzewali dłonie o filiżanki z aromatyczną herbatą. Helena z przyjemnością jadła ciastko.

– Apetyt, jak widzę, ci dopisuje – zauważył Małecki. – Zamieniam się w słuch – oświadczył, patrząc na córkę poważnie.

Hela opowiedziała ojcu o dramatycznych wydarzeniach, jakie miały miejsce poprzedniego dnia w Sopocie. Wciąż nie mogła uwierzyć, że zaledwie wczoraj bała się, czy nie straci życia, a teraz siedziała w zaciszu kawiarni, patrząc na zwykłą ludzką krzątanicę na Nowym Świecie.

– Dlaczego Fryderyk nie przysłał też Mani? – zapytał ojciec.

– Matka za nic nie chciała jej puścić. Z Zosią poszło łatwiej. Na wieść, że po kryjomu spotyka się ze sporo starszym chłopakiem, i to fanatycznym wyznawcą Hitlera, nawet stryjence zabrakło argumentów. Uradziliśmy, że pochodzi tu przez jakiś czas do szkoły i być może zapomni o Wilhelmie.

– Szkoda, że Kasia nie puściła też drugiej córki. Czytam w gazetach, że polskie dzieci nie mają łatwo pod rządami obecnych władz gdańskich. Z placówek oświatowych usuwane są wszystkie ślady łączące miasto z polską historią, a kwestionuje się też sens używania języka polskiego – zauważył Małecki.

– Ojciec, z tego, co mówił stryj, usiłują też przymusić Polaków do zmieniania nazwisk na niemieckie.

– Powinni całą rodziną wyjechać z tego nieszczęsnego Sopotu. Nic dobrego ich tam nie czeka. Hitler rozzuchwalił się okropnie po tym zamachu w Paryżu. Nie dalej jak dzisiaj czytałem, że

niemieckich Żydów wywłaszcza się z całego majątku, a wkrótce zabroni im się handlu nawet między sobą. Zamknięto dla młodzieży żydowskiej wstęp na wszystkie uczelnie, a teraz weszło prawo wyłączające tych nieszczęsnych ludzi ze spółdzielni mieszkaniowych, przez co nie mają prawa osiedlania się w domach, w których mieszkają Aryjczycy.

– Dokąd zmierza ten świat? – zapytała smętnie Helena.

– Do wojny, oczywiście – odparł ponuro Józef. – A cóż będzie z tobą, skoro jest wiadome, że do Sopotu nie możesz wrócić? Co zamierzasz?

– Nie ma już odwrotu. Dziecko przyjdzie na świat w kwietniu. Jeszcze zdążę wrócić na miesiąc czy dwa do szpitala na Czyste. Nadal prawie nic po mnie nie widać.

– A co potem? Co zamierzasz zrobić z dzieckiem? – Józef wiedział, że pytania są bolesne, lecz czas uciekał i należało je zadać.

– Nie sądzę, żebym umiała je oddać, ojcze – odparła przeprasząco.

– Dziecko zmienia życie człowieka na zawsze, lecz moim zdaniem to najcenniejszy dar od losu.

– Nawet jeśli pojawia się nie w porę?

– A czy kiedykolwiek jest dobra pora? – Ojciec uśmiechnął się filuternie. – Pomogę, na ile będę mógł. W końcu ciebie wychowałem sam, więc co nieco o tych sprawach wiem. Jesteś taka młoda... Jeszcze sobie życie ułożysz, dokończysz szkołę. Damy sobie radę, Heleno. To zresztą nie dziewiętnasty wiek, zmieniły się obyczaje. Panna z dzieckiem już aż tak nie szokuje. Noś dalej obrączkę matki. Powstrzyma większość wścibskich pytań. Mogłaś w Sopocie mówić, że mąż został w Warszawie, to teraz w Warszawie będziesz mówić, że mąż został w Sopocie. – Józef lekceważąco wzruszył ramionami.

– Czym ja sobie zasłużyłam na takiego cudownego ojca? – Helenie zaszkliły się oczy.

ROZDZIAŁ 12

1938

Chociaż Warszawa szykowała się w tym roku do Bożego Narodzenia w atmosferze wciąż wybuchających konfliktów międzynarodowych, nawet to nie było w stanie zabić ducha świąt. Wszechobecne dekoracje, place handlowe z choinkami i wyjątkowo gwarne w tym czasie bazyry wprowadzały szczególną, pełną radości atmosferę.

Konrad Werner wyszedł z domu towarowego braci Jabłkowskich objuczony paczkami. W tym roku postanowił obdarować wszystkie bliskie jego sercu osoby pięknymi prezentami. Michałowi kupił jedwabny krawat i wytworny zestaw do golenia, Helenie piękny płaszcz w modnym kroju, bo stary zrobił się nieco ciasny, a Ignacemu wymarzoną skórzaną kurtkę lotniczą. Dla pana Józefa wyszperał u konkurencji kilka unikatowych książek. W jego przypadku wybór prezentu był oczywisty.

Po namyśle postanowił jeszcze dokupić Michałowi eleganckie rękawiczki z kremowej irchy. Te, które nosił obecnie, zupełnie się poprzecierały, lecz oczywiście wiecznie myślący o pacjentach i szpitalu doktor wcale nie dbał o tak przyziemne sprawy. Wybór sklepu był oczywisty, niezależnie od osobistych animozji. Irchowe rękawiczki w pierwszym gatunku mógł kupić jedynie u Malinowskiego. Konrad stwierdził, że przyda mu się mały spacer, więc zostawił torby w samochodzie i ruszył Chmielną do Nowego Świata. Na ulicy było jasno niemal jak w dzień przez światła bijące od sklepowych wystaw. Ukrywając dyskretnie twarz pod rondem kapelusza, przebijał się przez gęsty tłum wędrujących po świąteczne sprawunki warszawiaków.

Zanim wszedł do sklepu, zerknął przez witrynę, lecz właściciela wewnątrz nie było. Jedynie ekspedientka i subiekt. Uspokojony tym faktem, pchnął drzwi.

– Witam szanownego pana! Moje uszanowanie. – Subiekt natychmiast rozpoznał sławnego klienta i gnąc się w ukłonach, osobiście go obsłużył.

Wybrane rękawiczki o nienagannym kroju i równym ściegu włożył do firmowego pudełeczka. Konrad pomyślał, że później zmieni opakowanie. Michał nie musi wiedzieć, gdzie został kupiony jego prezent. Zapłaciwszy pospiesznie, żeby nie przedłużyć pobytu w sklepie, Konrad pożegnał się i udał do wyjścia. Zamknął za sobą drzwi i odetchnął z ulgą, czując podmuch mroźnego powietrza. W tej samej chwili stanął twarzą w twarz z Poldkiem Malinowskim. Konrad przeklął w duchu własną głupotę, lecz było już za późno. Teraz mógł jedynie robić dobrą minę do złej gry.

– Serwus – przywitał się Poldek.

– Serwus. Dawno się nie widzieliśmy.

– Rzeczywiście, sporo czasu upłynęło. Sprawunki się udały? – zapytał, patrząc na pudełko z firmowym nadrukiem.

– W istocie. Wasza pracownia wyrabia doskonałe rękawiczki.

– Miło mi to słyszeć. – Poldek uśmiechnął się. – Gratuluję nowego filmu. Fantastyczna komedia. Na moim seansie sala pękała w szwach, a ludzie zaśmiewali się do rozpuku.

– Nadal interesujesz się kinem, prawda? Szkoda, że w to nie wszedłeś. Zawsze twierdziłem, że masz talent.

– Jakoś inaczej mi się życie potoczyło – bąknął chłopak. – Czy u Heleny wszystko w porządku? – zapytał znienacka.

– W porządku – odparł Konrad, z trudem pohamowując irytację. Nie spodziewał się takiego obrotu rozmowy, lecz uzmysłowił sobie, że przecież z perspektywy Poldka pytanie nie jest niezwykle. Z pewnością nie przypuszczał, że Konrad zna sekret wakacyjnego romansu. – A co słyhać u twojej żony? – zapytał, nie mogąc sobie odmówić małej złośliwości.

– Odpoczywa w sanatorium po przebytej chorobie – odparł krótko.

– Zatem życzę jej rychłego powrotu do zdrowia. A tobie życzę wesołych świąt. – Konrad uścisnął Poldkowi dłoń na pożegnanie, po czym pospiesznie odszedł.

Wracając do samochodu zaparkowanego przed domem braci Jabłkowskich, pomyślał, że jest niemal nieuniknione, że przebywając tak blisko, Hela i Poldek w końcu na siebie wpadną. Nie chciał nawet wiedzieć, czym takie spotkanie może się zakończyć. Problem

polegał na tym, że Helena nie mogła się wyprowadzić, zresztą właściwie dlaczego miałyby to robić, skoro mieszkała w antykwariacie pod czułą opieką swojego ojca. Do Sopotu nie wróci, a innych krewnych Małecy nie mieli. Rodzina Michała nie wchodziła w grę. Heleny nie akceptował dziadek Szmul, nadal nie potrafiąc się pogodzić z tym, że jej ojcem nie jest Żyd. Poza tym przy swoich ortodoksyjnych poglądach w życiu nie zająłby się dziewczyną z nieślubnym dzieckiem. To rozwiązanie odpadało. Przeszło mu przez myśl, że może Hela mogłaby zamieszkać u niego, ale pomysł był nedorzeczny. Jak by to wyglądało? Poza tym Ignacy pałał nienawiścią do Heleny, więc nie było mowy, by mogli żyć pod jednym dachem. Wynajęcie mieszkania w innej części miasta też odpadało. Helena była zbyt dumna na przyjęcie pieniędzy, a poza tym nieludzkie byłoby skazywanie jej na samotność. Nie istniało żadne sensowne rozwiązanie.

Konrad wsiadł do samochodu, lecz daleko nie zajechał. Do świąt zostały tylko dwa dni, więc postanowił podrzucić na Zgodę prezenty świąteczne. Równie dobrze mógł nawet nie ruszać z miejsca i przejść te kilkadziesiąt kroków do antykwariatu, lecz miał już na dzisiaj serdecznie dość przypadkowych spotkań.

WSPÓŁCZEŚNIE

Gdyby nie wszechobecne samochody zajmujące najmniejszy nawet skrawek chodnika, Stary Mokotów wyglądałby, jakby zatrzymał się w czasie. Historia szeptała tu z każdego kąta, zza fasad modernistycznych willi i kamienic. Nawet przed wejściem do sklepiku na rogu wisiła tabliczka informująca, że założono go w 1869 roku.

Julia szła wraz z dziadkiem Markiem w cieniu lip rosnących w cichej uliczce. Zza starych, pomalowanych na zielono parkanów pachniały jaśminy w pełni rozkwitu. Dzień był bardzo ciepły i słoneczny, lecz jeszcze nie upalny.

– Może przejdziemy się na Pole Mokotowskie? – zaproponował dziadek. – Pogoda taka piękna, a w środku tygodnia pewnie niewiele osób się tam kręci.

Dziewczyna już zdołała się zorientować, że dziadek ma naturę introwertyka i nie przepada za zaludnionymi miejscami. Z ochotą przystała na plan. Skręcili w Rakowiecką i szli wzdłuż najstarszej części kolonii Szare Domy. W niektórych miejscach wciąż widać było na murach ślady serii z karabinów maszynowych z czasów powstania warszawskiego.

– Gdy mieszkasz wśród tych śladów od dziecka, nawet ich nie zauważasz – powiedział dziadek, podążając wzrokiem za spojrzeniem wnuczki.

– A ty tu mieszkasz od dawna, prawda?

– Z tego, co mi wiadomo, to od urodzenia. Mój ojciec po wojnie nigdy nie wrócił na Solec.

– Dlaczego?

– W rejonie mostów koncentrował się bardzo silny ostrzał i bombardowania. Tak się zwykle dzieje, gdy toczy się walka o miejsca strategiczne. Tam w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku zwyczajnie nie było dokąd wracać. Wszystkie kamienice obróciły się w gruzy.

– A jak to się stało, że pradziadkowie wylądowali właśnie tu, na Mokotowie? – zaciekała się Julia.

– Matka odziedziczyła mieszkanie po krewniaczce – wyjaśnił dziadek Marek. – Ta okolica nie ucierpiała w powstaniu aż tak strasznie jak inne dzielnice miasta. Jak zapewne wiesz, Rakowiecka była silnie obsadzona przez Niemców. Stacjonowali tu do końca powstania, a potem, gdy uciekali przed ruskimi z podkulonymi ogonami, zwyczajnie zabrakło im czasu, żeby wysadzać okoliczne domy.

– Czyli było tu w powstaniu nieco spokojniej niż w Śródmieściu? – zapytała Julia.

– Wtedy w Warszawie nigdzie nie było spokojnie. Widzisz ten budynek? – Właśnie minęli nieszczerzej urody kościół z lat osiemdziesiątych, a zza niego wyłoniła się bryła prostego w formie przedwojennego klasztoru. – Słyszałaś kiedyś o masakrze u jezuitów z czasów powstania?

– Nie słyszałam – odparła.

– W drugim dniu walk do środka wpadła grupa esesmanów. Nadbiegli od strony Pola Mokotowskiego, na które właśnie zmierzamy. Oskarżyli zakonników o to, że dają schronienie powstańcom i że od strony klasztoru ktoś ostrzeliwuje niemiecki oddział. Tyle że to nie było prawdą. W podziemiach budynku chronili się bracia i kilku przypadkowych cywilów, których dzień wcześniej wybuch powstania zaskoczył nieopodał klasztoru. Okupanci, nie wdając się w szczegóły, zaczęli wrzucać granaty do pomieszczeń piwnicznych, a rannych dobijali. Zginęły także kobiety i dzieci.

– To straszne – szepnęła Julia.

– Straszne. Na szczęście wydarzyło się dawno temu. – Dziadek zreflektował się, że temat niekoniecznie jest odpowiedni na miły spacer z wnuczką. Przez głowę przemknęła mu myśl, że tamten dzień, drugi sierpnia, był równie piękny jak dzisiejszy. Odgonił tę refleksję i dzielnie się uśmiechnął. – A może pójdziemy na lody? – zaproponował.

– Bardzo chętnie.

Julka bywała czasami na Polu Mokotowskim ze znajomymi z roku, więc doskonale wiedziała, że jest to rozległy park, miejscami bardziej przypominający łąkę. W sercu pola urządzono duży sztuczny staw, po którym pływały kaczki. Jednak spacer z dziadkiem sprawił, że patrzyła na to miejsce w zupełnie inny sposób. Szli niespiesznie, a on snuł wspomnienia z czasów, gdy przychodził tu w niedzielę z małym Marcinem.

– A jaki tata był jako małe dziecko? – zaciekała się.

– Nie opowiadał ci nigdy?

– Niewiele – przyznała. – Poza tym jestem ciekawa twojej opowieści. – Uśmiechnęła się.

– Marcin zawsze był bardzo upartym i niezależnym dzieckiem. Jeśli sobie coś zamyślił, trwał w uporze i złościł się, gdy nie układało się po jego myśli. Ale serce zawsze miał gorące – odparł dziadek. Zaduma w jego głosie kazała przypuszczać, że bardziej niż o dzieciństwie syna myśli o ich obecnym konflikcie.

– Dziadku, może usiądziemy na ławce? Chciałam ci pokazać pewne zdjęcie. – Julia czuła, że temat stał się bolesny, więc przeszła

do sedna dzisiejszej wizyty na Mokotowie. – Masz przy sobie okulary?

– W moim wieku, dziecko, człowiek zawsze ma przy sobie okulary – roześmiał się.

Wkrótce siedzieli w ogródku nad zimnym piwem, a dziadek z pochyloną głową wpatrywał się w ekran telefonu, na którym Julia wyświetliła zdjęcie mężczyzny z dzieckiem przechodzącego przez skrzyżowanie Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi.

– Powiększysz jeszcze trochę? – poprosił. – Tak, żeby z bliska zobaczyć postać.

– Straci na ostrości – ostrzegła. – Dziadku, czy to może być pradziadek Poldek? Pewnie nigdy się tego nie dowiemy – zmartwiła się.

– Niekoniecznie, moje dziecko. Sylwetka podobna, twarz też, chociaż oczywiście to wyobraźnia może mi płatać figle, ale widzę coś znacznie ciekawszego. Szczęśliwy kapelusz! – odparł triumfalnie.

– Szczęśliwy kapelusz? – powtórzyła zdumiona.

– Ach, więc i tej historii rodzinnej nie znasz. Poldek, mój ojciec, do śmierci nie rozstawał się ze słomkowym kapeluszem, jakie noszono na długo przed wojną. Zobacz, mężczyzna na zdjęciu też go ma.

– Zwróciłam na to uwagę, lecz żadnej historii z nim związanej w życiu nie słyszałam.

– Jak się okazuje, ja też znałem ją niedokładnie. Z którego roku jest to zdjęcie? – zainteresował się.

– Z pewnością przedwojenne, lecz dokładnie nie wiem. Sądzę, że to można ustalić.

– Myślałem, że ojciec dostał ten kapelusz od mojej matki po wojnie. Zawsze powtarzał, że przynosi mu szczęście. Chociaż wyglądał w nim dziwacznie, często go zakładał. Myślę, że on leży jeszcze gdzieś na pawlaczu w mieszkaniu. Rzadko tam zaglądam, a wstyd, bo wypadaloby czasem posprzątać...

– Dziadku – przerwała mu Julia. – Czy ty właściwie chcesz mi powiedzieć, że na zdjęciu na serio jest pradziadek Poldek?

– Wszystko się zgadza. Ilu mężczyzn mogło nosić takie niemodne kapelusze przed wojną w Warszawie? Nad morzem pewnie więcej, bo to taka typowa bardzo stara moda rodem z uzdrowisk na Wybrzeżu – potwierdził.

– Zatem co to za dziecko? Przecież nie możesz to być ty. Urodziłeś się po wojnie.

– Z całą pewnością nie jestem to ja. Ale nie wyciągałbym daleko idących wniosków. Może chwilowo opiekował się dzieckiem znajomych? Myślę, że nigdy się nie dowiemy. Lecz samo zdjęcie ojca jest niezwykłym znaleziskiem. – Dziadek Marek otarł oczy wyraźnie wzruszony. – Wy młodzi robicie mnóstwo zdjęć przy każdej okazji, a ja posiadam raptem jeden album pamiątek po rodzicach. Znalezienie kolejnej fotografii jest dla mnie stworzeniem wspomnienia, jakkolwiek dziwnie to brzmi.

– Wcale nie brzmi dziwnie, dziadku – odparła cicho Julia i pogłaskała jego pomarszczoną dłoń.

Godzinę później, odprowadziwszy dziadka pod drzwi klatki schodowej, Julia poszła do metra. Wsiadła do pociągu i wyciągnęła telefon. Wysłała zdjęcie Filipowi Melnerowi i krótko opisała przebieg spotkania z dziadkiem.

1939

Tuż po Nowym Roku Helena odeszła ze szpitala na Czystem. Choć wciąż wyglądała szczupło, brzucha już nie dawało się ukryć. Nie chciała żadnych złośliwych plotek albo, co gorsza, jakichś pretensji do Michała. Wszyscy wiedzieli, że ona i doktor Gutman byli kuzynostwem.

Helenie żal było porzucać lubianą pracę, zwłaszcza że energii miała za dwóch. Michał jednak wyglądał na zadowolonego z decyzji.

– Odpoczniesz – powiedział, gdy weszła do jego gabinetu po zakończeniu ostatniego dyżuru.

– Kiedy ja się czuję świetnie – zaprotestowała.

– Być może. Ale sama wiesz, że praca w szpitalu nie należy do lekkich.

– Właściwie to ja się jeszcze uczę.

– Ale typowych lekcji prawie nie masz, tylko praktyki na oddziale. Czy możemy cię zabrać na spacer i kolację w przyszłym tygodniu? – zapytał, próbując skierować jej uwagę na coś weselszego.

– Możecie – uśmiechnęła się. Doskonale wiedziała, że ma na myśli siebie i Konrada. – Ale jeśli sądzisz, że to mnie powstrzyma przed robieniem czegoś sensownego, od razu mówię, że nie ma mowy. Ot choćby gruntownymi porządkami w antykwariacie.

– Ale niczego nie dźwigaj! – przeraził się Michał.

– Dobrze, tato – odparła z żartobliwym przekąsem i wystawiła język jak złośliwy dzieciak.

Helena starała się robić dobrą minę do złej gry, lecz szpital opuściła ze zwieszoną głową. Początek stycznia w Warszawie przyniósł odwilż i opady marznącego deszczu. Świat wyglądał szaro i ponuro, a do tego łatwo było przewrócić się wprost na ubłocony chodnik. Dziewczyna szła, ostrożnie stawiając stopy na śliskiej nawierzchni. Michał miał rację. Znużenie dawało o sobie znać i myśl o tym, że zaraz przyjdzie jej się tłoczyć na przystanku, a potem walczyć o możliwość dostania się do tramwaju, nie dodawała animuszu. Tramwaje warszawskie zawsze jeździły zatłoczone, a prasa codziennie publikowała doniesienia o nierzadko śmiertelnych wypadkach, jakim ulegali głównie młodzi chłopcy czepiający się wagonów.

– Heleno! – usłyszała głos i odwróciła się. Konrad stał obok samochodu i machał kapeluszem. Wyglądał jak zwykle, czyli niczym model z żurnala, a w rozciągniętych w uśmiechu ustach bieleły się równe zęby. Zdumiewające, zważywszy na fakt, że ostatnio coraz więcej palił. Helena rozumiała, że papierosy mogą działać odprężająco, lecz nie dało się nie zauważyć związku pomiędzy paleniem a szybkim żółknięciem zębów. Konrada podobne problemy nie dotyczyły. Piękny niczym młody bóg, w nonszalancko rozpiętym popielatym płaszczu nasadził kapelusz na głowę i zgrabnie przeskoczył brudną zaspę błota pośniegowego.

Dokładnie w tej samej chwili poślizgnął się na chodniku i wykonał stylowego orła wprost pod nogi Heleny, która nic nie mogła poradzić na to, że zaczęła się śmiać.

– Żyjesz? – zapytała w końcu, wciąż nie mogąc złapać powietrza.
– Nie potłukłeś się?

– Ucierpiała jedynie moja duma. – Konrad parsknął śmiechem. Miał sporo dystansu do siebie, a poza tym widok poczerwieniałej twarzy Heleny trzymającej się za nieznacznie wypukły brzuch był równie komiczny jak spektakularny upadek pierwszego amanta polskiej kinematografii.

– I płaszcz! Jest cały w błocie. Ale najważniejsze, że nic ci się nie stało. – Hela w końcu zdołała się uspokoić. – Co tu robisz?

– Przyjechałem, żeby zawieźć cię do domu.

– A skąd wiedziałeś, kiedy kończę pracę? – Uniosła znacząco brew.

– Oczywiście Michał do mnie rano zatelefonował – skapitulował Konrad z łobuzerskim uśmiechem.

– A wiesz, że masz błoto na twarzy? – zachichotała. – Chodź tu bliżej, mój bagieny książkę. – Helena wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i zaczęła energicznie czyścić policzek mężczyzny.

– Dziękuję, ropuszek – odparł złośliwie, po czym dotknął ubłoconą rękawiczką czubka jej nosa, zostawiając ciemny ślad.

– Niedoczekanie! – pisnęła i zamiast doczyścić smugę, szybko wtarła zawartość chusteczki w całą twarz Konrada.

– Jak zaraz przełożę przez kolano! Jak manto spuszcze!

– Panie Konradzie! – rozległ się tuż obok obcy męski głos.

Obydwoje odruchowo odwrócili głowy i zobaczyli mężczyznę z aparatem fotograficznym. Zdecydowanie nie był to uliczny lajkarz, tylko zawodowy fotograf polujący na podobne okazje.

– Do samochodu, szybko – polecił Helenie Konrad, wypuszczając ją z ramion.

Usłuchała bez zbędnego komentarza. Osobiście wolałaby podbiec do prześladowcy i roztrzaskać mu aparat, lecz wiedziała, że Konrad ma duże doświadczenie w podobnych sytuacjach.

– Nie będzie za nami jechał? – zapytała z niepokojem, gdy samochód ruszył spod szpitala.

– Tego nie wiem – odparł. – Dlatego dla pewności pojedziemy dłuższą trasą. Obserwuj drogę za nami, dobrze? Przejadę przez dzielnicę północną, może tam go zgubimy. Jeszcze tego by

brakowało, żeby wytropił, gdzie mieszkaś. Pod antykwariatem już na stałe któryś z nich pełniłby wartę. Nie sądzę, żebyś potrzebowała podobnego rozgłosu. Pan Józef też nie byłby zachwycony.

– Tyle czasu się znamy, chadzamy w różne miejsca, ale coś takiego nigdy wcześniej się nie zdarzyło – zdziwiła się Helena.

– Bo zawsze jest z nami Michał – wyjaśnił. – Poza tym, Heleno, tak z ręką na sercu. Czy kiedykolwiek wcześniej trzymałem cię na ulicy w ramionach? – roześmiał się.

– Trzymałeś – przypomniała sobie. – Na Wierzbowej pod Oazą. I wcale nie wiem, czy wtedy ktoś nie zdołał zrobić nam zdjęcia.

– E tam – zbagatelizował. – To była noc. Żaden z nich nie marnowałby z tak daleka klatki filmu. Co innego teraz, gdy wciąż jeszcze jest jasno. Jedzie ktoś za nami?

– Kilka samochodów, więc nie mam pojęcia, czy także i fotograf – odparła.

– Spróbuj zapamiętać marki i kolory. Będę skręcał w boczne uliczki, powinnaś widzieć, kto w ostatniej chwili rusza za nami.

Krażyli po mieście, a coraz silniej padający deszcz i zapadający zmierzch ułatwiły im zadanie. Na Zgodę dojechali, gdy już zapalały się latarnie. Konrad zaparkował tuż pod jedną z nich. Strumień mdłego żółtego światła padł przez przednią szybę prosto na ich twarze.

– Wyglądasz, jakbyś się czołgał w okopach – zauważyła z nutką rozbawienia Helena.

– Jeśli myślisz, że wyglądasz korzystniej, to jesteś w sporym błędzie – odwdzińczył się.

– Lepiej wejdźmy od podwórza, bo nie daj Boże ojciec ma klienta i wtedy nowa sensacja gotowa.

– Po dzisiejszym skandalu wiele już nam nie zaszkodzi – wyszczerzył się w uśmiechu, choć wiedział, że ta historia z pewnością tak się nie skończy. Nie chciał jedynie przedwcześnie denerwować Heleny.

W podwórzu na szczęście nikogo nie spotkali. Idąc ostrożnie po śliskim bruku, słabo widocznym w świetle padającym z za szczelnie zasłoniętych okien, dotarli do tylnych drzwi antykwariatu.

– Tu się pożegnam, Heleno. Odpocznij i zjedz coś – powiedział Konrad.

– Oszalałeś chyba. Nie możesz w takim stanie jechać przez całe miasto. Wejdziesz, umyjesz twarz i dłonie, a ja spróbuję choć trochę odczyścić twój płaszcz. Nawet nie protestuj – odparła, ciągnąc go za rękę.

Do mieszkania weszli na palcach. Mieli nadzieję, że nie zakłócą spokoju ojca Heleny, lecz on czujnie wychylił głowę z kuchni przy pierwszym skrzypnięciu deski podłogowej.

– A dlaczego nie wchodzicie od frontu? – zdziwił się, lecz jeden rzut oka na Konrada sprawił, że powstrzymał się od dalszych pytań.

– Panie Konradzie! Napadł kto na pana?

– Helena! – odparł, siląc się na grobowy ton.

– Podły kłamca! – roześmiała się. – Niech ojciec mu nie wierzy. Nasz orzeł kinematografii twardo wylądował w kupie błota! Co tu tak bosko pachnie?

– Rumsztyki z cebulką i duszona jarzynka!

– Stać nas na takie rzeczy w środku tygodnia? – zdziwiła się.

– Przecież dzisiaj skończyłaś szkołę. Należy to uczcić. – Uśmiechnął się łagodnie.

Konrad poczuł, że wzruszenie ściska go za gardło. Większość ojców potępiłoby swoje córki w kłopotcie. Być może wypomnieliby, że to nie one skończyły szkołę, tylko szkoła skończyła z nimi przez ich własne nieodpowiedzialne zachowanie. Ale pan Józef był inny. Kochał Helenę całym sercem, a do tego miał nieprawdopodobne pokłady wyrozumiałości dla bliźnich. Ten wielbiciel filozofii o gołęmbim sercu był najlepszym rodzicem na świecie. Dzięki niemu Helena rozkwitła jak piękny kwiat i choć popadła w tarapaty, pan Józef nie pozwolił jej zrobić krzywdy.

– To może ja pójde do sklepu i kupię szampana? – zaproponował Konrad.

– W tym płaszczu? Mowy nie ma! Proszę go oddać i iść do łazienki. Zaraz zjemy. Zosiu! – Józef Małecki krzyknął w stronę zamkniętego na głucho panieńskiego pokoiku Heleny. – Skaranie boskie z nią. Tylko siedzi przy biurku i cały czas listy jakieś pisze.

– Ja wezmę płaszcz, Konradzie, ale najpierw idź się umyć – zareagowała Helena. – Wyglądasz, jakbyś własnoręcznie wyszorował wszystkie okoliczne kominy. Pomóc nakrywać, ojcze?

– Nie trzeba. Już nakryte. Wystarczy tylko dostawić talerz dla pana Konrada. Idź wywołaj tę pannę z głową w chmurach, może się tu nam na co przyda.

Helena weszła do swojego pokoju. Nie umknęło jej, że Zośka skrzątnie ukryła pod książkami jakieś kartki, gdy tylko usłyszała szcęknięcie drzwi. Zastanowiło ją to, lecz uznała, że to nie jest odpowiedni czas na indagacje.

– Zosiu, zaraz kolacja – powiedziała łagodnie do młodsiutkiej kuzynki. – Chodź. Pomożesz podawać, a ja w tym czasie spróbuję wyczyścić pobrudzony płaszcz Konrada.

– Pan Konrad tu jest? – Zośka natychmiast zerwała się na równe nogi.

– Jest i zje z nami, lecz najpierw trzeba mu pomóc doprowadzić okrycie do ładu. – Helena z trudem powstrzymała śmiech. Słabość Zosi do znanego aktora była wręcz legendarna.

– Ja wezmę ten płaszcz – oświadczyła młódka. Pokusa dotknięcia choćby odzieży sławnego aktora z punktu wygrała.

– Dobrze więc. A później szybko go rozwieś obok pieca, tylko nie za blisko, żeby się nie zajął. I popraw warkocze, zanim usiądziemy do stołu.

Przejęta Zośka wybiegła z pokoju, a Helena podeszła do biurka, żeby wyłączyć zapomnianą lampkę. Coś ją podkusiło i podniosła podręcznik od przyrody. Pod spodem leżał zapisany maczkiem list. Nie chciała go czytać. Wystarczyło jej tylko tyle, że został spisany po niemiecku.

– Nie zapomniałaś o tym całym Wilhelmie, co? – mruknęła pod nosem. – Z tego będzie jeszcze jakaś katastrofa.

Marzec nie rozpieszczał aurą. Wciąż było chłodno, wilgoć dawała się wszystkim we znaki, a na drzewach nie pojawiły się jeszcze pąki. Droga do Otwocka dłużyła się Poldkowi okrutnie. Pociąg włókł się po szynach niemiłosiernie, a ciotce Marii nie zamykały się usta. Zwykle powściągliwa kobieta zachłystywała się wczorajszym wyborem

nowego papieża. Wtórowała jej Teresa Melnerowa, siedząca tuż obok niej, a Poldek zżymał się w duchu na skąpstwo swojego ojca, który zamiast wynająć na ten dzień samochód z kierowcą, oznajmił, że do sanatorium można równie dobrze pojechać pociągiem. Sam oczywiście nie miał zamiaru się tam wybrać. Uznał, że delegacja trzech osób w zupełności wystarczy.

– Jakież to szczęście, że na Stolicę Piotrową biskupi powołali kardynała Pacellego! – oświadczyła Maria. – Podobno konklawe wybrało go już w trzecim głosowaniu, a z komina puścił się biały dym.

– Poprzedni papież był przychylny Polsce, więc napawa serca nadzieją, że nowy obrał imię po poprzedniku – zagadkała wzruszona Teresa.

– Pius XII! Czyż to nie brzmi wspaniale? – Ciotka otarła łezkę wzruszenia, a Poldek w ostatniej chwili powstrzymał się od przewrócenia oczami.

– Brzmi cudownie i jest doskonałą wróżbą dla pomyślności Polski – oznajmiła uroczyście Melnerowa.

– W orędziu oświadczył, że chce być papieżem ponad podziałami. Nie ma lepszego zapewnienia, że w Europie w końcu zapanuje spokój. – Maria przeżegnała się i uśmiechnęła łagodnie.

– I tego samego dnia podpisał konkordat z hitlerowskimi Niemcami. – Poldek w końcu nie wytrzymał. – Ciotka chociaż doczytała słowa świętobliwości Piusa XII? Że przed światem roztacza się wizja niezmiernego zła? Sądzi ciotka, że ot tak sobie gadał? Oni tam wiedzą dużo więcej niż my, spokojnie sobie jadący powolną kolejką do Otwocka – roześmiał się ponuro.

– Nie mów głupot – ofuknęła go Melnerowa. – Rozumiemy obie, że możesz się denerwować spotkaniem z Pauliną po tak długim czasie, lecz to nie uprawnia cię do podobnego bluźnierstwa.

– Ja tam swoje wiem – burknął Poldek i zasłonił się płachtą gazety.

Pozostałe informacje z porannego wydania „Kurjera Warszawskiego” też nie napawały go optymizmem. Anglia nadal pertraktowała z Arabami, komu powinna przypaść Palestyna, zamachy szalały tam w najlepsze, a Hitler, który najpierw wydalili

z Niemiec Żydów z wygasającymi polskimi paszportami, teraz chciał zafałszować liczbę Polaków w Rzeszy za pomocą oszukańczego spisu ludności, a jednocześnie krzyczał coraz głośniej, domagając się praw dla zamieszkałych w Polsce Niemców. Chłopak nie miał pojęcia, po czyjej stronie jest racja, ale doskonale wiedział, kto umie się donośniej domagać swego na arenie międzynarodowej. Doświadczenie pokazywało, że Anglia i Francja dla świętego spokoju ustępowały Hitlerowi właściwie w każdej sprawie.

Melnerowa w jednym miała słuszość. Poldek potwornie denerwował się spotkaniem z żoną. Nie widzieli się od listopada, gdy dochodziła do siebie w szpitalu na Czystem po nieudanej próbie samobójczej. Choć ciężko było mu się do tego przyznać przed samym sobą, kolejne miesiące dowiodły, że nie tęskni za Pauliną, a wręcz napawa się jej nieobecnością.

Doktor Gutman stanowczo odradzał wcześniejsze wizyty, argumentując, że dopóki Paulina sama nie zażąda widzenia z bliskimi, nie warto burzyć kruchego spokoju, jaki osiągała w zamkniętej placówce. A Poldek skwapliwie przytakiwał.

Przedwczoraj odebrał telefon z kliniki i po rozmowie z lekarzem wpadł w panikę. Przez ostatnie miesiące wyobrażał sobie, że znów jest kawalerem. Jak obłąkany każdą wolną chwilę spędzał w kinie, a po pracy leżał samotnie w dawnym kawalerskim łóżku Janka i pochłaniał książki. Nie wybrzydzał. Czytał wszystko, co wpadło mu w ręce i miało moc przeniesienia go z kamienicy na Solcu do wymyślonego świata, gdzie nie istniał Apoloniusz Malinowski, rodzina Melnerów ani ciotka Maria.

Pociąg ze zgrzytem zahamował na stacji w Otwocku. Poldek obrzucił nieuważnym spojrzeniem budynek dworca ze strzelistą wieżyczką.

– Czas na nas – oświadczyła Melnerowa. – Musimy jeszcze znaleźć dorożkę.

W jej głosie dało się wyczuć podenerwowanie, co nie powinno dziwić. Nie widziała córki od kilku miesięcy, a Poldek nie był na tyle zaślepiony własnymi odczuciami, żeby jej nie współczuć. Nie przepadał za teściową, lecz doskonale rozumiał, że niezależnie

od tego, jak mocno żona działała mu na nerwy, tamta nadal kochała Paulinę, jak zwykła to czynić dobra matka.

– Tereso, głowa do góry, jestem przekonana, że nasza dziewczyna ma się dobrze. Sanatorium wprawdzie żydowskie, lecz podobno trzyma poziom i nie trzeba ponosić kosztów. – Ciotka Maria niezgrabnie próbowała dodać jej otuchy.

– A co złego w żydowskim sanatorium? – zdziwił się szczerze Poldek i podniósł z drewnianej ławki trzeciej klasy kufer teściowej. – Co mama tam nosi? – stęknął, uginając się pod ciężarem.

– No przecież, że wiktuały dla Paulinki. Ogórki i gruszki w słoikach.

– Chodźmy więc – odparł zrezygnowany.

– Nic nie mam do żydowskiego sanatorium – odparła Melnerowa, gramoląc się po żelaznych stopniach na peron. – Ale przyznasz, mój drogi, że to nieco dziwne. Zawiozłeś Paulinę do ichniejszego szpitala, zamiast jak Bóg przykazał do Dzieciątka Jezus. A żydowski lekarz przysłał ją tutaj.

– Amen – poparła ją ciotka Maria, przyciskając do piersi torebkę. Rozglądała się przy tym po dworcu, jakby spodziewając się, że zaraz jakiś kieszonkowiec doskoczy i ukradnie jej wąż zawartość portfela.

– Doktor Michał Gutman uratował Paulinie życie – oświadczył spokojnie Poldek. – I chyba to jest najważniejsze, prawda? A ośrodek dla osób cierpiących na zaburzenia psychiczne w Otwocku jest największym sanatorium w okolicy. I słynie z rzetelności.

– Z tym nikt nie zamierza przecież dyskutować, nawet jeśli żydowskie – obruszyła się Melnerowa. – Chodźmy.

Poldek tylko westchnął. Przywołał dorożkę i wkrótce cała trójka jechała główną, opustoszałą ulicą letniska w stronę sanatorium. Nie bywał w podmiejskich miejscowościach wypoczynkowych, mógł jedynie kształtować wyobrażenia na podstawie zdjęć zamieszczanych przez poranne wydanie „Kurjera Warszawskiego” w sierpniu. W marcu miejscowość nie wzbudzała zachwytu. Zwłaszcza że pobocza zawały głębokie zwały błota, a gdy koło dorożki na nie najechało, bryzgało, ochlapując płaszcze podróżnych.

– Dzięki Bogu! – westchnęła ciotka Maria, gdy wreszcie stanęli przed masywną bramą sanatorium.

Poldek zapłacił dorożkarzowi i ponownie uchwyciwszy ciężki kufer teściowej, zsiadł z kozła. Zaczął siąpić lodowaty deszcz, więc chłopak postawił kołnierz. Niewiele to pomogło. Omijając kałuże, dotarli wreszcie do głównego budynku z recepcją.

– Do Pauliny Malinowskiej – zapowiedział się Poldek. Znużony recepcjonista łypnął na niego spod oka i machnął ręką, wskazując korytarz.

– Tu nigdzie nie ma żadnego krzyża – wyszeptała scenicznie Maria, żegnając się ostentacyjnie, co sprawiło, że kilka głów odwróciło się i zaczęło przyglądać się matronie z zainteresowaniem.

– Niechże ciotka da wreszcie spokój – ofuknął ją Poldek, tracąc cierpliwość.

Szpital sprawiał przyzwoite wrażenie. Drewniana podłoga w korytarzu była wypastowana, a drzwi pomalowane, bez śladu łuszczącej się farby. Pod oknami stały rośliny doniczkowe. Milczący sanitariusz ubrany w biały kitel zaprowadził ich do sali, gdzie przy stolikach pensjonariuszki czekały na gości.

Paulina siedziała w kącie sali i raz za razem przeczesywała z wyraźnym zakłopotaniem pszeniczne proste włosy. Poldek zauważył, że były w bardzo dobrym stanie, więc jego żonie pewnie nie działa się w ośrodku krzywda.

– Córeńko! – powiedziała Melnerowa nabrzmiałym ze wzruszenia głosem. Podeszła do stolika i usiadła przy nim zamasyście. – Jakże tęskniłam!

Poldek spojrzał na Paulinę. Nie wyglądała na poruszoną, a jej nieobecne spojrzenie błąkało się po refleksach popołudniowego słońca tańczących na przeciwległej, pomalowanej na biało ścianie.

– Witaj, dziecko – sapnęła Maria, sadowiąc się obok Teresy. – Jak miło widzieć cię w zdrowiu. Dzięki Bogu!

– Przyjechałyście – odezwała się drętwo Paulina, ignorując męża. – To dobrze.

Poldek, nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą zrobić, rozejrzał się za wolnym krzesłem, ale żadnego nie wypatrzył. Wszystkie zostały już zajęte przez gości. Stanie nad stolikiem nie wchodziło w grę,

czułyby się jak górujący nad otoczeniem intruz, na którego wszyscy mimowolnie patrzą.

– Witaj, żono – powiedział bez entuzjazmu i kucnął obok krzesła Pauliny.

– Poldek – szepnęła i spojrzała na niego, jakby ujrzała ducha.

– Jestem tu – odparł. Miał zamiar pogłaskać jej dłoń obejmującą poręcz krzesła, lecz Paulina cofnęła rękę, czemu towarzyszył pełen obrzydzenia grymas.

– Córeczko, tak się martwiłam – zaszlochała Melnerowa. – Przywiozłam ci domowe przetwory. Jak cię tu karmią?

– Bardzo dobrze, matko. Dziękuję – odparła. Jej pozbawiona wyrazu twarz sprawiała przerażające wrażenie.

– Jeśli Bóg pozwoli, to Wielkanoc spędzimy razem na Solcu – oświadczyła ciotka Maria, ocierając łzę wzruszenia.

– Chcę się rozwieść – oświadczyła Paulina, patrząc w sufit. – Nie potrzebujemy się, a nawet nie lubimy.

– Dziecko, co ty wygadujesz? – Wstrząśnięta Melnerowa przeżegnała się i spojrzała znacząco na Marię.

– Doktor mówi, że muszę odrzucić wszystko, co mnie unieszczęśliwia, żeby odzyskać równowagę – wzruszyła ramionami Paulina.

– Ale przecież nie święte więzy małżeńskie! – wyjąkała ciotka. – Poldek, weźże się w końcu zachowaj jak mężczyzna i przemów żonie do rozsądku! Zanim jakiś kolejny żydowski lekarz komunista całkowicie namiesza jej w głowie.

– Niech ciotka nie dramatyzuje i pilnuje swoich spraw – burknął Poldek.

– To są sprawy nas wszystkich – oświadczyła tonem nieznośnym sprzeciwu Teresa Melner. – I o żadnym rozwodzie nawet nie ma mowy. Co ludzie powiedzą?

– Że ten ślub był błędem? – podsunął usłużnie Poldek.

– Jak śmiesz! – Ciotka Maria zerwała się z krzesła i spoliczkowała kucającego siostrzeńca.

Poldek patrzył ze zdumieniem na wściekłą krewniaczkę.

– Nigdy nie waż się podważać sakramentu! – wysyczała. – Tereso, wychodzimy – powiedziała twardo.

Melnerowa spojrzała z żalem na córkę, lecz nie oponowała. Podniosła się z krzesła i podreptała za Marią. Paulina obrzuciła je obojętnym spojrzeniem.

– Dam ci rozwód, jeśli takie jest twoje życzenie – powiedział cicho Poldek. – Ale niezależnie od wszystkiego będę cię wspierał i opiekował się tobą, Paulino.

– Dziękuję – odparła, ponownie zapatrując się w ścianę.

Poldek poczuł w sercu dziwne ukłucie. Z ociąganiem wyszedł z sali widzeń. Paulina wyglądała krucho i wzbudzała w nim poczucie winy. Gdyby pozwolono mu ją wynieść na rękach z sanatorium, uczyniłby to bez wahania, lecz dokąd by to ich zaprowadziło? Czuł odpowiedzialność za żonę, a jednocześnie wiedział, że jedynym sensownym rozwiązaniem byłby rozwód. Nie kochał jej, nie pasowali do siebie, choć jednocześnie chciał się nią opiekować. Te sprzeczne uczucia wywoływały w nim wściekłość i poczucie zagubienia.

– Dobrze, że jest dorożka – sapnęła ciotka Maria, moszcząc się na siedzeniu. – Daj spokój, Tereso – zachnęła się na widok pochlipującej Melnerowej. – Oni sami nie wiedzą, co mówią. Dajmy dziewczynie jeszcze trochę czasu. Choć, moim zdaniem, trzeba ją przenieść do chrześcijańskiej placówki, gdzie wybiją jej z głowy te rewolucyjne bzdury. Powinność wobec męża jest najświętsza. Wsiadaj, Poldek, nie ma co tracić czasu – burknęła.

Nie klócił się. Marzył jedynie o tym, żeby odjechać z Otwocka i wrócić do Warszawy. Wyjął zza poły marynarki sfatygowany numer gazety. Przekartkował strony, aż wreszcie znalazł zapowiedzi o seansach. Ignorując lamentsy ciotki i teściowej, zatopił się w marzeniach o filmach. I jak zwykle zaczął żałować, że nie skorzystał z szansy, jaką dał mu Konrad Werner. Mógł być wolny, kochać Helenę i zostać innym człowiekiem. Przypomniał mu się list do niej już po ślubie. Nie miał pojęcia, po co to czyni, lecz owa kartka firmowej papeterii zapisana wyznaniem była najcenniejszą rzeczą, jaką posiadał. Nigdy nie dokończył pisanego listu, a teraz, wysiadając na stacji Most, postanowił, że usiądzie przy biurku na poddaszu i dokończy wyznanie. Helena nigdy w życiu go nie przeczyta, lecz jemu przelanie myśli na papier sprawi ulgę.

Poldek przycisnął do głowy groteskowy słomiany kapelusz, który Helena kupiła mu kiedyś w Helu. Traktował go jak szczęśliwe trofeum. Dzisiaj go założył, licząc na to, że odwiedziny w Otwocku przebiegną bez komplikacji. Przeliczył się.

Kwiecień rozpieszczał w tym roku piękną, ciepłą pogodą. Wprawdzie konflikty światowe wciąż trwały, lecz przynajmniej chwilowo nie wybuchały nowe. W Hiszpanii zapanował względny spokój i nawet Gdańsk przejrzał na oczy, uruchamiając tajną, niemieckojęzyczną antyhitlerowską stację radiową buntującą gdańszczan przeciw totalitaryzmowi. Wydawało się, że świat przestał przeć do kolejnych wojen za wszelką cenę, choć o powszechnej mobilizacji wojsk wiedział każdy. Optymizmowi sprzyjała także budząca się do życia przyroda. Jedynie sprawy rodzinne jak zwykle kładły się cieniem na życiu Michała. Po dłuższym czasie świętego spokoju do domu wrócił ojciec.

Michał zacisnął zęby na jego widok i nie powiedział nawet słowa. Po kilku miesiącach pobytu w sanatorium wyniszczony alkoholem człowiek wyglądał znośnie, choć jego rozbiegane oczy świadczyły o tym, że pójdzie się napić przy pierwszej nadarzającej się okazji. Matka nie zadała sobie nawet trudu powitania małżonka. Miała na głowie swoje geszefty na Kercelaku. Dziadek Szmul skinął krótko głową zięciowi, po czym zgarnął Torę i podreptał do synagogi na Tłomackie.

– Ojciec musi uważać na zdrowie. I w żadnym razie nie pić wódki – bąknął Michał.

– Nie pouczaj mnie, co mam robić, szczeniaku – odwarknęła ojciec, lecz nie powiedział niczego więcej. Nauczony doświadczeniem nie wszczywał awantur w domu, wiedząc, że syn już od dawna się go nie boi.

Michał wyszedł z mieszkania i zbiegł na ulicę. Wiele by dał, żeby wyprowadzić się wraz z matką z Karmelickiej, lecz ona konsekwentnie odmawiała. Chcąc nie chcąc, nadal tkwił w potrzasku, a teraz, po powrocie ojca nie mógł sobie pozwolić nawet na krótką nieobecność w domu rodzinnym.

Michał zaczynał zmianę w południe, lecz już kwadrans po dziesiątej szedł niespiesznie w stronę szpitala, napawając się solidnie przygrzewającym słońcem. Obserwował spieszących do swoich spraw przechodniów, wśród których przeważali Żydzi ubrani w tradycyjne chałaty. W dzielnicy północnej ludność żydowska stanowiła większość, a ulice wyglądały jak zupełnie inna Warszawa. Lubił ten kontrast, tu się urodził i tu dorastał, lecz nade wszystko marzył o tym, żeby wyrwać się z miejsca, gdzie ciągle podlegał nieustannym ocenom, szczególnie ze strony własnego dziadka. Coraz częściej powracał myślami do propozycji Konrada, żeby wyjechać do Paryża. Wiedział, że to mrzonka, ponieważ jego matka nigdy się na to nie zgodzi, a on nie zostawi jej tu samej, lecz marzenia poprawiały mu nastrój.

Wszedł do szpitala zatopiony w myślach i w pierwszej chwili nie usłyszał, że ktoś go woła.

– Panie doktorze! – Pielęgniarka podeszła do niego szybko, wyraźnie zaaferowana.

– Co się stało?

– Helena!

– Co z nią?

– Jest na sali porodowej. Pomyślałam, że pan doktor zechce o tym wiedzieć.

– Tak, bardzo dziękuję, sostro! Można jeszcze do niej wejść? – zapytał Michał.

– Można. Oczywiście zgłosiła się za wcześnie, jak to zwykły czynić pierwiastki. – Pielęgniarka uśmiechnęła się pobłażliwie.

– Lepiej za wcześnie niż za późno – rozładował atmosferę Michał.

– Słuszne słowa, panie doktorze – roześmiała się kobieta.

Michał przeszedł długim korytarzem na oddział położniczy. Helena leżała na łóżku przykryta kocem. Wyglądała na przestraszoną, lecz starała się zachowywać dzielnie.

– Uszy do góry, Helu. Wszystko będzie dobrze. Rozmawiałem z twoim położnikiem, nie przewiduje komplikacji. Dziecko jest dobrze ułożone, ty zdrowa i silna – próbował ją uspokajać.

– Nawet nie wiesz, ile otuchy dodaje mi to, że jesteś tu ze mną – odparła.

– Maluch pcha się prawie dwa tygodnie przed terminem. Ależ ciekawy świata – zażartował Michał.

– Ciekawy albo ciekawa, kto wie? Przyjechałam, bo poczułam skurcze. Najpierw pomyślałam, że to przez tę cholerną Zośkę, ale potem, gdy stały się silniejsze, zrozumiałam, że to już.

– A co znów zmalowała Zosia? – zapytał. Podopieczna Heleny sprawiała problemy od samego początku, gdy przyjechały we dwie w listopadzie. Wagarowała, chodziła własnymi ścieżkami, a do tego zachowywała się opryskliwie zarówno w stosunku do Heleny, jak i jej ojca.

– Uciekła.

– Co takiego? Do Sopotu?

– Pewnie do Sopotu, ale to nie jest pewne. Zostawiła list pożegnalny. Jeśli listem można nazwać kilka słów informujących, że nie może żyć bez Wilhelma i wyrusza wraz z nim w stronę wspólnego szczęścia.

– Czyli cały czas utrzymywała z nim kontakt?

– Właściwie wiedziałam o tym, lecz cóż mogłam zrobić? Do głowy by mi jednak nie przyszło, że da nogę z domu. Okropnie się tym zdenerwowałam. Stryjenka powierzyła mi pieczę nad córką, a ja jej nie dopilnowałam.

– I to pewnie przyspieszyło poród. Nie myśl teraz o Zośce. Nie masz wpływu na to, co robi. Zresztą jak znam życie, wuj Józef pewnie wziął sprawy w swoje ręce.

– Tak, chciał od razu iść na posterunek policji, lecz po chwili uznał, że najpierw spróbuje zamówić na poczcie rozmowę z pensjonatem wujostwa. Nie wiem, czy mu się uda przez to wszystko, co wyprawia się w Gdańsku.

– Powinno się udać. Komunikacja z Wolnym Miastem działa przyzwoicie – uspokoił ją Michał. – Nie myśl o Zośce. Znajdzie się. Teraz skup się na sobie i dziecku, dobrze?

– Dobrze – wysapała, czując nadchodzący skurcz.

Michał ponaglił pielęgniarki, a chwilę później zabrano Helenę na salę. Odprowadził ją wzrokiem i nie odszedł, nawet wtedy, gdy

zamknęły się drzwi. Choć sam był lekarzem, w przypadku kuzynki nie potrafił zachować zawodowej rezerwy. Denerwował się, jak przebiegnie akcja porodowa, więc krążył pod salą i odszedł dopiero, gdy jedna z pielęgniarek przypomniała mu, że zaraz zaczyna operację wycięcia wyrostka.

– A może ordynator pana zastąpi, panie doktorze? Wygląda pan na zdenerwowanego. Nie dziwię się, w końcu Helena to pana bliska krewna. My też wszystkie trzymamy za nią kciuki – powiedziała kobieta.

– Nie, dziękuję. Przeprowadzę operację sam. Nie będziemy ordynatorowi zwracać głowy rutynowym zabiegiem – uśmiechnął się. Był pewien swoich umiejętności. Wiedział, że gdy tylko stanie ze skalpelem nad pacjentem, opanowanie i profesjonalizm natychmiast wrócą.

Gdy wyszedł z sali operacyjnej dwie godziny później, pod drzwiami czekały na niego pielęgniarki.

– Urodziła, panie doktorze! Już po wszystkim! Dziecko jest zdrowe – ekscytowała się przełożona. – Nasza Hela była bardzo dzielna.

Michał, nie tracąc czasu, popędził na porodówkę. Helena leżała w pokoju z trzema innymi kobietami. Dziecko już zabrano do sali noworodków. Przypadł do kuzynki, która wciąż miała wypieki na twarzy, a czarne włosy rozsypane w nieładzie na białej poduszce. Na widok Michała uśmiechnęła się dzielnie.

– Heleno! Moje gratulacje! Nawet jeszcze nie wiem, jakiej płci jest dziecko!

– To chłopiec. Mam syna, Michale.

– Jak dasz mu na imię?

– Apoloniusz – odparła i odwróciła głowę w stronę okna, jakby tym gestem chciała pokazać, że nie zamierza na ten temat dyskutować.

Michała ta decyzja zaskoczyła. Sądził, że Helena będzie chciała odciąć się od Poldka i wspomnień o nim, a ona nadała synowi jego imię i na dokładkę imię człowieka, który okrutnie ich rozdzielił. Na wspomnienie starego Malinowskiego Michał jak zwykle poczuł

narastającą irytację. Mimo to uznał, że to nie jest dobry czas na perswazję, poza tym jakie właściwie miał prawo się wtrącać?

ROZDZIAŁ 13

1939

Ida Wolińska siedziała naprzeciw Konrada w zacisznej kawiarni na Woli, do której śmietanka towarzyska raczej nie zaglądała. Aktorka jak zwykle prezentowała się zjawiskowo, co nie umykało oczom ludzi przy sąsiednich stolikach, lecz minę miała nietęgą, a przeważnie roześmiane oczy zupełnie przygaszone. Znużonym gestem zgasła papierosa w popielniczce i sięgnęła po filiżankę z kawą. Nawet skoczne *Tango milonga* w wykonaniu Stanisławy Nowickiej, które właśnie leciało w radiu, nie poprawiało Idzie nastroju.

– Jesteś przygnębiona – zauważył Konrad. – Czy coś się stało?

– Jeśli chcesz, nazwij to spóźnioną jesienną chandrą, mój miły – odparła kpiarsko.

– Bardzo spóźnioną, biorąc pod uwagę, że niedługo zacznie się maj. Nie zwiedzisz mnie, zbyt długo cię znam. Czy masz jakieś kłopoty? Coś z twoim sekretnym pułkownikiem?

– Jeśli chcesz wiedzieć, to z nim wszystko doskonale. Gorzej z jego żoną.

– Cóż to znaczy?

– Już pewnie puka biedaczka do bramy Piotrowej. A mnie jej żal. I wstyd, że mąż ją tyle lat okłamuje.

– On ją okłamuje, więc nie tobie powinno być wstyd. Poza tym jakoś trudno mi uwierzyć w te wyrzuty sumienia po latach. W tym jest coś więcej – drążył Konrad.

– Jest – przyznała niechętnie. – Jeszcze się w biedaczce resztką życia tli, a on już poprosił mnie o rękę.

– Dość brawurowe posunięcie – mruknął Konrad.

– Głupie, a nie brawurowe.

– Staralem się wykazać dyplomacją.

– Za to on nie. Skąd pomysł, że w ogóle chcę za niego wyjść?

Konrada zamurowało. Sądził, że jego udawana partnerka ma dylemat moralny, tymczasem ona jak zwykle skupiała się wyłącznie na sobie. Poza tym od lat szalała za swoim pułkownikiem i wyruszała na sekretne schadzki, gdy tylko znalazł dla niej czas.

– Sądziłem, że właśnie na tym zależy ci najbardziej.

– Bzdura, mój drogi. Czy ja wyglądam na żonkę, która będzie czekała na mężusia w domu? Jak sądzisz, dlaczego ten wytrawny kobieciarz wciąż się za mną ugania? Bo nie jestem jego żoną! Musi mnie zdobywać, starać się bez przerwy, a każde spotkanie ma sekretny posmak, przez co staje się doskonałą przygodą. Eskapady do Juraty czy Krynicy-Zdroju są moimi najcudowniejszymi wspomnieniami. Mam to zamienić na oklaskiwanie parad wojskowych i nudne kolacje z nadętymi politykami sanacji, którzy żartu by nie poznali, nawet jeśli by się o niego potknęli? To nie dla mnie!

– Zatem nie wychodź za niego – odparł Konrad.

– I cóż wtedy? – zachnęła się. – Obrazi się? Rzuci dla innej? Dlaczego ta jego żona musi rujnować moje życie i ot tak umierać?

– Sądzę, że też pragnęłaby pozostać na tym świecie – odparł sucho Konrad. Wiedział, że Ida jest kolorowym ptakiem i jak każda artystka inaczej postrzega rzeczywistość, lecz to, co teraz mówiła, wydawało mu się popisem samolubności, o jaki nigdy by jej nie podejrzewał. W obliczu śmierci człowiek powinien mieć nieco pokory.

– Och, widzę, jak mnie osądzasz i oceniasz chłodnym spojrzeniem – przejrzała go natychmiast. – Ale przecież nie mówię o tym, co mi leży na sercu, każdemu napotkanemu człowiekowi. Mówię tobie. Tak szczerze, jak tylko potrafię. Rozejrzyj się, Konradzie. Nasz świat umiera. Odchodzi na zawsze, a ja chciałabym zwyczajnie czerpać radość z życia. Dopóki jeszcze można.

– Ido, sądzę, że jesteś zdenerwowana propozycją pułkownika, ale zbytnio dramatyzujesz – odparł Konrad.

– Jakiś ty naiwny. Wszyscy mówią, że będzie wojna. Nikt nie wie kiedy, ale nadejdzie. I skończy się wszystko. Wczasy nad morzem, dansingi i rauty.

– Może nie będzie tak źle – zbagatelizował. – Poza tym mamy sojuszników. Ot choćby Francję czy Anglię.

– Ech – westchnęła Ida, lecz nie kontynuowała tematu. – Zamów mi koniak i lepiej opowiedz, dlaczego chciałeś się pilnie ze mną widzieć.

– To trochę niezręczna sprawa – zawahał się, lecz podjął wątek.
– Ktoś mnie chyba próbuje szantażować. Zaczęło się od tego, że wyjąłem ze skrzynki na listy kopertę. To było w grudniu. W środku znalazłem zdjęcie i nic więcej.

– Zaczęło się w grudniu, a ty dopiero teraz o tym wspominasz? – zdziwiła się Ida. Sięgnęła po papierosa, a Konrad wstał szarmancko i podał jej ogień. – Nie mogłeś od razu przyjść?

– Nie sądziłem, że to się rozwinie. Ot, ktoś przysłał zdjęcie. Zresztą do lutego panował spokój, więc zupełnie o tym zapomniałem.

– Co jest na zdjęciu? – zapytała rzeczowo. – Ty z Michałem?

– Na Boga, nie! – powiedział przestraszony. – Gdyby tak było, już wsiadalibyśmy do samolotu lecącego do Pragi i dalej do Paryża. Jestem na zdjęciu z Heleną. Zrobiono je nam z ukrycia. To była zupełnie niewinna sytuacja, lecz zdjęcie osobom postronnym może dawać do myślenia.

– Cóż więc na nim jest?

– Obejmuję ją, a ona trzyma dłoń na moim policzku. Do tego widać wyraźnie, że jest w ciąży.

– Helena jest w ciąży? – zdziwiła się Ida.

– Była. Urodziła syna dwa tygodnie temu – doprecyzował Konrad.

– Zakładam, że nie ty jesteś ojcem...

– Och, oczywiście, że nie ja. Rzecz w tym, że nie jest mężatką, choć nosi na palcu obrączkę po matce, żeby jej nie wytykali palcami.

– Któż więc jest?

– Czy to ważne? – zachnął się Konrad. – To nie ma znaczenia dla sprawy. W lutym przysłano mi zdjęcie Heleny wychodzącej z antykwariatu ojca. A przedwczoraj moje, też zrobione z ukrycia, gdy wnosiłem do domu jej ojca wózek dla dziecka i naręczę zabawek. Do ostatniej fotografii dołączono anonim z żądaniem zapłaty pięciu tysięcy złotych za milczenie. W innym razie sensacja o moim nieślubnym dziecku trafi do prasy.

– Poldek. Ten przystojny chłopak o pszenicznych włosach, który się przy was kręcił w Juracie, prawda?

– O czym ty mówisz? – Konrad usiłował patrzeć jej prosto w oczy.

– Nie oszukasz mnie. Ale zostawmy temat nieobecnego tatusia. Co zamierzasz z tym zrobić? Przecież nie masz nic na sumieniu.

– Najrozsądniej byłoby pójść na policję.

– Chyba najgłupiej na świecie – roześmiała się i wypła jednym haustem kieliszek koniaku. – Jeśli chcesz zdusić hydrę w zarodku, powinieneś umówić się z nim, zmylić czujność, a potem zlać po mordzie i odebrać dowody. I nie idź sam, weź kogoś dla bezpieczeństwa. Inaczej skandal rozejdzie się po całej Warszawie, zobaczysz.

Helena nie sądziła, że uczucie tak rozpierającej radości w ogóle jest możliwe. Patrzyła na niemowlę śpiące w jej ramionach i zastanawiała się, jak mogła wieść szczęśliwe życie, zanim pojawiło się na świecie. Oczywiście rozumiała, że trudności lada chwila zaleją ją lawiną, lecz teraz odpychała wszystkie złe myśli i pomimo ciągłego zmęczenia chciała skupić się wyłącznie na dziecku.

W szpitalu spędziła prawie dwa tygodnie, choć czuła się świetnie i marzyła tylko o powrocie do domu. Michał jedynie śmiał się w odpowiedzi na jej marudzenie i zasłaniał się procedurami szpitalnymi. Lecz gdy w końcu nadeszła wyczekana przez Helenę chwila, cieszył się wraz z nią.

Nawet jeśli Hela odczuwała wstyd, że do domu zabiera ją ojciec, a nie mąż, nie dała nic poznać po sobie i zniosła to dzielnie, z uśmiechem. Otoczona życzliwością kuzyna i ojca, a także koleżanek ze szkoły pielęgniarskiej, opuszczała szpital na Czystem podniesiona na duchu. Nieco zdziwiła się, że niezawodny Konrad nie przyjechał, lecz nie skomentowała tego. Przecież rozchwytywany aktor miał znacznie ważniejsze sprawy niż odebranie jej ze szpitala.

Pierwsze dni w domu z dzieckiem były trudne, lecz ojciec pomagał jej, jak tylko mógł. Ku jej zdziwieniu wciąż doskonale pamiętał, jak opiekować się niemowlęciem, i choć jego metody niekoniecznie mogłyby spodobać się autorom nowoczesnych porad na temat wychowania dzieci, okazywały się skuteczne. Nade wszystko była ojcu wdzięczna za to, że wydobył z piwnicy dawną

kołyskę, odmalował ją, a także wyposażył w nowy materacyk i poduszkę.

– Piękny chłopiec – cmokał z zachwytem Józef Małecki. – Heleno, on jest tak podobny do ciebie, że gdy tak patrzę, to przypomina mi się twoje dzieciństwo. Zjesz coś, córko? Ugotowałem rosół według przepisu Sary.

– Ciotki Sary? – zdziwiła się Helena. – Od kiedy to widzisz się z Gutmanami?

– Od kiedy postawiłaś na głowie cały nasz świat – odparł, uśmiechając się kpiarsko. – Twoja ciotka pojawiła się znienacka, jak to ma w zwyczaju, i nie bacząc na to, że nie widzieliśmy się od wielu lat, wręczyła mi beciki oraz naręczę pieluch, a potem mamrocząc coś gniewnie, rzuciła na stół kuchenny siatkę z wiktuałami. Nie była zachwycona, od razu mówię – roześmiał się Józef. – Sądzę, że znacznie łatwiej umiem pojąć, co siedzi w głowach greckich filozofów niż w umyśle Sary Gutman. Dość powiedzieć, że nauczyła mnie, jak zrobić pokrzepiający koszerne rosół, a ja starałem się być pojętnym uczniem.

– Z kulkami z macy ten rosół? – zapytała Helena.

– Otóż tak. Ale jeśli wolisz swojski makaron, to też zrobiłem.

– To może z makaronem – zdecydowała. – A knejdłach zostawmy na jutro. Jestem przekonana, że Michał i Konrad przyjdą z wizytą, to się ich ugości. Ojczy, a co z Zośką?

Józef Małecki usiadł na łóżku Heleny i westchnął ciężko. Sprawa bratanicy leżała mu mocno na sercu.

– Dodzwoniłem się wreszcie do Fryderyka, choć Bóg mi świadkiem, że trzy dni z rzędu spędziłem na poczcie. Kazał zgłosić sprawę na policję i żarliwie zapewniał, że nie ma do mnie pretensji. Kasi nic nie powiedział, żeby bez sensu nie wszczęła paniki.

– Ale czy policja przejmie się zgłoszeniem i ją znajdzie? – zapytała Helena, przytulając syna.

– Potraktowali to poważnie. Zośka jest nieletnia, a poza tym ma obcy paszport. Będą jej szukać. A teraz już się tym nie martw. Idę przygotować kąpiel dla dziecka.

– Dla Poldka – doprecyzowała Helena z uporem.

– Tak. – Józef wstał i wyszedł z pokoju Heleny.

Następnego dnia Konrad z Michałem wpadli do antykwariatu z naręczem kolejnych prezentów dla dziecka.

– Jak ja mam się wam odwdzięczyć za wszystko? – wzruszyła się Hela.

– Jeśli o mnie chodzi, to po prostu dasz się zbadać i będziemy kwita – odparł Michał.

– Nie zamierzam. Zostańmy na stopie rodzinnej, a ja zgłoszę się do szpitala, gdy tylko znajdę chwilę wytchnienia.

– Zatem nie badanie, tylko kilka pytań – skapitulował jej kuzyn.

– To już po obiedzie – zarządził Józef, wybawiając córkę z opresji. – Dziecko usnęło, więc możemy w spokoju usiąść do stołu.

– I właśnie tego nam wszystkim trzeba – oświadczył Konrad, odsuwając szarmancko krzesło przed Heleną.

Józef Małecki postawił na stole wazę z zupą.

– Nic nadzwyczajnego, moi mili. Ale z serca zapraszam. Twoja matka nie mogła przyjść? – zapytał Michała.

– Jak zwykle chadza własnymi ścieżkami – odparł.

– Chciałbym coś ogłosić. – Konrad odchrząknął i spojrzał na Helenę.

– Zabrzmiało tak poważnie, że aż się boję. – Dziewczyna uśmiechnęła się lekko.

– Wyjeżdżamy z Michałem z Polski na stałe – oświadczył. – Oczywiście nie natychmiast, bo taka rzecz wymaga długich przygotowań, lecz mamy nadzieję, że najbliższe święta Bożego Narodzenia spędzimy już w Paryżu. Naturalnie zarówno ty, Heleno, jak i pan, panie Józefie, będziecie tam zawsze mile widzianymi gośćmi.

– Zaskakująca decyzja, ale oczywiście życzę wam jak najlepiej – powiedział zachowawczo ojciec Heleny.

Dziewczyna natomiast poczuła przygnębienie. I nie wiedzieć dlaczego pomyślała o Poldku Malinowskim.

W żyłach Ignacego buzowała krew, a serce waliło jak młotem. Stał na ringu naprzeciwko kolegi z klubu i tylko na nim koncentrował uwagę. Dopingujący ludzie po drugiej stronie liny zamazywali się

i zlewali w kolorowe plamy. Także ich okrzyki i gwizdy słyszał jakby przez mgłę.

Przeciwnik obchodził go wokół z podniesioną gardą. Zaatakował błyskawicznie, lecz Ignacy zrobił unik i od razu wyprowadził cios, trafiając w splot słoneczny. Nagła euforia połączona z triumfem sprawiła, że stracił poczucie czasu. Doskoczył do konkurenta i zasypał gradem ciosów. Oprzytomniał dopiero wtedy, gdy sędzia z całej siły szarpnął go za ramię i choć coś do niego krzyczał, Ignacy nie rozróżniał słów. Zachowywał się jak w transie, a jedyne, co czuł, to przemożną wściekłość, że nie może dalej masakrować przeciwnika. Niechętnie odstąpił i z obojętnością przyjął fakt, że sędzia podniósł jego rękę do góry.

Nie zwrócił także uwagi na gratulacje i poklepywanie po plecach po opuszczeniu ringu. Zamiast tego pomaszerował do szatni. Marzył tylko o tym, żeby wyjść z klubu.

Rozpierająca go furia tylko narastała, gdy szedł energicznym krokiem przez ulice miasta. Na początku treningi bokserskie przynosiły mu ulgę i rozładowywały złość, lecz od czasu gdy poznał smak prawdziwej bijatyki ulicznej, przestały wystarczać. Czasami udawało mu się uspokoić, gdy zatapiał się w marzeniach o Krystynie. Spotykali się już od kilku miesięcy, lecz Ignacy nigdy nie ośmielił się na żaden czuły gest ani wyznanie. Wiedział, że podoba się dziewczynie, lecz wciąż była bardzo dziecinna i młodziutka, a on wolałby samego siebie pobić w ringu, niż jakkolwiek ją skrzywdzić. Krysia była jedyną ze znanych mu osób, która rozjaśniała się na jego widok jak słońeczko. Poprzez jej oczy widział lepszą wersję samego siebie, a to wystarczyło, żeby wielbić ją jak figurę świętej.

Frustrację i agresję Ignacego pogłębiał fakt, że minie jeszcze mnóstwo czasu, zanim będzie mógł poprosić Kysię o rękę i zbliżyć się do niej. Nie miał właściwie żadnego doświadczenia z kobietami, może pominąwszy żaloszny epizod przy ognisku, gdy Alina wsunęła mu dłoń w spodnie.

Ignacy nie był śmiały w stosunku do kobiet, choć wiele z nich nie miałyby pewnie nic przeciwko flirtowi. Tyle że jego to zupełnie nie interesowało. Z kolei prostytutki traktował z całkowitą pogardą i prędzej przyłączyłby się do ich pogromu, jednego z tych, jakie

niegdyś urządzano w Warszawie, niż skorzystał z usług. Jego skłonność do agresji połączona z niezaspokojonym pożądaniami stanowiła mieszkankę wybuchową.

Majowe popołudnie nie zachęcało do szybkiego powrotu do domu, więc chłopak postanowił pospacerować. Nogi poniosły go niedawno założoną aleją Niepodległości w stronę Ochoty. Modernistyczne kamienice i budynki rządowe utrzymane w tym samym stylu robiły bardzo dobre wrażenie, a Ignacy poczuł dumę, że żyje w mieście, które kwitnie architektonicznie i przedsiębiorczo. Radością napawał go także postęp technologiczny. W głębi serca uważał, że Polacy są potęgą intelektualną Europy, a niewygodny fakt, że część naukowców miała pochodzenie żydowskie, Ignacy zwyczajnie ignorował. Z całego serca popierał ograniczenia w przyjmowaniu na studia Żydów i politykę poprawnych stosunków z Hitlerem.

Szeroką ulicą przejeżdżały jeden za drugim samochody, co też krzepiło Ignacego. Nie wiedzieć kiedy doszedł do Śródmieścia, choć przecież dystans był spory. Z pewnością przysłużył się jego sprężysty, energiczny marsz. Chłopak miał doskonałą kondycję, więc nawet nie przyspieszył mu oddech, jednak wściekłość wciąż w nim buzowała.

Na skrzyżowaniu Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi postanowił odbić w lewo i nawet nie zorientował się, kiedy znalazł się pod wciąż wykańczanym budynkiem głównego dworca kolejowego. Budowla robiła wrażenie, więc przystanął na chodniku i zadarł do góry głowę. W tej samej chwili ktoś go potrącił. Oderwał wzrok od modernistycznej, szarej bryły i zderzył się z innym przechodniem.

– Oczu nie masz, gudłaju? – warknął Ignacy, widząc młodego chłopaka w chałacie.

– A czego stoisz na środku niczym świeczka w dupie nowego papieża? – zadrwił Żyd wyraźnie dotknięty obraźliwym epitetem.

Nabuzowany Ignacy nie tracił czasu na jałowe dyskusje. Doskoczył do chłopaka i powalił go na chodnik lewym sierpowym. Nawet nie zdążył się zastanowić, czym to grozi i czy w okolicy nie ma żadnego stójkowego.

– Odczep się, szalony goju – zdołał wyjąkać przeciwnik, ocierając krew z rozciętej wargi.

– Ja ci dam goja, parchu! – wrzasnął zaślepiony nienawiścią Ignacy, po czym ponownie uderzył go pięścią w twarz. Poczuł zew krwi jak na ringu bokserskim i raz jeszcze zadał cios. Pragnął zbić przeciwnika na miazgę, lecz w tej samej chwili ktoś chwycił go za ramiona, odciągając od ofiary.

– Obywatel się uspokoi! – rozległ się władczy głos za jego plecami.

– Co za skandal! – wrzasnęła jakaś kobieta. – Taka łobuzerka w biały dzień!

Ignacy oprzytomniał i powiódł spojrzeniem po gęstniejącym z każdą chwilą tłumie ciekawskich. Stójkowy bezceremonialnie postawił go na nogi i spojrzał na niego groźnie. Do pobitego chłopaka podeszło w tym czasie kilka kobiet, na wyścigi wyciągając chusteczki.

– Będzie spokój czy idziemy do aresztu? – zapytał policjant.

– Będzie spokój – odparł Ignacy.

– Idź do domu, synu. I głowę przewietrz, bo chyba się zagotowała.

– Tak jest, panie władzo. – Ignacy uznał, że najrozsądniej będzie się pospiesznie oddalić.

– Zaraz, chwila – zaprotestowała jedna z kobiet. – A co z ofiarą?

– Jaką tam ofiarą – machnął ręką stójkowy. – Ot się gówniarze pobili jak ostatnie łobuzy. Nie ma o co robić krzyku. Rozejść się!

Zadowolony z obrotu spraw Ignacy ruszył chodnikiem w stronę Marszałkowskiej. Czuł wściekłość, ale też i ulgę. Mimo to dłonie wciąż zaciskał w pięści.

– Ignacy! – dobiegł go głos zza pleców. Usłyszał go od razu, pomimo ulicznego zgiełku. – Zatrzymaj się!

Odwrócił się i zobaczył Krysę w harcerskim mundurku. Stała na środku chodnika, uczesana w dwa warkocze, i patrzyła na niego z przestachem w oczach.

– Co to było? – zapytała, gdy podszedł do niej.

– Żyd się prosił, więc dostał w zęby – odparł. – Taki z nimi problem. Myślą, że są u siebie, więc czasem im trzeba przypomnieć,

że nie do końca.

– Ignacy – szepnęła Krysia. – Jesteś bohaterem. Masz ważną harcerską odznakę. Nie godzi się, żebyś...

– Co się nie godzi, Krystyno? Widzieć, że Żydzi pogrążają Europę? Hitler nie jest głupi, ma wiele racji.

– Jezu Chryste, co ty mówisz?

– Prawdę – powiedział hardo. – Kiedyś to zrozumiesz. Jak dorośniesz.

– Tyś taki dorosły i nieomylny? – zakpiła dziewczyna.

– Żydów z Polski należy wygnać i wreszcie zapanuje w tym kraju spokój. Niech sobie robią swój raj obiecany w Palestynie – oświadczył.

– Moje koleżanki ze szkoły też chcesz wygnać? Zawiniły czymś Polsce?

– Nie czas o tym rozmawiać, Krystyno. Dasz się zaprosić na czekoladę do Wedla?

– Nie dam się zaprosić – odparła twardo. – Tu się pożegnamy.

– Może innym razem?

– Nie będzie innego razu – ucięła i odeszła w stronę przystanku tramwajowego.

Choć jej dusza wyła za przystojnym arystokratą, postanowiła, że musi być dzielna. Nie takie wartości wpajała jej drużynowa. Według jej słów każde ludzkie życie miało niezbywalną wartość, a szacunek wobec drugiego człowieka jest obowiązkiem harcerza. Mimo to podświadomie liczyła, że Ignacy ją zawoła albo dogoni.

Nic takiego nie nastąpiło. Oniemiały chłopak stał na środku chodnika z kompletnym chaosem w głowie. Podejrzał, że ta krótkka, z jego punktu widzenia zwyczajna wymiana poglądów dla Krystyny stanowiła kamień, na którym błyskawicznie zbudowała mur i odcięła się. Ignacy ruszył się z miejsca dopiero wtedy, gdy Krysia wskoczyła do tramwaju. I wówczas załapała go czarna rozpacz.

– Czy ty naprawdę jesteś pewien, że właśnie to powinniśmy zrobić? – zapytał z niepokojem Michał, gdy podenerwowany Konrad parkował w milczeniu w ciemnej bocznej uliczce.

– Dziękuję, że przedstawiasz to tak, jakbyśmy obaj byli w to zamieszani, lecz to nie zmieni mojej decyzji – odparł.

– A nie jesteśmy obaj zamieszani? Przecież Helena jest moją rodziną, więc mi także zależy na jej reputacji. Ale płacić szantażyście?

– Cóż zatem mam zrobić? – odparł z goryczą Konrad. – Posłuchać ldy i sprać gościa na kwaśne jabłko?

– W gruncie rzeczy należy mu się jak kozie za obierki – przyznał Michał.

– Lecz co to da? Na pewno nie będzie miał przy sobie klisz, a jedynie odbitki. Jak go stłukę, to tym bardziej w akcie zemsty pójdzie z tym do gazet. Chodźmy. Miejmy to już za sobą. Jesteś pewny, że nie chcesz zostać w samochodzie?

– Nie chcę. Nie wiesz, jakie zamiary ma ów typ spod ciemnej gwiazdy. Jeśli planuje rzucić się z nienacka na ciebie, to przewaga sił może go skutecznie ostudzić.

Konrad wiedział, że słowa Michała są roztropne, więc nie oponował dłużej. Z szantażystą umówili się przy rynku Mariensztackim, tuż za rogiem kamienicy Taubenhause. W mdłym świetle latarni górna część dziewięciopiętrowego niebotyku ginęła w mroku, zlewając się z czarnym niebem.

– To on? – zapytał szeptem Michał, trącając lekko łokciem towarzysza.

– Chyba on – odparł Konrad, bacznie wpatrując się w niewysoką postać opartą plecami o latarnię. Mężczyzna miał na głowie kaszkiet, a w dłoniach płachtę gazety. Światło padało wprost na nią.

– Już myślałem, żeś pan spietrał albo na sikorze się nie wyznajesz – zaciągnął z warszawska szantażysta.

– Jesteśmy o czasie – odparł spokojnie Konrad, nie dając się sprowokować.

– A pieniądze, panie aligant, masz?

– Najpierw chcę zobaczyć klisze.

– Spokojnie, tu żadna machlojka, pan dajesz mamonę, a ja wyciągam z kojbra, co trzeba, i każdy zadowolony.

– Jak nie machlojka, to wyciągaj pan klisze, a ja wyjmę pieniądze – odparł twardo Konrad.

– Ganc pomada, może być i tak. – Cwaniaczek skapitulował i sięgnął do kieszeni. Michał stał spokojnie, obserwując bacznie typa. Nie podobał mu się pomysł ulegania szantażowi, lecz właściwie nie widział lepszego wyjścia. Konrad miał rację. Trzeba dać szumowinie zarobić i zapomnieć o incydencie raz na zawsze. – No to łapa do łapy i będzie między nami git.

– W porządku – zgodził się Konrad. – Ale muszę zobaczyć, co jest na kliszach.

– A patrz pan jak w zerkadło. A wpierw piniądz daj.

– I co? Ja zostanę z niczym, a pan pryśniesz z gotówką? – rozsierdził się Konrad.

– Panie, ja jestem honorny facet, tu nie ma blagi – obraził się szantażysta.

– Dobrze więc. Masz pan połowę. – Konrad odliczył banknoty. – A teraz poproszę klisze. Jak będą w porządku, dam resztę.

– Niech będzie moja krzywda. – Mężczyzna podał klisze, a Konrad natychmiast je rozwinął, podniósł do góry i przez chwilę w milczeniu oglądał je w świetle latarni. – W porządku – powiedział w końcu. Wręczył szantażyście resztę pieniędzy. – Rozumiem, że to koniec naszej znajomości i tu nasze drogi się rozchodzą.

– Ma się rozumieć.

Konrad spojrzał znacząco na Michała i obydwaj odeszli w stronę Białoskórniczej, niewielkiej uliczki, gdzie zostawili samochód.

– Jedźmy na Wierzbową – powiedział Konrad. – Należy nam się dobra kolacja.

– Słusznie – zgodził się Michał.

Szantażysta, nadal stojący na pustym placu Mariensztackim, złowił strzęp adresu i natychmiast wzmógł czujność. Nie odważył się iść za swoją ofiarą. Zamiast tego wbiegł do kamienicy Taubenhause, przemknął schodami na czwarte piętro, skąd wiodła kładka łącząca budynek z wiaduktem Pancera. Miał sporo szczęścia. Na przystanek od strony mostu Kierbedzia właśnie nadjeżdżał tramwaj. Nie zawracając sobie głowy biletem, wskoczył na tył wagonu. Na Wierzbową dotarł dokładnie na czas, żeby zobaczyć słynnego aktora znikającego w Oazie. Niewiele myśląc, wszedł do środka. Wewnątrz panował już spory gwar, lecz miał szczęście. Kelner zaprowadził go

do stolika tuż obok tego, który zajął sławny Konrad Werner. Dzielilo je przepierzenie. Szantażysta zamówił wódkę i śledzia. Najbardziej interesowało go jednak to, żeby kelner jak najszybciej odszedł. Z sąsiedniego stolika doleciał go niewyraźny strzęp rozmowy, więc przysunął krzesło najbliżej, jak się dało, i zaczął podsłuchiwać.

– Co za dzień – jęknął Konrad. – Napijmy się wreszcie wina i zapomnijmy o tym koszmarze.

– Słusznie. Ile jeszcze razy przyjdzie nam gasić pożar po tym gówniarzu?

– Mówisz o Poldku?

– A owszem, dokładnie o nim.

– Nie wiem, Michale. Ale ja to widzę nieco inaczej. Dla mnie największym problemem jest stary rękawicznik. To on rozdzielił syna z Heleną. I cały ten galimatias jest pokłosiem jego niegodziwych działań.

– Malinowski to stary kutwa, ale synalek nie jest lepszy – zaperzył się Michał. – Tak, nieraz objaśniałeś mi swój punkt widzenia, ale dla mnie jest niewybaczalnym, że Poldek ma żonę, a wpędził Helenę w kłopot. A ty za wszystko płacisz, bo jakiś prymityw zrobił niefortunne zdjęcie. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego bronisz tego chłopaka.

– Sam nie wiem – stropił się Konrad. – Jednak nie umiem ot tak go znieubić.

Szantażysta usłyszał dość. Wypił wódkę jednym haustem i chyłkiem opuścił Oazę.

– Dziś rano zatelefonowano z sanatorium – oświadczył przy śniadaniu Apoloniusz Malinowski. – Paulina opuszcza placówkę i należy odebrać ją już jutro. Rozmówiłem się z Januarym i jesteśmy zgodni, że trzeba opłacić dorożkę samochodową, żeby nie przysporzyć biedaczce dodatkowych nerwów. Pojedziesz jutro razem z Marią. Przyda się kobiece wsparcie. Melnerowa nie może pojechać. Krystyna zachorowała, więc musi się nią zająć.

Poldek słuchał z kamienną miną. Nieco rozbawił go fakt, że jego staroświecki ojciec nagle odkrył, że poza dorożkami stojącymi zwykle u wylotu Solca istnieją taksówki, lecz przede wszystkim

zdenerwowało go, że Paulina wraca. Nie widział się z nią od jedyne go spotkania w sanatorium. Nieraz głowił się nad tym, czy słowa o rozwodzie wypowiedziała świadomie, czy przemawiały przez nią lekarstwa, jakie bez wątpienia przyjmowała. Niezależnie od intencji, rodziny nigdy nie zgodzą się na takie rozwiązanie. Poldek był pewny, że zarówno Maria, jak i Teresa Melner zdały raport ze spotkania w sanatorium. A ojcowie rodzin po prostu nie przyjęli tego do wiadomości.

– Oczywiście, ojciec – zgodził się potulnie Poldek. – A teraz idę do pracowni, bo majster Bluman na mnie już pewnie czeka.

– A co tam teraz do roboty jest? Większość szwaczek odesłana do domu, do sezonu daleko. Ja wiem, że Mosze zawsze coś znajdzie, ale czerwiec to martwy miesiąc, więc lepiej zbierać siły na później – odparł Malinowski, po czym wetknął do ust kanapkę. – Mario, twój pasztet to niezrównane arcydzieło – oświadczył z błogim uśmiechem.

Poldek słuchał tego ze zdumieniem. Kiedyś dla Apoloniusza Malinowskiego każda sekunda niespędzona w pracowni to był bezsensownie stracony czas. Czyżby kostyczna ciotka Maria tchnęła człowieczeństwo w zatwardziałego rzemieślnika?

– Zatem, jeśli ojciec pozwoli, to ja się przejdę do sklepu na Nowy Świat i sprawdzę, czy tam wszystko idzie, jak należy – zaproponował.

– Możesz iść. Pańskiego oka nigdy dość – zezwolił łaskawie Malinowski i łypnął na ciotkę. Ta splonęła się, lecz nic nie odparła. Zamiast tego zebrała ze stołu talerze i wezwawszy ostrym tonem podkuchenną, zapędziła ją do roboty.

Poldek nawet nie chciał się zastanawiać nad ich wzajemnymi stosunkami, więc poderwał się z za stołu i podziękowawszy ciotce uprzejmie za śniadanie, wypadł do przedpokoju.

Czerwiec przyniósł Warszawie błękit nieba i piękną pogodę. Wzdłuż Wisły otworzyły się już plaże publiczne, a w parkach zbito deski parkietów na dansingi. Poldek przypomniał sobie zeszłoroczną podróż do Juraty. W to lato nie mógł liczyć na podobną eskapadę i w duchu zazdrościł wszystkim letnikom, którzy wkrótce wylegną na nadmorskie plaże. Wspomnienia jak zwykle podsunęły mu obraz

Heleny. Jej ust, ciemnych oczu, w których utonął już przy pierwszym spotkaniu, i rozchełstanej sukienki, gdy dała mu się posiąść podczas ich jedynej wspólnej nocy.

Wariował od tego, więc jak zwykle odepchnął zwodniczo piękny obraz. Zacisnął zęby i pomaszerował w górę skarpy w stronę Pierackiego. Do sklepu na Nowym Świecie dotarł parę minut później. Zanim pchnął drzwi, poczuł, że ktoś klepie go w ramię. Odwrócił się raptownie i przyjrzał się intruzowi. Nie znał go z pewnością i nie spodobało mu się jego wyzywające spojrzenie.

– Szanowny pan chyba mnie z kimś pomylił – wycedził Poldek z rezerwą.

– Z całym szacuneczkiem, ale nie pomyliłem.

– Zatem czego pan chcesz? – zapytał, mierząc wzrokiem obcego.

– Taki mały ambaras się wydarzył, a pan możesz być zainteresowany.

– Mów pan, pókim cierpliwy.

Rozmówca wyciągnął zza pazuchy kilka zdjęć i wręczył Poldkowi. Ten przeglądał je przez chwilę, nie od razu kojarząc, co widzi.

– Ładna panienska, nie uważasz pan? – zarechotał obleśnie typ. – Chociaż już nie panienska raczej.

– Po co mi to pan pokazujesz? – zirytował się Poldek, rozpoznając Helenę w ramionach Konrada Wenera.

– Mamony pan sypniesz, to powiem co i jak.

– A po co miałbym to robić?

– Bo to historia, która jest warta każdych pieniędzy.

Dziwna nuta w głosie intruza sprawiła, że Poldek mu uwierzył. Bez słowa wszedł do sklepu, wyjął z kasy dwudziestozłotowy banknot i ponownie stanął przed obcym.

– Mów pan, co wiesz – powiedział, machając mu pieniędzmi przed oczami.

– Się wie. Jak na spowiedzi powiem – przystał ochoczo obcy. – Myślałem, że panna to sekretna flama aktora, ale poszedłem posłuchać tu i tam i wychodzi na to, że to pan masz dzieciaka.

– Dzieciaka? – zdziwił się Poldek.

– Pan nie widzisz, że dziewczyna jest przy nadziei? – roześmiał się facet, stukając palcem w zdjęcie.

– Helena będzie miała dziecko? – wyszeptał Poldek.

– Już ma. Panie, to jest zdjęcie sprzed kilku miesięcy. Dziecko od kwietnia jest na świecie. A według tego, co podsłuchałem, pan jesteś ojcem. To chyba wystarczy na mamonę?

– Wystarczy – odparł drętwo Poldek i wręczył szemranemu typkowi banknot.

– No i szafa gra!

ROZDZIAŁ 14

1939

Helena ziewnęła przeciągle. Mały Poldek miał w nocy kolkę, więc nie pozwolił jej spać prawie do rana. Otworzyła oczy i zerknęła w okno wychodzące na mroczne podwórze. Nawet w południe docierało tam niewiele słońca.

– Heleno, chciałem tylko sprawdzić, czy już się obudziłaś. – Do pokoju zajrzał ojciec. – Jak mały? Słyszałem, że bardzo płakał w nocy.

– Nie pozwolił ojcu spać – stropiła się dziewczyna.

– Och, nic to! W moim wieku nigdy nie można spać. Zmieniają się tylko powody – roześmiał się cicho. – Za to widzę, że maleństwo w końcu usnęło.

– Tak, dzięki Bogu – mruknęła. Po raz kolejny uderzyło ją, że ojciec jeszcze nigdy nie wypowiedział imienia dziecka, lecz nie czyniła mu z tego wyrzutu.

Cierpliwie czekała, aż oswoi się z jej decyzją, i rozumiała, że może być dla ojca nieoczywista. Na dobrą sprawę Helena też nie od razu pojęła, dlaczego z takim uporem obstawała przy swoim. Niejasna potrzeba z czasem zmieniła się w przekonanie, że chciała symbolicznie zapewnić dziecku korzenie. Skoro nie będzie znać rodziny ojca, niech chociaż imię łączy syna z nieznanymi krewnymi. Helena wiedziała, że mały Poldek nieraz będzie cierpiał z powodu luki w swoim życiorysie. Tak jak ona pomimo lat wciąż nie potrafiła się pogodzić, że dziadek Szmul nie chce jej znać.

– Heleno, ja teraz wychodzę. Umówiony jestem na wizytę u doktora – głos ojca wyrwał ją z zamyślenia.

– Czy ojciec źle się czuje?

– Nie, wszystko w porządku, ale w moim wieku trzeba co jakiś czas pokazać się łapiduchowi – zażartował. – Powiesiłem kartkę, że antykwariat nieczynny do drugiej po południu, więc niczym się nie przejmuj.

– Niepotrzebnie. Zaraz się ubiorę i odwrócę tabliczkę. Dziecko śpi, więc jeśli kto przyjdzie, bez problemu dopilnuję interesu.

– Na pewno?

– A czy jak ja byłam mała, to też zamykało się antykwariat? Poradzę sobie przecież. Niech ojciec się niczym nie przejmuję i już idzie, żeby się nie spóźnić.

Helena zerwała się z łóżka i zaczęła się przygotowywać. Dziecko spało na wznak w swojej kołysce, z rączkami podniesionymi za głowę. Jego buzia wyginała się w zabawnych grymasach, wyglądało, jakby na zmianę uśmiechało się i zbierało do płaczu. Helena wyszła na palcach z pokoju.

Odkąd w jej życiu pojawiło się niemowlę, postawiło na głowie absolutnie wszystko. Od rana do nocy była czymś zajęta i zachodziła w głowę, co robiła z takim mnóstwem czasu przed pojawieniem się dziecka na świecie. Teraz opieka zajmowała niemal każdą chwilę. Znosiła to z olimpijskim spokojem, choć czasem myślała, że popłacze się ze zmęczenia. Wszystko jednak wynagradzał jej syn. Helena nie miała pojęcia, że uczucie miłości może być tak obeszczepiające, a świadomość, że ta mała istota jest od niej całkowicie zależna, wręcz zapierała dech w piersiach. Dla niego postanowiła być dzielna i stawić czoła całemu światu. A gdy przyjdzie czas, wróci do szpitala, żeby zdobyć prawdziwy zawód. Żeby syn nie wstydził się niewykształconej matki.

Ubrana i uczesana Helena wyszła na front antykwariatu. Odwróciła tabliczkę, lecz nie spodziewając się nagłego przyptywu klientów, od razu wróciła na zaplecze. Zdziwiła się, gdy dosłownie po kilku chwilach zadzwonił dzwoneczek przy drzwiach wejściowych. Wyjrzała na front. Jakiś mężczyzna wszedł do środka. Padające zza jego pleców ostre słońce sprawiło, że jego twarz nie była widoczna.

– Heleno – powiedział ochryple, a pod nią ugięły się nogi. Zaparła się dłonią o ladę, żeby utrzymać równowagę. Obserwowała go, gdy wyszedł ze smugi słońca.

– Poldek – szepnęła, patrząc na ostatniego człowieka na świecie, którego spodziewałaby się zobaczyć w antykwariacie. Nie mogła oderwać od niego zachwyconych oczu, napawając się jego męską sylwetką i jasnymi włosami, lecz natychmiast zauważyła, że ma wymizerowaną twarz i przygaszone oczy. – Co tu robisz? – zapytała.

– Mógłbym krążyć wokół tematu, lecz na co to komu potrzebne – powiedział zdecydowanym tonem. – Czy to prawda, że urodziłaś

moje dziecko?

Helena zacisnęła szczęki i spojrzała na Poldka wrogo. Wzmianka o dziecku sprawiła, że natychmiast wzmożła czujność. Zaskoczył ją. Nie miała pojęcia, jak o nim się dowiedział, lecz z punktu nabrała podejrzeń.

– Czy ty naprawdę uważasz, że możesz ot tak wpadać prawie po roku milczenia i przesłuchiwać mnie w moim własnym domu? – wycedziła zimno. – Gdzie byłeś, gdy czekałam na ciebie na plaży? Codziennie spędzałam tam godziny, łudząc się, że coś ci wypadło, że zaraz przyjdiesz, tak jak obiecałeś. Serce mi krwawiło, więc poszłam do pensjonatu, a tam powiedziano mi, że wyjechałeś następnego dnia po naszym... po tym, gdy... – Helena nie umiała ubrać w słowa swoich myśli, więc gwałtownie umilkła.

– Heleno, przepraszam. Nie wiedziałem, co mam robić, kiedy Paulina tej samej nocy powiedziała mi, że spodziewa się dziecka. Jak miałbym ją zostawić?

– To, że spotkaliśmy się nad morzem... – Dziewczyna ponownie urwała raptownie. Czy mogła z ręką na sercu powiedzieć, że chwila zapomnienia w ramionach Poldka była błędem? Bez tego w pokoiku na zapleczu nie spałby jej syn, bez którego już nie wyobrażała sobie świata. – Czego ode mnie chcesz? – zapytała, zmieniając taktykę. Co sprowadza cię do antykwariatu mojego ojca?

– Chciałem tylko zapytać o dziecko. Co się z nim stało?

– A co? Twoja żona straciła, więc pocieszyłaby się moim? – Helena nie chciała, by wybrzmiało to tak ostro, lecz słów już nie dało się cofnąć.

– Prześladowuje mnie myśl, że tuła się gdzieś po obcych ludziach – powiedział przepaszającym tonem Poldek.

– Uważasz, że wydałabym własne dziecko na pastwę losu?

– Nie oddałaś go? – Chłopak wpatrywał się w Helenę z napięciem.

– Przyznaję, że myślałam o tym, lecz nie byłam w stanie tego zrobić – odparła.

– Jest tutaj? – Poldek nerwowo przeczesał dłonią włosy.

– Jest – potwierdziła. – Lecz cóż ci do tego? Co słyhać u Pauliny?

– Jest w sanatorium dla osób z problemami psychicznymi.

– Przykro mi to słyszeć.

– Jutro wychodzi. Chce się rozwieść. Rodzina oczywiście nawet nie dopuszcza takiej możliwości, lecz przecież prawo jest po naszej stronie. Jeśli Paulina tego chce i ja też, to nawet mój ojciec nie jest w stanie nam przeszkodzić!

– Do czego zmierzasz? Między nami niczego to nie zmienia – uprzedziła twardo, choć jej serce biło jak szalone.

– Czy mogę zobaczyć dziecko?

Helena patrzyła na niego niezdecydowana. Z jednej strony nie miała serca odmawiać, z drugiej rozum podpowiadał, że jeśli wpuści Poldka ponownie do swojego życia, ten już tak łatwo nie odejdzie. Tym razem stawka toczyła się także o dziecko. Jej dziecko.

– Tylko popatrzę i odejdę – obiecał.

– Chodź więc – skapitulowała Helena. W milczeniu zaprowadziła go do swojego pokoju i wskazała stojącą w kącie kołyskę.

– To chłopiec czy dziewczynka? – zapytał szeptem, widząc, że niemowlę śpi.

– Chłopiec.

– Mam syna – powiedział przejęty i bezszelestnie podszedł bliżej.

– Jak mu dałaś na imię?

– Poldek – odparła. Stała w drzwiach pokoju z głową opartą o framugę. Nie cofnęła się, gdy odwrócił się i gwałtownie podszedł.

– Och, Heleno – powiedział, zatrzymując się tuż przed nią. Nie odważył się jej dotknąć. Zamiast tego wsadził dłoń do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął złożoną na czworo kartkę. – Ten list napisałem niedługo po ślubie z Pauliną, a teraz dopisałem dalszą część. Weź go. Niech będzie dowodem na to, że zawsze o tobie myślałem i kocham tylko ciebie. A teraz odejdę. Lecz wkrótce wrócę. Przysięgam.

Bez słowa przyjęła świstek papieru. Przycisnęła go do serca, gdy usłyszała ciche szcęknięcie drzwi. Mały Poldek wciąż spał, słodko marszcząc miniaturowy nosek. Helena usiadła ciężko na łóżku i obracała kartkę w dłoni. Uwielbiała listy. Gdy przychodził jakiś od Basi z Poznania, rzucała wszystko, żeby natychmiast otworzyć go i przeczytać. A teraz nie potrafiła się przemóc, żeby rozprostować

kartkę. Zerknęła jedynie na datę w nagłówku firmowej papeterii Malinowskich. Poldek nie kłamał, mówiąc, że list napisał w 1937 roku. Być może nie kłamał także w innych kwestiach. Tylko co z tego, skoro nadal niczego to między nimi nie zmieniało.

Kawałek papieru parzył ją w dłoń, więc włożyła go do szuflady biurka. Momentalnie przypomniały jej się ukrywane pod podręcznikami listy Zośki do Wilhelma. Czym jej gorąca miłość do nazisty różniła się od zakazanego romansu z żonatym mężczyzną? Helena poniewczasie zrozumiała, że rzeczy nigdy nie są proste, a wytyczanie granic w zasadzie nie ma sensu. Związki między ludźmi układały się w skomplikowaną sieć, która nawet najbardziej doświadczonych pająka przyprawiłaby o ból głowy.

– Zostanę w pokoju Janka, jeśli sobie życzysz – oświadczył sztywno Poldek, stając w drzwiach małżeńskiej sypialni. Paulina stała na środku pokoju, nie do końca wiedząc, co ma ze sobą zrobić. Nierozpakowane walizki stały obok łóżka, lecz ona zdawała się w ogóle nimi nie interesować. Wykonała ruch, jakby chciała podejść do okna, lecz dalej stała w miejscu. – Jeśli chcesz, pójdę po ciotkę Marię. Pomoże ci się rozpakować.

– Nie trzeba, dziękuję – odparła. – Nie o bagaże chodzi.

– O cóż więc?

– Ten pokój...

Poldek zerknął na łóżko. Stała mu przed oczami scena, gdy znalazł żonę leżącą z podciętymi żyłami. Materac wymieniono na zupełnie nowy, lecz nie dziwił się Paulinie, że nie chce tu zostać.

– Wezmę twoją pościel do pokoju Janka – powiedział. – A sam przeniosę się tutaj – uspokoił ją natychmiast, gdy zobaczył rozszerzone ze zdumienia oczy.

– Dziękuję – powiedziała i natychmiast wyszła z sypialni, której ściany właściwie nigdy nie widziały małżeńskiego szczęścia.

Kwadrans później Poldek zszedł do salonu. Ojciec siedział przy stole z nosem zatopionym w gazecie. Przed nim stał kieliszek z wódką i nieduży talerz ze śledziami w oleju.

– Ojczy, czy możemy porozmawiać? – zapytał grzecznie Poldek.

– Czy to nie może poczekać do jutra? – wymamrotał Malinowski, nie odwracając oczu od lektury.

– Chyba nie może. To ważne. Właściwie nawet bardzo ważne.

Apoloniusz westchnął i złożył gazetę. Rzucił ją na stół, po czym otaksował chłopaka badawczym spojrzeniem.

– Siadaj, synu. Albo nie – nagle zmienił zdanie. – Weź sobie najpierw kieliszek z barku, a i butelkę przynieś, żeby po próznicy nie chodzić. Baby śpią, więc trzeba liczyć na siebie.

– Dziękuję, ale ja raczej bym wolał nie pić – sprzeciwił się Poldek.

– Bzdura, chłopcze – zbył go ojciec. – Widzę, że coś cię gryzie, więc kielich pomoże. A i język rozwiąże, jeśli chcesz pogadać.

Zachęcony serdecznym tonem Poldek bez dyskusji wykonał polecenie. Usiadł sztywno na krześle i powiódł spojrzeniem po jadalni.

– Jak tu się wszystko zmieniło... – wyrwało mu się spod serca.

– Jeszcze niedawno siedziała tu z nami matka i Dorotka – powiedział Apoloniusz, a w jego oczach pojawiły się łzy.

Poldek w ostatniej chwili powstrzymał się od stwierdzenia, że brakuje jeszcze Janka, który w przeciwieństwie do matki i siostry żyje. Głupotą byłoby jednak irytować Apoloniusza Malinowskiego, gdy rozmiękczony gorzałką wspominał zmarłych.

– Dorotka miałaby teraz już siedemnaście lat – powiedział smętnie Poldek.

– Jakaż to była kochana dziewczynka – rozrzewnił się ojciec. – Zawsze gdy spojrzę na Krysię Melnerów, aż serce mnie boli, że Dorotka nie zdążyła rozkwitnąć jak ona. Ech, napijmy się. – Malinowski podniósł do góry kieliszek i spojrzał wyczekująco na syna. Przepił kolejkę wódki, krzywiąc się niemiłosiernie. – Życie. Dzisiaj jest, a jutro nie ma.

– Ojczy, sprawa, z którą przychodzę, też dotyczy życia – zagaił ostrożnie.

– Paulina dojdzie do siebie, zobaczysz. Potrzeba czasu, mój synu. Źle to wszystko się ułożyło, lecz jesteście jeszcze bardzo młodzi. Całe życie przed wami.

– Nie o to chodzi.

– O cóż więc?

– Ojczy, ja wiem, jak to dziwnie zabrzmiało, i uwierz, że dowiedziałem się raptem wczoraj, ale mam syna.

Malinowski chyba po raz pierwszy w życiu stracił język w gębie. Patrzył na Poldka, mrugając z niedowierzaniem, po czym odkorkował butelkę gorzałki. Nalał sobie porcję do kieliszka i natychmiast wypił.

– Tobie też na mózg się rzuca jak Paulinie? – zapytał ze zdumieniem.

– Nie, ojczy. Mam syna z inną kobietą. To jeszcze niemowlę.

– Co to za kobieta? – przerwał bezceremonialnie Malinowski.

– Helena Małeczka. Nie darzyłeś jej sympatią, lecz ja ją kocham od dawna – odparł gorzko Poldek. – Nigdy nie chciałem Pauliny, lecz ty i Melner uparliście się na to małżeństwo. Czy ciotka Maria mówiła, że Paulina też chce rozwodu?

– Rozwodu? Poldek, czy ty sam siebie słyszysz? W tej rodzinie nigdy nie było rozwodu.

– Życie ma się jedno, ojczy. Mamy je zmarnować z Pauliną obydwójce dla jednej nieopatrznie powiedzianej przysięgi?

– Co przed Bogiem... Zresztą to teraz najmniej istotne – uciął Apoloniusz. – Gdzie jest twój syn, zakładając, że faktycznie jesteś jego ojcem?

– Jestem. Nie mam cienia wątpliwości. Przy matce. Którą chcę poślubić najszybciej jak się da, więc rozwód z Pauliną jest nieuchronny – odparł twardo.

– Nie czas na takie deklaracje. – Malinowski machnął ręką. – Najpierw trzeba się zastanowić, jak pomóc dziecku. W końcu jeśli to prawda, wreszcie mam dziedzica. Ech, napijmy się. Za nowe życie.

Poldek ochoczo uniósł kieliszek, a w jego sercu zrodziła się nieśmiała nadzieja, że ojciec zachował jakieś resztki litości dla niego. Być może jego doświadczenie pomoże mu odnaleźć jakieś wyjście z tej złożonej sytuacji, cała ta sprawa jakoś się rozwikła, a on będzie w końcu mógł poślubić Helenę i zająć się synem.

– Helena dała małemu na imię Poldek – podsunął od niechcienia.

– Napijmy się więc za kolejnego Apoloniusza w rodzinie. – Malinowski uśmiechnął się od ucha do ucha, po czym poklepał syna

po ramieniu.

Tej nocy Poldek położył się do łóżka stojącego pod oknem mansardowym. Ogarnął go spokój, jakiego nie doznał od bardzo dawna, i zaczął wierzyć w to, że ojciec w końcu został jego sojusznikiem. Usnął z obrazem Heleny pod powiekami.

Ciotka Maria nie spuszczała z Pauliny wzroku. Towarzyszyła jej ciągle i otaczała opieką, nawet wtedy, gdy dziewczyna marzyła tylko o tym, żeby odetchnąć w samotności. Nie stawiała oporu, lecz miała kobiety serdecznie dość.

– Przyda ci się spacer – perswadowała ciotka. – Świeże powietrze sprawi, że nabierzesz chęci do życia.

– Jakie to świeże powietrze, jak w Warszawie dzisiaj prawie trzydzieści stopni upału. I jak ma nabrać chęci do życia, kiedy ją ciągniesz na Powązki? – zirytował się Apoloniusz, stając po stronie dziewczyny. – Nad wodę albo do rodziców w odwiedziny jej trzeba, a nie oglądać naszą rodzinną kryptę. Naprawdę, Mario, mogłabyś się wykazać większym zrozumieniem.

– Widać dla ciebie grób mej siostry już nie jest ważnym miejscem – obrazila się ciotka.

– Jest ważny, ale chyba nawet ty rozumiesz, że to nie jest miejsce dla młodej dziewczyny. Zadzwoń do Melnerów, że przyjdziecie z wizytą – odparł Apoloniusz.

– A ty? – zapytała Maria.

– Ja mam inne interesy dzisiaj do załatwienia – uciał.

Maria nie drażyła tematu. Burknęła coś pod nosem o braku szacunku dla zmarłych, natomiast Apoloniusz ponownie pozwolił sobie na przelotną myśl, że zupełnie nie pojmuje, jak kobieta łączy dewocyjną wręcz pamięć o siostrze z faktem, że zastąpiła ją w łóżu jej małżonka. Porzucił jednak od razu te rozważania, miał ważniejsze sprawy.

Za kwadrans dziesiąta rozsiadł się w dorożce i kazał się zawieźć Tamką do Śródmieścia. Wysiadł przed antykwariatem na Zgodzie i rozejrzał się po okolicy. Zwykle nie zapuszczał się poza Nowy Świat, a zatrzymywał się jedynie przy domu publicznym na Chmielnej, lecz musiał przyznać, że okolica wygląda na przyzwoitą.

Lokal Małeckiego może nie zajmował imponująco dużo miejsca, jednak wejście do środka raczej niczym nie groziło. Oprócz spotkania z właścicielem i jego córką. Apoloniusz westchnął ciężko i pchnął drzwi. Powiódł spojrzeniem po półkach, na których stały stłoczone stare woluminy. Wzruszył ramionami i odchrząknął.

– Dzień dobry, czy zastałem właściciela? – zapytał głośno.

– Jak najbardziej. Dzień dobry – odparł Józef Małecki, wynurzając się z zaplecza. – Czym mogę szanownemu panu służyć?

– Pan, zdaje się, jest ojcem Heleny?

– A pan kim jest? – odbił piłeczkę Małecki.

– Proszę pozwolić, że się przedstawię, Apoloniusz Malinowski, do usług szanownego pana – wyjaśnił uprzejmie.

– Ach, więc mam do czynienia z ojcem Poldka – westchnął ciężko antykwariusz. – Czego sobie pan życzy i czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

– Nie będę owijał w bawełnę – odparł rzemieślnik. – Odkupię dziecko i skończą się kłopoty wszystkich.

– Raczy pan szanowny chyba żartować. Panu się czas zatrzymał może w średniowieczu? – Józef roześmiał się mimo woli.

– To całkowicie uczciwa propozycja. Córka szanownego pana jest, ekhm... panienką, więc po cóż jej ten ciężar, a moja synowa odchodzi od zmysłów, bowiem straciła potomka. Ja oczywiście zalegalizuję wszystko, a dziecko będzie miało u swojego ojca jak w puchu – zachwalał Malinowski.

– Wyjdź stąd, nikczemny człowieku. – Józef Małecki zacisnął dłonie w pięści i patrzył złowrogo na starego rękawicznika. – I nigdy nie wracaj.

– Ależ co pan – obruszył się Apoloniusz.

Reakcja antykwariusza zbiła go z tropu. Był człowiekiem interesu i jeśli zgadzał mu się rachunek finansowy, wówczas uznawał sprawę za uczciwą.

– Niech pan tu nigdy nie wraca – oświadczyła gniewnie Helena, wychodząc z zaplecza.

– Jeszcze zobaczymy – warknął Malinowski. Odwrócił się na pięcie i wypadł z antykwariatu, trzaskając drzwiami.

– Ojczy, on nie odpuści – powiedziała Helena.

– Niech nawet się nie waży wracać. Tutaj nie ma żadnej władzy. Aż mi żal tego wiarołomnego Poldka. Powiedział pewnie ojcu o dziecku w dobrej wierze, w to nie wątpię. A ten co? Ach, szkoda gadać.

– A jak wróci? W życiu nie oddam im Poldusia.

– Nie wróci. To zwykły pieniacz – zbagatelizował ojciec. – A nawet jeśli, to zatelefonujemy do Konrada Wernera. On ma wpływy, więc pomoże. Nie martw się. Nic nie grozi ani tobie, ani małemu... Poldkowi.

Helena uśmiechnęła się do ojca. Po raz pierwszy użył imienia dziecka.

– Och, ojczy. Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie robisz. – Hela rzuciła się ojcu na szyję. Małeczki poklepał ją niezdarnie po plecach, a później odsunął i ucałował uroczyście w czoło.

– O czym tak zawzięcie czytasz? – zapytał Konrad, podchodząc do kawiarnianego stolika. Na jego widok Michał odłożył gazetę i uśmiechnął się szeroko.

– O rewelacyjnych odkryciach doktora Klinga – odparł.

– Nie znam. Któż to taki?

– Amerykański naukowiec. Przeprowadził eksperyment na myszach. Posmarował im głowy smołą i tym samym dowiódł, że smołowanie dróg może wywoływać raka płuc i skóry u ludzi – odparł Michał i rozejrzał się za kelnerem. – Czego się napijesz przed obiadem? – zapytał, zmieniając temat.

– Zimnego piwa, zanim padnę z pragnienia.

– Przecież dzisiaj nie jest gorąco – roześmiał się Michał, patrząc wymownie w okno kawiarni, za którym od godziny siąpił deszcz.

– Nie musi być upału, żebyś miał chęć na zimne piwo. – Konrad wyszczerzył zęby w uśmiechu. – O co właściwie ci chodziło z tymi myszami i rakiem?

– W kontakcie ze smołą prawie wszystkie myszy doktora Klinga na niego zachorowały. Uczony tłumaczy, że jest w niej benzopiryna, szkodliwa, jak się okazuje, dla zdrowia. Unosi się w postaci kurzu ulicznego, a ludzie wdychają go i choroba płuc gotowa. Teraz

eksperymentowi poddano szympansy. Siedzą zamknięte na wybudowanym dla nich kawałku drogi. Zarówno ją, jak i kraty zasmolowano. A że Amerykanie na wszystkim muszą zarobić, więc w oczekiwaniu na chorobę małpy nauczono jeździć na wrotkach. Ludzie kupują bilety, żeby to oglądać.

– Biedne stworzenia – powiedział cicho Konrad.

Michał spojrzał na niego ciepło. Im bliżej się poznawali, tym bardziej zdumiewało go, jak wrażliwym człowiekiem jest jego przyjaciel. Z pozoru twardy i nonszalancki amant filmowy, w głębi duszy miał naturę delikatnego marzyciela, który nie skrzywdziłby nawet muchy.

– Biedne, to prawda, lecz medycyna bez zwierząt doświadczalnych byłaby bezradna – westchnął Michał.

– Już kupiłem – Konrad położył na stoliku bilety. – Odjazd pociągu pierwszego września. Najpierw jedziemy do Wiednia, a stamtąd wprost do Paryża.

– Nie potrafię uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. – Michał wziął do ręki kartoniki i przez chwilę przyglądał im się z uwagą. – A jeszcze bardziej nie mogę wyjść ze zdumienia, że moja matka obiecała dołączyć do nas po Chanuce.

– Jak wypada w tym roku? – zapytał Konrad spokojnie. W jego opinii Sara Gutman w ogóle nie brała pod uwagę wyjazdu z Polski, jedynie zwodziła syna, by ten wreszcie zdecydował się na taki krok. Nigdy nie padło na ten temat żadne słowo, lecz Konrad sądził, że domyślała się prawdziwej natury jego relacji z Michałem.

– W tym roku kończy się czternastego grudnia.

– A zaraz potem Boże Narodzenie. Ależ poświęćmy – ucieszył się Konrad. – Wyobraź sobie te kolacje w paryskich lokalach, nocne spacerki po udekorowanych ulicach – rozmarzył się. – Byłem przeciwny decyzji Ignacego, lecz w gruncie rzeczy to dzięki niemu możemy wyjechać wcześniej.

– W dalszym ciągu nie rozumiem, co skłoniło go do tak radykalnej zmiany planów. Rzucił studia jeszcze przed końcem semestru. Nie mógł poczekać? – przypomniał sobie Michał.

– Próbowałem z nim rozmawiać, zmusić do rozsądku, lecz on uparł się, że wstępuje do marynarki. Tłumaczyłem, że skoro nagle

zaczęła go pociągać kariera wojskowa, to powinien dociągnąć rok i po wakacjach zdawać do jednej ze szkół oficerskich, lecz nawet nie chciał słuchać. Powodów decyzji też nie wyjaśnił. Powiedział jedynie, że nie ma już dla niego miejsca w Warszawie, a na wybaczenie jest za późno.

– Zagadkowe. A może musiał po prostu uciekać?

– Też o tym myślałem. Po wplątaniu się w zamach na polityka jest pewnie zdolny do innych głupot. Chociaż liczyłem, że choć trochę zmądrzał i wydorósł. Z drugiej strony może ciężka praca od najniższego szczebla wpłynie na niego pozytywnie? – zastanawiał się Konrad.

– Miejmy nadzieję. To nie jest zły chłopak, tylko bardzo pogubiony. Chcę wierzyć, że w końcu dorośnie i zmądrzeje. Wojsko niejednemu wyprostowało charakter, chociaż ja bym nie wstąpił do armii za nic w świecie.

– Tak jak ja bym w życiu nie mógł być lekarzem. Ta krew, te flaki!
– roześmiał się Konrad.

– Ja z kolei w życiu nie wyszedłbym na scenę. Nogi załamałyby się pode mną ze strachu. – Michał odbił piłeczkę i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Z drugiej strony nigdy nie wiesz, czy nie sprawdziłbyś się w szpitalu. Do wielu rzeczy można się przyzwyczaić. Helena dawała sobie z wszystkim radę.

– Bo Helena jest twarda. Twardsza ode mnie – wyznał rozbrajająco Konrad. – Jestem z niej dumny. Radzi sobie z nową rolą wspaniale. To jedyne, czego żałuję w związku z naszym wyjazdem: nie będę mógł obserwować, jak mały rośnie.

– Może kiedyś do nas dołączą? – rozmarzył się Michał.

– Och, jeszcze nie wyjechaliśmy, a ty już tęsknisz? – uśmiechnął się Konrad. – Wiesz, odkąd podjęliśmy decyzję, jakoś lżej mi na duszy.

– Aby do września. – Michał podniósł kufel piwa w toaście.

Udekorowana chorągiewkami i kwiatami Polska obchodziła hucznie Dni Morza. W Warszawie zaplanowano liczne rozrywki, łącznie z wyścigiem kolarskim nazywanym „biegiem morza”, który wystartował w alei Niepodległości, a miał się zakończyć na

Wybrzeżu. W Gdyni z kolei odbywał się szereg uroczystości. Właśnie temu Ignacy zawdzięczał wolne popołudnie. Zamiast iść wprost do baru z innymi marynarzami, udał się na plażę. Siedział na piasku wpatrzony w wodę. Zastanawiał się, czy ten widok kiedyś mu zbrzydnie, lecz jak dotąd nie zanosilo się na to. Wychowany w Warszawie chłopak chłonał otwartą przestrzeń, do jakiej nie był przyzwyczajony, a to koilo jego awanturniczã naturę.

Przypadkowe spotkanie z Krysiã, tuż po bijatyce z nieznanym Żydem, uzmyslowilo Ignacemu, że bezpowrotnie stracił szansę. Co więcej, im dłużej o tym myślał, tym mocniej upewniał się w przekonaniu, że gdyby pozostał obecny w życiu dziewczyny, prędzej czy później by ją unieszczęśliwił. A on wolał tęsknić do końca życia, niż zadać Krysi ból. Właśnie dlatego postanowił wyjechać do Gdyni.

Wbrew pozorom marynarka nie stanowiła przypadkowego wyboru. Ignacy doskonale wiedział, że jest dość łatwo się dostać, a w dodatku pragnął bliskości morza. Rybakiem zostać nie mógł, kompletnie nie znał się na tym fachu, z kolei zaciãgnięcie się na statek handlowy wymagałoby natychmiastowego opuszczenia Polski. A tego, przywiãzany do ojczyzny chłopak, nie chciał. Choć nigdy nie ciãgnęło go do wojska, uznał, że plusy w tym przypadku przeważają. A prawda była taka, że znużony wewnętrzną walkã i wiecznie kotlującã się w nim agresjã, z ulgã wyłączył myślenie, wypełniał automatycznie rozkazy i gdy tylko mógł, koil oczy widokiem Bałtyku.

Woda szumiała, piasek przyjemnie grzał, a nad głowã skrzeczały mewy. Ignacy przymknãł oczy i rozkoszował się wewnętrznym spokojem.

Poldek stał naprzeciwko rozsierzonego Józefa Małeckiego ze spuszczonã głowã i zupełnie nie wiedział, co ma powiedzieć. Nie przychodziły mu do głowy żadne słowa usprawiedliwienia siebie ani ojca. Tym bardziej że wiadomośc o odwiedzinach Apoloniusza w antykwariacie ogromnie go zaskoczyła. Zawsze wiedział, że ojciec jest człowiekiem bezwzględnym, lecz podłośc ostatniego postępku przekraczała wszelkie granice.

– Helena nie chce widzieć cię na oczy – oświadczył antykwariusz. – A ja doskonale to pojmuję.

– Panie Józefie. Ja także to pojmuję – powiedział z pokorą. – Powiedziałem ojcu o dziecku w najlepszej wierze. Chcę rozwieść się z żoną i jak najszybciej zająć Heleną i synem. Nie miałem możliwości tego ukryć. Liczyłem na więcej zrozumienia z jego strony.

– Jak widać, niesłusznie. Ojciec twój ma twarde serce i ogromnie ci współczuję, lecz mnie przede wszystkim chodzi o dobro córki. Nie pozwolę jej skrzywdzić Apoloniuszowi Malinowskiemu ani nikomu innemu. – Józef Małecki mówił spokojnie, lecz dobitnie. – Odejdź. Nie mieszaj Helenie w głowie. Już dość wycierpiała przez twoją rodzinę.

Poldek doskonale wiedział, że to prawda, lecz po raz pierwszy w życiu był całkowicie zdeterminowany, żeby walczyć o swoje. Paradoksalnie to widok syna wyzwolił go z oków strachu przed ojcem. Zrozumiał, że teraz stawka wzrosła i nie chodzi jedynie o to, jak bardzo cierpi on sam. Odpowiedzialność zwiększyła się do trzech osób. Po namyśle uznał, że właściwie do czterech. Pauliny też nie zamierzał zostawiać na lodzie. Pragnął dla niej szczęścia i spokoju, lecz ani jedno, ani drugie nie było możliwe, gdyby dalej mieli tkwić w nieudanym małżeństwie.

– Odejdę – powiedział. – Ale wkrótce wrócę. Czy będzie pan łaskaw przekazać Helenie ten drobiazg? – Poldek wsunął dłoń w kieszeń i po chwili wyjął z niej drewnianą dziecięcą grzechotkę.

– Przekażę – odparł krótko antykwariusz. Serce mu się ścisnęło, lecz musiał przede wszystkim myśleć o córce i wnuku. Natomiast Poldek powinien w końcu dorosnąć i przyjąć bolesną lekcję życia. Józef nie miał pojęcia, czy chłopak podoła, lecz w duchu bardzo mu kibicował. Najwyższa pora, żeby stał się mężczyzną.

Późne czerwcowe popołudnie przyniosło miastu nieco ulgi. Nad Warszawą przetoczyła się burza, gasząc strumieniami wody spiekotę ulic i chodników. Małecki otworzył okna mieszkania na oścież i odetchnął głęboko. Do wnętrza napłynął specyficzny zapach zmoczonego rozgrzanego betonu, który uwielbiał każdy mieszczuch.

ROZDZIAŁ 15

1939

Są czasem takie dni, które zaczynają się zupełnie niewinnie, a i tak pewne drobiazgi irytują, przesłaniając to, co dobre. A później, gdy już wszystko potoczy się bardzo źle, wspomina się owe drobiazgi jak ciepłe iskierki ogrzewające codzienność.

Helena przewinęła dziecko i odłożyła do kołyski. Z westchnieniem rezygnacji pomyślała o stercie pieluch, jakie piętrzyły się w misce z brudami. Zamiast mydła wyciągnęła z szuflady list Poldka. Czytała go wiele razy, lecz wciąż nie miała dość. Był jednocześnie podróżą do przeszłości, gdy ich życie się jeszcze nie skomplikowało, i pomostem łączącym dawne czasy z tym, co chłopakowi teraz grało w sercu. Helena nie miała wątpliwości, że Poldek ją kocha, lecz w obecnym układzie to stanowczo za mało. Cóż jednak miała począć, skoro list ogrzewał duszę?

Rozprostowała zabazgraną kartkę i położyła ją na nocnym stoliku. W tej samej chwili ktoś natarczywie zapukał do drzwi.

– Chwileczkę – odparła, marszcząc brwi ze zdziwienia. To z pewnością nie ojciec. On nie miał w zwyczaju dobijać się bezceremonialnie do pokoju. Wstała i zarzuciła na siebie podomkę. Podeszła do drzwi i ostrożnie je uchyliła. Cofnęła się zaskoczona, widząc obcego mężczyznę w policyjnym mundurze. Za jego plecami stał ojciec z rozszerzonymi z przerażenia oczami.

– Helu, nic nie mogłem zrobić. Dziecko kochane – wyjąkał. Broda trzęsa mu się, co z punktu zmroziło dziewczynę.

– O co chodzi? – zapytała ostro.

– Jest panna aresztowana za udział w zamachu na Stanisława Krzemienieckiego. Nie radzę stawiać oporu – wyjaśnił beznamiętnie funkcjonariusz.

– Co takiego?

– Wiarygodny świadek, który wcześniej złożył korzystne zeznania, dając pannie dowód niewinności, właśnie dzisiaj odwołał je na posterunku.

– O czym łaskawy pan mówi? – Helena próbowała się opanować, lecz jej serce waliło jak młotem.

– Osiemnasty lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego mówi coś panie?

Helena zacisnęła usta, przypominając sobie ów koszmary dzień, gdy szła z Basią na nadwiślańską plażę i na Chmielnej stały się mimowolnymi świadkami zamachu na lewicowego polityka. Na jej nieszczęście nieudolnym zamachowcem był Ignacy Werner. Przez koszmary splot okoliczności tylko Apoloniuszowi Malinowskiemu zawdzięczała wówczas ratunek przed aresztem. Nie miała wątpliwości, że to właśnie on wpędził ją teraz w kłopoty.

– O co jestem oskarżona? – zapytała, unosząc hardo brodę.

– O współudział w zamachu i morderstwo – oświadczył policjant.

– Panna ma małe dziecko?

– Mam – przyznała, licząc w duchu, że to może uchronić ją od aresztowania.

– Może panna zabrać je ze sobą, bo tak stanowi prawo, nie zazna niczego złego w placówce penitencjarnej. Można też zostawić.

Helena poczuła, że wpada w panikę. Spojrzała na ojca, któremu łzy ciekły z oczu. Zacisnęła zęby.

– Dziecko zostanie tutaj – odparła spokojnie. – A teraz szanowny pan wybaczy, ale muszę się ubrać.

– Naturalnie. Lecz muszę przestrzec, że w podwórzu pod oknem stoi inny funkcjonariusz, więc proszę nie próbować ucieczki.

Helena zatrzasnęła drzwi i podeszła do śpiącego dziecka. Pogłaskała je po rozgrzanej buzi. Poczuła łzy napływające do oczu, więc zakłęła pod nosem. Uznała, że musi być twarda. Nie wiedziała, co ją spotka, ale z pewnością nic przyjemnego. Choć w Warszawie szalał upał, założyła ciepłą sukienkę, na nogi solidne kryte buty, a przez ramię przewiesiła na wszelki wypadek jesienny płaszcz. Rzuciła jeszcze tęsknym spojrzeniem na list od Poldka, lecz uznała, że może nie docenia jego treści i śledczy wynajdą w nim coś, co dodatkowo ją obciążą. Bezpieczniej go zostawić.

– Jestem gotowa – oświadczyła, wychodząc z pokoju dumnie wyprostowana. – Ojczy, zajmij się małym. I zadzwoń niezwłocznie

do... – zawahała się, nie bardzo wiedząc, jak nie zdekonspirować Konrada. Ostatnim, co było mu potrzebne, to uwikłanie w skandal polityczny.

– Nie martw się. Zadzwoń – wszedł jej w słowo ojciec.

– Proszę o spokój – zirytował się funkcjonariusz. – Żadnych konszachtów, chyba że mam pannę zakuć w kajdanki – przestrzegł.

– Nie ma takiej potrzeby. – Józef Małecki natychmiast się wycofał. – Dokąd ją pan zabiera?

– Na posterunek – odburknął policjant.

– To wiem! Ale na który? – nie odpuszczał ojciec.

– Już nie pańska sprawa. Zawiadomienie będzie.

Małecki spojrział z rozpaczą na córkę, lecz Helena posłała mu pokrzepiający uśmiech i wskazała oczami pokój. Zrozumiał natychmiast, że martwi się o dziecko, więc uśmiechnął się blado, chcąc dać jej do zrozumienia, że zajmie się wszystkim.

Dziewczyna знаła każdą klepkę podłogi w antykwariacie, każdy stopień schodków i ramki mchu na najbliższych płytach chodnikowych. W zasadzie nigdy nie zwracała na to większej uwagi, lecz teraz chłoneła wszystkie drobiazgi, jakby przeczuwając, że nieprędko je zobaczy, a w jej życiu kończy się pewna epoka. Koszmarny smutek pochłoniął ją, gdy odwróciła się po raz ostatni i zobaczyła potarganego ojca w otwartych na oścież drzwiach antykwariatu. Później dała się zaprowadzić do obcego samochodu i wepchnąć do środka. Oparła czoło o szybę i zamknęła oczy.

– Ruszamy – polecił kierowcy policjant, siadając z przodu.

Helena ostatkiem sił zdołała unieść powieki i spojrzeć na umykającą kamienicę z pootwieranymi oknami, czerwonymi pelargoniami zwieszającymi się z parapetów i gołębiami spacerującymi po kamiennych gzymsach.

Konrad Werner był tak wściekły jak jeszcze nigdy w życiu. Nozdrza jego zgrabnego nosa, tak pięknie utrwalanego na fotosach reklamowych, rozszerzyły się niczym u wściekłego buhaja.

– Zabiję sukinsyna – oświadczył półkom antykwariatu. – Po prostu zniszczę, wdepczę w ziemię i Bóg mi świadkiem, że Apoloniusz Malinowski pożałuje dnia, w którym jego nieszczęsna

matka wypchnęła go na świat. Panie Józefie, jakie mamy możliwości?

– Żadnych. Nawet nie wiem, dokąd ją zabrano. Wybacz pan, muszę do dziecka – odparł antykwariusz, słysząc płacz niemowlęcia. Natychmiast pobiegł na zaplecze.

Konrad nie bawił się w konwenanse. Poszedł za ojcem Heleny. Wszędzie walały się brudne ubrania i pieluchy, a mały Polduś dał się wniebogłosy. Przynajmniej on był czysty, a kołyska obleczone w śnieżnobiałą pościel. Mimo to po panu Józefie widać było, że osiągnął kres wytrzymałości.

– Przyślę tu jutro moją gosposię. Niechże pan nie protestuje. A teraz muszę jechać do adwokata. Wynajmę dla Heleny najlepszego – oświadczył tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Ta cała sprawa z zamachem na Chmielnej to wyłącznie moja wina. Ignacy, mój brat, jest przyczyną całego nieszczęścia, a pańska córka wmieszała się w to przeze mnie. Na mnie spoczywa odpowiedzialność za jej aresztowanie, a mi życia zabraknie, żeby pokornie prosić pana o wybaczenie.

– Niechże pan da spokój, panie Konradzie – zachnął się Małeckci.
– Jest pan najlepszym przyjacielem tego domu i nieraz pan tego dowiódł.

– Zatem proszę pozwolić mi działać, drogi przyjacielu – odparł Konrad.

Uchylił kapelusza i pospiesznie opuścił antykwariat. Miał zamiar od razu ruszyć do kancelarii adwokackiej, lecz gdy przebijał się samochodem przez zatłoczony Nowy Świat, w jego głowie zaświtał zupełnie inny pomysł. Skręcił ostro i pojechał w stronę Solca. Pomimo wzburzenia sprawdzał lusterko i bacznie rozglądał się wokół. Ostatnie, czego mu było trzeba, to kolizja z tramwajem jadącym w stronę Czerniakowa.

Odrapane kamienice, wciśnięte pomiędzy nie ubogie domki schowane za drewnianymi płotami mocno odbiegały od eleganckiego Śródmieścia i schludnego osiedla mokotowskich Szarych Domów. Mimo to Malinowski był majątnym człowiekiem z wpływami, być może przywiązany do tego miejsca. Najwyraźniej miał też łeb na karku.

Konrad znał ten typ. Malinowski prędzej zbankrutuje, niż odpuści. Upór miał wpisany w naturę, więc nawet bitwa na pieniądze niczego tu nie zmieni. Należało znaleźć jego słaby punkt, a takim niewątpliwie był Poldek. On z kolei zrobi wiele, żeby ratować Helenę. Konrad wprawnie pokonał przejazd bramny i wjechał w podwórze, gdzie mieściła się kamienica i pracownia Malinowskiego. Nie miał zamiaru wspinać się schodami, więc nacisnął klakson. W podwórku studni dźwięk kojarzył się z rykiem stada rannych krów. Kilka pracownic zakładu spojrzało z podziwem na modny samochód, lecz żadna z nich nie wykonała nawet ruchu, by podejść bliżej. Intruzem zainteresował się mężczyzna w średnim wieku z brzuchem nieco uwypuklającym przód skórzanego fartucha.

– Zgubiłeś się pan? – zapytał uprzejmie.

– Nie. Szukam Poldka Malinowskiego. – Konrad spojrzał twardo.

– To poważna sprawa.

– Ja też myślę, że poważna, skoro szuka go sławny aktor – odparł z łagodnym uśmiechem mężczyzna. – Proszę pozwolić, że się przedstawię. Mosze Bluman.

– Miło poznać, panie Bluman. Może pan zawiadomić Poldka, że tu na niego czekam?

– A co to da, panie Werner? – westchnął majster. – Malinowski jest nieprzejednany. Zawsze taki był i pewnie już nic się nie zmieni. Poldkowi kazał jechać z Pauliną do Ciechocinka.

– Posłuchał?

– A kto by nie posłuchał Apoloniusza starszego?

– Mówisz pan o nim jak o cesarzu jakimś – zauważył z przekąsem Konrad.

– Tutaj rządzi. – Mosze wzruszył ramionami. – Ja kibicuję jego synom, ale jak na razie to sprawa beznadziejna.

Konrad poczuł wściekłość. Skinął głową Blumanowi, po czym wycofał samochód z podwórza. Nacisnął gaz, głównie po to, żeby dać upust złym emocjom, i ruszył do kancelarii. Gotów był wydać wszystkie pieniądze, łącznie z tymi, które właśnie otrzymał za sprzedaż mokatowskiej willi po rodzicach, żeby tylko odzyskać Helenę i dotrzymać słowa danego panu Józefowi.

Michał był na kolejnym niekończącym się dyżurze i prawdopodobnie nawet nie wiedział, co spotkało jego kuzynkę, więc po wyjściu z kancelarii Konrad zamierzał odszukać Sarę Gutman na Kercelaku. Wiedział, że Helena żyła z nią w zgodzie, więc postanowił doraźnie poszukać pomocy u niej.

Gworny bazar jak zwykle tętnił życiem. Matkę Michała zauważył przy jednej z drewnianych bud. Stała obok łysego mężczyzny z ciemnymi bujnymi wąsami. Konrad z punktu rozpoznał znanego gangstera, Tatę Tasiemkę. Mówiło się, że każdy handlarz na Kercelaku musi płacić mu dołą, lecz nie wiedział, że Sara Gutman zna go osobiście. Co więcej, rozmowa sprawiała wrażenie, jakby pozostawali w zażyłości.

Konrad przystanął w pewnym oddaleniu. Do kobiety podszedł dopiero, gdy Tasiemka skinął głową na pożegnanie i oddalił się, znikając pomiędzy rzędami drewnianych straganów.

– Dzień dobry, panie Konradzie – ucieszyła się na jego widok Sara, jednak jej uśmiech zgasł natychmiast, gdy opowiedział, z czym przychodzi.

– Natychmiast idę do Józefa. Ktoś musi biedaka wesprzeć w tym nieszczęściu. Jak mogło do tego dojść? – zapytała retorycznie.

– Zawiozę panią. Będzie szybciej – zaoferował się.

Wejścia do oddziału kobiecego więzienia śledczego na Dzielnej strzegła wysoka żelazna brama, zwieńczona drutem kolczastym. Helena przechodziła niegdyś ulicą wzdłuż masywnego betonowego muru, lecz nigdy w życiu nie pomyślałaby, że kiedykolwiek znajdzie się w środku. Teraz szła posłusznie przed strażniczką, a mijane szare korytarze ledwie zauważała. To wszystko było jak surrealistyczny koszmar, z którego nie potrafiła się wybudzić. W końcu kobieta pchnęła ją lekko w stronę uchylonych drzwi.

– Wejść – usłyszała zza nich męski głos. Helena posłusznie wykonała polecenie.

Pokój był niewielki, zastawiony chwiejnymi stertami teczek, a centralne miejsce na ścianie zajmował sporych rozmiarów portret marszałka Piłsudskiego. Za biurkiem siedział przysadzisty mężczyzna z rzadkimi siwymi włosami. Choć usilnie chciał

zamaskować łysinę pożyczką, nie na wiele to się zdało. Wbrew jej obawom uśmiechnął się przyjaźnie i wskazał przerażonej dziewczynie krzesło.

– Możesz nas zostawić – polecił strażniczce.

– Ale szefie, procedury – jęknęła tamta w odpowiedzi.

– Odkąd to tak procedur pilnujesz – ofuknął ją. – Przecież nic mi nie robi. Prawda? – zwrócił się do Heleny.

– Oczywiście, że nie – odparła natychmiast.

– Zaczekaj za drzwiami – polecił, przenosząc spojrzenie na strażniczkę. Tym razem usłuchała bez protestu.

– Helena Małecka, lat dwadzieścia jeden, panna. Zgadza się?

– Zgadza się, proszę pana – odparła grzecznie.

– Zarzut polityczny, ale nie damy cię do więźniarek politycznych, tylko do kryminalnych.

Helenie ścierpła skóra na myśl o tym, że przyjdzie jej dzielić celę ze zbrodniarkami.

– Mogę wiedzieć dlaczego? – odważyła się zapytać.

– Względem bezpieczeństwa – odparł i widząc niezrozumienie w oczach Heleny, podjął wyjaśnienia. – W politycznych siedzą głównie komunistki, a ciebie przysłano tu pod zarzutem zamachu na lewicowego polityka. Byłabyś celem ataków.

– Jak długo tu zostanę?

– Do procesu – westchnął. – Myślę, że to pewnie będzie formalność, a wyrok łagodny.

Reszty Helena domyśliła się sama już w drodze do celi. Jeśli nawet sąd wyda wyrok skazujący, okolicznością łagodzącą będzie to, że w oczach prawicowego aparatu państwowego jest osobą prawomyślną, a napadu dokonano na socjalistę, kojarzonego z „Robotnikiem”. Potrząsnęła głową, przepędzając podstępne myśli. Była niewinna! I właśnie tego zamierzała dowieść. Do tej pory nikt nie zadawał jej żadnych pytań, a ona milczała, żeby nie zaszkodzić samej sobie.

– Wchodź! – poleciła jej strażniczka, otwierając ze zgrzytem metalowe drzwi celi.

Helena posłusznie weszła do środka na miękkich nogach. W środku stały prycze, a na nich siedziało kilka kobiet. Wszystkie

spojrzały na nią apatycznie i bez cienia zainteresowania. W tej samej chwili wrota celi zatrzęsnęły się głośno, aż się wzdrygnęła.

– Nie jest to miły dla ucha dźwięk – roześmiała się gorzko jedna z więźniarek. – Jak się nazywasz?

– Helena – odparła cicho. Rozglądała się po mrocznym pomieszczeniu z szarymi odrapanymi ścianami i uwięzionych tu kobietach. Nie wyglądały na zbrodniarki, ale w gruncie rzeczy jak właściwie powinna wyglądać zbrodniarka?

– A ja Anna – uśmiechnęła się tamta. Miała niemal dziecięcą twarz, jasne potargane włosy spięte w niedbały kucyk i duże, jakby zdziwione niebieskie oczy. – Tamta prycza jest wolna – wskazała palcem kąt celi. – Tuż obok mojej.

Helena była jej wdzięczna za zainteresowanie. Stąpając niepewnie, dotarła do pryczy, lecz co chwila trwożliwie zerknęła na inne więźniarki.

– Nie bój się. Tu same porządne dziewczyny – roześmiała się cicho Anna. – Muchy by nie skrzywdziły.

– Naczelnik mówił, że to cela kryminalna – bąknęła Hela.

– Pewnie, że kryminalna. A te nasze przestępstwa to głównie spędzenie płodu u pokątnych babek. Czasem się trafia wpadka i wtedy nie patrzą. Pakują do celi jak leci.

– Wszystkie siedzicie za skrobankę? – zdziwiła się Helena. Przypomniała sobie, że całkiem niedawno sama miała pomysł, żeby też w ten sposób pozbyć się kłopotu. Nie mieściło jej się w głowie, jak można za coś takiego karać zdesperowaną dziewczynę.

– Nie wszystkie. Józkę złapali kilka razy na kradzieży chleba. Jak miała nie kraść, jak rodzice są pijakami, a ona chciała zdobyć cokolwiek dla głodującego rodzeństwa? – zapytała gorzko.

– Nie wiem – szepnęła Helena. – To strasznie niesprawiedliwe. – Przez głowę przeleciała jej myśl, jak bardzo uprzywilejowane życie wiodła do tej pory. Nigdy nie zaznała głodu, zawsze miała ciepły kąt i dach nad głową i nade wszystko kochającego ojca. Na myśl o nim i Poldusiu dziewczynie serce ścisnęło się z żalu.

– A tamta, Krystyna, zabiła męża. – Anna wskazała brodą starszą kobietę uczesaną w gładki siwy koczek.

– Och! – Hela zasłoniła usta dłonią.

– Też byś zabiła. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Całe życie ją prał, jak sobie popił, a gdy w końcu przyskoczył z nożem, to nie wytrzymała i chlusnęła mu w mordę garem wrzącego smalcu. Pączki smażyła – wyjaśniła pogodnie dziewczyna.

– A ty za co tu siedzisz? – odważyła się zapytać Helena.

– Za skrobankę. Stryj mnie zgwałcił i zrobił się kłopot. – Anna mówiła beznamiętnie, jakby opowiadała o pogodzie. I to wydało się Helenie jeszcze bardziej przerażające.

Po raz pierwszy w życiu Konrad nie przyjął roli w nowej produkcji filmowej. Uznał, że sprawa ratowania Heleny i przygotowania do wyjazdu z Polski pochłonięła zbyt wiele czasu. Nieco żałował, bowiem scenariusz był bardzo zachęcający, a dla niego pokusę stanowiło nakręcenie ostatniego filmu przed wyruszeniem na emigrację. Ida zdziwiła się, lecz po obszernych wyjaśnieniach zrozumiała punkt widzenia Konrada. Pogodzona z faktem, że ich drogi się rozchodzą, z zaskoczeniem ledwie tydzień później ujrzała go na progu swojego mieszkania.

– Konradzie, miło cię widzieć – powitała go z uśmiechem.

– Ido, mam wielką prośbę – powiedział bez zbędnych wstępów. – Nie będę wchodził – uspokoił ją.

– Jestem sama – odparła. – Zapraszam.

Nie był tu nigdy wcześniej, więc dyskretnie powiódł spojrzeniem po niewielkim, lecz modnie i bogato urządzonym saloniku. Pułkownik nie szczędził kochance wygód. Inna rzecz, że Ida też dorobiła się sporych pieniędzy na filmie, więc mogła poszaleć z bibelotami i obrazami.

– Wiem, że nie powinienem nalegać, lecz mam nóż na gardle i nie znam nikogo innego, kogo mógłbym o to prosić – zaczął, wyraźnie zakłopotany.

– Konradzie, mów, w czym rzecz i jak ci pomóc. Co się stało?

– Jak wiesz, Ignacy uciekł z domu, nie mówiąc dokąd, a ja muszę go natychmiast odnaleźć. Jedyna znana mi informacja jest taka, że prawdopodobnie zaciągnął się do marynarki. Nie odezwał się ani nawet kartki nie wysłał. A sprawa jest bardzo pilna. Jeśli złożę

zeznania w procesie Heleny, być może uda się ją uwolnić od zarzutów.

– Chcę wiedzieć, co twój brat ma wspólnego z tą sprawą. – Ida przechyliła głowę i spojrzała badawczo na partnera scenicznego.

– Nie chcesz – odparł krótko, lecz łagodnie.

– Więc mój pułkownik ma się dowiedzieć, gdzie służy Ignacy?

– Ido, wiem, że proszę o wiele.

– W porządku. Spotkam się z nim jeszcze dzisiaj i nie odpuszczę, dopóki nie wydobędzie Ignacego choćby spod ziemi – odparła.

– Dziękuję – odpowiedział z wdzięcznością i uniósł jej dłoń do ust. – Jesteś najlepszą przyjaciółką na świecie.

Ida zadziałała szybko i skutecznie, bowiem już następnego dnia do drzwi mokotowskiego mieszkania aktora zapukał młodziutki szeregowiec. Na widok Konrada zaszalutował, po czym wręczył mu zaklejoną kopertę.

– Gdynia, torpedowiec „Mazur” – przeczytał na głos Konrad, gdy został już sam. Niżej ktoś skreślił drobnym, lecz mocnym pismem, do kogo ma się zgłosić w gdyńskim porcie i na kogo się powołać, żeby Ignacego od razu wypuszczono na przepustkę. – Dziękuję ci, Ido – szepnął i ucałował kartkę. – Po stokroć dziękuję.

Nie tracąc czasu, spakował walizkę, zadzwonił do szpitala na Czyste, żeby przekazać Michałowi, dokąd się wybiera, i godzinę później jechał w stronę Wybrzeża.

Skojarzenie z zeszłorocznym spontanicznym wyjazdem do Juraty w towarzystwie Michała i Heleny było tak natrętne, że Konrad raz za razem ciężko wzdychał, prowadząc samochód po szosie. Lato roku 1939 zapowiadało się wspaniale i aż trudno było uwierzyć, że dawna beztroska zupełnie przepadła.

Na nocleg zatrzymał się w przydrożnym pensjonacie, a przed kolejnym dniem podróży bardzo dokładnie przestudiował przy śniadaniu mapę połączeń drogowych. Zależało mu, żeby ominąć możliwie najszerszym łukiem Gdańsk i Sopot. Już rok temu działy się tam rzeczy zatrważające, a obecnie właściwie cały obszar przejęli Niemcy. Polskie władze były bezsilne, pomimo wielokrotnego napominania opinii publicznej, że nie takie były postanowienia traktatu wersalskiego. Nawet Anglia, dająca gwarancje sojusznicze

Polsce, nie umiała wpłynąć na odzyskanie równowagi w Gdańsku. Hitler robił, co chciał. Jak zwykle. Konrad nie miał złudzeń, że nieudolny polski rząd nie ma kompletnie nic do gadania na terenie Wolnego Miasta.

Do Gdyni dojechał wczesnym popołudniem. Miasto przywitało go lazurowym niebem i pełnym słońcem. Piasek na pobliskiej plaży wydawał się wręcz śnieżnobiały, gdy podjechał pod bramę portu wojennego. Ku własnemu zdumieniu nie napotkał najmniejszych trudności, a oficer dyżurny najchętniej kłaniałby się w pas, prosząc, by zaczekał na przybycie Ignacego. Konrad pomyślał, że wpływy pułkownika muszą być niezwykle.

Ignacy szedł do niego sprężystym krokiem, lecz gdy rozpoznał, kto na niego czeka, mimowolnie zwolnił. Nie ucieszył się na widok brata, to było widać jak na dłoni.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytał, patrząc spode łba.

– Przejdziemy się na obiad? – odpowiedział pytaniem Konrad. – Ja stawiam.

– Jak zwykle. Niech będzie. – Ignacy poszedł za bratem w milczeniu. – Nie karmią nas najlepiej, więc chętnie zjem coś smacznego.

– Zatem jedźmy do Polskiej Rivieri – zdecydował Konrad. – Mają tam pierwszorzędną kuchnię francuską.

Gdynia od kilku lat rozwijała się w imponującym tempie, a baza turystyczna wciąż bogaciła się o nowe hotele i pensjonaty. Wielu Polaków, szczególnie mieszkańców Warszawy, uznawało wczasy w Gdyni za patriotyczny obowiązek i przeciwwagę dla pobytu w Gdańsku czy Sopocie. Do młodego miasta łatwo było dojechać tanimi liniami kolejowymi, więc rozgościły się tutaj również ośrodki kolonijne dla młodzieży. Sporą reklamę robiły też doroczne Dni Morza.

Restauracja hotelu Polska Riviera była oblegana. Konrad musiał wręczyć niemałą łapówkę, żeby dostać stolik w ogródku z widokiem na morze. Otoczony białym niskim płotkiem, wręcz zapraszał do wypoczynku. Elegancki kelner obrzucił marynarski mundur Ignacego niezbyt przychylnym spojrzeniem, lecz rozpoznawszy znanego aktora, natychmiast rozjaśnił oblicze.

– Służę łaskawemu panu – zgiął się w ukłonie i wręczył gościom menu.

– Po co przyjechałeś? I jak mnie znalazłeś? – zapytał obcesowo Ignacy, gdy kelner postawił na stoliku białe wino, karafkę z wodą i odszedł pośpiesznie.

Konrad spojrział badawczo na brata. Zastanawiał się, jak ma z nim rozmawiać, lecz uznał po chwili, że bawienie się w podchody w przypadku Ignacego nie ma najmniejszego sensu.

– Pomógł przyjaciel. Pułkownik – odparł. Miał nadzieję, że wzmianka o wysoko postawionym oficerze zrobi na Ignacym jakieś wrażenie, lecz on tylko uniósł leniwym gestem kieliszek do ust i upił łyk pierwszorzędnego francuskiego wina.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego wyjechałem? – zapytał zniechęcony, nawet nie patrząc na brata.

– Chcę.

– Miałem cię dość. Życia w twoim cieniu i pod twoimi rozkazami. Znalazłem sobie Gdynię, miejsce, do którego nigdy nie przyjeżdżałeś, bowiem jest tu niedostatecznie snobistycznie na twoje potrzeby. Zacząłem cieszyć się, że nie muszę cię oglądać, aż nagle pojawiaasz się w tym swoim białym plażowym garniturze i wszystko psujesz – wycedził. Uniósł kieliszek z drogim winem w parodii toastu.

– Musiał być inny powód, dla którego z dnia na dzień wyniosłeś się z Warszawy. – Konrad nie dał się zwieść.

– Nie było – odparł Ignacy. Z trudem odgonił wizję roześmianej Krystyny i ponownie zapatrzył się na morze. Miało dzisiaj odcień głębokiego seledynu, co w zestawieniu z pogodnym niebem i niewielkimi falami sprawiało wyjątkowo malownicze wrażenie.

– Jesteśmy rodziną – powiedział ugodowo Konrad. – I zawsze możesz na mnie liczyć.

– A może wcale nie chcę na ciebie liczyć? Pomyślałeś o tym?

– A ja i tak będę cię wspierał. – Wzruszył ramionami.

– Świetna gra aktorska, mój drogi, ale wybacz, nie uwierzę, że odnalazłeś mnie przez jakiegoś pułkownika, któremu teraz przez to jesteś pewnie dłużny przysługę tylko po to, żeby porozmawiać o świętych więzach braterskich – roześmiał się Ignacy. – Czego chcesz, Konradzie?

– Helena jest w więzieniu.

– Mam złożyć wyrazy współczucia? Niewiele mnie to obchodzi. Nie lubię Żydówy.

Konrad zacisnął szczęki, żeby nie powiedzieć niczego, co postawi sprawę na ostrzu noża.

– Nikt ci nie każe – odparł ugodowo. – Ale twoje zeznania mogą ją uchronić przed wieloletnim więzieniem. Uratowała ci życie. Jesteś jej to winny.

– Nikt jej o to nie prosił – roześmiał się z goryczą. – I nic jej nie jestem winny.

– Jej kuzyn, doktor Michał Gutman, ocalił cię od śmierci.

– Zrobiłby to każdy inny lekarz. Taki ich zasrany obowiązek.

– Helena ma małe dziecko, a siedzi na Serbii przez to, że tyś się kiedyś wdał w jakiś upiorny zamach. Nie robi to na tobie wrażenia? – zdziwił się Konrad.

– Najmniejszego. Nie odpowiadam za wybory innych ludzi.

– Jesteś bezduszny. I nie masz za krzty honoru. Żałuję, że jesteś moim bratem – wycedził doprowadzony do furii Konrad.

– I wzajemnie. Wolałbym nie mieć brata.

Konrad poderwał się na równe nogi. Szarpiąc nerwowo połę jasnej marynarki, wyjął portfel i rzucił na stolik banknot stużłotowy.

– Zachowaj resztę, którą przyniesie kelner. Rozmowa skończona – oświadczył i wyszedł z restauracji.

Nie oglądając się za siebie, wszedł do samochodu i z piskiem opon ruszył w stronę Warszawy. Do miasta dotarł następnego dnia późnym popołudniem. Od razu zadzwonił do kancelarii prawnej, którą wynajął do reprezentowania Heleny.

– Proszę powołać na świadka Ignacego Wenera – oświadczył mecenasowi. – Tak. To mój brat. Jest odpowiedzialny za ten zamach, a ja zeznam na jego niekorzyść. Zeznawał będzie także doktor Michał Gutman ze szpitala na Czystem, który operował Ignacego. Helena jest niewinna i właśnie to za wszelką cenę chcemy wykazać. Koszty nie grają roli.

Krótki pobyt w Ciechocinku był dla Poldka równie nierealny jak powrót na Solec. Apatyczna Paulina snuła się po pokoju

i pensjonacie, a na posiłkach siadywała przy stoliku kompletnie nieobecna duchem. Jakiegokolwiek próby rozmowy spełzały na niczym. Po powrocie też niewiele się zmieniło. Jego żona zamknęła się w dawnym pokoju Janka i nie życzyła sobie odwiedzin.

Poldkowi było to na rękę. Przy pierwszej nadarzającej się okazji wymknął się z domu i pobiegł na Zgodę. Zdziwił się, gdy z zaplecza wyszła Sara Gutman, trzymając w objęciach jego syna. Tuż za nią wyłonił się Józef Małecki.

– Czego chcesz? – warknął na jego widok.

– Tylko zapytać, czy dziecko zdrowe i jak czuje się Helena – wyjąkał chłopak.

– Dziecko jest zdrowe – odparła zamiast szwagra Sara. – Jak się czuje Helena, tego niestety nie wiemy, ponieważ twój tatuś zapakował ją do więzienia i pewnie jakiś czas tam spędzi.

Poldek spojrzał na kobietę ze zdumieniem. W pierwszej chwili pomyślał, że sobie z niego stroi żarty, lecz jej poważna mina w zupełności to wykluczała.

– Jezu, co tu się wydarzyło? – wyszeptał pobielełymi wargami.

Sara, nie przebierając w słowach, brutalnie przedstawiła mu sytuację. Nie szczędząc przy tym Apolinaremu Malinowskiemu obelżywych epitetów zaczerpniętych wprost z Kercelaka. Poldek poczuł, że kręci mu się w głowie.

– To wszystko moja wina – jęknął i zaparł się drżącą dłonią o półkę z książkami.

– Niezupełnie – poczuł się w obowiązku sprostować antykwariusz.

– Ja mam swoje zdanie i go nie zmienię – oświadczyła Gutmanowa, mocniej przytulając niemowlę.

– Przepraszam – powiedział Poldek, a później poczuł, że ziemia osuwa mu się spod nóg.

– Rosły chłop, a ot tak mdleje? – doszedł go jeszcze głos Sary. – Sam go będziesz taszczył, Józefie. Ja muszę nakarmić dziecko.

Poldek stracił kontrolę nad ciałem. W jego umyśle pojawiła się wizja Heleny zarzucającej mu dłonie na kark. Stali na piasku, a na czarnym niebie wybuchały fajerwerki jak niegdyś w Juracie. Ocknął się chwilę później i powiódł nieprzytomnym spojrzeniem po

otaczających go ścianach. Próbował nieporadnie wstać, lecz szło mu ślamazarnie.

– Leż – ostrzegł go głos, który znał, ale zupełnie nie pamiętał skąd. – To pewnie nic groźnego, lecz nie warto ryzykować. Masz szczęście, że akurat wpadłem po dyżurze, żeby zobaczyć, co słyhać u Poldusia, i zabrać matkę do domu. – Obcy ujął go stanowczym gestem za nadgarstek i przytrzymał. – Puls w normie. Nic ci nie będzie – oświadczył w końcu.

– Dziękuję. – Poldek w końcu skojarzył przystojną twarz doktora Gutmana.

– Na twoim miejscu zrobiłbym badanie krwi – dodał rzeczowo Michał. – Ale nie uważam, żeby coś ci dolegało.

– Wszystko się tak pokręciło...

– Bardziej, niż sądzisz.

– Zrobię wszystko, żeby pomóc – westchnął żałośnie Poldek.

– To się może przydać – powiedział z namysłem Michał. – Ale nie ja tu jestem od spraw sądowych. Leczę ludzi. Konrad współpracuje z adwokatami. Do niego się zwróć.

– Na pewno tak zrobię – powiedział gorliwie chłopak.

ROZDZIAŁ 16

1939

Nie mam pojęcia, gdzie podziała się Zośka. Policja wciąż jej szuka, Fryderyku – przyznał Józef Małecki, z zakłopotaniem drapiąc się po siwej głowie. Przycisnął mocniej do ucha słuchawkę telefonu, jakby to mogło poprawić jakość połączenia z Sopotem. – Uwierz, bracie, że jest to moją największą troską i robię wszystko, żeby ją znaleźć. Jeśli rzeczywiście uciekła z Wilhelmem, jak by to wynikało z listu, mogą być wszędzie. Nawet w Berlinie.

– Oby nie w Berlinie – westchnął Fryderyk. – Błędem było wysyłanie jej do Warszawy i wcale nie obarczam cię winą. Na pewne rzeczy zwyczajnie nie ma się wpływu, ale przynajmniej tutaj, w Sopocie, zadawałaby się z tym chłopakiem pod naszą kuratelą. Trzeba było wysłać do Warszawy Manię. Szkolnictwo polskie ma się coraz gorzej, a szykany właściwie spotykają tę delikatną dziewczynę na każdym kroku.

– Fryderyku, wyślij Manię jak najszybciej, a ja ją zapiszę do szkoły powszechnej w Warszawie. Szkoda dziecka. I po raz kolejny zapraszam, żebyście przyjechali z Kasią do nas. Miejsce się znajdzie. Co was czeka w Sopocie?

– Właściwie nikt nie wie – westchnął Fryderyk. – Ale to nasz dom, więc niepodobna ot tak go porzucić.

– Zastanów się nad tym dobrze, bracie. Nie dalej jak wczoraj czytałem, że już wyrzucono wszystkich Żydów z Wolnego Miasta, a tylko patrzeć, jak zabiorą się za Polaków. Nasz rząd może sobie zaklinać rzeczywistość, ale prawda jest taka, że Gdańsk należy już do Hitlera i ani Francja, ani Anglia nie zamierzają nic z tym zrobić. Tu bylibyście bezpieczniejsi.

– Sądzę, że Zosia wróci do Sopotu – odparł Fryderyk. – Właśnie dlatego nie możemy ruszyć się stąd o krok, ale masz słuszność co do Mani. Nie jest nawet pewne, czy we wrześniu szkoła będzie działać. Pomówię z Kasią. Mów lepiej, co z Heleną.

– Przebywa na Serbii – powiedział sucho Józef.

– Na Serbii?

– To kobiece oddział Pawiaka, czyli warszawskiego więzienia. Robimy wszystko, żeby ją wydostać.

– Będę się za to modlił, bracie.

Małecki westchnął z rezygnacją i pożegnał się z Fryderykiem. Do domu wrócił najszybciej, jak się dało. Wiedział, że ponownie nadużył życzliwej pomocy Sary, jednak zdawał sobie sprawę, że w jego wieku opieka nad niemowlęciem była sporym wysiłkiem, a on zwyczajnie sobie nie radził. Konrad przysłał swoją gosposię, która wysprzątała mieszkanie na wysoki połysk, poprała wszystko i nawet z rozpędu odkurzyła półki antykwariatu, lecz i tak Józef był śmiertelnie zmęczony. Rozrywający serce strach o ukochaną córkę z pewnością nie pomagał.

Poldek bez zbędnych komentarzy wsiadł do samochodu Konrada. Wcześniej odbył sekretną rozmowę z Moszem Blumanem, który doradził mu całkowitą szczerą. Przy okazji pokazał mu kolejne listy od Janka. Brat, choć klepał biedę, był szczęśliwy. Mosze uściśnął pokrzepiającym gestem ramię Poldka i pokiwał głową.

– Nigdy nie myśl, że ludzie wokół ciebie wiedzą lepiej, jak masz żyć – powiedział poważnie. – Oni widzą siebie i swój punkt widzenia. Nie chcą twojego dobra. Chcą zapewnienia, że twoje postępowanie pasuje do tego, co uważają za słuszne. A jeśli się nie zgadzasz, gotowi są wyśmiać i zadziobać. Dlatego zawsze bądź sobą i walcz o siebie.

– Spora przemowa, panie majster – odparł Poldek, lecz ciepło spojrzawszy na Blumanowi w oczy, po czym serdecznie uściśnął jego dłoń.

Rozmowa dodała mu otuchy i teraz, gdy zerkał na prowadzącego samochód aktora, wykielkowała w nim nadzieja, że wszystko jeszcze da się naprawić, a Helena wyjdzie na wolność. W milczeniu dojechali do kancelarii na Marszałkowskiej.

– Będę z panem absolutnie szczerzy. – Łysiejący, zażywny mecenas w prążkowanym garniturze spojrzawszy na Poldka z powagą. – Jest sprawą niezmiernie istotną, żeby pokazać pannę Helenę jako osobę o nieposzlakowanej opinii, co będzie raczej trudne, zważywszy na fakt, że ma nieślubne dziecko. Wyraził szanowny pan gotowość ratowania panny Heleny za wszelką cenę, prawda?

– Nawet kosztem oczernienia siebie. Jeśli będzie trzeba, to przyznam się do winy – odparł bez wahania Poldek.

– Niechże pan będzie rozsądny. Akurat tego zrobić nie wolno. Złożenie fałszywych zeznań to najprostsza droga do więzienia, a pannie Małeckiej w niczym nie pomoże. Co więcej, sąd może uznać, że byliście współnikami. Inną pomoc mam na myśli. Otóż gdyby pan przyznał się w sądzie do ojcostwa i obiecał łożyć na potomka, a także zaręczył, że zamierza pan uczynić z panny Małeckiej uczciwą kobietę, to z pewnością postawiłoby ją w znacznie lepszym świetle.

– To jest niemożliwe – wtrącił się Konrad. – Pan Malinowski jest mężczyzną żonatym.

– Jeszcze dzisiaj oświadczę żonie, że się rozwodzimy. Ona też tego chce – powiedział twardo Poldek.

– Tego też lepiej nie mówić. Świadkiem oskarżenia jest pański ojciec, więc jeśli wiadomość taka do niego dotrze, stracimy efekt zaskoczenia – wyjaśnił mecenas. – Jeśli rzeczywiście jest pan gotowy na podobną deklarację, musi ona paść z pańskich ust dopiero na rozprawie.

– Jestem gotowy – potwierdził Poldek, choć na myśl o skandalu, jaki wkrótce się rozpęta, zaczął się pocić.

Jak można się było spodziewać, sprawa spotkała się z dużym zainteresowaniem gazet. Na godzinę przed planowaną rozprawą przed monumentalnym budynkiem sądu na Lesznie kręcili się reporterzy i nieco gapiów. Konrad uściśnął ramię Józefa Małeckiego, który odruchowo się cofnął na widok uniesionych w ich stronę aparatów fotograficznych.

– Odwagi, panie Józefie. Z doświadczenia wiem, że są najbardziej natarczywi, gdy wyczują lęk ofiary.

– Jest wuj z nami, wszystko będzie dobrze – dodał pokrzepiająco Michał.

Z podniesionymi głowami weszli do budynku i w przestronnym holu spotkali mecenasa. Stał obok Poldka Malinowskiego i nieco pochyliwszy się w jego stronę, przekazywał mu najnowsze instrukcje. Ten skinął krótko głową, po czym odszedł pospiesznie.

Pora była ku temu najwyższa, bowiem do środka wkroczył Apoloniusz.

– Najchętniej ubiłbym sukinsyna własnymi rękoma – szepnął Michał głosem przesyconym nienawiścią.

– Z rozkoszą bym się dołączył – zgodził się Konrad. – Nigdzie nie widzę Ignacego. Czyżby mecenasowi, pomimo zapewnień, nie udało się go ściągnąć? – dodał z niepokojem.

– Pojawi się. Nie może się nie stawić – uspokoił go Józef Małecki. On z kolei rozglądał się za Heleną. Od czasu aresztowania minęły prawie dwa tygodnie, a on nie widział jej ani razu.

– Musimy iść na salę – ponaglił Konrad, zerkając na zegarek.

Józef Małecki szedł wykładanym kamieniem korytarzem podtrzymywanym przez masywne kolumny, lecz nawet nie zwrócił uwagi na eleganckie wnętrza. Już w sali rozpraw usiadł na wskazanej przez Konrada ławce i z zaciśniętymi szczękami obserwował otoczenie. Ledwie zauważył, że Poldek usiadł tuż obok nich. Z kolei Apoloniusz Malinowski, nie zaszczyciwszy syna nawet spojrzeniem, przedfilował środkiem i zajął miejsce po przeciwnej stronie pomieszczenia.

– Jest i Helena – szepnął Małeckiemu do ucha Michał. – Nie wygląda źle – próbował go pocieszyć.

Wbrew jego słowom dziewczyna była bardzo blada, choć dumnie wyprostowana, a na potrzeby jawnego procesu schludnie uczesana i ubrana w porządną sukienkę. Stała spokojnie, gdy strażnik zdjął z jej szczupłych nadgarstków kajdanki i lekko popchnął w stronę ławy oskarżonych. Gdy tylko usiadła, natychmiast wyłowiła ojca spojrzeniem i uśmiechnęła się uspokajająco.

Poldek zagapił się na Helenę i po raz kolejny dodał sobie animuszu. Był gotów na wszystko, żeby ochronić dziewczynę. Oczekiwał wezwania do złożenia zeznań, lecz nic takiego nie nastąpiło.

– Niech pan poczeka – mecenas wychylił się zza Konrada i uśmiechnął pokrzepiająco. – Nasza kolej zaraz przyjdzie.

– Wzywam świadka Ignacego Wernera – oświadczył woźny.

– Nie tak miało być – szepnął Konrad.

– Na kolejność składania zeznań nie mamy żadnego wpływu – odparł mecenas.

Konrad spojrział na brata, który przeszedł sprężystym krokiem przez salę. Miał na sobie mundur marynarki i prezentował się wręcz zjawiskowo.

– Co może pan powiedzieć na temat wydarzeń z osiemnastego lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku? – zapytał sędzia.

Ignacy powiódł spojrzeniem po zgromadzonych. Zauważył Konrada, lecz natychmiast odwrócił wzrok. Wiedział, że jeśli nie zaatakuje od razu, obrona zacznie wyciągać brudy z jego przeszłości. Marzył jedynie o tym, żeby wrócić do Gdyni i poczuć kołysanie morza. I był gotów zrobić absolutnie wszystko, żeby to osiągnąć.

– Helena Małecka zamordowała Stanisława Krzemienieckiego – odparł. – Bóg mi świadkiem. Taka jest prawda.

Przez salę przebiegł szmer oburzenia, lecz sędzia nakazał spokój.

– Zabiję skurwysyna – wysyczał Konrad.

Michał chwycił dłoń wuja Józefa i ścisnął mocno.

Podczas przerwy Poldek podszedł do mecenasa z gniewnym obliczem.

– Co to ma być? – wrzasnął, nie bacząc na gapiów.

– Jeszcze my będziemy zeznawać – odparł niepewnym głosem prawnik.

– Gówno tam będziemy zeznawać – wciął się do rozmowy Michał. – Zrobią z tego pokazówkę. Jak to niby sanacja dba o demokrację i martwy socjalista może liczyć na sprawiedliwy wyrok, nieprawdaż? A to, że cała ta farsa jest stekiem bzdur, zupełnie nie ma znaczenia. Ważne, że w gazetach będzie wiadomość, że ukarano napastniczkę i demokracji stało się zadość. Proszę powiedzieć, że nie mam racji!

– Trochę pan masz – zmieszał się mecenas. – Nie miałem pojęcia, że tak się to potoczy.

– Nie jesteś pan wart moich pieniędzy – powiedział Konrad. – Ale dam więcej, jeśli na szybko wymyślimy jakiś plan.

– Niech pan zachowa pieniądze na paczki – odparł ponuro mecenas. – Sądzę, że nic nie da się zrobić.

– Jezu Chryste – jęknął Józef Małecki.

Kolejny kwadrans pokazał im, że życie w zaledwie kilka chwil może stać się koszmarem. Po obciążających zeznaniach Apoloniusza Malinowskiego na sali zapanowała cisza.

– Sąd zapoznał się już z tak obszernym materiałem dowodowym, że nie ma powodu do dalszych przesłuchań. Helenę Małecką uznaje się za winną zarzucanego czynu i wyznacza karę piętnastu lat pozbawienia wolności. Skazana odbędzie karę w kobiecym więzieniu Fordon w Bydgoszczy. Rozprawa zamknięta – oświadczył sędzia.

Poldek zamarł z niedowierzania. Przez twarz Heleny przebiegł grymas, lecz nie pozwoliła sobie na żadną histerię. Wstała bez protestu i nie oponowała, gdy strażnik ponownie zakuł ją w kajdany. Posłała ojcu zrozpaczone spojrzenie, a ten siedział oniemiały, niezdolny do wykonania najdrobniejszego gestu.

– Przecież to niemożliwe! – Poldek nie wytrzymał napięcia i poderwał się na równe nogi. – Helena jest niewinna! – wrzasnął. – To moja wina, mnie zamknijcie.

Konrad objął Poldka ramieniem i próbował skłonić, żeby usiadł na ławce. Dokładnie w tej samej chwili Apoloniusz Malinowski wysłał synowi piorunujące spojrzenie. Pod wąsem błąkał mu się triumfalny uśmieszek.

– Poldek, nie warto się awanturować w sądzie. Areszt mogą wlepić – szepnął Michał, próbując pociągnąć go z drugiej strony na siedzenie. – Nie złożymy broni, ale nie daj się głupio sprowokować – przekonywał półgłosem.

– Nie rozumiesz, Konradzie? To już koniec – odparł schrypniętym ze zdenerwowania głosem Poldek. – Helena zgnije w więzieniu i nic nie odmieni jej losu.

– Chodźmy, wuju – powiedział łagodnie Michał do Małeckiego. Zgarbiony antykwariusz wyglądał, jakby przez ostatnią godzinę postarzał się o dziesięć lat. Obojętny na wszystko dał się sprowadzić po schodach do stojącego nieopodal samochodu.

Paulina siedziała w jadalni mieszkania na Solcu i apatycznie patrzyła na duży portret swojej zmarłej teściowej. Nigdy nie poznała Eleonory Malinowskiej. Z obrazu spoglądała na nią kobieta w średnim wieku, gładko uczesana w kok i z poważną miną. Czy była niegdyś szczęśliwa? Na to pytanie Paulina nie знаła odpowiedzi, lecz z pewnością dla niej także życie w tym domu mogło być wyzwaniem. Apoloniusz nie był łatwym człowiekiem, choć ku ogromnemu zdumieniu Pauliny, po jej powrocie ze szpitala w Otwocku odnosił się do niej serdecznie i zawsze łagodnie. Z Poldkiem właściwie nie rozmawiała. Ot, zdawkowe półsłówka przy wspólnych posiłkach.

Czy tak miała wyglądać reszta jej życia? Pisane jej było spędzić je w tym ponurym domu wśród ludzi, których kompletnie nie obchodziła? Najgorsze w tym wszystkim było to, że darzyła Poldka skrytą, przepojoną rozpaczą i nieodwzajemnioną miłością. Paulina uważała, że gdyby pozwolono im się rozejść, z czasem zapomniwałyby o mężu i nauczyła się żyć na nowo. Przebywanie pod jednym dachem z mężczyzną, który jej nie chciał, przygnębiało jeszcze bardziej.

Paradoksalnie, miesiące spędzone w szpitalu, z dala od kamienicy Malinowskich, stanowiły najjaśniejszy czas jej małżeńskiego życia. Już choćby to było niezaprzeczalnym dowodem, że związek jest nieszczęśliwy. Tylko co dalej?

Na dodatek Paulinę pociągał mrok. Patrzyła na portret zmarłej, a w jej sercu rosło pragnienie, żeby być na jej miejscu, w cichej trumnie na Powązkach. Lekarz mówił, że cierpi na melancholię, a z nią można żyć. Lecz co, jeśli Paulina nie chciała żyć?

Odsunęła od siebie filiżankę z ostygłą już herbatą i wstała od stołu. Nie bez trudu przesunęła masywne krzesło pod okno. W domu była sama, więc nie zaprzętała sobie głowy hałasem.

– Miejsmy to wreszcie z głowy – westchnęła ciężko i weszła na siedzenie krzesła. Otworzyła okno na oścież i chwyciwszy się ramy, usiadła na parapecie. Letni dzień był piękny, bardzo słoneczny, a delikatny wiatr przesunął po lazurowym niebie małe białe obłoczki. Po widocznej z czwartego piętra ulicy Solec spacerowali ludzie.

Paulina spojrzała w dół na brukowany dziedziniec i zakręciło jej się w głowie. Odruchowo przytrzymała się mocno framugi okiennej. Stwierdziła, że jeśli ma się odepchnąć, nie może patrzeć w dół, bo nigdy nie przełamie naturalnego łęku. Zapatrzyła się na dachy kamienic po przeciwnej stronie ulicy, odetchnęła głęboko i powoli położyła dłonie na kolanach. W tej samej chwili czyjeś silne ręce objęły ją w pasie i szarpnęły mocno do tyłu. Chciała się wyrwać, lecz nie zdołała.

– Nie szarp się! – usłyszała głos Poldka. Mąż wciągnął ją do mieszkania i wraz z nią osunął się na dywan. Nawet teraz jej nie wypuścił, tylko obróciwszy do siebie, przyciskał do szerokiej piersi z całej siły. – Coś ty chciała zrobić, dziewczyno? – zapytał z przerażeniem. – Masz przed sobą całe życie, jesteś młoda. Wszystko się ułoży, rozumiesz? – tłumaczył gorączkowo, mechanicznie gładząc ją po włosach.

– Nie mam po co żyć – wyszlochała w jego koszulę.

– To nieprawda. Masz rodziców, siostrę i masz mnie. Nigdy nie pozwolę, żeby stała ci się jakaś krzywda! Tylko nie rób takich rzeczy. Paulino, życie jest tylko jedno.

– Ja nawet nie potrafię powołać na świat nowego istnienia. Co ze mnie za żona? Nie dziwię się, że nie chcesz na mnie nawet spojrzeć – powiedziała z goryczą. – I już raczej nigdy nie będę mogła. Doktor Gutman powiedział...

– To jest zupełnie nieważne, co powiedział. Myśl o sobie. Co za głupstwo, żeby się martwić w tej chwili jego słowami. Nie pozwolę ci tak skończyć. – Chwycił jej twarz w dłonie i poważnie spojrzał jej w oczy. – Zrobię wszystko, żebyś odzyskała chęć życia.

Uspokojona Paulina pozwoliła się zaprowadzić do łóżka. Poldek nakrył ją kocem i usiadł obok na krześle. Trzymał ją za rękę, dopóki nie usnęła. Dopiero wtedy wyszedł po cichu z pokoju. Ostatnie przeżycia kompletnie go rozbiły. Prawdę powiedziawszy, po tym, jak do niego dotarło, że własny ojciec zniszczył Helenie życie, najchętniej usiadłby obok Pauliny na oknie i skoczył razem z nią. Nie potrafił nawet sobie odpowiedzieć na pytanie, czy bardziej czuje żal, czy wstyd. Kiedy zaczynał sobie wyobrażać, co musi czuć Helena, gardło natychmiast się zaciskało, a do oczu podchodziły łzy.

– Już dobrze, dobrze, dziecinko. – Józef Małecki trzymał płaczącego wnuka w ramionach i delikatnie kołysał.

Po kolejnej nieprzespanej nocy antykwariusz ledwie się trzymał na nogach. Nie miał na nic siły, a gdy udawało mu się zapaść w niespokojną drzemkę, natychmiast zaczynała mu się śnić Helena. Minął już tydzień od rozprawy, a on nadal nie miał żadnych wiadomości od córki. Czy pozwoli mu pojechać na widzenie? Czy będzie mogła napisać list? On wysłał już dwa na adres fordońskiego więzienia dla kobiet, lecz oczywiście nie miał pojęcia, czy dotarły. Wiedział, że dopóki wnuk jest mały, on nie ma nawet jak pojechać w daleką podróż, żeby czegokolwiek dowiedzieć się na miejscu.

Rano przyszła Sara i spojrzała na szwagra współczująco. W mieszkaniu ponownie panował nieporządek. W kuchni niestarta plama mleka zaczęła już wydzielać kwaśny odór.

– Daj mi małego – ulitowała się nad Józefem. – A sam się przebierz, bo na metr czuć od ciebie niemowlęce wymioty. – Skrzywiła się. – Czy ty coś w ogóle jadłeś? Wyglądasz strasznie, mój drogi.

– Jak wiesz, mam powody, Saro – odparł ze znużeniem.

– Masz, wszyscy mamy. Choć jeśli mam być szczerą, to największe ma Helena, więc nie użalaj się nad sobą, bo to nikomu w niczym nie pomoże. Co to za list? – zainteresowała się nagle, patrząc na kartkę leżącą na nocnym stoliku przy łóżku Heli. – Czyżby odezwała się wreszcie twoja wiarołomna siostrzenica?

– To własność Heleny. Została tak od dnia, gdy zabrała ją policja. A ja nie dotykam jej rzeczy – wyjaśnił.

– Kiedyś będziesz musiał – skwitowała rzeczowo.

– Ale jeszcze nie teraz. – Choć starał się jej nie okazywać, w głosie Józefa dało się usłyszeć irytację.

– A co z Zośką? Wiadomo coś?

– Zupełnie nic. Kolejny kłopot, na który nic nie potrafię poradzić.

– Józefie, zdajesz sobie sprawę, że ta sytuacja nie może trwać w nieskończoność? Nie możesz sam zajmować się dzieckiem.

– A cóż innego mam uczynić?

– Tego nie wiem, lecz nie dasz rady sam wychować małego. Starzejesz się.

– Nie planuję wychować go sam. Zwyczajnie czekam, aż wróci jego matka – odparł.

– Czy ty siebie słyszysz, Józefie? Helena nie wróci tu przez piętnaście lat. A ty nie młodniejesz. Ja też nie. Pomogę, ile będę miała siły, lecz to też nie potrwa wiecznie. Mój ojciec okropnie się postarzał. Jak sądzisz, kto będzie musiał go pielęgnować, gdy całkiem zniedołężnieje?

– Pan Konrad deklarował wszelką pomoc – uczeplił się nadziei antykwariusz.

– On zaraz opuszcza Polskę. Ale na twoim miejscu porozmawiałabym z nim. To wpływowy człowiek. I niegłupi. Może znajdzie jakieś dobre rozwiązanie tej niełatwej sytuacji.

Małecki wiedział, że Sara mówi mądrze. Choć miał pewne opory, by znów zawracać głowę rozchwytywanemu aktorowi, na dokładkę zajętemu organizowaniem wyprowadzki, przemógł się i zadzwonił do niego od sąsiada jeszcze tego samego dnia. Konrad pojawił się w antykwariacie godzinę później.

– Wkrótce przyjedzie też Michał – zapowiedział od progu. – Nie mógł wcześniej urwać się z dyżuru. Jak się miewa mały Polduś?

– Dzięki Bogu trochę mu przeszły te okropne kolki. Śpi.

– To dobrze. – Konrad odruchowo ściszył głos. – W czym mogę pomóc, panie Józefie? A może są jakieś wieści od Heleny? – zapytał z nadzieją.

– Wciąż żadnych – zmarkotniał Małecki. – Za to była matka Michała. Jak to kobieta, musiała pogderać i obsztorcować mnie solidnie, lecz ma wiele racji. Uświadomiła mi, że nie jestem w stanie sam wychować dziecka. Wszyscy myśleliśmy, że to tylko na chwilę, a prawda jest taka, że... – Józefowi załamał się głos.

– Piętnaście lat to szmat czasu – przyznał smutno Konrad. – Ja mogę się zająć małym. Usynowię go – zadeklarował. – Jeśli tylko prawo na to pozwala, ożenię się z Heleną w więzieniu. Już kiedyś deklarowałem chęć, lecz się nie zgodziła.

– To bardzo szlachetne, lecz przecież zaraz wyjeżdżacie z Michałem. Na obczyźnie na pewno nie będzie wam łatwo. Gdzież

jeszcze do tego dziecko?

– Zatem zostaniemy. Michał jakoś to przeboleje. Jestem to winny Helenie. Gdyby nie Ignacy, nie siedziałyby teraz w więzieniu.

– Jeśli ktokolwiek tu zawinął, to jedynie Ignacy. Jest dorosłym człowiekiem. Nie możesz za niego wiecznie odpowiadać i brać na siebie jego winy. Masz swoje życie. Michał także. Poza tym pamiętaj jeszcze o jednej sprawie. Jak chcesz usynowić Poldusia, skoro on ma ojca?

– Cóż zatem robić? – stropił się Konrad.

– Właśnie tego nie wiem.

Rozwiązanie kłopotu przyszło z najmniej oczekiwanej strony. Dwa dni później do antykwariatu przyszedł list od Heleny. Rozradowany Małecki rozerwał kopertę drżącymi dłońmi, nawet nie zwracając sobie głowy szukaniem noża do listów. Rozprostował kartkę i zaczął gorączkowo czytać.

Fordon, 28 lipca 1939 roku

Najdroższy ojcze!

Pozwolono mi napisać list, więc czym prędzej kreślę kilka słów. Czuję się dobrze i nie dzieje mi się krzywda. Niech ojciec nie martwi się więc o mnie. Dowiedziałam się, że do mnie też można pisać. Wkrótce będą też możliwe odwiedziny. Mój kochany ojcze, jest mi tak okropnie przykro, że zawiodłam. Zawsze chciałam, żeby ojciec był ze mnie dumny. Tęsknię za naszym wspólnym życiem w zacisznym antykwariacie i za małym Poldusiem. Czy mógłby ojciec napisać w paru słowach, jak rozwija się dziecko? A może przesać jego i swoją fotografię? Oczywiście jeśli to nie za duża fatyga.

Długo myślałam, co zrobić z tym całym galimatiasem. O siebie się nie martwię. Pogodziłam się z losem, choć nigdy nie przestanę myśleć, że ten obszedł się ze mną niesprawiedliwie.

– Sukinsyn Malinowski obszedł się z tobą niesprawiedliwie – burknął do siebie Józef.

Prawda jest jednak taka, że spędzę tu długie piętnaście lat. To szmat czasu. Choć serce pęka mi z rozpaczy, podjęłam pewną decyzję. Skupiam się wyłącznie na dobru dziecka. Trzeba małego niezwłocznie oddać ojcu na wychowanie. Staram się nie myśleć

o tym, że to jak przyznanie staremu Malinowskiemu lauru zwycięstwa. Najważniejsze jest szczęście Poldusia. Ma szansę wychować się w pełnej rodzinie pod okiem ojca. Żona Poldka nie jest złą kobietą. Poznałam ją i nie zrobiła na mnie odpychającego wrażenia. Mnie kochać nie musi, zresztą jak by mogła? Jestem tą trzecią, która wtrąciła się w jej małżeństwo. Nie winię jej za nic, a właściwie nawet winna jej jestem przeprosiny. Jakiś czas temu straciła dziecko. Jestem przekonana, że otoczy Poldusia macierzyńską opieką. Oczywiście gdy już pogodzi się z tym, że jej mąż miał romans z inną kobietą. Choć serce rozdziera mi się na myśl o tym wszystkim, uważam, że to dobra decyzja także z tego względu, że ojciec ma prawo do spokoju i wypoczynku. Proszę tylko, żeby ojciec zobowiązał Poldka do odwiedzin z dzieckiem w antykwariacie. Zależy mi szczególnie, żeby małży nie zerwał z naszą rodziną.

Nie spodziewałam się, że moje życie potoczy się w takim kierunku, ale ono, jak wiemy, lubi zaskakiwać. Przytulam ojca z całych sił i marzę o chwili, gdy będzie nam dane znów się zobaczyć.

Helena

Józef Małecki złożył starannie kartkę na czworo i wsunął do szuflady pod stolikiem. Oparł się o wersalkę. Patrzył w sufit, myśląc intensywnie. W pierwszej chwili uznał pomysł Heleny za przyznanie się do porażki i przyczynę do triumfu starego Malinowskiego, lecz uznał, że zachowuje się małostkowo. Skoro Hela potrafiła wznieść się ponad nienawiść i myśleć przede wszystkim o losie małego Poldusia, zatem i on powinien zrozumieć, że dla dziecka to najszcześniejsze rozwiązanie w obecnej sytuacji. Zupełnie nie zmieniało to odczuć antykwariusza, który najchętniej utopiłby Malinowskiego w łyżce wody. Dokładnie to samo pomyślał o polskim prawodawstwie. Sanacyjni władarze bawili się na rautach, oderwani od zwyczajnych ludzkich spraw, i jedyne, co ich interesowało, to zachowywanie pozorów. Piękna armia, cudowne parady, flagi na każdym rogu budynku i entuzjastyczne artykuły w prasie. Sprawiedliwość dla Heleny nie miała szans w zderzeniu z kolejnymi idiotycznymi doniesieniami z celebrowania Dni Morza i artykułami

o wypoczynku młodzieży na koloniach i obozach. Sukces pełną gębą.

Józef Małecki sprawdził, czy dziecko śpi. Podeszedł do kołyski i pogłaskał pogodną buzię. Kochał to istnienie całą duszą, lecz wiedział, że Helena ma rację. Wspiął się na piętro kamienicy i zapukał do drzwi sąsiada. Uchyliły się natychmiast.

– Dobry wieczór, panie Józefie – przywitała go serdecznie mecenasowa Mirowska. – Zapraszam. Mąż słucha koncertu w radiu, więc jeśli ma pan ochotę dołączyć...

– Serdecznie dziękuję, pani sąsiadko, lecz zostawiłem niemowlę na parterze i jeśli to nie kłopot, chciałbym ponownie zatelefonować.

– Zapraszam zatem do gabinetu. – Gospodyni spojrzała ciepło na antykwariusza. – Proszę dzwonić, gdzie tylko szanownemu panu potrzeba.

Z salonu dobiegły dźwięki skrzypiec, a Małecki zdziwił się, jak bardzo technika posunęła się do przodu. Nie miał radia, więc rozbrzmiewająca w mieszkaniu muzyka wywarła na nim ogromne wrażenie.

– Dziękuję, pani mecenasowo. Ratujecie mnie znów, drodzy państwo.

– Drobiazg, drogi sąsiedzie – uśmiechnęła się sąsiadka. – Mam nadzieję, że wszystko z Heleną ułoży się po myśli. My z Ryszardem nie wierzymy w jej winę. Pańska córka jest mądrą dziewczyną. Znamy ją od dziecka. Co za nieszczęście dotknęło naszą kamienicę i szanownego pana.

Małecki podniósł słuchawkę telefonu, po czym wybrał numer Malinowskich. Nawet się nie zastanawiał, kto odbierze, lecz cudownym zrzędzeniem losu był to Poldek. Pomimo szumów w słuchawce antykwariusz rozpoznał go od razu.

– Halo! Poldek?

– W rzeczy samej, z kim mam przyjemność?

– Józef Małecki.

– Panie Józefie!

– Poldek, przyjdź jutro na Zgodę – polecił antykwariusz i odłożył słuchawkę, nie czekając na odpowiedź. Nie do końca wiedział, czy przekaz dotarł do chłopaka, lecz nie chciał przedłużyć połączenia.

Wyjął z kieszeni pięćdziesiąt groszy i położył na komódce. Sąsiedzi zawsze wzbraniali się przed braniem pieniędzy, lecz Małecki doskonale wiedział, że nie dzwoni się za darmo.

– Jeśli skończył pan rozmowę, to serdecznie zapraszamy na koncert radiowy. *Cztery pory roku* Vivaldiego dzisiaj nadają – ponowiła zaproszenie mecenasowa.

– Serdecznie dziękuję szanownej pani, lecz muszę do dziecka...
– odparł antykwariusz.

– Nasze drzwi są zawsze otwarte dla pana.

– I za to serdecznie pani mecenasowej dziękuję – odparł szarmancko Józef. Ucałował upierścienioną dłoń sąsiadki, po czym pospiesznie zszedł do antykwariatu. Odetchnął z ulgą, widząc, że niemowlę smacznie śpi.

Położył się na łóżku Heleny i natychmiast zasnął.

Poldek Malinowski patrzył na Małeckiego, a w jego oczach malowało się niedowierzanie. W staromodnym słomianym kapeluszu na głowie wyglądał głupkowato, lecz antykwariusz zachował to spostrzeżenie dla siebie.

– Ot tak chce pan oddać dziecko mnie i mojej żonie na wychowanie? – wyjąkał wreszcie.

– To nie moja wola. – Antykwariusz wręczył mu list od Heleny. – Akceptujesz warunki? – zapytał, gdy Poldek skończył czytać.

– Tak, oczywiście. Umówimy się na konkretny dzień tygodnia i będę przychodził na Zgodę.

– Zatem możesz wziąć małego nawet teraz. Nie ma sensu przeciągać nieuchronnego rozstawania. Spakuję wyprawkę.

– Nie trzeba, panie Józefie. Pan wszystko może sprzedać, a pieniądze na pewno się przydadzą. Ot choćby żeby przesłać Helenie. Mojej żonie z kolei kupno dziecięcej wyprawki na pewno sprawi przyjemność.

Pół godziny później, kompletnie oszołomiony, wyszedł z antykwariatu z dzieckiem na rękach. Niemowlę spało, ufnie wtulone w opiekuna, a Poldek poczuł rozrzewnienie pomieszane z ogromnymi wyrzutami sumienia. To prawda, cieszył się, że może być przy synu, a także z tego, że Paulina teraz z pewnością nabierze

chęci do życia. Jednakże cena, jaką za to wszystko płaciła Helena, była straszna. Poldek nie mógł sobie darować, że to wszystko tak się potoczyło. Nieraz nachodził mecenasa, lecz ten tylko rozkładał ręce i mówił, że nic nie da się zrobić. Konrad także niczego nie wskórał, chociaż zapewniał, że próbował pociągać za różne sznurki.

Zamyślony Poldek ruszył w stronę skrzyżowania Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi. Gdy przechodził przez przejście dla pieszych, kątem oka zauważył mężczyznę podnoszącego aparat fotograficzny. Nie był to z pewnością uliczny lajkarz, bowiem nie zasadził się na konkretnego przechodnia, lecz miał zamiar zdjąć szerokie ujęcie skrzyżowania. Dziecko zakwiliło cicho, więc Poldek natychmiast stracił zainteresowanie fotografem. Przyspieszył kroku, żeby jak najszybciej dotrzeć na przystanek tramwajowy. Uznał, że tak bezpieczniej dostanie się do domu.

ROZDZIAŁ 17

1939

Koniec sierpnia przyniósł kolejne niepokoje. Niemcy podburzali Słowację przeciwko Polsce, jednocześnie wprowadzając na teren sąsiadów coraz większą liczbę wojska. Gazety zgodnie mówiły o okupacji i bezwzględnych metodach niemieckich. Coraz częściej pojawiały się przypuszczenia, że problemu Hitlera, którego apetyt na zagrabianie kolejnych obszarów Europy wydawał się nieposkromiony, nie da się już załatwić polubownie. Z drugiej strony starano się nie poddawać panice, a numer jednego z dzienników rzymskich skonfiskowano za podanie na pierwszej stronie słowa „wojna” ze znakiem zapytania.

Z kolei prasa warszawska całkiem otwarcie nazywała pakt między hitlerowskimi Niemcami i Stalinem nieudany spisek Ribbentropa. Co nie zmieniało faktu, z jakim napięciem słuchano przemów angielskiego premiera. Chamberlain podkreślał wielokrotnie, że wszyscy powinni być w stałej gotowości. Na terenie całej Polski policja likwidowała nielegalne składy broni niemieckiej, a przy granicy kręciło się coraz więcej hitlerowskich dywersantów. Niektórzy poczynali sobie bezczelnie, wpadając na teren Rzeczypospolitej, obrzucając granatami budynki i doprowadzając do regularnych strzelanin ze strażą graniczną i polskim wojskiem. W Warszawie trwała akcja kopania rowów przeciwlotniczych, nawet wdowa po marszałku Piłsudskim wzięła w niej udział na terenie parku Ujazdowskiego. Po skończonych pracach rowy miały być wykończone ściankami oporowymi, wyposażone w ustępy, a następnie pokryte deskami i zasypane ziemią.

Jednak nie widmo wojny ani akcja kopania rowów poruszyły mieszkańców Warszawy najbardziej, tylko zakaz sprzedaży trunków z wyższą niż 4,5 procent zawartością alkoholu.

Konrad domknął walizkę i wystawił ją do przedpokoju. Omiótł spojrzeniem mieszkanie. Nie zdecydował się na jego wynajem i nawet nie był pewien, dlaczego odrzuca podobną możliwość. Umówił się z gospożą, że ta będzie tu czasem zaglądać. Już

wczoraj pożegnał się z nią, na odchodne wręczając klucze i kopertę z pieniędzmi.

– Wzdychasz tak ciężko, jakbyś żałował wyjazdu – powiedział Michał, wchodząc do pokoju. Od czasu, gdy Ignacy uciekł na Wybrzeże, był w mokotowskim mieszkaniu częstym gościem.

– Nie żałuję. Prawdę mówiąc, odetchnę z ulgą, gdy wreszcie uda nam się przedostać do Paryża. Tutaj wojna wisi na włosku.

– Spekulantów nic już nie odstrasza od zawyżania cen w sklepach. Nawet wizja skazania na obóz w Berezie Kartuskiej czy areszt. Jest coraz gorzej. Byłbym spokojniejszy, gdyby moja matka jechała razem z nami.

– Wiem – odparł Konrad. – Może jeszcze uda się ją namówić? Pociąg dopiero jutro. Przecież Sara jest mądrą kobietą i widzi, co się dzieje.

– Rozmawiałem już z nią. Jest głucha na wszelkie argumenty.

– Do grudnia nie zostało wiele czasu. Przyjedzie – pocieszył go Konrad.

– Sądzę, że do wojny zostało jeszcze mniej. Gdy szedłem Rakowiecką, widziałem obwieszczenie o powszechnej mobilizacji. A tym, co niepokoi mnie najbardziej, jest to, że zarówno prawicowe, jak i lewicowe gazety od paru dni gadają jednym głosem.

– A jak wiemy, Polacy jednoczą się tylko po to, żeby stawić czoła wspólnemu wrogowi. Trudno mi wyjeżdżać i zostawiać Helenę w więzieniu... – wyznał nagle.

– Konradzie, zrobiłeś, co mogłeś. Nawet więcej, niż nakazywał rozsądek. Musimy się pogodzić z tym, że nie na wszystko mamy wpływ. Serce mi pęka na myśl o Heli. Dzielna, szlachetna dziewczyna. Nawet w tak trudnym położeniu zadbała przede wszystkim o dobro Poldusia.

– Złości mnie to, że nie nam powierzyła opiekę na nim.

– Nie nam osądzać tę decyzję. A z pewnością musimy ją uszanować – odparł Michał.

– Napisałem do niej – powiedział Konrad. – Nie wszystko mogłem wyznać, bo przecież cenzura czyta wnikliwie każdą linijkę, lecz przeprosiłem, że nie zdołałem zrobić więcej. Gdybym dorwał Ignacego...

– Nie zmusiłbyś go do zmiany zeznań, przecież dobrze o tym wiesz. Jest bardzo uparty i... – Zakłopotany Michał umilkł.

– Tchórzliwy, podły, bez honoru i po prostu zły? Ja już nie mam brata. Dla mnie umarł na zawsze.

Ciszę spokojnej pogodnej nocy zakłóciło gwałtowne łomotanie do drzwi. W Sopocie działy się ostatnio rzeczy niewyobrażalne. Polaków zwalniano z pracy, aresztowani robotnicy znikali bez śladu, a rodziny wyrzucano na bruk z ich własnych mieszkań. Hitlerowcy przejęli miasto i nawet nikt już nie próbował udawać, że jest inaczej. Dzieciom zamiast powrotu do szkoły ogłoszono nadzwyczajne ferie. Trudno się więc dziwić, że stryjenka Kasia gwałtownie poderwała się z łóżka.

– Fryderyku, obudź się! Chyba i po nas idą – szepnęła, szarpiąc męża za ramię.

– Uspokój się i ubierz się jak najszybciej, a potem biegnij na górę do Mani. – Mężczyzna natychmiast oprzytomniał. Wciągnął spodnie i koszulę, po czym poszedł do zaryglowanych na wszystkie zamki drzwi wejściowych. Łomotanie rozległo się ponownie. Otworzył zdenerwowany.

– Zośka? – powiedział zdumiony. Na progu stała jego córka, lecz w niczym nie przypominała tej radosnej, choć krnąbrnej dziewczyny, która przepadła bez wieści kilka miesięcy temu. Miała potargane włosy, rozciętą wargę i podbite oczy. Otulała się podartą sukienką w kolorowe kwiaty. Na nogach nie miała butów. – Jezus Maria, córeczko, co się stało? – Nie czekając na odpowiedź, wciągnął dziewczynę do środka i natychmiast zatrzasnął drzwi. – Kto ci to zrobił? – zapytał, zaciskając z całej siły szczękę.

– Wilhelm – odparła cicho.

Fryderyk zaprowadził córkę do kuchni i posadził na stołku. Moką chustką delikatnie otarł krew z jej ust i brody.

– Zabiję skurwysyna – oświadczył, nie bacząc na słowa.

Do kuchni wpadła Kasia i od progu załamała rękę. Lamentując pod niebiosa, zaparzyła herbaty i postawiła przed Zosią parujący kubek.

– Po cóż jej herbata, przecież oparzy obolałe usta – zdziwił się Fryderyk.

– Co się stało, moje dziecko? Gdzieś ty się podziewała? – zapytała, ignorując męża.

– Wilhelm przyjechał po mnie do Warszawy – powiedziała skruszonym tonem. – Wróciliśmy tutaj, lecz zatrzymaliśmy się w Gdańsku, gdzie stacjonuje jego oddział. Na początku wszystko było dobrze. Wyznawał miłość, przynosił kwiaty. Ja wiem, że on mnie kocha! Tylko przez to wszystko, co dzieje się w Wolnym Mieście, traci cierpliwość.

– Nie broń go, córko – przerwała jej ostro Kasia. – Nic nie usprawiedliwia takiego traktowania. Jak uciekłaś?

– Przyjechaliśmy wczoraj do jego rodziców. Zdenerwował się, bo pokłócił się z siostrą, i potem...

– Wyżył się na tobie. Nie daruję Hermanowi, że zataił twoją obecność przede mną. Miałem go zawsze za porządnego człowieka – wściekły Fryderyk wstał z kuchennego krzesła i zaczął się nerwowo przechadzać po przestronnym pomieszczeniu. Towarzyszyło temu irytujące skrzypienie bielonych podłogowych desek.

– To tylko kilka domów dalej – szepnęła Mania, stając w drzwiach. Była kompletnie ubrana do wyjścia, a w rękę trzymała walizkę. – Lepiej się pospieszcie. Tutaj już nie działają przecież żadne prawa.

Fryderyk Małeckie obrzucił młodszą córkę baczny spojrzeniem.

– Mania dobrze mówi. Jeśli za chwilę nie opuścimy domu, będzie po nas – powiedział. – Wyrzucają wszystkich Polaków, my już dawno powinniśmy wyjechać. Helena miała rację. A jeśli do tego dojdzie jeszcze rozsierdzony hitlerowski bandyta z urażoną dumą, znikniemy w tajemniczych okolicznościach, jak wielu sąsiadów.

Sierpniowa noc miała się ku końcowi, gdy czteroosobowa rodzina, niosąca jedynie niewielkie walizki, udała się pieszo na stację kolejową. Kasia naprędce upudrowała posiniaczoną twarz Zosi, lecz i tak dziewczyna wyglądała podejrzanie.

– Prawda jest taka, że już dawno trzeba było stąd uciekać – powtarzał Fryderyk. – Teraz linie telefoniczne prawie nie działają.

Połączenie z Polską granaczyłoby pewnie z cudem. Nawet nie mam jak porozumieć się z Józefem, że jedziemy do Warszawy.

– Gdybyśmy nie poczekali, wówczas Zosia nigdy by nas nie znalazła – odparła Kasia. – A Józefem nie zaprzataj sobie głowy. Wjedziemy do Polski i wtedy nadamy telegram. Teraz najważniejsze, żeby dostać bilety na pociąg.

Sopocki dworzec kolejowy sprawiał przygnębiające wrażenie. Nie było już nawet śladu po polskiej załodze kolei, którą w większości aresztowano, a czerwone flagi ze swastyką łopotały złowieszczo na wietrze. Barw Wolnego Miasta nie widziało się wcale.

Ku zdumieniu Fryderyka do kasy nikt jeszcze nie stał, więc bilety udało się kupić bez kłopotu. Mania marudziła, że potrzebuje do ustępu, lecz matka zabroniła jej się oddalać.

– Wytrzymasz. Do Tczewa nie jest daleko – odparła. – Najważniejsze trzymać się razem. I ani słowa po polsku – ostrzegła, przechodząc na niemiecki.

– Matka ma rację. Idziemy – uciął lamentsy Małecki i zagonił stadko na peron.

Ptaki rozpoczęły już poranne harce, słońce leniwie wznosiło się nad linię drzew, a jemu przyszło do głowy, że niezależnie od tego, jak bardzo ludzie chcą uczynić sobie piekło na ziemi, natura niewzruszenie pokazuje im dzień po dniu swoje piękno i majestat. Zadumał się nad tym, lecz szybko skupił się na bieżących sprawach.

Pociąg wtoczył się z gwizdem na peron godzinę później. Zebrało się już wielu podróżnych, lecz do środka udało im się wsiąść bez większego kłopotu.

– Pilnujcie walizek – przestrzegła Kasia.

Ubrań wieźli niewiele. Większość bagażu stanowiły dokumenty i rodzinne fotografie. Pieniądze i biżuterię rozdzielili pomiędzy siebie i poukrywali w odzieży. Miejsca w przedziale zajęli, gdy odgwizdano już odjazd.

Przestraszona Mania przycupnęła na siedzeniu, obserwując spode łba rodziców i siostrę. Jeszcze kilka dni temu cieszyła się na początek roku szkolnego, a tymczasem był ostatni dzień sierpnia, a ona musiała porzucić swoje książki, ulubione stare zabawki i dekoracje z muszelek. Na myśl, że nie spotka się z koleżankami,

zwyczajnie cierpła jej skóra. Tuliła do siebie chlebak, w którym leżał pamiętnik. Nie dbała o zwitki banknotów, jakie matka wcisnęła jej do dziewczęcego stanika, ani o kilka złotych monet schowanych w butach.

Gdy pociąg wtoczył się do Gdańska, pomyślała, że zaraz umrze, jeśli nie pójdzie do toalety. Ale ojciec nie pozwolił. Spojrzał na nią ostro, choć wiedziała, że nigdy nie chciałby jej skrzywdzić. Już tylko to uświadomiło dziewczynie, w jak poważnych są tarapatach.

– Pani Wagnerowa! – Ciszę zakłócaną jedynie stukotem kół przerwała matka, patrząc na dosiadającą się w Gdańsku pasażerkę. Ta zajęła ostatnie miejsce. Oprócz czteroosobowej rodziny w przedziale jechał jeszcze przystojny mężczyzna w średnim wieku. Przyciskał do piersi skórzaną teczkę.

– Pani Małecka! – ucieszyła się nowa pasażerka. – Dawno pani nie widziałam.

– Rzeczywiście, sporo czasu upłynęło – odparła Kasia. – Czy pan Martin zdrow? – zapytała uprzejmie.

– Och, mąż niestety zmarł w zeszłym miesiącu. Niech mu ziemia lekką będzie.

– Amen. Ogromnie mi przykro. Proszę przyjąć nasze serdeczne kondolencje. – Kasia znacząco spojrzała na męża.

– Och tak, wyrazy współczucia, droga pani – odparł po niemiecku wyrwany z zamyślenia Fryderyk.

– Mężczyźni, wszyscy tak samo roztargnieni – uśmiechnęła się z pobłażaniem Niemka. – Państwo jedziecie do Tczewa? Ja mam tam syna. Droga coraz trudniejsza. Zupełnie nie rozumiem, jak Wolne Miasto stało się zakładnikiem tego wariata Hitlera.

– Niech szanowna pani lepiej nie mówi takich rzeczy, tutaj ściany mają uszy – powiedział szeptem mężczyzna z teczką.

– Słuszna uwaga – wtrąciła się Kasia. – Lepiej pewnych rzeczy nie mówić. Ale chyba będzie dobrze. Nikt jak dotąd nas nie rewidował.

– Ojcze, ja naprawdę muszę do ustępu – jęknęła żałośnie Mania.

– Idź więc – skapitulował ojciec. – Lecz zaraz natychmiast wracaj.

– Oczywiście – odparła i wyszła pospiesznie z przedziału.

Z ulgą kucnęła nad niezbyt czystym sedesem. Zdążyła naciągnąć majtki na pośladki, gdy pociąg ze zgrzytem zaczął hamować. Mania wpadła na ścianę i stłukła ramię, lecz nie doznała poważniejszego uszczerbku. Z głębi toalety wydobył się głuchy bulgot, więc dziewczyna na wszelki wypadek natychmiast opuściła cuchnące pomieszczenie.

Zamieszanie w korytarzu wagonu zbiło ją z tropu. Przycisnęła do siebie chlebak z pamiętnikiem i przywarła do ściany. Do pociągu wpadli ubrani w brunatne mundury hitlerowcy. Czarna broń maszynowa zawieszona na ich ramionach wzbudzała respekt. Mania jęknęła, gdy weszli do przedziału rodziców.

Stanęła kilka kroków za bandytami, lecz nie ośmieliła się podejść. Słowa awantury, jaka się tam odbywała, docierały do niej bez problemu.

– Jestem radcą Komisariatu Generalnego – wrzasnął mężczyzna z teczką.

To zrobiło na hitlerowcach pewne wrażenie, więc wycofali się na korytarz. Ale najwyraźniej byli żądni krwi, bowiem weszli z powrotem i zaczęli brutalnie rewidować Małeckich.

– Polacy! – roześmiał się szyderczo jeden z nich. Miał nie więcej niż dwadzieścia lat, butę wypisaną na twarzy, zapewne niezbyt wielki intelekt, a z pewnością nowy nazistowski entuzjazm, porywający zakompleksionych wyrostków. Jak łatwo było się poczuć kimś ważnym, nawet jeśli ważnym się nie było. Właśnie to ciągnęło pryszczatych chłopaczków do podobnych organizacji. I właśnie na tym Hitler zbijał kapitał polityczny. Porwanie młodych gwarantowało sukces.

Mania cofnęła się o krok, gdy zobaczyła rodziców brutalnie wyciąganych z przedziału. Jeden z nadgorliwych młokosów pchał przed sobą Zosię.

– A ty co? Jesteś razem z nimi? – zapytał żandarm, zaczepnie patrząc na Manię. Dziewczyna bała się, lecz z pewnym zafascynowaniem patrzyła na nijakiego smarkacza z wodnistymi, wylupiastymi oczami, który napawał się nienależną władzą.

– To jest moja wnuczka, drogi chłopcze! – Do rozmowy wtrąciła się pani Wagnerowa, piorunując go spojrzeniem. – Zaczep ją tylko,

a jutro będziesz się tłumaczył gęsto przed zwierzchnikami – dodała ostrym tonem.

– Szanowna pani raczy wybaczyć – zmieszał się gówniarz i popchnął Kasię Małecką w stronę wyjścia z pociągu.

– Nie! – wrzasnęła Mania, lecz nie dodała niczego więcej. Pani Wagnerowa przycisnęła dłoń do jej ust i na siłę wciągnęła ją do przedziału.

– Uspokój się, dziewczyno. Pociąg wciąż stoi, mogą wrócić! – zaczęła tłumaczyć cicho. – Rodzicom nie pomożesz, sobie tylko zaszkodzisz.

– Co oni z nimi zrobią? – zapytała płacząco.

– Większość ludzi znika w aresztach, ale może twoich wypuszczą. Przecież nic złego nie zrobili. W Tczewie ktoś na ciebie czeka?

– Nie, mieliśmy tylko przejść granicę i tam zawiadomić krewnego z Warszawy, w jakiej jesteśmy sytuacji – wyjąkała z trudem.

– Zatem pójdziesz ze mną do mojego syna – zdecydowała Wagnerowa. – Nie wie pan, gdzie dokładnie jesteśmy? – zwróciła się do współpasażera.

– Właśnie odjeżdżamy ze stacji Pszczółki – odparł mężczyzna. Mani nie umknęło, że choć pięknie wystawiał się po niemiecku, nazwę wymówił, wręcz przesadnie akcentując jej polskie brzmienie.

– Ach tak, Hohenstein. – Kobieta zamyśliła się.

– Jesteśmy już blisko granicy, więc raczej więcej kontroli już nie będzie. – Mężczyzna spojrzał na Manię i uśmiechnął się pokrzepiająco, lecz dziewczyna siedziała otępiała w kącie. Myślała gorączkowo, co może zrobić, lecz dotarło do niej, że niewiele. Miała zaledwie piętnaście lat, a wydarzenia w Wolnym Mieście już dawno przekroczyły najśmielsze wyobrażenia. Manię, która usłyszała dość o życiu, jakie Zośka wiodła z kochankiem, zastanawiało jedynie, czy aresztowanie siostry i rodziców to przypadek, czy też szukano zbiegłej Zośki właśnie na polecenie Wilhelma. Poczucie bezsilności doprowadzało dziewczynę do jeszcze większej rozpacz.

– Och, muszę zaczerpnąć powietrza – oświadczyła Wagnerowa i wyszła na korytarz. Współpasażer ruszył za nią, szarmancko pomógł otworzyć okno, lecz natychmiast wrócił do przedziału.

– Niech panienka mnie posłucha uważnie – powiedział cicho po polsku. – Zupełnie nie radzę pannie zostawać w Tczewie pod opieką tej kobiety.

– Dlaczego? – zapytała z przestraszeniem Mania i ukradkiem zerknęła na stojącą przy oknie Wagnerową.

– Nie, nie o to chodzi. Pani towarzyszka z pewnością ma dobre chęci i wielkie serce. Chodzi raczej o nastroje w samym Tczewie. To za chwilę może być bardzo niebezpieczne miejsce.

– Przecież to Polska. Tam już nas hitlerowcy nie dopadną.

– Dopadną szybciej, niż się panna spodziewa. To bardzo strategiczne miejsce, wąski przesmyk polskiej ziemi z granicą na Wiśle. Pod kontrolą polską jest most kolejowy, a ten łączy Wolne Miasto z Prusami Wschodnimi. Jeśli zaczną być gorąco, właśnie tutaj uderzą z pełną bezwzględnością.

– Kim pan właściwie jest? I skąd pan to wszystko wie?

– Proszę wybaczyć, nie przedstawiłem się. Tytus Bogucki, do usług szanownej panienki. Może to panna rozumieć, jak chce, ale pracuję na rzecz państwa polskiego, a prywatnie jestem przedsiębiorcą z zamiłowaniem do przygód.

– Cóż więc szanowny pan radzi mi uczynić? Mam nieco pieniędzy, lecz zostałam z tym, co na sobie. I nie mam dokąd pójść.

– Dopiero gdy powiedziała to na głos, zrozumiała, jak rozpaczliwe jest jej położenie.

– Słyszałem, że ma panna stryja w Warszawie. Ja jadę właśnie tam. Proponuję, żeby zabrała się panna ze mną. Krewny może poradzi coś więcej w sprawie rodziców i siostry.

– A zechciałby pan mi pomóc? – zdziwiła się Mania.

– Naturalnie, przecież właśnie to proponuję. Lepiej jednak będzie, żeby nie zdradzała panna tego planu pani Wagnerowej. Może się poczuć urażona, a poza tym, gdyby nie daj Boże trafiła się jeszcze jakaś kontrola przed granicą, może nie chcieć już bronić panny z takim zacięciem. Plan można wyjawiać dopiero na dworcu w Tczewie.

Na szczęście nikt już nie niepokoił pasażerów. Mania zerknęła za okno i ujrzała zbliżający się z każdą chwilą ceglany budynek dworca oraz wiatę nad peronami. Wszędzie powiewały polskie flagi. Na ich

widok dziewczynie oczy zasły łzami. Dopiero teraz, gdy poczuła się względnie bezpieczna, dotarło do niej, w jakim napięciu spędziła ostatnie godziny.

– No, wreszcie jesteśmy – ucieszyła się Wagnerowa. – Przynajmniej Polacy nie robią żadnych problemów z przyjmowaniem pociągów. Słowo daję, mam ochotę nigdy nie wracać do Gdańska, choć to moje rodzinne miasto. Ale odkąd szaleją tam półgłówki od Hitlera, zwyczajnie nie da się go znieść. A już to, co robią z obywatelami polskojęzycznymi, a wcześniej z Żydami, zwyczajnie nie mieści się w głowie. Dlaczego patrzysz na mnie ze zdziwieniem, moja Maniu? – zapytała, zauważając minę dziewczyny. – Nie wszyscy Niemcy z Gdańska są po stronie Hitlera. Żona mojego syna jest Polką. I w czym to komu przeszkadza? Od zawsze wszyscy mieszkaliśmy zgodnie w Gdańsku, aż do władzy dorwał się ten prymityw. I proszę, efekty mamy – utyskiwała.

– Pani pozwoli, że zdejmę i poniosę jej walizkę – zaofiarował się szarmancko Bogucki.

– Jeśli pan łaskaw – zgodziła się chętnie. – Moją synową spotykało tyle nieprzyjemności w Gdańsku, że postanowili przenieść się tutaj. W strasznych czasach przyszło nam żyć – mówiła dalej Wagnerowa.

– Ma szanowna pani rację.

We trójkę wyszli z wagonu. Mania gorączkowo zastanawiała się, co ma zrobić. Pani Wagnerowa wzbudzała w niej poczucie bezpieczeństwa, a informacja o polskiej synowej jeszcze je pogłębiła. Z drugiej strony pan Bogucki był Polakiem, a poza tym wiedziała, że pomóc jej może jedynie stryj Józef, więc najrozsądniej byłoby spotkać się z nim jak najszybciej.

– Czy szanowna pani ma zapewnioną podwodę do syna? – zapytał uprzejmie Bogucki.

– Syn już powinien czekać – odparła kobieta, rozanielona szarmanckim zachowaniem mężczyzny. Nie miał nawet czterdziestu lat, schludną marynarkę i może nie klasycznie piękne, lecz zdecydowanie pociągające rysy twarzy. Te z całą pewnością gwarantowały mu powodzenie u kobiet.

Na brukowanym dziedzińcu przed dworcem stało kilka wozów i wyjątkowo wytworny czarny mercedes.

– O, jest mój syn. – Wagnerowa wskazała jasnowłosego mężczyznę stojącego nieopodal. – Maniu, pożegnaj się z panem, pora na nas.

– Jeśli o to chodzi, proszę pani, to ja bardzo dziękuję za ratunek i opiekę, jednak w dalszą podróż udam się z tym panem. – Mania nie miała pojęcia, czy nazwisko mężczyzny jest jakąś tajemnicą, lecz skoro nie przedstawił się współpasażerce, ona zdradzać go nie zamierzała.

– Nie może być – przeraziła się kobieta. – Jakże to tak? Z obcym mężczyzną? O czym ty mówisz, drogie dziecko?

– Pani pozwoli, że wyjaśnię. Zdążam do Warszawy, a panna Mania ma tam przecież krewnego. Najrozsądniej będzie więc dostarczyć ją niezwłocznie pod jego opiekę – wtrącił się Bogucki.

– Piechotę będziesz pan włókł dziewczątko przez taki szmat drogi?

– Skądże znów – roześmiał się. – Pojedziemy wygodnie moim samochodem. A o bezpieczeństwo panny Mani proszę się nie martwić. Mój szofer świetnie o nas zadba. Zatem uszanowanie, droga pani. Całuję rączki.

– Bardzo pani dziękuję za wszystko, co pani dla mnie zrobiła – powiedziała poważnym tonem Mania.

– Skoro tak, no cóż. Może tak faktycznie będzie lepiej? Bóg z tobą, drogie dziecko. Obyś jak najszybciej połączyła się z rodziną. – Wagnerowa na wszelki wypadek nie sprecyzowała, czy chodzi jej o rodziców zatrzymanych w Wolnym Mieście, czy o krewniaka z Warszawy. Zamiast tego uściskała Manię serdecznie.

– No dobrze, zatem zapraszam – ponaglił Bogucki. – Daleka droga przed nami, a niech mi panna wierzy, im dalej odjedziemy, tym lepiej.

– Mówi pan zagadkami.

– Nieważne. Potem porozmawiamy – uciał.

Trzydziesty pierwszy sierpnia rozpieszczał przepiękną aurą. Aż trudno było uwierzyć, że to ostatni dzień wakacji. Gdyby Hitler nie rozpętał chaosu w Europie, Mania byłaby teraz na sopockiej plaży

z Zosią i być może z Heleną. Jak niegdyś urządzałyby wyścigi do wody i z piskiem radości wpadały w jej ciepłe odmęty. A teraz rodzice i Zośka przepadli, a Helena siedziała w więzieniu. Mania usiadła nieśmiało na skórzanej kanapie samochodu i przycisnęła do siebie chlebak. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak samotna. Spode łba spojrzała na szofera siedzącego za kierownicą.

– Nie mamy zbyt wiele czasu – oznajmił tamten.

– Jedź, Rochu. – Bogucki podał mu skórzaną teczkę, której z narażeniem życia bronił przed hitlerowskimi bandziorami w pociągu. Kierowca odebrał ją bez słowa, wsunął pod przednie siedzenia pasażera, po czym ruszył spod tczewskiego dworca z piskiem opon. Samochód trząśnięty na bruku szerokiego placu, a wkrótce minął ostatnie zabudowania i mknął wyboistą drogą w stronę Warszawy.

– Jak jaśnie panu udał się pobyt w Gdańsku? – zapytał szofer, gdy wyjechali pomiędzy pola.

– Zastrane miasto oszalało, tyle ci powiem – westchnął Bogucki, moszcząc się wygodniej na kanapie obok Mani. – Panna wybaczy słownictwo – zreflektował się poniewczasie.

– Nie przeszkadza mi. I zupełnie zgadzam się z pańską opinią, a mieszkam w Sopocie od urodzenia – odparła.

– Rezolutna pasażerka nam się trafiła, jaśnie panie – roześmiał się dobrodusznie szofer.

– Jaśnie panie? – nie powstrzymała się dziewczyna.

– Hrabia jak malowany! – potwierdził kierowca, szczerząc zęby do lusterka.

– Niech panna nie słucha tego kabaretowego artysty. – Bogucki zabawnie przewrócił oczami. – Świetnie panna mówi po niemiecku – zmienił znienacka temat rozmowy.

– Od zawsze u nas się mówiło po niemiecku. W sklepach i z sąsiadami. – Mania przypomniała sobie rodzinę Wilhelma i momentalnie spochmurniała.

– Przepraszam, jeśli byłem niedelikatny.

– Nie, to nic. Pan jest bardzo uprzejmy – zauważyła. – Dlaczego w takim pośpiechu odjeżdżamy z Tczewa?

– Już pannie tłumaczyłem, że to bardzo newralgiczny punkt na mapie. U zbiegu trzech granic, z węzłem kolejowym i jeszcze przeprawą mostową przez Wisłę.

– Ale to nie wszystko, prawda?

– Wyjątkowo bystra z panny osobka – pochwalił Bogucki. – Może panna Mania wierzyć lub nie, ale za kilkanaście godzin w Tczewie rozpęta się piekło. Zresztą w innych miejscach też.

– Skąd pan to wie? – Przerażona Mania spojrzała na mężczyznę.

– Tego powiedzieć nie mogę, lecz z całą mocą potwierdzam, że dowiozę pannę całą i bezpieczną prosto w objęcia stryja.

– Dziękuję – szepnęła.

– A nawet wystarczy nam czasu, żeby zatrzymać się za Toruniem w zacnej karczmie. Oczywiście pan hrabia stawia – roześmiał się Roch.

– Niech będzie moja krzywda – westchnął teatralnie Bogucki. – Dobry obiad z pewnością przyda się nam wszystkim.

Poldek pochylił się nad kołyską. Syn uśmiechnął się do niego i wyciągnawszy pulchne rączki, zaczął coś zabawnie gaworzyć.

– Jest dzisiaj nad wyraz pogodny. Chyba minęły wreszcie te nieszczęsne kolki – powiedziała Paulina, stając z drugiej strony w towarzystwie nieodłącznej ostatnio Krysi. Uwielbiała małego i odwiedzała, kiedy tylko mogła. – To piękny i mądry chłopczyk. Nasz najpiękniejszy na świecie syn.

– Jest wspaniały – odparł Poldek, starając się zachować neutralny ton. Zaskakiwała go łatwość, z jaką Paulina uznała Poldusia za swoje dziecko. Spodziewał się awantury, skandalu na cały Solec, gdy przyniósł małego do domu, lecz nic takiego nie nastąpiło. Paulina z ciotką Marią natychmiast przejęły opiekę, a ojciec pokraśniał z zadowolenia, po czym kazał Poldkowi pić ze sobą i Januarym Melnerem wódkę przez pół nocy.

Natomiast on marzył tylko o tym, żeby schronić się w jakimś kącie, napisać list do Heleny, choć i tak wiedział, że nigdy nie zdobędzie się na wysłanie go. Jego marzenia były skazane na porażkę, ale i tak nie potrafił przestać o niej myśleć, a za każdym

razem, gdy spojrzął na syna, jego gardło dławilo poczucie winy i wyrzuty sumienia.

Nachyliwszy się nad kołyską, ucałował niemowlę w czoło.

– Na mnie pora – oświadczył, starając się nie patrzeć na żonę. – Bądź zdrowa, Paulino.

– To pewnie tylko ćwiczenia. Za tydzień lub dwa wrócisz – odparła z roztargnieniem, całkowicie pochłonięta wpatrywaniem się w dziecko.

– Pewnie tak. Do widzenia.

Poldek zszedł po schodach, próbując ignorować sztywność nowego munduru i nowych oficerek. Nie dostał ich z przydziału. Zwyczajnym poborowym nie należały się, lecz Apoloniusz Malinowski natychmiast uruchomił rzemieślnicze kontakty i znajomy szewc obstałował pierwszorzędne obuwie.

– Synku kochany! – zawyła ciotka Maria, chowając twarz w fartuchu. – Teraz ciebie musimy oddać na poniewierkę. Niech Bóg cię prowadzi!

– Niech ciotka tak nie dramatyzuje, jakby trwało powstanie styczniowe – próbował żartować, lecz właściwie wcale nie było mu do śmiechu.

Nastroje w Warszawie były optymistyczne i nikt nie dopuszczał do siebie myśli, że Niemcy odważą się na zuchwałą napaść. Zwłaszcza w sytuacji, gdy premier Chamberlain próbował negocjować z oszalałym Hitlerem, jednocześnie dając Polsce angielskie gwarancje sojusznicze.

– Historia lubi się powtarzać – wtrącił ponuro Apoloniusz. – Zamiast się bogacić, robić interesy i budować imperia, tym kurwim synom znów zachciewa się wojenki i wpędzania ludzi w nędzę.

– Bacz na słowa, Apoloniuszu – ofuknęła go Maria.

– A w dupie mam słowa, droga Mario, jeśli znów dzieje się to samo. Interes podupadnie, syna mi zabierają, a to wszystko po co?

– Bóg tak chciał – odparła cierpko ciotka. – A my musimy utrzymać honor i powstrzymać barbarzyński niemiecki naród. Taka jest polska powinność chrześcijańska.

– Już ja widziałem w wojnie polsko-bolszewickiej ten honor i Boga. Gdy granat wyrywa nogę i pół dupy, żaden nie woła Boga,

tylko matkę! A potem umiera w błocie, wykrwawiając się na śmierć. – Autentycznie poruszony Malinowski podszedł do syna i uściskał go krótko. – Nie daj się. I wróć jak najszybciej.

– Oczywiście, ojczu. Niech ojciec pozostanie w zdrowiu. – Poldek rozrzewnił się, lecz gdy tylko wyszedł z kamienicy, natychmiast przypomniał sobie wszystkie niegodziwości, jakie jego ojciec popełnił przez ostatnie lata. Jak to możliwe, że kochał ojca i nienawidził jednocześnie? Gardził jego małostkowością, a jednocześnie podziwiał za niezłomną wolę. Wiedział, że po tym, co zrobił Helenie, powinien zerwać z nim kontakt, wykreślić ze swojego życia, lecz jak miał to uczynić, żyjąc z nim pod jednym dachem?

Zacisnął zęby i poszedł do punktu mobilizacyjnego. Przez myśl mu przeszło, że jego rodzina wywołuje w nim większą wściekłość niż fakt, że właśnie musi wstąpić do piechoty. Nienawidził przemocy, lecz właściwie kogo oprócz niego to obchodziło? Najbardziej żałował tego, że przez ostatnie zawirowania nie znalazł czasu na napisanie listu do Janka. A także na pożegnanie się z Moszem Blumanem, jedynym człowiekiem, który go rozumiał. Oprócz Heleny, oczywiście.

Poldek szedł ulicą, a przechodnie pozdrawiali go, uchylając kapelusza. Kobiety się uśmiechały, niektóre wstydliwie, inne zupełnie otwarcie. Młoda kwiaciarka z rogu przesłała mu dłonią całusa. Zastanawiając się w duchu, skąd to nagłe powodzenie, uświadomił sobie, że tak działa magia polskiego munduru. Wyprężył się odruchowo i ruszył dalej. Paulina miała z pewnością rację. Za tydzień, może dwa wszystko rozejdzie się po kościach, a on wróci do domu.

ORP „Mazur” wyszedł z portu w Helu i wziął kurs na Oksywie. W popołudniowym słońcu cień kadłuba kładł się szeroko na spokojnej wodzie zatoki. Ignacy z zadowoleniem odetchnął morską bryzą. Od kilku dni torpedowiec przemieszczał się między Gdynią a helskim portem wojennym i przewoził sprzęt wojskowy. Panowało podniecenie, podszyte nerwowym oczekiwaniem.

– No to prawie koniec na dzisiaj – zagał jeden z kaprali. – Wracamy do Gdyni. Nasz staruszek musi odpocząć, chociaż

sprawdza się znakomicie. – Mężczyzna poklepał pieszczotliwie reling.

– Ile to już lat służy nasz „Mazur”? – zaciekawiał się Ignacy.

– W polskiej marynarce jest od dwudziestego roku, a przedtem pływał dla Niemców. Nam przypadł po przegranej przez fryców Wielkiej Wojnie.

– Jeśli odważą się na nas napaść, to można powiedzieć, że zostaną pokonani swoją własną bronią – zażartował chłopak.

– Lepiej bym tego nie ujął, marynarzu – roześmiał się kapral.

– Sądzi pan, że będzie ta wojna? – zapytał Ignacy.

– Coś w powietrzu wisi. Ale póki się nie stanie, to możemy sobie tylko wróżyć z fusów.

– Przepustek żal. Wszystkim cofnięto.

– Stan gotowości, drogi chłopcze. Jak popędzimy hitlerowców, to dopiero będzie smakować piwko w tawernie. Niczym ambrozja – odparł kapral. – A tymczasem jutro kolejny kurs na Hel.

– Znowu sprzęt? – zapytał domyślnie Ignacy.

– Tym razem mamy do przewiezienia ważną kobietę – odparł tajemniczo kapral. – Z referatu informacji.

– Mówią, że baba na pokładzie przynosi pecha – wymknęło się Ignacemu.

– A co to za zabobony, marynarzu? – roześmiał się mężczyzna. – Wracać na pozycję, bo zaraz manewrujemy do redy w Oksywiu.

– Tak jest!

Ignacy oddalił się pospiesznie, lecz nie palił się do roboty. Zamiast tego zapatrzył się w krwistoczerwony zachód słońca. W jakiś pokrętny sposób przypomniało mu to zeszłoroczne beztroskie wakacje na Mazurach i wołającą ratunku tonącą Krysie. Jednak już nic nie wróci. Tamten świat przepadł.

ROZDZIAŁ 18

1 WRZEŚNIA 1939

Konrad spał niespokojnie. Przez całą noc przewracał się z boku na bok i kilka razy wstawał do toalety. Z zazdrością spoglądał na Michała, który po ostatnim, wycieńczającym dyżurze w szpitalu leżał na wznak, z rozrzuconymi ramionami. Werner usiadł na łóżku i odgarnął ze spoconego czoła kochanka czarne pasmo włosów. Choć właśnie skończył się sierpień, temperatura w mieszkaniu dobitnie świadczyła, że lato nie odpuszcza.

Wyszedł na balkon. Uwielbiał widok na nieodległe ogrody warzywne. W Mokotowie w dalszym ciągu człowiek czuł się niemal jak na prowincji. Konrad zapalił papierosa i spojrzął w jaśniejące z każdą chwilą niebo. Pomyślał, że wreszcie jego życie wchodzi na właściwe tory. Marzył o spokoju, Paryżu i upragnionej swobodzie.

– Witaj, nowe życie – szepnął do siebie. W gęstwinie lip posadzonych wzdłuż ulicy zaćwierkały wróble. Konrad uśmiechnął się. Mokotów nieustająco go zachwycał.

Dochodziła szósta rano. I właśnie wtedy na horyzoncie zobaczył słup dymu. Jeszcze naiwnie pomyślał, że to jakaś awaria, lecz kolejne wybuchy od strony lotniska na Okęciu i przeciągły dźwięk syreny uzmysłowiły mu, że dzieje się coś złego.

Konrad cofnął się do mieszkania. Zamknął starannie drzwi balkonowe, po czym zaczął się rozglądać po wnętrzu. Błyskawicznie się ubrał.

– Pieniądze najważniejsze – szepnął pod nosem, upychając zwitki banknotów po kieszeniach.

– Co się dzieje? – zaspany Michał wyszedł z sypialni. – Zaspaliśmy na pociąg?

– Nie będzie żadnego pociągu. Właśnie zaczyna się wojna. I z niepojętego dla mnie powodu rozpoczyna się właśnie tu i teraz.

– Może jeszcze zdążymy?

– Nie. Skoro trwa nalot na Warszawę, oznacza to, że Niemcy zaczęli wojnę i nie ma już bezpiecznej drogi. Jesteśmy w potrzasku. Chyba że spróbujemy samochodem przez Rumunię.

– Nie zostawię matki samej w czasie wojennej zawieruchy, poza tym tchórzostwem byłoby wyjechać teraz – uświadomił sobie Michał.
– Natychmiast jadę do szpitala – powiedział.

– Przecież złożyłeś wymówienie.

– A ordynator bardzo niechętnie je przyjął. Zresztą, choć wolałbym się mylić, przyda się tam wkrótce każda para rąk. Ratowanie ludzkiego życia to moja powinność.

Konrad nie oponował, choć najchętniej wykrzyczałby, że powinni natychmiast uciekać. Miał wrażenie, że zaciska mu się na szyi pętla i nadchodzi atak paniki. Gdy Michał wyszedł, Konrad włączył radio. Nie mogąc się uspokoić, chodził po pokoju.

– *A więc wojna.* – W eterze wybrzmiał głos powszechnie lubianego dziennikarza i aktora, Józefa Małgorzewskiego. – *Z dniem dzisiejszym wszelkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie publiczne i prywatne przestawiamy na specjalne tory. Weszliśmy w okres wojny. Cały wysiłek narodu musi iść w jednym kierunku. Wszyscy jesteśmy żołnierzami. Musimy myśleć tylko o jednym: walka aż do zwycięstwa.*

Konrad znał Małgorzewskiego, wszak świat kina nie był duży. Ten fakt sprawił, że komunikat wydał się jeszcze bardziej upiorny.

– Za oknem bomby, a w porannym wydaniu ani słowa. Nie wiem, po co ja to prenumeruję. – Apoloniusz Malinowski rzucił z furią gazetę na stół.

– Przecież jak w nocy drukowali, to jeszcze nic o wojnie nie wiedzieli – odparła trzeźwo Paulina. – W radiu za to mówią.

– Ech, idę do pracowni. – Rękawicznik podniósł się ciężko z krzesła.

– Na litość boską, Apoloniuszu! Wojna się zaczęła, a ty chcesz iść do pracy? – jęknęła ciotka Maria.

– A co? Skoro zaczęła się wojna, to nie będziemy już potrzebowali pieniędzy i jedzenia? – zapytał z przekąsem Malinowski. – Lepiej sprawdź zapasy i wyślij Gienię po zakupy. Jak nic zaraz wszystko ze sklepów zniknie.

– Zapasy są. Ale nie zawadzi zgromadzić więcej – zgodziła się Maria. – Pójdę razem z nią, bo przecież to tłumok taki, zaraz ją

spekulanci obrabują z ostatniego grosza. Jeszcze trzeba dokupić więcej czarnego materiału. Nigdzie go dostać nie można, a mówili, że obowiązuje pełne zaciemnienie. Jak nie chcemy siedzieć w ciemnościach, to trzeba na wszystkie okna powiesić.

– Jeśli nie będzie materiału, to przyślij Gienię do pracowni z wiadomością. Wyślę którego chłopaka po czarną farbę i się kartony pomaluje – zdecydował Apoloniusz.

– Może ja pójdę? – zapytała z nadzieją Paulina. Każda chwila, jaką udawało jej się spędzać z dala od Marii, była ulgą dla duszy.

– Dziecka lepiej pilnuj – powiedział Apoloniusz łagodnie.

– Kiedy jemu powietrze dobrze robi.

– Mojego wnuka chcesz wysłać na ulicę, kiedy w każdej chwili może być nowy nalot? Nedorzeczny pomysł. – Malinowski uśmiechnął się pobłażliwie do synowej i wyszedł.

Szedł po schodach, myśląc gorączkowo. Kiedy dotarł na pierwsze piętro, zatrzymał się przed drzwiami mieszkania i zapukał mocno. Z drugiej strony panowała cisza, więc załomotał głośniej. Po dłuższej chwili drzwi otworzyła lokatorka zajmująca największe i najładniejsze mieszkanie w kamienicy. Drobna kobieta w średnim wieku stała, otulając się szlafrokiem.

– Dzień dobry, już myślałem, że szanownej pani nie zastałem – przywitał się Malinowski. W jego głosie dało się słyszeć niezadowolenie.

– Jestem, panie Apoloniuszu, ale nieco chora, więc nie zdołałam szybciej podejść. Czy coś się stało? – zapytała.

– Wojna się stała, proszę szanownej pani.

– Tak, wiem. To straszne. Kiedy sobie pomyślę, że zarówno mój mąż, jak i syn walczą teraz na froncie...

– Mojego też wzięli – mruknął Apoloniusz.

– Wiem i bardzo mi przykro. Może nasi chłopcy zatrzymają tych bandytów szalonego Hitlera i zaraz wróci pokój.

– Cała nadzieja w sojusznikach, droga pani. Sami ich nie powstrzymamy. – Rozwiął jej złudzenia. – Sądzę, że w najbliższych tygodniach w Warszawie może być bardzo gorąco. Zresztą właśnie dlatego do szanownej pani przychodzę. Będę potrzebował tego

mieszkania, więc musi je szanowna pani jak najszybciej zwolnić – oświadczył, nawet nie mrugnawszy powieką.

– Panie Apoloniuszu, ale jak to tak? – Zrozpaczona lokatorka patrzyła na Malinowskiego z wyrzutem. – Na bruk chce pan wyrzucić żonę i matkę obrońców Polski?

– Kto powiedział, że na bruk? Przeniesie się pani na czwarte piętro i tyle. Żeby nie była szanowna pani stratna, weźmie się paru chłopaków z pracowni i meble poprzenoszą w jeden dzień. Uszanowanie pani! – pożegnał się i podjął wędrówkę w dół schodów.

Wielce z siebie zadowolony pomyślał poniewczasie, że upiekł dwie pieczenie na jednym rożnie. Załatwił sobie bezpieczniejsze lokum, bo przecież wiadomo, że bomby spadają na najwyższe piętra, a z pierwszego można szybciej uciec do piwnicy. Druga korzyść była taka, że po rozdzieleniu poziomów dotychczasowego lokum poddasze można wynająć i dodatkowo zarobić. Wojna wojną, ale stratnym być nie można. Skojarzywszy fakty, Apoloniusz natychmiast zmienił plany. Zamiast iść do pracowni, postanowił pojechać do banku. W czasach zawieruchy pieniądze najlepiej trzymać pod materacem. A jeszcze lepiej kupić złoto albo kamienie. Bo i z pieniędzmi różnie bywa.

Doszedł do rogu Tamki, gdzie zwykle stało kilka dorożek, lecz ku jego zdumieniu nie było ani jednej.

– Nie wiesz, gdzie się podziali dryndziarze? – zapytał gazeciarza.

– Urwanie głowy dzisiaj mają, proszę szanownego pana. Autobusy nie chodzą – odpowiedział wyrostek w kraciastym kaszkiecie.

Chcąc nie chcąc, Malinowski poszedł na piechotę. Zanim wspiął się ulicą do Nowego Świata, był już solidnie zasapany.

– Diabli nadali – mruknął pod nosem, patrząc na tłum kłębiący się w banku. Nie odpuścił jednak i wcisnął się do środka. Wbrew pierwszemu, niezbyt korzystnemu wrażeniu kolejki przesuwają się sprawnie. Nawet okienka od wpłat czekowych dzisiaj realizowały wypłaty. To wydało się Malinowskiemu rozsądne. Nikt przy zdrowych zmysłach nie dokona przecież dzisiaj wpłaty.

Pół godziny później dotarł do okienka. Zmęczona, podenerwowana kobieta w urzędniczym fartuchu uśmiechnęła się do

niego profesjonalnie. Malinowski zażądał wypłaty sześćdziesięciu tysięcy, czyli całej gotówki, jaką miał zdeponowaną w kasie oszczędności. Kwota była poważna, lecz o dziwo pliki banknotów zaczęły rosnać przed jego oczami na półeczce okienka. Rękawicznik ponieważ zrozumiął, że popełnił błąd. Rozejrzał się wokół siebie i namierzył skromnie ubraną kobietę. Trzymała w dłoni płócienną siatkę z zakupami.

– Odkupię od szanownej pani tę siatkę – zaproponował z uprzejmym uśmiechem.

– A gdzie ja panie pochowam sprawunki? Daj pan spokój – roześmiała się kobieta.

– Dam sto złotych – oświadczył półgłosem, lecz i tak wzbudził zainteresowanie gawiedzi.

– A bierz pan – kobieta natychmiast zmieniła zdanie. Wyciągnęła z siatki chleb i kilka papierowych pakunków i upchnęła je po kieszeniach.

Malinowski podał jej bez słowa banknot. Zaczął zgarniać pliki do siatki, czując na plecach świdrujące spojrzenia.

– Dziękuję szanownej pani – zwrócił się do młodej kasjerki.

Odszedł od okienka, lecz z banku nie odważył się wyjść. Namierzył strażnika i skinął na niego głową. Podeszedł natychmiast.

– Też pan dostaniesz dołą, jak pan mi załatwisz dorożkę samochodową pod drzwi banku i potowarzyszysz mi pan przy wsiadaniu – wyłuszczył żądanie.

– Jasna sprawa, szanowny panie. Już się robi – odparł natychmiast strażnik, zdradzając wprawę z podobnymi sytuacjami.

Kwadrans później Apoloniusz Malinowski wracał na Powiśle, powstrzymując się od ściskania z całych sił uszu siatki. Zatopił się w myślach, lecz kierowca samochodu okazał się gadatliwy.

– Myślisz pan, że długo potrwa ta wojna? – zagaił, gdy tylko ruszyli. – Bo mnie się widzi, że raz-dwa nasze chłopaki popędzą Niemiaszków.

– Żebyś się pan nie zdziwił – mruknął Malinowski.

W tej samej chwili zawyła przeciągle syrena. Ludzie idący wcześniej spokojnie chodnikiem zerwali się do biegu. W popłochu wbiegali do najbliższych bram.

– Musimy przerwać kurs. – Szofer zaparkował przed kolejną kamienicą. – Chodź pan – ponaglił Malinowskiego. – To nie jest próbny alarm.

Apoloniusz nie tracił czasu na dyskusje. Chwycił siatkę i pobiegł za kierowcą w stronę wykończonego łukowato przejazdu bramnego. Wewnątrz tłoczyli się ludzie, lecz natychmiast wciągnięto ich do środka. Nad ulicą przeleciał z rykiem silników sztukas.

– Patrzcie ich, jak się panoszą sukinsyny – skomentował ktoś z tłumu, gdy samolot zniknął za budynkami. – Nie z nami takie numery. Łatwo nas nie przestraszą. Oj, damy im bobu, jak amen w pacierzu!

– Mów pan za siebie. Ludzie rano poginęli w nalocie. Mnie tam życie miłe i do śmiechu nie jest – powiedziała jakaś kobieta.

– Szanowna pani już tak niech lepiej nie kracze, bo co wykracze – powiedział ktoś inny. – Więcej bojowego ducha.

– Jakby bombom różnicę robiło, czy spadają na ludzi z brawurą, czy bez – zadrwiła kobieta.

Z donośnym warkotem nadlatywał kolejny samolot. Leciał tak nisko, że dokładnie było widać czarne krzyże wymalowane na skrzydłach. Środkiem chodnika biegła jakaś spanikowana dziewczyna w niebieskiej letniej sukience. Wyraźnie straciła głowę i nie wiedziała, co robić.

– Uciekaj, kobito, do bramy! – wrzasnął tuż nad uchem Malinowskiego kierowca.

Dziewczyna zwolniła, jakby się zawahała. Odwróciła twarz w stronę głosu. Malinowski miał wrażenie, że spojrzała właśnie na niego. Chwilę później jej ciało przeszyły kule. Zwyródniały pilot obniżył pułap jeszcze bardziej i wypuścił drugą serię. Impet uderzenia szarpnął dziewczyną. Jeszcze odrzuciła głowę do tyłu, a jej warkocz wpierw podskoczył, a potem opadł na plecy, gdy ofiara upadła twarzą na chodnik. Apoloniuszowi wydawało się, że cały ten koszmary teatr rozegrał się w zwolnionym tempie.

– Boże jedyny, co to za bandyci! – odezwał się męski głos. – Niewinną dziewczynę z broni maszynowej, tak w biały dzień...

– Dalej będziesz pan bredzić o bojowym duchu? – zapytała ostro kobieta. Tamten nie odpowiedział. Do sygnału odwołującego alarm

w bramie nie padło już żadne słowo.

Gdy wreszcie się rozległ, ludzie, jakby nie dowierzając, że to już koniec, z ociąganiem wychodzili. Nad zwłokami dziewczyny stało już kilka osób. Malinowski zauważył purpurowe wykwyty na niebieskim tle materiału.

– Jedziemy! – warknął na kierowcę.

– Tak po prostu? – zdziwił się. – A co z tą biedaczką?

– Już jej nie pomożemy – uciął Apoloniusz. – Nie trzeba robić zbiegowiska. – Przycisnął mocniej torbę z pieniędzmi i pierwszy ruszył w stronę samochodu. Za plecami usłyszał pełne dezaprobaty cmoknięcie, lecz nie zareagował. Na nim scena śmierci obcej kobiety też zrobiła duże wrażenie, ale nie zamierzał okazywać słabości. Poza tym był przekonany, że podobnych obrazków Warszawa zobaczy więcej. Jego pragmatyczna natura podpowiadała mu, że trzeba do nich przywyknąć.

Samochód Boguckiego zatrzymał się z piskiem opon przed antykwariatem na Zgodzie. Mania wylewnie podziękowała swojemu wybawcy. Doskonale zdawała sobie sprawę, że zawdzięcza mu wiele, być może nawet ocalenie życia.

– Dalej panna sama pójdzie? – upewnił się mężczyzna. – Może nie zastanie panna krewnego w domu? I co wtedy?

– Gdzież by mógł iść, skoro trąbią wszędzie o wybuchu wojny? Skąd pan to wiedział? – ponowiła pytanie.

– Ciekawski jestem, więc nadstawiam ucha, jak ludzie gadają – zażartował Bogucki. – No dobrze, to niech panna idzie, a jak stryja nie zastanie, to proszę wracać. Poczekamy tu kilka minut. A! I niech panna to weźmie, nalegam! – Mężczyzna wręczył jej elegancki bilecik wizytowy, z brązowymi literami tłoczonymi na czerpanym papierze. – Jeśli będą jakieś kłopoty, proszę się natychmiast do mnie zgłosić, dobrze?

– Dobrze. Dziękuję za troskę – odparła dziewczyna. Przycisnęła chlebak do boku, pomachała na pożegnanie, po czym weszła w mroczne podwórze. Dochodziła dopiero dziewiąta, witryna antykwariatu była wygaszona, więc słusznie założyła, że stryja zastanie w mieszkaniu na zapleczu.

Zapukała delikatnie i grzecznie czekała. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

– Mania! Dziecko kochane! To naprawdę ty? – Stryjowi Józefowi oczy rozszerzyły się ze zdumienia. – Wchodź, szybko. Nie jest bezpiecznie w Warszawie. Zaczęły się naloty.

– Wiem, stryju. Widzieliśmy wiele samolotów, gdy się rozwidniło.

– „Widzieliśmy”? – Antykwariusz zapatrzył się w podwórze za plecami dziewczyny. Było puste. Złapał Manię za rękę i wciągnął do mieszkania. – Dziecko drogie, gdzie są rodzice? Co się dzieje? Doniesienia z Gdańska niepokoją już od kilku dni, a teraz jak zaczęła się wojna, to już całkiem wszystko się pogmatwało.

– Stryju, w Gdańsku ludzi mordują – powiedziała cicho Mania.

– Gdzie rodzice? – ponowił Józef.

– Aresztowani razem z Zośką. Tylko mnie udało się wydostać. – Mania opowiedziała o niebezpiecznej wyprawie pociągiem. Mówiła spokojnie, jakby referowała jakiś temat na lekcji historii, i choć targała nią rozpacz, jakimś cudem nawet nie zadrżał jej głos. Tak jakby opowiadane zdarzenia dotyczyły kogoś innego.

– Nawet nie ma jak się cieszyć z tego, że Zośka się znalazła – powiedział przerażony antykwariusz. – Boże, jak im pomóc? Ach, przecież ty pewnie jesteś głodna i padasz z nóg po takiej długiej podróży.

– Nie jestem, pan Bogucki zadbał o mnie tak, że włos z głowy mi nie spadł. I cały czas zachowywał się, jakby wiedział, co zaraz się stanie. Ciekawe, czy rzeczywiście po naszym odjeździe z Tczewa rozpętały się tam walki.

– To bardzo prawdopodobne. Pewno dowiemy się z jutrzejszych gazet albo jeszcze dzisiaj z komunikatów radiowych. Interesujący jegomość z tego całego Boguckiego. Może on mógłby się rozpytać o twoich rodziców i Zosię?

– Pytałam. Powiedział, że w tej sprawie nic zrobić nie może – odparła ze smutkiem.

– Zastanowimy się, co zrobić, moje dziecko. Coś wymyślimy. Dobrze, że chociaż tobie udało się uciec. Niech Bóg błogosławi tę panią Wagnerową.

– I pana Boguckiego – dodała Mania.

– Tak, jego także. Wychodzi na to, moje dziecko, że czuwały nad tobą dwa anioły opiekuńcze. – Stryj uśmiechnął się pokrzepiająco i z całych sił uściskał bratanicę.

– A stryj się gdzieś wybiera? – Mania dopiero teraz zauważyła, że jest ubrany w garnitur, a na głowie ma kapelusz.

– Muszę, moja droga. Jeśli Niemcy dalej będą nas tak nękać, to trzeba zawczasu się do tego przygotować. Słowem, należy zrobić zapasy – wyjaśnił, napotkawszy pytające spojrzenie. – Ty zostań. Dość miałaś na dzisiaj wrażeń.

Józef Małecki wyszedł na ulicę. Warszawa wyglądała tak jak zwykle, być może tylko ludzie jakby szybciej się poruszali, lecz wokół trwał codzienny miejski gwar. Mężczyzna poszedł w kierunku, w jaki nieczęsto się udawał, czyli na Kercelak. Wcześniej nie miał takiego zamiaru, wybierał się jedynie do pobliskiego sklepu po szczupłe zapasy kaszy i innych produktów żywnościowych. Jednak przybycie Mani zmieniało wszystko. Antykwariusz nagle stał się odpowiedzialny za krewniaczkę, a niewielkiej sumy pieniędzy musiało wystarczyć na dwoje, więc postanowił zwrócić się do Sary Gutman o załatwienie jedzenia w korzystniejszych cenach. Nie miał chęci prosić szwagierki o pomoc, lecz uznał, że to nie jest dobry czas na unoszenie się dumą.

Idąc niespiesznie w stronę dzielnicy północnej, myślał o swym nieszczęsnym bracie aresztowanym przez niemieckich zwyrodnialców i o własnej córce zamkniętej w polskim więzieniu na podstawie niedbale przeprowadzonego postępowania.

– Dokąd zmierzasz, ponury świecie? – mruknął pod nosem.

Małecki porządnie się zmęczył, zanim doszedł w okolice bazaru. Widział już z daleka drewniane budy, gdy z niepokojącym pomrukiem nadciągnęły niemieckie samoloty. Alarm syren rozległ się nieco później, co z pewnością oznaczało, że intruzi zaskoczyli obrońców miasta. Antykwariusz rozejrzał się za najbliższą bramą. Był na otwartym terenie, więc żeby się schronić, musiał przejść na drugą stronę ulicy. Rzucił się do ucieczki po zalanym słońcem bruku. Dobiegł prawie do rogu kamienicy, gdy posypały się bomby. Na sekundę przed tym, zanim zderzyły się z jego ukochaną Warszawą, Józef Małecki pomyślał, że miał dobre życie. Przez głowę przemknął

mu obraz maleńkiej Heleny wyciągającej do niego rączki z niemowlęcej kołyski. I to było ostatnie, co zobaczył w swoim życiu mądry, cichy wielbiciel greckiej filozofii z antykwariatu na ulicy Zgoda.

Kiedyś, gdy był wyrostkiem, Poldek Malinowski nieraz zastanawiał się, co czuje żołnierz, idąc do walki, w której może stracić życie. Próbował też podpytywać ojca, o czym myślał tuż przed Bitwą Warszawską, lecz ten niezbyt chętnie opowiadał.

Teraz, czekając na rozkaz wymarszu, stwierdził, że czuje głównie zmęczenie, a jego myśli krążą wokół tak przyziemnych spraw jak chęć zżucia butów i wyciągnięcia się w wygodnym łóżku. Nie pogardziłby też kuflem piwa z pianką albo pieczenią ciotki Marii. Tymczasem jego dywizja piechoty, wchodząca w skład Armii Modlin, stacjonowała nieopodal Mławy. Poldek pomyślał, że w gruncie rzeczy najgorsze jest oczekiwanie na niewiadomą. Nigdy w życiu nie uczestniczył w żadnej potyczce, jego dotychczasowe życie przebiegało wyłącznie w czasach pokoju. Wiedział, że dokładnie z tym samym mierzą się wszyscy poborowi z jego rocznika. Podejrzał, że całe grupy niewyszkolonych ludzi, choć uzbrojonych w karabiny, spowodują na polu walki chaos. Oczekiwał, że będzie ciężko.

Nie spodziewał się jednak piekła. Piękne łąki tego pogodnego dnia falowały leniwie, jakby zapraszając pary na letnie pikniki. Tyle że jak okiem sięgnąć nie było tu żadnych zakochanych, a jedynie setki młodych mężczyzn przerażonych tym, co zaraz ma się wydarzyć.

Poldek nawet nie zdążył się zdziwić, z jaką zaciekłością zaatakował wróg, ponieważ wszystko rozegrało się błyskawicznie. Dowódcy popędzali żołnierzy piechoty okrzykiem „naprzód”, a oni nie mieli innego wyjścia, tylko przec pod prąd gradu pocisków. Nawet dla tak niedoświadczonego żołnierza jak Poldek siła niemiecka wydawała się miażdżąca. Czołgi i uzbrojona po zęby piechota wchodziły w polską armię jak nóż w masło. To determinowało dowódców do rzucania coraz większej ilości ludzi na

wrogie wojska. Rozkaz brzmiał: odeprzeć Niemców od Mławy. Bez względu na koszty.

Wokół co chwilę padali na ziemię kolejni ludzie, a Poldek pomyślał, że w takim miejscu nie liczy się zupełnie nic oprócz tego, czy będziesz miał szczęście i kula cię ominie, czy wręcz przeciwnie – dorwie cię i po tobie. Nieważne, czy jesteś dobrym człowiekiem, czym się zasłużyłeś w dotychczasowym życiu ani jakie masz umiejętności przetrwania. Istniał tylko grad pocisków obojętnych na to, w co trafią. Z kolei dowódcy widzieli w żołnierzach wyłącznie szeroki bufor mięsa armatniego.

W tej samej chwili, gdy Poldek sformułował w głowie myśl, że ludzki gatunek nie zasługuje na tę piękną planetę, nadleciał granat i wybuchł nieopodal. Rozbryzgi krwi i tkanek zalały mu oczy. Zanim zdołał zetrzeć je z twarzy, poczuł przenikliwy ból w klatce piersiowej. A potem nastąpiła ciemność.

Kiedy odzyskał przytomność, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Widział zamglony obraz mężczyzny w białym kitlu. Pochylał się nad nim dość nisko, lecz mimo to chłopak nie rozróżniał rysów jego twarzy.

– O, budzisz się. To dobry znak. – Poldka doszły nieco zniekształcone słowa. Chciał się podnieść, lecz przeszywający ból natychmiast go unieruchomił. – Leż spokojnie. Niedawno cię operowaliśmy. Miałeś kupę szczęścia, młody przyjacielu. Kula minęła serce. Centymetr w prawo i już byś się witał ze Świętym Piotrem. Według mnie wylizasz się z tego. Ale z dalszej wojenki już nici.

Poldek zamknął oczy. Z całej przemowy dotarło do niego głównie to, że doktor go nie wyśle z powrotem do tego piekła.

Torpedowiec ORP „Mazur” nie zdążył wyjść z Oksywia w rejs do portu wojennego w Helu. O drugiej po południu nadleciała eskadra niemieckich junkersów. Wśród zaskoczonych załogi zapanował chaos. Ignacy nie namyślał się wiele, gdy zobaczył jednego z obrońców osuwającego się z krzeselka pokładowego karabinu. Marynarz zginął na miejscu, a w jego czole ziała spora dziura.

Ignacy bezceremonialnie zrzucił zwłoki na pokład i zajął miejsce martwego żołnierza. Spojrzał w celownik, upewniwszy się wcześniej, czy poprzednik nie zużył taśmy z nabojami. Skupiony na celu, jakim były krążące niemieckie samoloty, zupełnie nie zauważał, co dzieje się wokół niego. Choć nie robił tego wcześniej, miał wrażenie, że wraz z karabinem stanowi jedność, a gdy zobaczył dym ze skrzydła jednego z junkersów, krzyknął z radości, całkowicie przekonany, że to właśnie on go trafił. Opętany szaleństwem strzelania, nie zauważył, że szala zwycięstwa przechyliła się na stronę wroga. Eskadra krążyła nad nimi niczym rój krwiożerczych komarów.

Mimo to załoga nie poddawała się, wciąż szyjąc do wroga ze wszystkich działek i karabinów torpedowca. Ignacy aż jęknął, gdy zobaczył na niebie sunący majestatycznie w ich stronę niemiecki bombowiec. Nie ruszył się z miejsca nawet o milimetr i skupiony na celu wymierzył. Potężnej maszynie pociski zdawały się nie przeszkadzać. Pierwsza bomba trafiła dziób okrętu, całkowicie go miażdżąc. Kolejna eksplodowała przy nabrzeżu, wzbijając falę, która odepchnęła pokieroszowaną jednostkę z ogromną siłą w głąb basenu portowego. Ignacy rozejrzał się, bliski paniki. „Mazur” powoli szedł na dno, lecz strzelcy, którzy przeżyli bombardowanie, niewzruszenie dalej ostrzeliwali nieprzyjaciela. Ignacy wziął z nich przykład, a stanowisko opuścił dopiero wtedy, gdy poczuł, że do butów wlewa mu się woda. Wtedy podbiegł do rufy i wybijając się najmocniej, jak umiał, skoczył na główkę do wody.

Chciał odplłynąć od tonącej jednostki najszybciej jak się da, gdy tuż obok mignęła mu nieruchoma sylwetka unosząca się na wodzie twarzą w dół. W głowie Ignacego natychmiast pojawiła się wizja Krystyny topiącej się w jeziorze podczas obozu harcerskiego. Odwrócił topielca i rozpoznał kaprała, z którym tak lubił rozmawiać. Nie zastanawiając się wiele, zaczął go holować w stronę brzegu, modląc się w duchu, żeby ominęły ich bomby i pociski raniące raz za razem portowe zabudowania. Z trudem udało mu się wyjść na nabrzeże, ale wyciągnięcie kaprała okazało się ponad jego siły. Na szczęście w ich kierunku biegł jakiś marynarz, pewnie wcześniej obserwujący zmagania Ignacego z brzegu. Wspólnymi siłami

wydobyli mężczyznę na betonowe molo. Nad głowami świszczą im pociski.

– Nic z niego nie będzie – zauważył marynarz. – Nie dość, że się utopił, to oberwał w brzuch. Pewnie odłamkiem.

– Pomóż mi go przenieść za budynki – warknął Ignacy, nie zważając na protesty.

W zaciszu kapitanatu Ignacy zaczął reanimować kaprała. Gdy pochylił się nad jego sinymi ustami, ponownie przypomniał sobie Krystynę leżącą na płyciźnie mazurskiego jeziora. Odpędził wizję, skupiając się na mężczyźnie. Ten, o dziwo, zakrztusił się wodą i zaczął oddychać, choć przytomności nie odzyskał. Rana brzucha była poważna. Wcześniej krew mieszała się z chłodną morską wodą, lecz teraz lała się na beton nabrzeża. Od strony zabudowań nadbiegli sanitariusze z noszami. Ignacy z ulgą odszedł na bok. Tym razem nie było medalu za ratowanie życia. Podczas obrony Oksywiu nikt o takich rzeczach nie myślał. Zresztą Ignacy miał inne rzeczy na głowie. Chciał walczyć, więc zaczął niecierpliwie pytać o przydział na nową jednostkę. Gdyby jeszcze umiał wyrzucić z głowy Krysie, uznałby, że jest szczęśliwy. Doskonale się odnajdował w chaosie bitwy.

– January, ja stanowczo twierdzę, że powinniśmy wyjechać z Warszawy – powiedziała cicho Teresa Melner.

– Oszalałaś, kobieto? Zanim dobrze wystawilibyśmy nogę z Pragi, już by nam wszystko z kamienicy rozgrabili – odparł jej mąż.

Krysia siedziała pomiędzy nimi w piwnicy, napawając się faktem, że tych dwoje rozmawia przyciszonymi głosami, zamiast kłócić się jak zwykle. Zawdzięczała to temu, że wraz z nimi w podziemiach kamienicy przeczekiwali nalot wszyscy sąsiedzi.

– Co ci po majątku, skoro nas bomby ubiją? Matko Boża, módl się za nami...

– Cichaj, babo. Jak się masz modlić, to się módl, żeby nas bomby ominęły, a nie kraczesz bez sensu. Gdzie chcesz wyjechać? Na poniewierkę? A skąd wiesz, jak jest poza Warszawą? Pewnie jeszcze gorzej. Warszawy będą bronić za wszelką cenę. Ale i też niedziwne, że Niemcy najzacieklej atakują. Trzeba przetrwać.

– A jak Niemcy wejdą do Warszawy?

– Pierwszy raz by to było? Najważniejsze to kapitał i zapasy zachować. Niemcy też muszą żreć. Naszymi wędlinami nie pogardzą. Zrozum, kobieto, że jeśli wyjedziemy, to stracimy wszystko i będziemy skazani na niedolę. A tu przy odrobinie szczęścia może uda się utrzymać masarnię. Mnie tam bez różnicy, czy napełniam polskie czy niemieckie brzuchy, aby ich właściciele płacili – powiedział pragmatycznie January.

– Przecież nie wiemy, czy masarnia wyjdzie cało z bombardowania – jęknęła Melnerowa.

– Znów kraczesz, durna babo? – zezłościł się jej mąż.

– Ludzie się przysłuchują – ostrzegła cicho Krysia.

– Poza tym co z ciebie za matka? – January nie spojrzał na córkę, lecz znacząco ściszył głos. – Chcesz porzucić Paulinę?

– Przecież mogłaby pojechać z nami – odparła Melnerowa.

– I zostawić małego? Który jej umysł od kompletnego pomieszania ratuje?

– Poldusia może wziąć ze sobą – bąknęła bez przekonania Teresa.

– Widzisz? Sama nie wierzysz w to, co mówisz – roześmiał się cicho Melner. – Malinowski nie pozwoli zabrać wnuka. I bardzo słusznie. Sam będzie bronił swojej pracowni, bo to wszystko, co ma i co może go utrzymać przy życiu w tych czasach. I my też zostajemy, Tereso. Koniec dyskusji – powiedział groźnie, dając żonie do zrozumienia, że zdania nie zmieni.

Krysia przestała ich słuchać. Siedzenie w ciemnej piwnicy rozjaśnionej jedynie kilkoma świecami było okropnym doświadczeniem. Ledwie tydzień temu cieszyła się wakacjami i tym, że wróci do szkoły. Już nie mogła się doczekać spotkania z koleżankami. Teraz to wszystko wydało się tak odległe i nierealne, że aż trudno było uwierzyć, że faktycznie miało miejsce. Spacerów do parków, popołudnia w śródmiejskich cukierniach i seanse kinowe. Przycisnęła do siebie swój dziennik. W pierwszym odruchu, gdy tak bardzo zawiodła się na Ignacym, chciała go wyrzucić, lecz nie potrafiła. Zapisała w nim zbyt wiele ważnych myśli, a poza tym lubiła co jakiś czas przeczytać napisaną na pierwszej stronie dedykację.

Cieszyła się, że zachowała zeszyt. Zanosił się na to, że w najbliższych dniach będzie jej jedyną rozrywką. Aż do czasu pokonania wściekłych os wariata Hitlera.

– Oby Anglia z Francją jak najszybciej przysły nam z odsieczą – westchnęła Melnerowa, jakby czytając w myślach córki.

W odpowiedzi January Melner roześmiał się ponuro.

– Konradzie, wiem, że jestem od trzech dni na niekończącym się dyżurze – westchnął w słuchawkę Michał. – Bomby sypią się na dzielnicę północną, mamy tu na Czystem istne pandemonium. A ty nie powinienes dzwonić w prywatnych sprawach, jest zalecenie, żeby nie przeciążać linii.

– Zatem obiecaj mi, że dzisiaj wieczorem wyjdiesz choćby przed szpital, a ja przywiozę coś pożywnego do jedzenia. Jeśli zdechniesz z głodu, to na wiele się już pacjentom nie przydasz – zauważył trzeźwo Konrad. Chciał jeszcze powiedzieć coś pieszczotliwego, lecz uświadomił sobie, że telefony są na podsłuchu. – Kłaniam się – powiedział, co w ich języku oznaczało zapewnienie o miłości.

– Kłaniam się – powiedział cicho Michał i odwiesił słuchawkę.

Ani trochę nie przesadzał. Szpital Starozakonnych na Czystem przeżywał istne oblężenie. Niemcy z ogromną zaciekłością bombardowali kwartały ulic zamieszkiwane przez żydowską biedotę. Ile było w tym przypadku, a ile metody, Michał nie wiedział. Próbował wymóc na matce, żeby przeprowadziła się choćby tymczasowo do szpitala, lecz ona nie chciała o tym słyszeć. Inną rzeczą było to, że Niemcy nic sobie nie robili z kodeksu wojennego i z barbarzyńską zaciekłością bombardowali także szpitale. Nigdzie nie było bezpiecznie, coraz więcej pokrzywdzonych osób trafiało do lecznic, a z braku łóżek na korytarzach rozścielano sienniki i materace.

Michał wielokrotnie myślał, czy gdyby wojna wybuchła dzień później, nie siedzieliby właśnie teraz z Konradem w paryskiej kawiarence, wyczytując z francuskojęzycznej gazety doniesienia o trudnej sytuacji w Polsce. Tymczasem tkwił w Warszawie i studiował lokalną prasę w nadziei na rychłe wsparcie sojuszników. W jego odczuciu optymistyczne artykuły o odsieczy Anglii i Francji były stanowczo przesadzone i obliczone na utrzymanie morale

wśród obywateli. Westchnąwszy ciężko, poczłapał do pacjentów. Czuł potworne zmęczenie i Konrad miał rację, że jeśli nie odpocznie, wkrótce stanie się bezużyteczny, więc gdy kochanek zadzwonił ponownie, łamiąc obowiązujące przepisy stanu wyjątkowego, zgodził się wyjść za pół godziny przed szpital.

Wieczorne powietrze było ciepłe, unosił się zapach kwiatów, a rozgwieżdżonego nieba nie zasłaniały najmniejsze chmury. Michał pomyślał o tym, jak bardzo tego świata nie obchodzi straszna wojna, którą rozpętali ludzie, a potężna natura nawet nie zwraca uwagi na te drobne szkodniki. Drugim spostrzeżeniem było to, że już nie umiał, podobnie jak reszta warszawiaków, spokojnie patrzeć w niebo. Każde zerknięcie miało na celu sprawdzenie, czy nie nadlatuje niemiecki samolot, i oczywiście towarzyszyła mu spora nerwowość.

Przed szpital podjechał samochód. Miał przepisowo zastłonięte reflektory, przez co emitowały mdławą granatową światłość. Konrad lekko zatrąbił, a Michał zdał sobie sprawę, że całe miasto wybrzmiewa tłumionymi dźwiękami klaksonów.

– Po co trąbisz? – zapytał, gdy wsiadł do pojazdu.

– Dzisiejsze zarządzenie – odparł Konrad. – Przez zastłonięte reflektory dochodziło do wypadków, więc nakazano ostrzeganie się klaksonami. Ale nie będziemy o tym rozmawiać, prawda? – roześmiał się Konrad. – Trzymaj! – Wręczył Michałowi okrągły przedmiot owinięty gazetą.

– A cóż to takiego?

– Pojechałem na bazar Różyckiego po pyzy w słoiku. Nawet nie chcesz wiedzieć, jak się babina zdziwiła, że chcę je kupić razem ze słoikiem. Ale byłem przekonujący, więc dorzuciła gazetę. Widelec wziąłem z domu. – Konrad wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki sztuciec.

– Jesteś aniołem. Dziadek Szmul padłby na zawał, jakby zobaczył, co jem – wymamrotał Michał, pochłaniając pół pyzy za jednym kęsem. – Ale mi się chce spać – dodał, ziewając.

– Uznaj to za porwanie, ale w tej chwili jedziemy do domu. Wyśpisz się, a rano cię odwiozę. I tak nie mam nic lepszego do roboty – dodał z goryczą.

– Możesz zawsze zgłosić się do szpitala. Ręk do pracy nigdy dość – powiedział rzeczowo Michał.

Konrad nie odpowiedział. Pojechał w stronę Alej Jerozolimskich, a później skręcił w prawo w Marszałkowską, co jakiś czas przyduszając niezbyt mocno klakson.

Michał wtulił się w fotel pasażera i spojrzał przez otwartą szybę na swoje rodzinne miasto, pogrążone w granatowym blasku samochodowych reflektorów i ledwie ćmiącego się zza czarnych przesłon światła z okien kamienic. Dzieła dopełniały wyłączone neony, z których Warszawa jeszcze do niedawna była dumna.

– Nie śpij, poczekaj, aż dojedziemy na miejsce – powiedział cicho Konrad. Michał już tego nie usłyszał, zamiast odpowiedzi zachrapał lekko. – W porządku, pojedziemy wolniej.

Do Mokotowa wjechał już bez uporczywego naciskania klaksonu. Nie miało to większego sensu. Tutaj samochodów było znacznie mniej, a pora coraz późniejsza. Na ulicach nie widziało się żywej duszy. Konrad zaparkował przed osiedlem, nie zawracając sobie głowy wprowadzaniem pojazdu do garażu, który wynajmował od zarządcy budynku. Z trudem dobudził Michała. Jeszcze zachichotał na myśl o tym, co pomyśleliby sąsiedzi, gdyby ujrzeli przez okna popularnego aktora obejmującego w pasie nieprzytomnego lekarza w białym kitlu, który słał się na nogach.

– Są pewne zalety obowiązkowego zaciemnienia okien – roześmiał się cicho.

– Co ty bredzisz?

– Nic takiego, idziemy!

Już w mieszkaniu ściągnął z Michała kitel i rzucił na krzesło. Rozsznurował mu buty, a potem ściągnął spodnie.

– Nie jestem pijany, mogę sam! – zaprotestował żartobliwie Michał, odpinając kołnierzyk koszuli.

– Jasne, mistrzu – zakpił Konrad i wyciągnął mu spinki z mankietów. Zwalczył pokusę, żeby objąć kochankę namiętnie. Nie tego było mu trzeba. – Słodkich snów – dodał, okrywając go kołdrą. Michał usnął, zanim Konrad zgasił światło i opuścił na palcach pokój.

Wyszedł na balkon i zapalił papierosa. Po namyśle wrócił do salonu, wyjął z barku butelkę dżinu i nalał sobie solidną porcję.

Wróciwszy na balkon, zastanowił się nad kruchością ludzkiego życia. Jeszcze kilka dni temu zobaczył z tego miejsca bomby rozbijające w drobny mak samoloty na Okęciu i przy okazji jego plany wyjazdu z Polski. Gdyby jakiś młody niemiecki pilot zboczył z trasy i zrzucił bombę na jego mieszkanie, wszystko skończyłoby się w tamtej chwili. A jednak tak się nie stało. Wciąż żył, miał potężnych przyjaciół i pieniądze. Zamiast użalać się nad sobą, najwyższy czas wziąć się w garść.

– Wasze zdrowie, chłopaki. – Wzniósł toast za polskich lotników w stronę rozgwieżdżonego nieba.

ROZDZIAŁ 19

1939

Miasteczko Fordon, położone malowniczo tuż przy łuku szerokiej w tym miejscu Wisły, było miłe dla oka. Po obu stronach solidnego mostu kolejowego rozciągały się piaszczyste nadrzeczne plaże, jakich nie powstydziliby się Warszawa w szczycie sezonu letniego. Helena miała to szczęście, że zakratowane okna celi, którą dzieliła z pięcioma innymi więźniarkami, wychodziły właśnie na tę niebieską wstęgę rozpościerającą się pomiędzy zielonozłotymi polami.

To ten widok nie pozwolił jej zwariować, a zgoła absurdalna myśl, że rzeka niesie tędy ducha Warszawy i myśli bliskich jej ludzi, paradoksalnie podnosiła na duchu. Czasem klękała na pryczy i skupiała spojrzenie na najbliższej łasze piachu, przypominającej jej dziką praską plażę, na której niegdyś spędzała najcudowniejsze chwile swojego życia w towarzystwie Basi, Poldka i Janka.

– Spacerniak! – rozległ się od drzwi głos strażniczki.

Helena błyskawicznie zeskoczyła z pryczy i wygładziła bury koc. Dzisiaj oddział nadzorowała uszczypliwa kobieta, którą więźniarki między sobą nazywały Cytryną, po cichu podśmiewając się z jej wiecznie skwaszonej miny. Wbrew pozorom strażniczka nie była surowa, lecz nie zachwycała się dziećmi skazanych, więc to z punktu sprawiało, że matki patrzyły na nią z ukosa.

Więzienie o zaostrowym rygorze w Fordonie mieściło w swych murach kobiety z różnych stron Polski i różnych środowisk. Łączyło je to, że większość z nich odsiadywała karę wraz z dziećmi. W tym aspekcie prawo Rzeczypospolitej było dość pobłażliwe. W zakładzie karnym założono żłobek, a przebywające w nim dzieci więźniarek często bywały oczkami w głowie strażniczek. Oczywiście innych niż ta nazywana przez więźniarki Cytryną. Ona przemierzała oddział wyprostowana z godnością i jeśli jakiś maluch stanął jej na drodze w więziennym korytarzu, omijała go i szła w swoją stronę, zupełnie nic nie robiąc sobie z tego, że dzieciak uśmiecha się do niej pogodnie.

Pomijając skąpe wiadomości z Warszawy, Helena uważała, że więzienie jest zorganizowane w sposób humanitarny. Oczywiście nie

miała tu wygod, podobnie jak reszta więźniarek, i donaszały własne ubrania, z rozpaczą w oczach piorąc cienką niczym pajęczyna bieliznę. Czasami wpadały przydziały na dodatkowe majtki, lecz to zupełnie nie pokrywało zapotrzebowania.

– Helu, potrzy masz przez chwilę Zdzisia? – poprosiła współwięźniarka.

– Oczywiście – odparła Helena, podnosząc krzepkiego dwulatka. Chłopiec przytulił się do niej i wycisnął na policzku mokrego całusa.

Wszystkie więźniarki zeszły na spacerniak, który wyglądał więcej niż przyzwoicie. Żwirowe alejki przecinały plac, a na klombach rosły kwiaty. Gdzieś tam stały ławki, na których koncentrowało się życie towarzyskie. Do pierwszej nie należało podchodzić. Urzędowały na niej najstarsze skazane, łącznie z Ritą Gorgonową, niekwestionowaną gwiazdą Fordonu. Helena omijała ją szerokim łukiem. Śledziła przed laty proces morderczyni. Właściwie nie było głośniejszej sprawy w warszawskich i pewnie ogólnopolskich gazetach. Warszawa robiła zakłady, obstawiając, czy Gorgonowa zabiła nastoletnią Lusię, córkę swojego kochanka, czy jest niewinna. Gorgonowa nigdy nie przyznała się do zbrodni.

Czasami Helena obserwowała ją ukradkiem, zastanawiając się, czy ta kobieta rzeczywiście ma krew na rękach. Gorgonowa była przed czterdziestką, lecz zachowała młody wygląd. Z twarzy była dość ładna, choć nikt raczej nie nazwałby jej skończoną pięknoscią. Nie wyglądała na zbrodniarkę, lecz właściwie jak powinien wyglądać ktoś taki? Helena uświadomiła sobie, że jej ludzie pewnie też się przyglądają, zastanawiając się, czy wbiła nóż w pierś Stanisława Krzemienieckiego. Jej sytuacja niczym nie różniła się od położenia Rity Gorgonowej. Właśnie dlatego nie osądzała jej, lecz polubić jakoś nie umiała.

Helena przysiadła na ławce i z rozkoszą przyjęła kolejne mokre całusy Zdzisia. Czasami zastanawiała się, czy nie popełniła błędu, nie zabierając Poldusia do Fordonu. Tęskniła za nim potwornie, jednak wciąż uważała, że on nie może ponosić konsekwencji tego, co ją spotkało. Dzieci w Fordonie, choć przebywały w żłobku, wciąż podlegały regułom więzienia. Tymczasem jej syn dorastał w zasobnym domu i z pewnością otoczono go tam opieką. A ona

miała przed sobą szereg lat odsiadki. W jej odczuciu lepszym wariantem było to, że Paulina wychowa go jak własnego syna. Uściskała Zdzisia, który ufnie zarzucił jej rączki na szyję. Starła się przypomnieć sobie zapach swojego własnego dziecka, lecz bezskutecznie.

Tęskniła za nim, to oczywiste, lecz musiała dostosować się do nowej rzeczywistości, co nie sprzyjało rzewnym wspomnieniom. Więzienie nauczyło ją, że jeśli ma przetrwać, musi przestać wybiegać myślami poza jego mury. Przygniatająca świadomość istnienia prawdziwego życia czyniła wszystko jeszcze trudniejszym, więc lepiej było się skupiać wyłącznie na najbliższym otoczeniu. Helena postawiła Zdzisia na żwirowej alejce i uśmiechnęła się do niego. Dziecko natychmiast kucnęło i zaczęło się bawić kamyczkami, a ona zamknęła na chwilę oczy i wystawiła twarz do słońca.

– Słyszysz, co mówię?

Helena ocknęła się i osłoniwszy oczy przed słońcem, spojrzała na matkę Zdzisia.

– Przepraszam, zamyśliłam się. Możesz powtórzyć? – poprosiła.

– Wojna wybuchła! Niemcy napadli na nas dzisiaj rano!

– To straszne – szepnęła Hela.

– Nie dla nas. Dla skazanych może okazać się wybawieniem – odparła kobieta.

– Cóż ty mówisz? – zdziwiła się. – Jak wojna może być wybawieniem?

Tajemnicze słowa wyjaśniły się już następnego dnia. W celach i więziennych korytarzach rozległy się radosne okrzyki, a szmer podnieconych rozmów niósł się bez przeszkód. Strażniczki z jakiejś przyczyny nie interweniowały.

– Co tam się dzieje? – zapytała Helena matkę Zdzisia. Odwróciła się od okna, przez które jak zwykle oglądała plażę nad Wisłą.

– Amnestia! – oświadczyła kobieta triumfalnie. – Wiesz, co to oznacza? Że wypuszczą pewnie większość z nas.

– Mnie to raczej nie dotyczy. Dopiero co trafiłam za kratki.

– Zobaczymy – odparła. Jej zostały jeszcze niespełna dwa lata, więc była pewna ułaskawienia.

Trzeciego września wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Z przedmieść pobliskiej Bydgoszczy już koło dziesiątej rano dobiegły odgłosy wystrzałów. W więzieniu zapanował chaos, a strażniczki nawet nie próbowały przywoływać podopiecznych do porządku. W warsztacie, w którym więźniarki pracowały przy krosnach, też panowało podniecenie.

– Co tam się dzieje? – Hela odważyła się podejść do Cytryny. Strażniczka miała zatroskaną minę. Spojrzała na nią z powagą.

– Nie ma pewności – westchnęła. – Albo już wkroczyło wrogie wojsko, albo miejscowi Niemcy i dywersanci rozpętali strzelaninę. Tylko patrzeć, aż walki dojdą i do Fordonu.

– Co będzie z nami? – zapytała Helena. Pytanie nie zdążyło dobrze wybrzmieć w gwarnej sali, gdy szczęknięły drzwi, a do środka weszły dwie kolejne strażniczki. Jedna z nich trzymała w dłoni kartkę.

– Uwaga! – powiedziała strażniczka. – Na podstawie dekretu prezydenta Rzeczypospolitej z dnia drugiego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku zarządzamy amnestię. Wyczytane więźniarki mają niezwłocznie odebrać swoje rzeczy z depozytu i opuścić zakład karny w Fordonie.

Zza okna dobiegły kolejne strzały, lecz osadzone nie zwracały na nie uwagi. Każda z wyczytanych podbiegała do drzwi z piskiem radości.

– Małecka – przeczytała strażniczka. – Do ciebie mówię! – huknęła, widząc, że do oniemiałej dziewczyny nie dotarło, co ma zrobić.

– Tak jest – wyjąkała Helena. Poszła za innymi kobietami, lecz w głowie miała pustkę. Czy to możliwe, żeby jej kara ot tak skróciła się z wielu lat do raptem kilku tygodni? Miała wrażenie, że śni.

Uwierzyła, że to dzieje się naprawdę, gdy zatrzasnęły się za nią więzienne wrota. Inne zwolnione natychmiast się rozpierzchły, a ona stała na fordońskim rynku, przyciskając do piersi torebkę odebraną z depozytu. Plac był prawie pusty, nie licząc samochodu jadącego właśnie z dużą prędkością w stronę kościoła Świętego Mikołaja. Z oddali znów dało się słyszeć strzały i serie z karabinów maszynowych.

– Na co tu stoisz, głupia? – rozległ się głos za nią. Helena odwróciła się i zobaczyła Ritę Gorgonową. – Uciekaj, jeśli ci życie miłe. Przecież tu za chwilę zacznie się jatka. Dokąd idziesz?

– Do Warszawy – odparła. – Tylko że nawet nie wiem, w którą stronę. – Helena nareszcie się ocknęła i zaczęła gorączkowo myśleć. Wypatrzyła po drugiej stronie rynku sylwetkę człowieka. Ruszyła w jego kierunku, nawet nie oglądając się, czy Rita idzie za nią. Przed niską kamienicą stał Żyd w chałacie.

– Dzień dobry, powie mi pan, w którą stronę do Warszawy? – zapytała w jidysz.

– Córeńko, to przez Wisłę trzeba... – odparł.

– Przez most da się przejść?

– A gdzie tam. Przecież wczoraj wojacy wysadzili, jak się wycofywali. Trzymaj się jak najdalej od mostu. W takich miejscach zwykle aż roi się od kłopotów. Jak nie nalot, to ostrzał. I do Bydgoszczy czasem nie idź. Tam straszny zamęt podobno. Mówili mi ludzie, którzy uchodzili z miasta, że dywersanci niemieccy strzelają do Polaków, a Polacy w odwecie strzelają do każdego, kto ma niemieckie pochodzenie. Nieważne, czy sąsiad, czy wróg. Pewnie i tu zaraz się zacznie.

– Dlaczego pan też nie ucieka? – zapytała Helena.

– A gdzie niby miałbym iść? Starych drzew, córeńko, się nie przesadza. Ale ty uciekaj, bo będzie niebezpiecznie.

– Skoro nie mostem i nie do Bydgoszczy, to jak przedostać się przez Wisłę?

– Idź z biegiem rzeki. Za łukiem powinno być spokojniej. Znajdziesz chatę rybacką i poprosisz, żeby cię przewieźli na drugi brzeg. Masz jakieś pieniądze? Na pewno będą chcieli coś za fatygę.

– Niewiele, ale powinno wystarczyć – przyznała Helena. Miała przy sobie kilka złotych, gdy ją zaaresztowano, i ku jej zdziwieniu oddano je z depozytu wraz z resztą rzeczy.

– Zatem ruszaj, nie trać czasu. – Mężczyzna zerkał w stronę, z której niosła się coraz głośniejsza kanonada. Z z troskaniem gładził się po długiej brodzie. – Niech ci szczęście sprzyja, córeńko.

Dopiero gdy się z nim pożegnała, uświadomiła sobie, że Rita Gorgonowa zniknęła. Może uznała, że w pojedynkę ma większe

szanse? A może zwyczajnie lubiła jak kot chadzać własnymi drogami? Helena uznała, że ma większe problemy. Dalsza zwłoka oznaczała zagrożenie. Wprawdzie nie miała dostępu do gazet, ale nie trzeba było wielu wiadomości, żeby przewidzieć, w jakim kierunku będą podążać wojska niemieckie. Jeśli ma dotrzeć bezpiecznie do Warszawy, musi cały czas wyprzedzać przesuwający się front. Helena miała nadzieję, że obrońcy Polski odeprą najeźdźców jak najszybciej, ale im dalej będzie się trzymała od działań wojennych, tym większą ma szansę na powrót do domu.

Zgodnie z radą starego Żyda znalazła rybaka, a ten za niewielką opłatą przeprowił ją na drugi brzeg Wisły i poczęstował chlebem. Nie czuła jeszcze głodu, więc schowała go do kieszeni na później.

Gdy mijali środek rzeki, zauważyła ruiny fordońskiego mostu. Tuż nad nimi przeleciała eskadra niemieckich myśliwców. Helena widziała je po raz pierwszy, lecz i tak widok zmroził jej serce.

– Jezu, żeby tylko nas nie zauważyli – powiedziała przestraszona.

– Niech się pani nie martwi. Oni szukają większych kąsków niż mała łódeczka. Pewno lecą bandyci nad jakie miasto – uspokoił ją mężczyzna, lecz i tak mocniej przyłożył się do wiosłowania.

Pożegnawszy wiślanego rybaka, Helena ruszyła polną drogą, wiedząc, że czeka ją kilka dni marszu. Pieniędzy zostało już niewiele, więc żaden środek transportu nie wchodził w grę. Inną sprawą było, że nawet nie miała pojęcia, czy cokolwiek kursuje. Na wszelki wypadek trzymała się z dala od większych miasteczek. Na pierwszy nocleg zatrzymała się w lesie przed Toruniem, lecz pomysł okazał się fatalny. Pomimo ciepłego lata noce były już przeraźliwie zimne, więc z trudem dotrwała do świtu. Zjadła kawałek chleba i ruszyła w dalszą drogę.

Pamiętając, że należy się trzymać z dala od dużych miast, ominęła Toruń, nieco nadkładając drogi. Nie miała pojęcia, co tam się dzieje, ale coraz częściej spotykała grupy uchodźców, tak jak ona uciekających przed posuwającym się frontem. Helena starała się od nich trzymać z daleka, lecz im bliżej była Warszawy, tym ludzi pojawiało się więcej.

Trzy dni później dotarła pod Płock i postanowiła znaleźć kolejną stodołę, żeby przespać się w niej choć kilka godzin, jednak najpierw udała się do przydrożnej wiejskiej chałupy, gdzie poprosiła o wodę i możliwość kupienia choć kawałka chleba. Otworzyła jej starsza kobieta w chustce na głowie.

– Wchodź do środka, dziecino. Widzę, żeś strudzona. Odpoczniesz sobie – zaprosiła ją gościnnie. – Z daleka idziesz?

– Dziękuję. – Helena skwapliwie skorzystała z zaproszenia. – Aż z... Bydgoszczy. – Po namyśle uznała, że zapewne babinka nie ma pojęcia o istnieniu zakładu karnego dla kobiet, ale nazwy Fordon lepiej nie wymieniać.

– Tam też tak strasznie?

– Gdy wyszłam z miasta trzeciego września, już zaczynały się strzelaniny.

– Co za nieszczęście z tą wojną. Z wojny nie ma nic dobrego! Przeżyłam niejedną, to swoje wiem.

– A nie wiecie matko, czy w Płocku bezpiecznie?

– Bomby już tam spadały, tak mi syn mówił.

– A mówił coś jeszcze?

– A mówił! Że nasi żołnierze mają jutro wysadzać most, żeby utrudnić Niemcom przejście.

– Tylko nie to – jęknęła Helena. – Ja muszę do Warszawy. Pożegnaj się już w takim razie. Może jeszcze przepuszczą.

– Dziecko, przecież ty się ledwo na nogach trzymasz. Najwyżej ruszysz inną drogą. A teraz odpocznij, zjedz coś.

Helena z uporem zebrała się do wyjścia. Kobieta wcisnęła jej zawiniątko z chlebem i serem i nawet nie chciała słyszeć o zapłacie.

– Dziękuję. Po stokroć z serca dziękuję. – Wzruszona Helena chwyciła dłonie staruszki i ucałowała je.

– Z Bogiem, drogie dziecko. – Pogłaskała ją po głowie.

Nieprzytomna ze zmęczenia Helena człapała polną drogą w stronę miasta. Zgodnie z wytycznymi samochody miały zamaskowane na niebiesko reflektory, a okna mieszkań zostały zaciemnione. Widziała to po raz pierwszy i ów mroczny granatowy wygląd miasteczka zrobił na niej spore wrażenie. Gdyby nie groza, z jaką to się wiązało, przyznałaby pewnie, że nocny obraz Płocka

jest wręcz magiczny. Na szczęście udało jej się przejść przez most. W gęstniejącym mroku doczłapała do najbliższej wsi i tam wkradła się do pierwszej z brzegu stodoły. Usnęła, zanim dobrze przyłożyła głowę do pachnącego siana.

Los, jakby chcąc wynagrodzić Helenie dotychczasowe trudy podróży, zesłał następnego dnia na jej drogę wesołego kierowcę samochodu dostawczego. Zatrzymał pojazd na poboczu, gdy zamachała ręką.

– Podwiezie mnie pan?

– A dokąd pani idzie?

– Do Warszawy!

– Niech pani wskakuje. Ja też do Warszawy. Ale najpierw do Sochaczewa, więc trochę się zejdzie – ostrzegł.

– I tak będzie znacznie szybciej, niż na piechotę – roześmiała się.

– To z pewnością. Za parę godzin będziemy na miejscu. A pani z daleka?

Helena opowiedziała mu zgrabną historię o podróży z Bydgoszczy. Kierowca, podobnie jak staruszka ze wsi pod Płockiem, był głodny opowieści.

– Parszywe szkopy – skomentował tylko.

– A wie pan, co w Warszawie się dzieje? – zapytała.

– To samo co i tu. Naloty, panika i coraz większe przygnębienie. Co z tego, proszę szanownej pani, że Anglia i Francja wypowiedziały Hitlerowi wojnę, skoro nie palą się do pomocy Polsce? Wielcy sojusznicy – roześmiał się ponuro.

– To nie brzmi zbyt pocieszająco.

– Ech, nie ma co się na zapas martwić. Może nasi odepchną w końcu Niemców. Napadli nas podstępnie, bez wypowiedzenia wojny, więc i nie dziwne, że nas zaskoczyli.

– Miejmy nadzieję, że ma pan rację.

Do Warszawy dotarli późnym popołudniem i od razu trafili na alarm bombowy. Helena wraz z kierowcą zbiegła do piwnic przypadkowej kamienicy. Przerażona dziewczyna po raz pierwszy była świadkiem nalotu, więc ze zdumieniem obserwowała ludzi

przekomarzających się, pomstujących na Niemców, ale z niezłomnością ducha i humorem.

Dopiero dwie godziny później udało jej się dotrzeć na Zgodę. Antykwariat był zamknięty na głucho, więc weszła od podwórza. Pomimo wyczerpania i obaw o przyszłość serce waliło jej jak oszalałe z radości. Wróciła do domu, choć jeszcze kilka dni temu sądziła, że nie rzuci się ojcu w ramiona przez długie lata. A jednak stała tu, przed drzwiami. Niecierpliwie zapukała.

– Kto tam? – zapytał ze środka przestraszony kobiecy głos, którego nie rozpoznała.

– To ja, Helena! – odparła nieco zdziwiona.

Usłyszała chrzęst otwieranego zamka. Drzwi otworzyły się na pełną szerokość, zalewając mroczne podwórze strugą ciepłego światła.

– Mania? – Helena ze zdziwieniem spojrzała na kuzynkę. – Mania! To naprawdę ty! – ucieszyła się i chwyciła ją w objęcia. – Jak to możliwe? Uciekliście z Gdańska? A Zosia? Znalazła się wreszcie? Zresztą zaraz mi wszystko opowiesz, ale najpierw chcę się przywitać z ojcem. Gdzie jest?

– Och Heleno, tak strasznie mi przykro... – wyszeptała Mania, a po jej policzkach pociekły łzy. – Stryj Józef zginął kilka dni temu w nalocie. Jacyś ludzie przynieśli dokumenty, które miał przy sobie. Pochowany na Powązkach.

– Jezu. – Helenie zakręciło się w głowie, więc Mania chwyciła ją w pasie i pokierowała do ulubionego fotela starego antykwariusza. Na podłokietniku leżała jedna z jego ulubionych greckich rozpraw filozoficznych. – Nie tu. Nie teraz – zaprotestowała Hela.

Kuzynka zaprowadziła ją do drugiego pokoju. Helena usiadła ciężko na łóżku i spojrzała na nocny stolik. List od Poldka leżał dokładnie w tym miejscu, w którym zostawiła go w dniu aresztowania. Ojciec nie dotknął go, jakby pragnąc zachować wszystko w niezmienionym stanie. Czy gdyby wróciła tutaj po odsiedzeniu całego wyroku, dalej by leżał?

Wzięła do ręki złożoną na czworo kartkę i przycisnęła do piersi. A potem zaczęła rozpaczliwie płakać. Nieco później, gdy nie miała już sił i zabrakło łez, położyła się na łóżku w poszarpanej sukience

i znoszonych butach. Na granicy snu i jawy pomyślała, że przecież ma dla kogo żyć. Miała syna i musiała go odzyskać.

WSPÓŁCZEŚNIE

Podeksytowana Julia wzięła do ręki telefon. Wybrała numer Filipa Melnera.

– Udało mi się odczytać cały list! – pochwaliła się, gdy tylko rozmówca się przywitał.

– Brawo! Moje najszczerze gratulacje. Pokażesz mi tekst? Oczywiście jeśli nie obowiązuje cię tajemnica korespondencji – zażartował.

– Myślę, że po tylu latach już zdecydowanie nie – roześmiała się.
– Zaraz ci wyślę plik – obiecała i się rozłączyła.

Zanim włączyła komunikator, jeszcze raz otworzyła dokument tekstowy i zaczęła go czytać.

Droga Helu, choć chodzę od tygodnia ze szczerym zamiarem napisania kilku słów, wciąż nie wiem, jakich mógłbym użyć, żeby oddać nimi wiernie swoje myśli i uczucia.

Moje życie nie ma już sensu, a w tym większe popadłem przygnębienie, że przecież sam dałem się zamknąć w tej pułapce. Moja najdroższa Heleno, gdybym tylko mógł cofnąć czas! Mocy takiej jednak nie posiadam. A do tego sił, żeby przeciwstawić się losowi. Może gdybyś choćby słowem jednym potwierdziła, że jeszcze nie wszystko stracone, zdobyłbym się na odwagę i rzucił ojcu wyzwanie. Przychylności jego nie zdobędziesz, czego nigdy pojąć nie potrafiłem, a co zrozumiałem już wtedy, gdy wypędził Cię z naszego domu, gdym chorował. Do dziś zachowuję w sercu wdzięczność, że nawet to nie powstrzymało Cię od zatelefonowania później, by dowiedzieć się o stan mojego zdrowia. Awanturę, jaką rozpętał o to mój ojciec, będę pamiętał przez długie lata.

Zapytasz, i pewnie będziesz miała słuszność, po co ja to wszystko piszę po tak długim czasie. Sam nie wiem, lecz do końca życia będę płacił za błędy. Zawsze byłaś mą pocieszycielką i najdroższą przyjaciółką. Po odejściu Dorotki mój świat stał się piekłem i tylko dzięki Tobie wciąż istniałem. Wszystkie jasne wspomnienia, jakie jeszcze się we mnie tłą, łączą się z Tobą. Żałuję

wszystkiego, co zrobiłem. Już wtedy, gdy po raz pierwszy umówiliśmy się na spacer, chyba ciążyło nad nami jakieś fatum. Gdyby nie to wszystko, gdyby nie cały ten galimatias, po prostu spotkalibyśmy się pod bombą, a ty nie musiałabyś tam czekać przez wieczność, czego do dzisiaj nie umiem sobie wybaczyć. Czasem, gdy brakuje mi sił, przywołuję wspomnienia z plaży albo ten dzień, gdy dałaś się zaprosić na kolację. Gdy wyszliśmy z Adrii, wiedziałem, że chcę spędzić z Tobą resztę życia.

Jeśli miałbym odszukać swoje najszcześniejsze wspomnienie, z pewnością byłby nim ten dzień, gdy pocałowałem Cię po raz pierwszy. Świat zawirował, a ja pomyślałem, że najchętniej nie wypuściłbym Cię z objęć do końca świata. Kocham Cię i zawsze kochałem. I nie wiem, po co to piszę, przecież nigdy nie nabiorę odwagi, żeby ten list wysłać. Jedno jest pewne. Przeklinam dzień, w którym poznałem Paulinę Melner.

Najdroższa Heleno, dopisuję ten fragment tuż przed spotkaniem z Tobą. Po długim czasie, jaki upłynął od napisania tego listu, nie zmieniło się nic. Nadal Cię kocham, ale tym razem nie ugnę się przed ojcem. Będę walczył o Ciebie. Jest 1939 rok, a nie średniowiecze! Zrobię wszystko, żebyśmy byli razem. I pokornie Cię błagam, żebyś zechciała mnie wysłuchać. Liczę się oczywiście z tym, że pewnie nie zechcesz, więc załączam ten list jako dowód stałości moich uczuć. Nigdy nie przestałem Cię kochać. Jesteś moim spełnieniem marzeń i nie spocznę, dopóki nie będziemy razem. Pozwól mi naprawić wszystkie moje błędy. Proszę o wiele, wiem. Nie zasługuję na Twe miłosierdzie, lecz po cichu mam nadzieję, że wciąż odwzajemniasz moje uczucia. Świat jest zbyt piękny, a życie zbyt krótkie, żebyśmy cierpieli nadaremno.

Twój kochający Poldek

Julia westchnęła, zastanawiając się w duchu, czy i jej przytrafi się kiedyś takie uczucie. Jak dotąd nie szukała go, lecz historia tragicznej miłości pradziadków zrobiła na niej ogromne wrażenie. Wysłała plik Filipowi.

– *Wspaniała robota, a list wzruszający!* – odpisał po chwili. – *Ja też mam dobrą wiadomość! Dostaliśmy pozwolenie z muzeum. Możemy podjąć badania nad dziennikiem prababci Krystyny.*

– *Wspaniale! Już się nie mogę doczekać* – odpisała Julia i zamknęła komunikator.

Zadzwoiła do dziadka.

– Masz ochotę na spacer uliczkami Mokotowa? – zapytała, gdy tylko odebrał. – Nie wiedzieć czemu, zebrało mi się na historyczne sentymenty, a poza tym mam dla ciebie niespodziankę.

1939

Potężny huk wstrząsnął budynkiem, a z sufitu piwnicy posypał się tynk. Jakaś kobieta krzyknęła cicho, gdzieś rozplakało się dziecko, ktoś modlił się, mamrocząc pod nosem. Twarze, ledwie widoczne w chwiejnych płomieniach kilku ostatnich świec, zlewały się z cegłami. Było duszno, śmierdziało potem, a Krystyna marzyła tylko o tym, żeby uciec jak najdalej stąd. Zamiast tego przysunęła się bliżej do świecy i wyjęła z kieszeni swój ukochany dziennik.

WARSZAWA, 25 WRZEŚNIA

Od kilku dni na Pradze naloty trwają niemal bezustannie, a ja wciąż nadziwić się nie mogę, po co to wszystko? Czy świat do reszty zwariował? Co ludzie chcą osiągnąć tym szaleństwem? Ledwie miesiąc temu byłam z koleżankami na spacerze i ciastkach u Bliklego. Ciastka! To brzmi tak nierealnie! Ktoś zabrał nam nasz świat i sądzę, że on już nie wróci. Największą wściekłość odczuwam przez to, że wróg z niepojętej przyczyny uważa, że ma prawo kraść nasze życie. Pewnie piszę bzdury, lecz jak myśleć trzeźwo, skoro dzień w dzień na nasze głowy sypią się bomby? Część naszej kamienicy spaliła się, na szczęście większość jest w dobrym stanie. Choć nie wiem, co zobaczymy po dzisiejszym nalocie. W takich chwilach człowiek uświadamia sobie, co tak naprawdę jest w życiu ważne. I jakie bezsensowne było przejmowanie się różnymi drobiazgami przed wojną. Dzisiaj po raz pierwszy pomyślałam, że być może oceniłam Ignacego zbyt surowo. Nawet nie wiem, dlaczego pobił tego człowieka. Nie dałam mu szansy na wyjaśnienia. Postąpił źle, lecz czy ja jestem lepsza, skoro odeszłam bez słowa? To już nieważne, pewnie nigdy go nie zobaczę, ale mam nadzieję, że gdziekolwiek przebywa, jest bezpieczny. Chociaż czy to możliwe w dzisiejszych czasach? Wszyscy tkwimy w piekle, modląc się

o ocalenie. Jesteśmy ziarnami w żarnach wielkiej polityki, która zetrze nas wbrew naszej woli na pył.

Czuwaj, Warszawo!

Spis treści

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)